Kalendarz cieszyński

2007

ISSN 1232-2725

BANK
SPÓŁDZIELCZY W CIESZYNIE
Rok założenia 1873

Oferujemy:

atrakcyjne warunki prowadzenia rachunków bankowych,

nowoczesny rachunek oszczędnościowy „DOBRA STOPA",

korzystne formy kredytowania,

zarządzanie rachunkiem bieżącym, oszczędnościowo-rozliczeniowym za pośrednictwem internetu w ramach Centrum Usług Internetowych,

ponad 1800 bankomatów do dyspozycji w całym kraju bez dodatkowych opłat.

Bank Spółdzielczy zawsze blisko

Zapraszamy do naszych placówek:

Bank Spółdzielczy w Cieszynie
Cieszyn, ul. Kochanowskiego 4, tel. (033) 851 28 20, fax. (033) 851 41 17

Punkt Obsługi Klienta
Cieszyn, ul. Liburnia 20, tel. (033) 858 24 00, fax. (033) 858 24 01

Oddział w Goleszowie
Goleszów, ul. Cieszyńska 18, tel. (033) 852 88 26, 852 80 37 lub 852 87 06

Oddział w Hażlachu
Hażlach, ul. Główna 57, tel. (03) 856 9 28, fax. (033 856 74 27 wew. 26

KALENDARZ CIESZYŃSKI 2007

MACIERZ ZIEMI CIESZYŃSKIEJ
CIESZYN 2006

Zredagowało Kolegium:
ANDRZEJ OTCZYK (przewodniczący)
ROBERT DANEL
WACŁAW GOJNICZEK
KAROL KAJZER
GRZEGORZ KASZTURA
MARIUSZ MAKOWSKI
LEON MIĘKINA
WŁADYSŁAW SOSNA
KRZYSZTOF SZELONG
STANISŁAW ZAHRADNIK

Redakcja techniczna:
TADEUSZ KOPOCZEK

Na okładce: Zamek w Grodźcu Śląskim. Fot. Witold Kożdoń.

Zamieszczone poza tekstami drzeworyty, linoryty i rysunki piórkiem zreprodukowano z albumów:
1. „Cieszyńskie w grafice i rysunku", wyd. Macierz Ziemi Cieszyńskiej, 1980 r.
2. „Ziemia cieszyńska w grafice", wyd. Uniwersytet Śląski Filia w Cieszynie, 1980 r.

Sto dziewięćdziesiąta pierwsza publikacja Macierzy Ziemi Cieszyńskiej

Cz II 81/2007

KSIĘGARNICA CIESZYŃSKA

Cz 6258

ISSN 1232-2725

Wydawca: Macierz Ziemi Cieszyńskiej
43-400 Cieszyn, ul. Stalmacha 14, tel. (033) 852 16 59

Druk: OFFSETdruk i MEDIA Sp. z o.o., ul. Frysztacka 48, 43-400 Cieszyn

D 240/06

ŻANETA KUBASZEWSKA

NA CIESZYŃSKĄ NUTĘ

Pod niebem, gdzie szumi
jawor i osika,
beskidzkie śpiewani
nigdy nie zanika.

Tutaj od Cieszyna
sypana dróżeczka,
tutaj także stoi
urocza lipeczka.

Na zielonym mostku
trawka sobie rośnie,
ptak śpiewa w oddali
na wysokiej sośnie.

Po dolinie Olza
płynie od wiek wieka,
łączy brzegi, dzieli państwa
urzeka człowieka.

Tak jak Wisła – Kraków
wstęgą opasała,
tu Olza dla Polski
granicą się stała.

Na cieszyńskiej ziemi
w przepięknej krainie
dom ojcowski stoi,
pamięć tu nie ginie.

(Autorka jest uczennicą Gimnazjum nr 2 w Cieszynie)

STYCZEŃ

1	P	**Mieczysława, Masława**	
2	W	Izydora, Makarego	
3	Ś	Danuty, Genowefy	
4	C	Anieli, Eugeniusza	○
5	P	Edward, Szymona	
6	S	Kacpra, Melchiora, Baltazara	
7	N	**Juliana, Lucjana**	
8	P	Mścisława, Seweryna	
9	W	Antoniego, Marcjanny	
10	Ś	Jana, Wilhelma	
11	C	Honoraty, Feliksa	
12	P	Arkadiusza, Benedykta	◐
13	S	Weroniki, Bogumiła	
14	N	**Feliksa, Hilarego**	
15	P	Makarego, Pawła	
16	W	Marcelego, Włodzimierza	
17	Ś	Antoniego, Rościsława	
18	C	Małgorzaty, Piotra	
19	P	Henryka, Mariusza	●
20	S	Fabiana, Sebastiana	
21	N	**Agnieszki, Jarosława**	
22	P	Wiktora, Anastazji	
23	W	Marii, Rajmunda	
24	Ś	Felicji, Rafała	
25	C	Tatiany, Miłosza	
26	P	Pauliny, Polikarpa	◑
27	S	Jana, Przybysława	
28	N	**Radomira, Walerego**	
29	P	Franciszka, Zdzisława	
30	W	Martyny, Macieja	
31	Ś	Ludwiki, Marceliny	

ŚWIĘTA: 1. Nowy Rok, 6. Objawienia Pańskiego — Święto Epifanii (ewang.), 21. Dzień Babci, 22. Dzień Dziadka.

TORT ANANASOWY

Składniki:

7 białek

30 dag cukru pudru

10 dag kokosu

8 dag gładkiej mąki

1 łyżeczka proszku do pieczenia

1/2 l śmietany kremówki

1 puszka ananasów

Ubić białka z cukrem pudrem, pozostałe składniki wymieszać, połączyć z ubitą pianą i umieścić w formie (tortownicy). Piec ok. 30—40 minut w temp. 180 st.C tak, aby wierzch ciasta uzyskał złocisty kolor.

Śmietanę ubić bez cukru, wystygnięte ciasto przekroić, obie połowy nasączyć syropem ananasowym. Ananasy i śmietanę rozdzielić na 2 części. Układać kolejno: ciasto, śmietanę, ananasy, potem nałożyć drugi płat, na nim ułożyć resztę śmietany i ananasów. Wstawić do lodówki.

Najlepiej przygotować dzień wcześniej.

Bój sie w styczniu wiosny,
bo marzec zazdrosny.

LUTY

1 C Brygidy, Ignacego
2 P Marii, Mirosława
3 S Błażeja, Hipolita
4 N Andrzeja, Józefa
5 P Agaty, Adelajdy
6 W Doroty, Bohdana
7 Ś Romualda, Ryszarda
8 C Jana, Piotra
9 P Apolonii, Cyryla
10 S Elwiry, Jacka
11 N Bernadetty, Marii
12 P Eulalii, Modesta
13 W Grzegorza, Katarzyny
14 Ś Lilianny, Walentego
15 C Jowity, Faustyny
16 P Danuty, Julianny
17 S Juliana, Łukasza
18 N Konstancji, Maksyma
19 P Arnolda, Konrada
20 W Ludmiły, Leona
21 Ś Feliksa, Piotra
22 C Marty, Małgorzaty
23 P Damiana, Romana
24 S Bogusza, Macieja
25 N Cezarego, Wiktora
26 P Aleksandra, Mirosława
27 W Anastazji, Gabriela
28 Ś Makarego, Romana

ŚWIĘTA: 21. Popielec.

MAKOWIEC Z JABŁKAMI

Składniki:

45 dag jabłek (zetrzeć i odcisnąć sok)

35 dag maku (zmielić)

1/2 kostki masła lub margaryny

6 jaj (żółtka + piana z białek)

25 dag cukru pudru

5 łyżek kaszy manny

2 łyżeczki proszku do pieczenia

5—6 kropli olejku migdałowego

Tłuszcz, cukier, żółtka utrzeć, połączyć z makiem, jabłkami, kaszą manną, proszkiem do pieczenia i pianą z białek.

Ciasto umieścić w zamkniętej formie, wysmarowanej oraz obsypanej tartą bułką, piec ok. 40 min. w temp. 180—200 st.C.

Po wystygnięciu oblać ciemną lub jasną polewą.

Grómnica pogodno — bydzie jesiyń dorodno.

MARZEC

1	C	Albina, Antoniny	
2	P	Heleny, Pawła	
3	S	Kunegundy, Maryny	
4	**N**	**Kazimierza, Łucji**	
5	P	Fryderyka, Wacława	○
6	W	Róży, Wiktora	
7	Ś	Pawia, Tymoteusza	
8	C	Beaty, Wincentego	
9	P	Franciszki, Katarzyny	
10	S	Cypriana, Marcelego	
11	**N**	**Benedykta, Konstantego**	◐
12	P	Grzegorza, Bernarda	
13	W	Bożeny, Krystyny	
14	Ś	Matyldy, Leona	
15	C	Ludwiki, Klemensa	
16	P	Izabeli, Hilarego	
17	S	Zbigniewa, Patryka	
18	**N**	**Cyryla, Edwarda**	●
19	P	Józefa, Bogdana	
20	W	Klaudii, Wincentego	
21	Ś	Benedykta, Lubomira	
22	C	Katarzyny, Bogusława	
23	P	Pelagii, Feliksa	
24	S	Marka, Gabriela	
25	**N**	**Marii, Wieńczysława**	
26	P	Emanuela, Teodora	◑
27	W	Lidii, Ernesta	
28	Ś	Anieli, Sykstusa	
29	C	Wiktoryny, Eustachego	
30	P	Amelii, Jana	
31	S	Balbiny, Kornelii	

ŚWIĘTA: 8. Dzień Kobiet.

SERNIK MAMY

Składniki:

75 dag twarogu (zmielić)

20 dag cukru pudru

15 dag masła lub margaryny

6 jaj (żółtka + piana z białek)

2—3 łyżki kaszy manny

1 łyżeczka proszku do pieczenia

1 cukier waniliowy

bakalie

Utrzeć tłuszcz z cukrem, żółtkami, zmielonym twarogiem, kaszą manną i proszkiem do pieczenia. Ubitą pianę wmieszać delikatnie z bakaliami. Masę serową wlać do wysmarowanej i obsypanej tartą bułką tortownicy (o średnicy 27 cm).

Piec ok. 60—65 min w temp. 180—200 st.C.

Na wystudzone ciasto rozprowadzić polewę czekoladową.

Polewa czekoladowa na zimno:

1 szklanka cukru pudru

2 łyżki ciemnego kakao

4 łyżki gorącej margaryny

4 łyżki gorącej wody

całość dokładnie wymieszać w dużym kubku i rozprowadzić po całym cieście.

Marzec suchy, mój przechłódny, apryl mokry — rok niegłodny.

KWIECIEŃ

1	N	**Grażyny, Zbigniewa**	
2	P	Franciszka, Władysława	
3	W	Pankracego, Ryszarda	○
4	Ś	Izydora, Wacława	
5	C	Ireny, Wincentego	
6	P	Celestyna, Wilhelma	
7	S	Donata, Rufina	
8	N	**Dionizego, Januarego**	
9	P	**Mai, Dymitra**	
10	W	Michała, Makarego	◐
11	Ś	Filipa, Leona	
12	C	Juliusza, Ludosława	
13	P	Idy, Przemysława	
14	S	Justyny, Waleriana	
15	N	**Anastazji, Wacława**	
16	P	Julii, Cecyliana	
17	W	Roberta, Rudolfa	●
18	Ś	Apoloniusza, Bogusława	
19	C	Adolfa, Tymona	
20	P	Agnieszki, Czesława	
21	S	Anzelma, Feliksa	
22	N	**Leona, Łukasza**	
23	P	Jerzego, Wojciecha	
24	W	Aleksego, Grzegorza	
25	Ś	Marka, Jarosława	◑
26	C	Marceliny, Marzeny	
27	P	Zyty, Teofila	
28	S	Walerii, Pawła	
29	N	**Piotra, Roberta**	
30	P	Katarzyny, Mariana	

ŚWIĘTA: 6. Wielki Piątek (ewang.), 8. Wielkanoc, 9. Poniedziałek Wielkanocny.

TORT JABŁKOWY NA SUROWO

Składniki:

1 kg jabłek

1 kostka margaryny „Palma"

1 budyń śmietankowy

1—2 galaretki

rodzynki, orzechy

Jabłka zetrzeć i lekko odcisnąć sok, budyń ugotować z 6 łyżkami cukru i ostudzić, rodzynki i posiekać orzechy, a następnie wszystko połączyć.

Dno tortownicy wyłożyć biszkoptami lub herbatnikami, po czym rozprowadzić przygotowaną masę jabłkową.

Na wierzch należy wylać tężejącą galaretkę i na 1 godz. wstawić do lodówki.

Grzmot w aprylu — dobro nowina.

MAJ

1	W	Józefa, Jeremiego	
2	Ś	Anatola, Zygmunta	○
3	C	Marii, Antoniny	
4	P	Moniki, Floriana	
5	S	Ireny, Waldemara	
6	N	Jana, Judyty	
7	P	Ludmiły, Gizeli	
8	W	Stanisława, Wiktora	
9	Ś	Bozydara, Grzegorza	◐
10	C	Antonina, Izydora	
11	P	Franciszka, Jakuba	
12	S	Pankracego, Dominika	
13	N	Serwacego, Roberta	
14	P	Bonifacego, Dobiesława	
15	W	Zofii, Jana	
16	Ś	Andrzeja, Wieńczysława	●
17	C	Weroniki, Sławomira	
18	P	Aleksandry, Eryka	
19	S	Mikołaja, Piotra	
20	N	Bazylego, Bernarda	
21	P	Tymoteusza, Wiktora	
22	W	Heleny, Julii	
23	Ś	Iwony, Dezyderiusza	
24	C	Joanny, Zuzanny	◑
25	P	Grzegorza, Urbana	
26	S	Eweliny, Filipa	
27	N	Magdaleny, Jana	
28	P	Augustyna, Jaromira	
29	W	Magdaleny, Teodozji	
30	Ś	Feliksa, Ferdynanda	
31	C	Anieli, Petronell	

ŚWIĘTA: 1. Święto Pracy, 3. Konstytucji, 8. Dzień Zwycięstwa, 17. Wniebowstąpienie Pańskie (ewang.), 26. Dzień Matki, 27. Zielone Świątki — Święto Ludowe.

SERNIK TARTY

Składniki:

Ciasto:

40 dag mąki

1 żółtko

20 dag margaryny

5 łyżek kwaśnej śmietany

2 łyżki ciemnego kakao

1 mały proszek do pieczenia

3 łyżki cukru

Składniki posiekać, ugnieść ciasto i na 1/2 godz. wstawić do lodówki.

Masa serowa:

Zmielić kg twarogu, dodać 30 dag cukru pudru, 2 łyżki roztopionego masła, 4 żółtka, 2 łyżki mączki ziemniaczanej, rodzynki i pianę z 4 białek. Całość wymieszać.

Na spód formy zetrzeć na grubych oczkach tarki większą część ciasta, nałożyć masę serową, a na wierzch zetrzeć resztę ciasta.

Piec 30—40 min. w temp. 200 st.C.

Piyrszomojowy szron ukazuje hojny plón.

CZERWIEC

1	P	Jakuba, Gracjana	○
2	S	Erazma, Marianny	
3	N	Klotyldy, Leszka	
4	P	Franciszka, Karola	
5	W	Walerii, Bonifacego	
6	Ś	Ingridy, Norberta	
7	C	Roberta, Wiesława	
8	P	Medarda, Wilhelma	◐
9	S	Pelagii, Felicjana	
10	N	Bogumiła, Małgorzaty	
11	P	Barnaby, Feliksa	
12	W	Jana, Onufrego	
13	Ś	Antoniego, Lucjana	
14	C	Bazylego, Walerego	
15	P	Jolanty, Wita	●
16	S	Aliny, Justyny	
17	N	Adolfa, Laury	
18	P	Elżbiety, Marka	
19	W	Gerwazego, Protazego	
20	Ś	Bogny, Florentyny	
21	C	Alicji, Alojzego	
22	P	Pauliny, Flawiusza	
23	S	Wandy, Zenona	◑
24	N	Danuty, Jana	
25	P	Łucji, Wilhelma	
26	W	Jana, Pawła	
27	Ś	Marii, Władysława	
28	C	Ireneusza, Leona	
29	P	Piotra, Pawła	
30	S	Emilii, Lucyny	○

ŚWIĘTA: 1. Międzynarodowy Dzień Dziecka, 7. Boże Ciało (kat.), 23. Dzień Ojca.

MURZYNEK

Składniki:

1 kostka margaryny „Palma"

2 szklanki cukru kryształu

4 duże łyżki ciemnego kakao

1 szklanka mleka

Margarynę roztopić, wmieszać cukier połączony z kakaem, wlać mleko i zagotować, następnie odlać 2/3 szklanki. Resztę ostudzić i wmieszać 4 jajka, mąkę (1 szklanka mąki gładkiej i 1 krupczatki), 1 mały proszek do pieczenia, rodzynki i pokrojone orzechy.

Powstałą masę wlać do wysmarowanej i wysypanej tartą bułką zamkniętej formy.

Piec 45 min w temp. 200 st.C.

Gorące ciasto nakłuć gęsto widelcem i polać wcześniej odlanym płynem.

Jak czerwiec w deszczu sie parzi, wielko to radość dlo gospodarzi.

LIPIEC

1	N	**Haliny, Mariana**	
2	P	Marii, Urbana	
3	W	Anatola, Jacka	
4	Ś	Malwiny, Teodora	
5	C	Filomeny, Antoniego	
6	P	Dominiki, Łucji	
7	S	Cyryla, Metodego	◐
8	N	**Elżbiety, Prokopa**	
9	P	Weroniki, Zenona	
10	W	Amelii, Filipa	
11	Ś	Olgi, Pelagii	
12	C	Gwalberta, Jana	
13	P	Małgorzaty, Ernesta	
14	S	Bonawentury, Stelli	
15	N	**Henryka, Włodzimierza**	●
16	P	Marii, Benedykta	
17	W	Aleksego, Anety	
18	Ś	Kamila, Szymona	
19	C	Marcina, Wincentego	
20	P	Czesława, Hieronima	
21	S	Benedykta, Daniela	
22	N	**Marii, Magdaleny**	
23	P	Bogny, Apolinarego	◑
24	W	Kingi, Krystyny	
25	Ś	Jakuba, Krzysztofa	
26	C	Anny, Mirosławy	
27	P	Julii, Natalii	
28	S	Innocentego, Wiktora	
29	N	**Marty, Olafa**	
30	P	Julity, Ludmiły	○
31	W	Ignacego, Lubomira	

KOTLETY „ŻU-ŻU"

Składniki:

1 kg piersi z kurczaka lub indyka

5 jaj (rozbić z 2 łyżkami mąki ziemniaczanej)

1/2 łyżeczki chili lub ostrej papryki

2 płaskie łyżki „Vegety"

3—4 małe cebule (drobno pokroić)

Mięso pokroić w średnią kostkę i wymieszać z resztą składników.

Wstawić do lodówki na ok. 12 godz. Smażyć na dowolnym tłuszczu na złoty kolor.

KLUSKI Z WODY

Składniki:

1/2 kg mąki

10 dag roztopionej margaryny

1 jajko

1/2 szklanki mleka
1/2 szklanki wody } letnie

na czubek łyżeczki proszeku do pieczenia

Wszystko dokładnie wyrobić na jednolitą masę. Formować wałeczki i ukośnie kroić jak kopytka. Kłaść do osolonej, gotującej się wody. Od momentu wypłynięcia gotować jeszcze 10—15 min.

Podawać z kwaśną śmietaną i cukrem.

**Jak nadchodzi lipiec —
ostatki starej mónki wypiec!**

SIERPIEŃ

1 Ś Justyny, Piotra
2 C Marii, Gustawa
3 P Lidii, Nikodema
4 S Dominika, Pankracego
5 N Marii, Oswalda
6 P Sławy, Jakuba
7 W Doroty, Kajetana
8 Ś Cypriana, Dominiki
9 C Rolanda, Romualda
10 P Borysa, Wawrzyńca
11 S Filomeny, Zuzanny
12 N Klary, Lecha
13 P Diany, Hipolita
14 W Alfreda, Euzebiusza
15 Ś Marii, Stefana
16 C Joachima, Rocha
17 P Jacka, Anity
18 S Heleny, Klary
19 N Bolesława, Juliana
20 P Bernarda, Samuela
21 W Joanny, Franciszka
22 Ś Marii, Cezarego
23 C Apolinarego, Filipa
24 P Bartłomieja, Jerzego
25 S Luizy, Ludwika
26 N Marii, Wiktora
27 P Cezarego, Józefa
28 W Patrycji, Augustyna
29 Ś Sabiny, Jana
30 C Róży, Feliksa
31 P Pauliny, Rajmunda

ŚWIĘTA: 15. Wniebowzięcie NMP (kat.), Dzień Wojska Polskiego.

SOS TATARSKI

Składniki:

1 pęczek szczypiorku (posiekać)

2 kawałki papryki konserwowej (pokroić)

2 kiszone ogórki (zetrzeć na drobnych oczkach tarki)

6 marynowanych pieczarek (zetrzeć na grubych oczkach)

30 dag ostrego żółtego sera (zetrzeć na drobnych oczkach)

4 rzodkiewki (zetrzeć na grubych oczkach)

1 średni majonez „Kielecki"

1 kwaśna 12% śmietana

1 mała puszka zielonego groszku

6 ugotowanych na twardo jaj

pieprz, sól

Wszystkie składniki dokładnie połączyć i doprawić do smaku. Przełożyć do dużej, ładnej miski.

Na wierzch ułożyć przekrojone wzdłuż (żółtkami do góry) jajka i posypać odrobiną szczypiorku.

W siyrpniu tak je rosy trzeba, jak nóm powszednigo chleba.

WRZESIEŃ

1 S Bronisławy, Idziego
2 N **Stefana, Juliana**
3 P Izabeli, Szymona
4 W Rozalii, Lilianny
5 Ś Doroty, Wawrzyńca
6 C Beaty, Eugeniusza
7 P Reginy, Melchiora
8 S Marii, Radosława
9 N **Piotra, Sergiusza**
10 P Aldony, Mikołaja
11 W Dagny, Jacka
12 Ś Marii, Gwidona
13 C Eugenii, Filipa
14 P Bernarda, Cypriana
15 S Albina, Nikodema
16 N **Edyty, Kornela**
17 P Justyny, Franciszka
18 W Ireny, Irmy
19 Ś Konstancji, Januarego
20 C Filipiny, Eustachego
21 P Hipolita, Mateusza
22 S Maurycego, Tomasza
23 N **Bogusława, Tekli**
24 P Gerarda, Teodora
25 W Aurelii, Ładysława
26 Ś Justyny, Cypriana
27 C Kosmy, Damiana
28 P Marka, Wacława
29 S Michała, Michaliny
30 N **Zofii, Hieronima**

BIGOS BABCI MARYSI

Składniki:

1 1/2 kg białej kapusty (poszatkować)

3/4 kg kiszonej kapusty (posiekać)

1/2 kg wieprzowiny (pokroić w duże kostki)

1/2 kg podwędzonej kiełbasy (pokroić w kostkę)

suszone grzyby, śliwki i gruszka, angielskie ziele, pieprz, liść laurowy, słodka papryka (sproszkowana), koncentrat pomidorowy, cebula, tłuszcz, czosnek.

Przygotować szeroki i dość wysoki rondel. Na roztopionym tłuszczu smażyć kolejno dodając: cebulę, mięso, kiełbasę, czosnek, grzyby, laurowy liść, angielskie ziele i pieprz. Dodać koncentratu pomidorowego, słodkiej papryki, białej kapusty, całość trochę podlać wodą. Dusić tak długo, aż kapusta stanie się na wpół miękka. Następnie dołożyć kapusty kiszonej, śliwek, gruszkę, grzyby i dalej dusić pod przykryciem, aż wszystko zmięknie. Co jakiś czas mieszać i podlewać wodą.

Gdy całość osiągnie odpowiadającą nam gęstość, bigos jest gotowy do spożycia.

**Otóż wrzesiyń — jesiyń,
gazdo, rynce w kieszyń.**

PAŹDZIERNIK

1 P Danuty, Remigiusza
2 W Dionizego, Teofila
3 Ś Teresy, Gerarda
4 C Franciszka, Rozalii
5 P Apolinarego, Marcelego
6 S Artura, Brunona
7 N Marii, Marka
8 P Brygidy, Pelagii
9 W Dionizego, Ludwika
10 Ś Pauliny, Franciszka
11 C Aldony, Emila
12 P Eustachego, Maksymiliana
13 S Edwarda, Teofila
14 N Bernarda, Kaliksta
15 P Jadwigi, Teresy
16 W Florentyny, Gawła
17 Ś Małgorzaty, Wiktora
18 C Juliana, Łukasza
19 P Piotra, Ziemowita
20 S Ireny, Kleopatry
21 N Urszuli, Hilarego
22 P Korduli, Filipa
23 W Marleny, Seweryna
24 Ś Marcina, Rafała
25 C Darii, Kryspina
26 P Ewarysta, Lucjana
27 S Sabiny, Wincentego
28 N Szymona, Tadeusza
29 P Wioletty, Narcyza
30 W Edmunda, Zenobii
31 Ś Saturnina, Urbana

ŚWIĘTA: 31. Święto Reformacji (ewang.).

WOŁOWINA NA DZIKO

Składniki:

1 kg wołowiny (z karku lub boku)

1 duży seler (korzeń)

1 średnia pietruszka (korzeń)

1 średnia marchew

1 duży lub 2 średnie ogórki kiszone

25 dag tłuszczu (smalec lub margaryna)

garść suszonych grzybów, pieprz mielony, sól

W rondlu rozgrzać tłuszcz i obsmażyć na brązowy kolor posolony kawał wołowiny. Dusić (pod przykryciem) — lekko podlewając — ok. 1/2 godz.

Wyjąć mięso z rondla, pokroić na plastry i dalej dusić razem z grzybami, od czasu do czasu podlewając wodą. Jarzyny zetrzeć na grubych oczkach tarki (seler, pietruszkę, marchew). Gdy mięso stanie się miękkie, obłożyć je warzywami i dusić następnych 15 minut. Dodać starty na grubych oczkach kiszony ogórek i znowu dusić ok. 15 min. Trzeba uważać, by nie przypalić!

Mięso podajemy z ziemniakami i sałatką. Na ziemniaki kładziemy duszone warzywa.

Miesiónc październy — marca obraz wierny.

LISTOPAD

1	C	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**
2	P	Bohdana, Bożydara
3	S	Huberta, Sylwii
4	N	**Karola, Olgierda**
5	P	Elżbiety, Sławomira
6	W	Feliksa, Leonarda
7	Ś	Antoniego, Florentego
8	C	Godfryda, Seweryna
9	P	Teodora, Ursyna
10	S	Andrzeja, Ludomira
11	N	**Marcina, Bartłomieja**
12	P	Renaty, Witolda
13	W	Stanisława, Mikołaja
14	Ś	Emila, Wawrzyńca
15	C	Alberta, Leopolda
16	P	Gertrudy, Edmunda
17	S	Salomei, Grzegorza
18	N	**Anieli, Romana**
19	P	Elżbiety, Seweryna
20	W	Anatola, Feliksa
21	Ś	Janusza, Konrada
22	C	Cecylii, Marka
23	P	Felicyty, Klemensa
24	S	Flory, Jana
25	N	**Katarzyny, Erazma**
26	P	Konrada, Sylwestra
27	W	Franciszka, Waleriana
28	Ś	Grzegorza, Zdzisława
29	C	Błażeja, Saturnina
30	P	Andrzeja, Justyny

ŚWIĘTA: 1. Wszystkich Świętych (kat.), Pamiątka Umarłych (ewang.), 11. Święto Niepodległości.

SAŁATKA SELEROWA Z ANANASEM

Składniki:

2 słoiki selera (nitki)

1 puszka ananasa

3 łyżki majonezu

Seler lekko odcisnąć z zalewy i posiekać, połączyć z drobno pokrojonym ananasem i majonezem.

Nie dodawać soli ani pieprzu. Sałatka doskonale komponuje się z drobiem lub rybami.

SAŁATKA Z POMARAŃCZĄ

Skadniki:

1 duża pomarańcza

1 mała cebula

1 średni ogórek kiszony

majonez (według uznania)

pieprz

Wszystko pokroić i połączyć z majonezem. Wyśmienita z wieprzowiną.

Od świyntego Marcina zima się zaczyno.

GRUDZIEŃ

1 S Natalii, Eligiusza
2 N **Balbiny, Pauliny**
3 P Franciszka, Ksawerego
4 W Barbary, Piotra
5 Ś Krystyny, Sabiny
6 C Mikołaja, Emiliana
7 P Ambrożego, Marcina
8 S Marii, Wirginii
9 N **Leokadii, Wiesława**
10 P Julii, Daniela
11 W Damazego, Waldemara
12 Ś Adelajdy, Aleksandra
13 C Łucji, Otylii
14 P Alfreda, Izydora
15 S Celiny, Waleriana
16 N **Albiny, Zdzisława**
17 P Olimpii, Łazarza
18 W Bogusława, Gracjana
19 Ś Dariusza, Urbana
20 C Bogusława, Dominika
21 P Jana, Tomasza
22 S Honoraty, Zenona
23 N **Wiktorii, Sławomira**
24 P Adama, Ewy
25 W **Eugenii, Anastazji**
26 Ś **Szczepana, Dionizego**
27 C Cezarego, Jana
28 P Antoniego, Teofila
29 S Dominika, Tomasza
30 N **Eugeniusza, Seweryna**
31 P Melanii, Sylwestra

ŚWIĘTA: 8. Dzień Pokuty i Modlitwy w Diecezji Cieszyńskiej (ewang.), 24. Wigilia, **25. Boże Narodzenie, 26. Drugie Święto Bożego Narodzenia.**

ZUPA RYBNA

Składniki:

6 rybich głów (karp)

1 seler

1 pietruszka

1 marchew

1/2 pora

2 łyżki mąki i 2 łyżki masła

1 kostka bulionu wołowego

2 ząbki czosnku

pieprz, sól i pęczek pietruszki

Całość ugotować do miękkości, odcedzić wywar. Obrane z głów mięso zmiksować z warzywami i połączyć z 1 1/2 litra wywaru. Doprawić do smaku.
Roztopić masło i przesmażyć z mąką aż do uzyskania złotego koloru, zalać 1/2 szklanki wody, dokładnie wymieszać, wlać do zupy i gotować 1—2 min.

Grzanki:
1/2 masła lub margaryny, 1 pokrojona w kostki bułka kanapkowa.
W rondlu układać na przemian bułkę z tłuszczem i wstawić do nagrzanego do 180 st.C piekarnika. Mieszać od czasu do czasu, aż grzanki nabiorą złotego koloru. Nie nakrywać rondla. Tak przyrządzone grzanki smakują doskonale również w zupach: grzybowej, koperkowej i grochowej. Świeżość i smak zachowują przez tydzień.

* * *

Przepisy wielekroć serwowanych potraw do druku podała Barbara Wilk.

Mroźny grudziyń, wiela śniegu — żyzny roczek bydzie w biegu.

Kalendarz skrócony na rok 2008

	Styczeń						Luty						Marzec						
P		7	14	21	28			4	11	18	25			3	10	17	24	31	P
W	1	8	15	22	29			5	12	19	26			4	11	18	25		W
Ś	2	9	16	23	30			6	13	20	27			5	12	19	26		Ś
C	3	10	17	24	31			7	14	21	28			6	13	20	27		C
P	4	11	18	25			1	8	15	22	29			7	14	21	28		P
S	5	12	19	26			2	9	16	23			1	8	15	22	29		S
N	6	13	20	27			3	10	17	24			2	9	16	23	30		N
	Kwiecień						**Maj**						**Czerwiec**						
P		7	14	21	28			5	12	19	26			2	9	16	23	30	P
W	1	8	15	22	29			6	13	20	27			3	10	17	24		W
Ś	2	9	16	23	30			7	14	21	28			4	11	18	25		Ś
C	3	10	17	24			1	8	15	22	29			5	12	19	26		C
P	4	11	18	25			2	9	16	23	30			6	13	20	27		P
S	5	12	19	26			3	10	17	24	31			7	14	21	28		S
N	6	13	20	27			4	11	18	25			1	8	15	22	29		N
	Lipiec						**Sierpień**						**Wrzesień**						
P		7	14	21	28			4	11	18	25		1	8	15	22	29		P
W	1	8	15	22	29			5	12	19	26		2	9	16	23	30		W
Ś	2	9	16	23	30			6	13	20	27		3	10	17	24			Ś
C	3	10	17	24	31			7	14	21	28		4	11	18	25			C
P	4	11	18	25			1	8	15	22	29		5	12	19	26			P
S	5	12	19	26			2	9	16	23	30		6	13	20	27			S
N	6	13	20	27			3	10	17	24	31		7	14	21	28			N
	Październik						**Listopad**						**Grudzień**						
P		6	13	20	27			3	10	17	24		1	8	15	22	29		P
W		7	14	21	28			4	11	18	25		2	9	16	23	30		W
Ś	1	8	15	22	29			5	12	19	26		3	10	17	24	31		Ś
C	2	9	16	23	30			6	13	20	27		4	11	18	25			C
P	3	10	17	24	31			7	14	21	28		5	12	19	26			P
S	4	11	18	25			1	8	15	22	29		6	13	20	27			S
N	5	12	19	26			2	9	16	23	30		7	14	21	28			N

KALENDARIUM ROCZNIC NA 2007 R.

STYCZEŃ

01.01.:
1782: † Johann Christian Bach, kompozytor, autor utworów muzycznych kościelnych i świeckich, oper, symfonii, utworów kameralnych.

02.01.:
1832: ∗ ks. Paweł Alojzy Stanisław Matuszyński, proboszcz w Jasienicy i Łąkach, społecznik, działał w wielu organizacjach, wiceprezes „Dziedzictwa", publicysta.
1907: ∗ **ks. Adolf Frank, administrator parafii ewangelickiej i budowniczy kościoła w Józefowie, duszpasterz w Istebnej i w Wiśle, bibliofil.**

04.01.:
1957: † Leonard Okołów, poeta, tłumacz, zwłaszcza literatury rosyjskiej, znawca warsztatu poetyckiego Adama Mickiewicza, redaktor Narodowego Wydania jego dzieł.

06.01.:
1907: † Jan Stanisławski, pejzażysta pedagog, twórca polskiej szkoły malarstwa krajobrazu, współtwórca i pierwszy prezes Towarzystwa „Sztuka".

07.01.:
1882: † Jan Józef Ignacy Łukasiewicz, pionier górnictwa i przemysłu naftowego, wynalazca lampy naftowej.
1932: ∗ Henryk Bardijewski, redaktor w Polskim Radio, dramatopisarz i satyryk.

11.01.:
1907: ∗ **Józef Siwiak, pedagog, działacz harcerski, nadzorował budowę Ośrodka Harcerskiego, inspirator działalności kulturalnej na terenie Górek Wielkich.**

12.01.:
1882: ∗ Jan Augustyn, rolnik w Grabinie (Opolskie), ofiarny działacz Związku Polaków w Niemczech, współorganizator i darczyńca na rzecz polskiej szkoły, ofiara terroru hitlerowskiego.

17.01.:
1732: ∗ Stanisław August Poniatowski, ostatni król Polski, inicjator reform państwa, protektor Sejmu Czteroletniego, współtwórca Konstytucji 3 Maja, mecenas sztuki.

18.01.:
1932: † Piotr Borowy, pisarz ludowy, orędownik przynależności Orawy i Spisza do Polski.

19.01.:
1907: ∗ ks. Jan Adamus, salezjanin, misjonarz na różnych placówkach w Brazylii, proboszcz w Międzyrzeczu.

24.01.:
1507: w katedrze wawelskiej odbyła się uroczysta koronacja króla Zygmunta I (Starego).

25.01.:
1932: † **Kiedroń Józef, inż. górnik, działacz narodowy na Śląsku Cieszyńskim, minister Przemysłu i Handlu przełożony wielu instytucji przemysłowo-gospodarczych na Górnym Śląsku.**
1982: † **Aleksandra Hałacz, pianistka, animatorka ruchu muzycznego na terenie Wisły, utalentowana dyrygentka chórów, kompozytorka „folksongów".**

26.01.:
1932: † Julian Adolf Święcicki, wybitny historyk literatury powszechnej, publicysta, redaktor Biblioteki Dzieł Wyborowych.

29.01.:
1882: ∗ ks. Franciszek Kupilas, proboszcz parafii w Lędzinach, uczestnik Powstań Śląskich, ofiara obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

LUTY

01.02.:
1882: ∗ Kazimierz Reychman, bibliofil, ekslibrisiolog, współzałożyciel Towarzystwa Miłośników Ekslibrisu w Warszawie, autor prac i wytrawny zbieracz polskich ekslibrisów.
1882: ∗ Karol Kłosowski, malarz, współtwórca towarzystwa „Sztuka Podhalańska", propagator i twórca koronki tatrzańskiej.

02.02.:
1907: † Dmitrij Mendelejew, chemik rosyjski, odkrywca własności pierwiastków od ich ciężaru atomowych, autor tablicy układu okresowego pierwiastków nazwanej jego imieniem.

03.02.:

1882: ∗ Józef Król, geograf, historyk, pedagog, działacz Macierzy Szkolnej, jej wiceprezes i bibliotekarz, publicysta.

04.02.:

1882: † Juliusz Jan Ossowski, językoznawca, etnograf, autor pionierskich publikacji poświęconych literaturze mazurskiej.

08.02.:

1957: † Walter Bothe, fizyk niemiecki, badacz zjawisk jądrowych i promieni kosmicznych, laureat nagrody Nobla.

09.02.:

1882: ∗ Józef Rymer, działacz narodowy i społeczny, współtwórca „Statutu Organicznego Województwa Śląskiego", przewodniczący Tymczasowej Śląskiej Rady Wojewódzkiej, pierwszy wojewoda śląski.

1932: † Antoni Rogaliński, lekarz w Katowicach i w Pszczynie, uczestnik Powstań Śląskich, lekarz w obozie dla uchodźców w Goczałkowicach i szpitala polowego w Starym Bieruniu.

13.02.:

1882: ∗ Jan Rostafiński, botanik i historyk nauk przyrodniczych, wykładowca UJ, wzbogacił język polski nowymi terminami naukowymi, podróżnik, publicysta.

14.02.:

1932: † ks. dr Józef Bulowski, proboszcz w Łąkach, Zebrzydowicach i w Bielsku, szambelan papieski i honorowy kanonik katedralny w Katowicach, publicysta.

15.02.:

1857: † Michaił Glinka, kompozytor, twórca narodowej muzyki rosyjskiej.

18.02.:

1957: † Wacław Zenczykowski, inż. budownictwa, profesor Politechniki Warszawskiej, przewodniczący komisji budownictwa w Polskim Komitecie Normalizacyjnym, autor fundamentalnego podręcznika *Budownictwo ogólne*.

1982: † Jerzy Stanisław Polaczek, dziennikarz, referent prasowy w polskich placówkach dyplomatycznych, sekretarz Komitetu Obchodów 1150-lecia miasta Cieszyna, redaktor naczelny „Głosu Ziemi Cieszyńskiej".

19.02.:

1807: ∗ ks. Józef Szafranek, proboszcz parafii w Bytomiu, poseł Zgromadzenia Narodowego w Berlinie, obrońca praw językowych, społecznik, wydawca kalendarzy ludowych i innych druków o treści patriotycznej.

1982: † Andrzej Sztefek, nauczyciel wychowania fizycznego w Iławie i Działdowie na Mazurach oraz w Cieszynie, członek wielu stowarzyszeń, propagator turystyki i sportu, organizator wielu imprez.

21.02.:

1807: ∗ inż. Ludwik Hohenegger, dyrektor przedsiębiorstw hutniczych i górniczych Komory Cieszyńskiej, budowniczy pierwszych wielkich pieców, przeprowadził badania geologiczne pod kątem występowania surowców przemysłowych.

1907: ∗ Zygmunt Janke, gen. brygady, komendant Śląskiego Okręgu AK, historyk wojskowości, publicysta.

22.02.:

1857: ∗ Heinrich Rudolf Hertz, fizyk niemiecki, odkrywca fal elektromagnetycznych, prekursor radiotechniki.

1932: † Henryk Ciemięga, działacz narodowy, poeta ludowy, dziennikarz, wydawca.

25.02.:

1807: ∗ Ignacy Feliks Dobrzyński, muzyk, pedagog, twórca polskiej szkoły na fortepian, dyrygent, kompozytor.

1907: ∗ Antoni Gołubiew, historyk, redaktor pism katolickich, autor eposu o czasach Bolesława Chrobrego.

1957: † ks. Jan Melz, proboszcz parafii w Starym Koźlu, autor memoriału *Germanizacja i kler na Górnym Śląsku*, więzień obozu w Buchenwaldzie.

28.02.:

1782: ∗ Józef Bożek, mechanik, konstruktor pojazdu kołowego i łodzi z napędem parowym, budowniczy zegarów, protez i innych urządzeń mechanicznych.

1932: † Jerzy Lanc, pedagog, kierownik szkoły w Szklarce (Wlkp.), nauczyciel jedynej szkoły polskiej na pozostających poza granicami Polski Mazurach, w Piasutnie, skrycie zamordowany.

MARZEC

01.03.:

1832: † Aleksander Orłowski, rysownik, ilustrator, malarz i litograf polski, dokumentalista insurekcji kościuszkowskiej.

02.03.:
1807: ∗ ks. Adrian Włodarski, biskup sufragan wrocławski, kanonik kapituły katedralnej we Wrocławiu, opiekun polskich działaczy narodowych.
1982: † Bolesław Reiner, prorektor WSP, dyrektor Instytutu Śląskiego w Opolu, publicysta.

06.03.:
1857: ∗ ks. Józef Gregor, proboszcz parafii w Tworkowie, autor hymnu śląskiego, onomasta, autor pierwszej polskiej mapy Śląska.

07.03.:
1782: ∗ Henryka Beyer, malarka kompozycji kwiatowych okresu biedereierowskiego.
1882: ∗ **Józef Diehl, adwokat, dziennikarz, działacz niepodległościowy zaangażowany w sprawy uznania polskich praw do granic na Śląsku Cieszyńskim, Orawie i Spiszu, społecznik.**
1957: † Maksymilian Jasionowski, samouk, działacz narodowy i społeczny na Śląsku, poeta.

08.03.:
1832: ∗ ks. dr Jan Justyn Jerzy Henryk Koelling, superintendent Kościoła Ewangelicko-Augsburgskiego w okręgu kluczborskim, publicysta, badacz polskiej twórczości ewangelickiej na Śląsku.

10.03.:
1857: ∗ Franz Hubert Peter v Tiele-Winckler, hrabia, landrat prudnicki, rozbudował pałac w Mosznej, ufundował szpital, szkołę i pocztę, finansował budowę kolei z Prudnika do Gogolina.

12.03.:
1532: † zmarł ostatni książę raciborsko-opolski Jan Dobry, kodyfikator prawa górniczego i „konstytucji" księstwa, wykupił wiele miast, ufundował szereg kościołów.
1782: poświęcenie miejsca pod budowę kościoła ewangelickiego w Jaworzu.

13.03.:
1932: † Adolf Kettner, pedagog, działacz turystyczny w rejonie Jeseników, publicysta, redaktor pisma „Altvater".

14.03.:
1882: ∗ Wacław Sierpiński, polski matematyk światowej sławy, autor kilkuset prac z różnych dziedzin teorii matematyki.

16.03.:
1882: ∗ Stanisław Pawłowski, geograf, profesor na Uniwersytecie Lwowskim i Poznańskim, twórca Instytutu Geograficznego, wiceprezydent Międzynarodowej Unii Geograficznej, współredaktor „Czasopisma Geograficznego", podróżnik, publicysta.
1907: ∗ **Ignacy Gazurek, pedagog, żołnierz września, bohaterski obrońca przyczółka pod Arnhem w 1944 r.**
1982: † **Franciszek Gluza, mistrz stolarstwa artystycznego, twórca ludowy, odtwórca zabytkowych sprzętów, prezentował swoje prace na wielu wystawach, m.in. UNESCO.**

17.03.:
1907: W Strumieniu powstała Czytelnia Polska, założona przez Antoniego Muellera i Józefa Kożdonia.

19.03.:
1782: poświęcenie miejsca pod budowę kościoła ewangelickiego w Bielsku.
1907: ∗ **Józef Pyszko, redaktor tygodnika „Nowiny Śląskie", żołnierz II wojny światowej, pozostał w Anglii, tam sekretarz Towarzystwa Historycznego im. J. Piłsudskiego.**

20.03.:
1782: ∗ Wilhelm Zellner, aptekarz dworski księcia pszczyńskiego, dokonał rozbioru wód w Czarkowie, propagator sportu wśród młodzieży, burmistrz Pszczyny.
1882: ∗ **Stanisław Sowa, nauczyciel w Raju i w Cieszynie, malarz amator, społecznik, prezes Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Cieszynie, autor mapy turystycznej Beskidu Śląskiego.**

23.03.:
1932: † Franciszek Sarganek, samouk, działacz robotniczy, redaktor „Robotnika Śląskiego" i innych pism.
1957: † Juliusz Kleiner, historyk i teoretyk literatury, profesor uniwersytetów w Warszawie, Lwowie i Krakowie, autor szeregu monografii m.in. twórców polskiego romantyzmu, wydawca *Dzieł wszystkich* Juliusza Słowackiego.

25.03.:
1982: † Hugo Huppert, pisarz, eseista i tłumacz austriacki.
1957: † **Ernest Habicht, dr prawa, pierwszy prokurator Austro-Węgier, działacz Naczelnego Komitetu Narodowego, naczelnik gminy w Grodźcu, właściciel zamku.**

26.03.:
1882: ∗ Emil Sznapka, pedagog, zasłużony dyrektor Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie, publicysta.
1907: ∗ Orest Spiralski, inż. górnik, dyrektor kopalni w Lędzinach, autor monografii o Lędzinach i innych prac historycznych.

30.03.:
1857: ∗ Gabriela Zapolska, powieściopisarka, felietonistka, autorka dramatów obyczajowych.

31.03.:
1732: ∗ Joseph Haydn, kompozytor austriacki, twórca form sonatowych, napisał 104 symfonie, 77 kwartetów i wiele innych utworów.

KWIECIEŃ

03.04.:
1907: ∗ dr med. Florian Smykowski, laryngolog, organizator i ordynator Oddziału Laryngologicznego w Szpitalu Śląskim w Cieszynie.
1982: † Ryszard Bartel, konstruktor pierwszych polskich samolotów, współzałożyciel i prezes Związku Polskich Inżynierów Lotniczych.

04.04.:
1832: ∗ Józef Zitek, czołowy architekt czeski, profesor Politechniki Praskiej, twórca gmachów Czeskiego Teatru Narodowego i Muzeum — Rudolfiny w Pradze, także kolumnady w Karlowych Warach.
1932: ∗ Stanisław Hajzer, skrzypek artysta, działał w Zespole Pieśni i Tańca „Śląsk", koncertmistrz w wielu orkiestrach w kraju i za granicą, pedagog w szkołach muzycznych.

07.04.:
1807: ∗ ks. dr. Jerzy Prutek, erudyta i poliglota, katecheta, wychowawca i nauczyciel języków obcych w Cieszynie, autor kontrowersyjnych rozpraw religijnych.

08.04.:
1807: ∗ Karol Libelt, czołowy działacz narodowy Wielkopolski, uczestnik Zjazdu Słowiańskiego w Pradze, poseł do sejmu pruskiego, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, filozof, estetyk, publicysta.

09.04.:
1757: ∗ Wojciech Bogusławski, aktor, reżyser, dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie, wystawiał sztuki w całym kraju, założyciel polskiej Szkoły Dramatycznej, dramatopisarz.

10.04.:
1832: † Antoni Brodowski, jeden z najwybitniejszych polskich portrecistów pierwszej połowy XIX w., utrwalił wiele postaci z grona arystokracji i inteligencji tamtego czasu.

13.04.:
1807: ∗ ks Antoni Stabik, proboszcz w Michałkowicach, podróżnik, wydawca pierwszych kalendarzy ludowych na Górnym Śląsku, poeta.

14.04.:
1907: ∗ Maria Martinek, diakonisa w Zakładzie Opiekuńczym „Eben-Ezer" w Dzięgielowie, przez całe życie opiekunka dzieci, obdarzona wyjątkowym charyzmatem.

15.04.:
1707: ∗ Leonhard Euler, matematyk, fizyk i astronom szwajcarski, rozwinął szereg gałęzi nowoczesnej matematyki i mechaniki.
1632: król szwedzki Gustaw II Adolf w bitwie pod Rain pokonał drugi raz wojska Ligi Katolickiej pod wodzą Johanna Tserclaesa v. Tilly.

18.04.:
1782: poświęcenie miejsca pod budowę kościoła ewangelickiego w Błędowicach.
1882: ∗ Leopold Stokowski, światowej sławy dyrygent Orkiestry Symfonicznej w Filadelfii.
1907: ∗ Jerzy Drozd, wokalista, nauczyciel śpiewu, animator ruchu śpiewaczego, dyrektor Szkoły Muzycznej w Cieszynie, współzałożyciel Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, autor śpiewników.

19.04.:
1882: † Charles Robert Darwin, biolog angielski, twórca teorii o powstawaniu gatunków i doboru naturalnego.

20.04.:
1807: ∗ Wincenty Pol, geograf, członek Akademii Umiejętności w Krakowie, poeta, publicysta, znawca Karpat, wiele uwagi poświęcił źródłom Wisły, które osobiście spenetrował.

23.04.:
1907: ∗ Wojciech Bąk, poeta, dramatopisarz, autor esejów o literaturze, filozofii religii.

25.04.:
1907: † Jerzy Buzek, światły rolnik w Końskiej, poliglota, wieloletni prezbiter zboru ewangelickiego w Cieszynie.

26.04.:
1932: * dr Stanisław Zahradnik, historyk, archiwista i bibliotekarz PZKO, badacz dziejów Śląska Cieszyńskiego po stronie czeskiej, autor wielu publikacji.

27.04.:
1907: * Alojzy Smolka, działacz Związku Polaków w Niemczech, animator teatrów lalkowych w Raciborzu i w Opolu.

28.04.:
1957: † ks. dr Karol Wilk, kapelan zamkowy u książąt Ballestremów w Pławniowicach, proboszcz w Bieruniu Starym i Mikołowie, organizator wielu parakościelnych organizacji, autor szeregu prac hagiograficznych i artykułów do prasy katolickiej.
1957: Macierz przyjęła nazwę Macierz Ziemi Cieszyńskiej; próby ożywienia działalności.

30.04.:
1632: † Zygmunt III Waza, król Polski, wciągnął Polskę w długoletnie wojny z Szwecją, przeniósł stolicę Polski do Warszawy.

MAJ

01.05.:
1782: poświęcenie miejsca pod budowę kościoła ewangelickiego w Ligotce Kameralnej.
1882: † Antoni Lewicki, inż kolejnictwa, uczestniczył w projektowaniu kolei Wiedeń—Bogumin, inż. drogowy kolei warszawsko-wiedeńskiej, naczelnik budowy kolei wysokogórskiej Glognitz—Eichberg (1854), jednego z najśmielszych dzieł drogownictwa kolejowego.

05.05.:
1907: * Ewa Ostrowska, profesor UJ, znawczyni gramatyki diachronicznej, badaczka estetyki języka polskiego w literaturze staropolskiej, autorka prac z tej dziedziny.

06.05.:
1757: * ks. Jan Piotr Brzuska, proboszcz w Istebnej i w Cieszynie, dziekan, publicysta, miłośnik fizyki, konstruktor wielu urządzeń, stosował elektroterapię, zajmował się meteorologią.

07.05.:
1857: * Stanisław Barabasz, architekt, malarz, dyrektor Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, jeden z pionierów narciarstwa w Tatrach, publicysta.

08.05.:
1807: * Stanisław Leszczycki, profersor UJ, geograf, twórca Instytutu Geograficznego PAN, badacz osadnictwa i turyzmu w Karpatach Zachodnich, publicysta, prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

09.05.:
1707: † Dietrich Buxtehude, kompozytor duński, organista wirtuoz, rozwinął technikę pedałową, twórca oryginalnych kantat, pieśni religijnych.
1807: * Paweł Cienciała, dziedziczny wójt Mistrzowic, prezbiter zboru cieszyńskiego, światły rolnik, autor artykułów do „Gwiazdki Cieszyńskiej".
1957: † Ludwik Lizak, działacz związkowy, redaktor pism robotniczych, członek Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, przewodniczący Zarządu Głównego „Siły" w Czechosłowacji.

10.05.:
1882: * Władysław Zabawski, redaktor „Dziennika Cieszyńskiego", społecznik i działacz narodowy, publicysta.

11.05.:
1907: † ks. Jerzy Bogusław Heczko, długoletni proboszcz parafii ewangelickiej w Ligotce Kameralnej, twórca polskiego kancjonału, pierwszy prezes Towarzystwa Ewangelickiego Oświaty Ludowej.
1907: * Lucyna Krzemieniecka, autorka prozy rymowanej dla dzieci.

12.05.:
1907: * Paweł Kubisz, dziennikarz, poeta, prezes Śląskiego Związku Literacko-Arystycznego, współzałożyciel PZKO, redaktor pisma „Zwrot".

17.05.:
1932: † Walenty Fiałek, księgarz, drukarz i wydawca literatury ludowej, kalendarzy, wzorów powinszowań, przemówień okolicznościowych, znanych również na Śląsku.

18.05.:
1807 (?): * Jan Henryk Schramm, artysta malarz, profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Weimarze.
1882: * Jan Drozd, skrzypek, nauczyciel muzyki w USA, założyciel własnej Szkoły Muzycznej

w Nowym Jorku i w Cieszynie, członek podziemia ZWZ-AK.
1907: † dr Henryk Jordan, profesor ginekologii i położnictwa, pionier wychowania fizycznego, założyciel pierwszego w Polsce parku wypoczynkowego swego imienia w Krakowie.
1907: ∗ **Władysław Oszelda, dziennikarz, zastępca dyrektora Biura Prasowego Związku Polaków Zagranicą, redaktor pism polonijnych, publicysta, zasilał także prasę regionalną po obu stronach Olzy, założyciel „Klubu Propozycji".**

21.05.:
1782: ∗ Gaspar Gustave de Coriolis, inżynier, matematyk francuski, sprecyzował teorię ruchów złożonych, dał podstawy obliczania torów balistycznych.
1957: † Czesław Kłoś, inż. budownictwa, specjalista budownictwa przemysłowego, projektant wielu zakładów, m.in. Zakładów Elektrycznych i Fabryki Azotów w Chorzowie.

23.05.:
1907: ∗ Otylia Kałużowa-Tabacka, lekkoatletka, wielokrotna mistrzyni Polski, reprezentantka na Mistrzostwach Europy i Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie.

25.05.:
1882: ∗ **Jan Kukuczka, pedagog, działacz oświatowy, udzielał się w wielu organizacjach katolickich w Górkach Wielkich.**
1882: ∗ Władysław Weber, zasłużony burmistrz Rybnika, wydatnie przyczynił się do wybudowania szeregu ważnych obiektów miejskich.

27.05.:
1982: † Wiktor Józef Bincer, lekarz, ordynator Oddziału Wewnętrznego i Zakaźnego w Szpitalu Śląskim w Cieszynie, redaktor „Gazety Lekarskiej Śląska Polskiego", organizator Kliniki i Katedry Chorób Zakaźnych Akademii Medycznej w Gdańsku.

28.05.:
1907: ∗ Władysław Midowicz, geograf, działacz PTT, wytyczył szereg szlaków w Beskidzie Zachodnim, gospodarz schroniska na Markowych Szczawinach, publicysta.

29.05.:
1807: ∗ Christian Schemmel, nauczyciel, redaktor „Plesser Kresblat" i pisma „Tygodnik Polski poświęcony Włościanom", burmistrz Pszczyny, starosta oleski.
1932: z inicjatywy Marii Curie-Skłodowskiej w Warszawie otwarto Instytut Radowy.

31.05.:
1957: † Leopold Staff, czołowy poeta polski XX w., przedstawiciel poezji ładu i zgodności z życiem, dramatopisarz, tłumacz.

CZERWIEC

01.06.:
1932: ∗ **Jan Paweł Nowak, aktor w Teatrze Rapsodycznym w Krakowie, organizator sceny amatorskiej i animator życia kulturalnego w Ustroniu.**
1982: † Henryk Worcell, literat związany z Wrocławiem, dokumentalista powojennych stosunków społecznych na Dolnym Śląsku.

04.06.:
1257: † Przemysł I wielkopolski, wzmocnił znaczenie Wielkopolski, założyciel Poznania.

07.06.:
1907: ∗ Jadwiga Kunert, diakonisa, początkowo w Warszawie, następnie w Dzięgielowie, członkini Synodu.
1907: ∗ **Jan Wybraniec, pedagog, zasłużony kierownik szkoły w Kisielowie, społecznik.**
1932: ∗ **Jan Jerzy Glajcar, lekarz, ordynator Oddziału Wewnętrznego w Szpitalu Śląskim w Cieszynie, działacz sportowy, popularyzator aktywnej rekreacji.**

10.06.:
1957: † ks. Józef Karol Kryska, profesor teologii dogmatycznej i Pisma Św., przekształcił Studium w Instytyt Teologiczny Księży Misjonarzy, jego superior i pierwszy rektor.

12.06.:
1882: ∗ Ludwik Bernacki, historyk literatury, bibliograf, dyrektor Ossolineum, redaktor „Pamiętnika literackiego", wydawca polskiej literatury zabytkowej.
1982: † Henryk Bogacki, inż. włókiennik, dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Włókien Łykowych i Zjednoczenia Przemysłu Lniarskiego, inicjator budowy resortowego ośrodka wypoczynkowego w Szczyrku.

13.06.:
1807: ∗ ks. Antoni Stabik, proboszcz w Michałkowicach, poeta i publicysta, obrońca praw językowych Polaków na Śląsku.

17.06.:
1882: ∗ Jan Puchałka, prawnik, sekretarz generalny i przewodniczący Polskiego Zjednoczenia Chrześcijańskich Związków Zawodowych, redaktor kilku pism.
1907: ∗ **Adolf Zorychta, absolwent Państwowej Szkoły Przemysłowej w Bielsku, technik mechanik, wykładowca i wychowawca kilku pokoleń mechaników w Liceum, a następnie Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Cieszynie.**

18.06.:
1857: † Adolf Januszkiewicz, uczestnik powstania listopadowego, zesłaniec, autor dziennika z podróży po Syberii, wprowadzony przez Adama Mickiewicza jako jeden z bohaterów III cz. *Dziadów.*
1782: poświęcenie miejsca pod budowę kościoła ewangelickiego w Wiśle.

21.06.:
1732: ∗ Johann Christoph Friedrich Bach, pianista wirtuoz, kompozytor, twórca ośrodka muzycznego w Bückburg.

24.06.:
1932: ∗ ks. prof. Joachim Kondziela, kierownik Katedry Katolickiej Nauki Społecznej, reaktywował Wydział Nauk Społecznych KUL, dziekan, członek wielu towarzystw naukowych w Polsce i za granicą.
1932: ∗ **Jan Wöllersdorfer, inż. geodeta, pracownik Instytutu Geodezji i Kartografii, społecznik, działacz PZKO, przewodniczący Stowarzyszenia Rodzina Katyńska, publicysta.**
1982: † ks. Karol Wiesław Dlopolski, kapelan harcerski i WP, organizator domów i zakładów opiekuńczych na Śląsku Opolskim, akcji charytatywnych, dyrektor Krajowej Centrali „Caritas".

25.06.:
1882: ∗ **Władysław Wójcik, pedagog, organizator szkolnictwa uzupełniającego, dyrektor Szkoły Wydziałowej w Łazach, inspektor, założyciel i ofiarny prezes Polskiego Towarzystwa Turystycznego w Orłowej, inicjator budowy polskiego schroniska na Kozubowej.**

28.06.:
1857: ∗ Władysław Szajnocha, profesor UJ, geolog, badacz zwłaszcza źródeł wód mineralnych, prezes Towarzystwa Tatrzańskiego, publicysta.

29.06.:
1932: otwarcie basenu pływackiego w Wiśle z udziałem wojewody dr. Michała Grażyńskiego.

30.06.:
1957: Witold Franciszek Marian Biernawski, inż. mechanik, twórca polskiej szkoły obróbki skrawaniem, założyciel Instytutu Obróbki Skrawaniem przy AGH w Krakowie.

nn.06.:
1507: † Fryderyk, syn księcia Kazimierza II cieszyńskiego, dziekan kapituły wrocławskiej, rektor uniwersytetu w Wiedniu.

LIPIEC

02.07.:
1882: ∗ Józef Bednorz, działacz narodowy, redaktor i publicysta w wielu pismach i Polskiej Agencji Telegraficznej na Śląsku („Powstaniec", „Kocynder", „Wiadomości Spółdzielcze").
1982: † Adam Ludomir Kotula, romanista, historyk sztuki, znawca polskiej sztuki XIX i XX w., także wybitny znawca literatury francuskiej, autor wielu publikacji.

05.07.:
1907: ∗ **Maria Wardas, lotniczka sportowa, reporterka, literatka, autorka wielotomowej epopei *Wyłom*.**

07.07.:
1807: Napoleon Bonaparte i car Aleksander I zawarli pokój tylżycki; powstało Księstwo Warszawskie.
1857: ∗ Jakub Bojko, inicjator ruchu ludowego w Galicji, współzałożyciel PSL, wicemarszałek sejmu i senatu, publicysta, drukował m.in. w „Gwiazdce Cieszyńskiej" i innych pismach ludowych.
1882: ∗ Zdzisław Jachimecki, profesor UJ, muzykolog, autor syntetycznej historii muzyki polskiej i monografii czołowych kompozytorów polskich.
1907: ∗ **Emilia Michalska, wybitna poetka ludowa, autorka szeregu zbiorów poezji, członkini stowarzyszeń kulturalnych i literackich, zbieraczka folkloru cieszyńskiego.**

08.07.:
1982: † Stanisław Panczakiewicz, inż. mechanik, pierwszy polski konstruktor nadwozi samochodowych i motocykli.

14.07.:
1932: † Jan Czubek, historyk literatury, bibliotekarz Akademii Umiejętności, badacz i edytor archiwaliów literatury staropolskiej, redaktor „Przewodnika bibliograficznego", tłumacz.

15.07.:
1832: ∗ ks. Bogumił Zygmunt Bartelmus, pastor w Polanowicach i w Pszczynie, superintendent, obrońca języka polskiego w kościele ewangelickim.

17.07.:
1932: ∗ Wojciech Kilar, prezes Związku Kompozytorów w Katowicach, kompozytor, twórca muzyki filmowej, poematów, ód, różnych utworów orkiestrowych.
1957: † Marek Karpiński, inż. mechanik, konstruktor szybowców i samolotów sportowych, inicjator budowy lotnisk szybowcowych pod górami, himalaista, publicysta.
1982: † Władysława Markiewiczówna, pianistka, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, kompozytor.
1982: † Wilhelm Wojtyła, inż. hutnik, pracownik huty „Baildon" w Katowicach, dyrektor Departamentu Energetyki w Resorcie Hutnictwa, prezes Głównego Urzędu Miar i Wag w Warszawie.

19.07.:
1932: † Bogdan Hoff, malarz, nauczyciel rysunku w Cieszynie, założyciel Stowarzyszenia Miłośników Wisły, przyczynił się do rozwoju miejscowości jako uzdrowiska.

22.07.:
1857: † ks. Paweł Skórka, proboszcz parafii w Tychach, budowniczy kościoła i szkoły, rozwinął szeroką działalność charytatywną i patriotyczną.

23.07.:
1632: ∗ Jan Ernesti, rektor Miejskiej Szkoły Polskiej we Wrocławiu, autor licznych podręczników.

25.07.:
1782: poświęcenie miejsca pod budowę kościoła ewangelickiego w Bystrzycy.
1882: † ks. Karol Samuel Schneider, rektor szkoły ewangelickiej i proboszcz parafii w Bielsku, senior diecezji, superintendent morawsko-śląski, przewodniczący Synodu Generalnego w Wiedniu, publicysta.
1982: † Paweł Nikodem, emigrant, organizator Związku Polonii Brazylijskiej, redaktor i wydawca pism polonijnych, publicysta.

27.07.:
1957: † Kazimierz Gierdziejewski, inż. odlewnik, prezes Stowarzyszenia Techników Odlewników Polskich i Międzynarodowego Komitetu Technicznych Stowarzyszeń Odlewniczych, odbudował Odlewnię Żeliwa w Węgierskiej Górce, inicjator Instytutu Odlewnictwa.

31.07.:
1832: ∗ Witold Marczewski, inż. kolejnictwa, projektant odcinka Sosnowiec—Ząbkowice (1859), naczelny inżynier służby drogowej kolei warszawsko-wiedeńskiej.

SIERPIEŃ

05.08.:
1882: ∗ ks. Jakub Gazurek, administrator parafii i budowniczy kościoła w Górnej Suchej, dziekan frysztacki, działacz społeczny.
1932: † Wojciech Halczyn, baca tatrzański, działacz w polskim Komitecie Obrony Spisza, Orawy i Czadeckiego, delegat na konferencję pokojową w Paryżu, znał język angielski.

09.08.:
1907: † ks. Jerzy Janik, długoletni proboszcz parafii ewangelickiej w Ustroniu, walnie przyczynił się do rozwoju polskiego szkolnictwa w podległych sobie placówkach i upiększenia samego Ustronia, publicysta.

11.08.:
1807: † Szymon Bogumił Zug, architekt, projektant wielu pałaców w Warszawie i okolicy, wśród nich klasycystycznego kościoła ewangelickiego Św. Trójcy, także realizator wielu przypałacowych założeń ogrodowych.
1932: † Herman Hinterstoisser, dr med., chirurg, pierwszy dyrektor Szpitala Śląskiego w Cieszynie, wydatnie przyczynił się do jego rozbudowy, publicysta.

14.08.:
1907: † Jan Henryk XI Hochberg v. Pless, książę pszczyński, baron na Książu, hrabia Rzeszy o nastawieniu nacjonalistycznym i antypolskim, założyciel hodowli żubra w Jankowicach, stadniny koni pod Pszczyną, rozbudował browar w Tychach, zmodernizował stare i uruchomił

nowe kopalnie, przebudował zamek w Pszczynie, wybudował zameczek w Promnicach.

15.08.:

1882: † Karol Miarka, nauczyciel, działacz narodowy na Górnym Śląsku, wydawca i redaktor pisma „Katolik", autor wielu powieści i sztuk dla teatrów ludowych.

18.08.:

1957: † Wawrzyniec Żuławski, profesor WSM W Łodzi i w Warszawie, muzykolog, taternik i alpinista, autor książek o tematyce górskiej.

19.08.:

1857: ∗ Franciszek Jacek, mistrz ciesielski, wznosił drewniane konstrukcje uzdrowiska w Goczałkowicach.

1907: ∗ Rudolf Ramsza, filolog klasyczny, nauczyciel łaciny w gimnazjach w Łucińcu, Stołpcach i w Cieszynie, propagator śpiewu, członek cieszyńskiego chóru „Harmonia" i kwartetu „Gama".

1982: † Józef Kret, pedagog, działacz harcerski, założyciel Uniwersytetu Ludowego Ziemi Cieszyńskiej z siedzibą w Nierodzimiu i w innych miejscowościach Śląska, publicysta.

21.08.:

1982: † Helmut Kajzar, reżyser, reżyserował sztuki na wielu scenach polski i Europy, krytyk teatralny, autor kilkunastu dramatów, wypracował własną koncepcję „teatru metacodziennego".

22.08.:

1982: † Henryk Jeleń, działacz wielu organizacji, powstaniec śląski, pierwszy polski komendant policji w Goczałkowcach.

24.08.:

1607: ∗ ks. Sebastian v. Rostock, biskup wrocławski, bibliofil, darczyńca na rzecz Biblioteki Kapitulnej, rozpoczął budowę kolegium jezuickiego w Nysie, funadator ratusza w Grodkowie.

25.08.:

1807: † Franciszek Dionizy Kniaźnin, eksjezuita, dworzanin Czartoryskich, poeta i dramatopisarz okresu oświecenia polskiego.

1907: ∗ dr Ludwik Brożek, kustosz Muzeum Miejskiego i opiekun Oddziału Zabytkowego Biblioteki Śląskiej w Cieszynie, wybitny bio- i bibliograf, wytrawny bibliofil, publicysta.

31.08.:

1907: ∗ Robert Kubaczka, zasłużony nauczyciel w szkołach wiślańskich, skrzypek, dyrygent chórów, przewodnik beskidzki.

WRZESIEŃ

01.09.:

1707: Pod naciskiem króla szwedzkiego Karola XII, a ustępstwie cesarza Józefa I, Wratislaw podpisał konwencję altransztacką, w wyniku której protestanci uzyskali zagwarantowane w pokoju westfalskim swobody religijne w księstwach: legnicko-brzesko-wołowskim, oleśnickim i ziębickim oraz we Wrocławiu. Ograniczenie konwencji do wymienionych księstw wywołało protest pozostałych dzielnic Śląska i renegocjonowanie konwencji.

03.09.:

1907: ∗ Stanisław Kołodziejczyk, dr, matematyk, pracownik naukowy w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, wykładowca w kilku innych szkołach w Warszawie, członek towarzystw naukowych, publicysta.

04.09.:

1907: † Edvard Grieg, kompozytor norweski, „Chopin północy", wprowadził do muzyki motywy ludowe Skandynawii, najcelniej wypowiadał się w miniaturach fortepianowych.

05.09.:

1807: † Jan Christian Ruberg, chemik eksperymentator, udoskonalił metody wytopu i kształtowania szkła, doprowadził do europejskiej sławy hutę szkła w Wesołej, opracował nową technologię odzyskiwania cynku.

07.09.:

1907: ∗ Wacław Kubacki, profesor Uniwersytetu Poznańskiego i Jagiellońskiego, historyk literatury romantycznej, redaktor „Literatury na Świecie", publicysta.

09.09.:

1932: ∗ Wiesława Buczek, nauczycielka, następnie dyrektor Szkoły Podstawowej w Wiśle Czarnem, doprowadziła do budowy nowego budynku szkolnego tamże.

11.09.:

1932: † Stanisław Wigura, inż. lotnictwa, konstruktor słynnej serii samolotów sportowych

RWD, pilot, uczestnik zwycięskich przelotów i zawodów lotniczych, zginął w katastrofie lotniczej w Cierlicku.
1932: † Franciszek Żwirko, pilot, inicjator przelotów nocnych, zdobywca rekordów lotniczych, uczestnik zawodów w Polsce i poza granicami, zginął w katastrofie lotniczej w Cierlicku.

16.09.:
1907: ∗ ks. Adolf Gloc, długoletni proboszcz parafii ewangelickiej w Lodzi, konsenior diecezji warszawskiej, członek Synodu.

18.09.:
1857: † Karol Kazimierz Kurpiński, kompozytor, dyrygent opery warszawskiej, założyciel i redaktor pieszego pisma muzycznego w Polsce „Tygodnik Muzyczny".
1882: Ustroń stał się austriackim uzdrowiskiem.

20.09.:
1957: † Jean Sibelius, twórca muzyki neoromantycznej z wykorzystaniem motywów fińskich.
1982: † Franciszek Bieda, profesor UJ, geolog, prezes Polskiego Towarzystwa Geologicznego, usystematyzował stratygrafię Karpat.

22.09.:
1882: † ks. dr Leopold Marcin Otto, erudyta, współpracownik Encyklopedii, proboszcz parafii ewangelickich w Piotrkowie, Warszawie i w Cieszynie, wydatnie przyczynił się do rozbudzenia narodowego ewangelików cieszyńskich, publicysta, redaktor „Zwiastuna Ewangelicznego".

23.09.:
1882: † Friedrich Wöhler, chemik niemiecki, dokonał pierwszej syntezy związku organicznego, otrzymał metaliczny glin i beryl, odkrył metodę otrzymywania acetylenu.

29.09.:
1982: † Stefan Zwoliński, speleolog, badacz jaskiń tatrzańskich, historyk górnictwa i hutnictwa tatrzańskiego, fotografik.

PAŹDZIERNIK

03.10.
1707: 40 przedstawicieli stanów szlacheckich wybrało 6 zastępców do prowadzenia pertraktacji w sprawie wolności wyznaniowej ewangelików cieszyńskich.

04.10.:
1582: We Włoszech, Hiszpani, Portugalii i w Polsce wprowadzono kalendarz wg reformy papieża Grzegorza XIII. Po 4 X nastąpił 15 X.

05.10.:
1907: ∗ Karol Lojza, księgowy, pracownik administracji wojewódzkiej w Katowicach i miejskiej w Cieszynie, działał w wielu organizacjach, wytrawny fotografik.
1907: ∗ Jan Zielina, dr med., pediatra w Szpitalu Śląskim, w czasie okupacji lekarz podziemia, więzień obozów, organizator i pierwszy dyrektor szpitala w Pucku.

06.10.:
1882: ∗ Jan Czekanowski, antropolog i etnograf, podróżnik, profesor kilku uczelni polskich (Lwów, Lublin, Poznań) i organizator towarzystw naukowych, prezes Polskiego Towarzystwa Przyrodników, twórca map antropologicznych, publicysta.
1882: ∗ Karol Szymanowski, rektor Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, czołowy kompozytor polski okresu międzywojennego, pianista; domagał się miejsca i właściwej oceny muzyki góralskiej, wprowadził wiele jej elementów do swoich kompozycji.

08.10.:
1907: ∗ Wincenty Danek, prof. WSP w Krakowie, historyk literatury, przewodniczący Instytutu Badań Literackich PAN, biograf Józefa Ignacego Kraszewskiego.

09.10.:
1882: ∗ Franciszek Stusek, nauczyciel, dyrektor i budowniczy szkoły w Jaśkowicach Śląskich, animator ruchu muzycznego, dyrygent wielu chórów, członek ZG Związku Kół Śpiewaczych.
1907: † Władysław Lebiński, pozytywistyczny działacz Wielkopolski, drukarz i wydawca dzieł literatury polskiej, redaktor pism, publicysta.
1932: poświęcenie i otwarcie polskiego kościoła ewangelickiego na Niwach w Czeskim Cieszynie.

10.10.:
1957: † Stanisław Udziela, dr prawa, nauczyciel w kilku szkołach cieszyńskich i in., działacz PTT i Macierzy w Cieszynie, wytrawny prelegent.
1982: † Jan Wróbel, pedagog, aktywny członek podziemia AK, dokumentalista losów wojennych polskich nauczycieli na ziemi pszczyńskiej, harcmistrz.

12.10.:

1907: * Karol Dostal, dr med., lekarz w wielu placówkach na Śląsku Cieszyńskim, ordynator Oddziału Dermatologicznego w Szpitalu Śląskim, autor artykułów z zakresu medycyny.

1982: † Jan Ciszewski, sprawozdawca radiowy i telewizyjny w Katowicach i Naczelnej Redakcji Programów Sportowych TVP w Warszawie.

13.10:

1932: * Karol Gilar, technik elektryk, działacz turystyczny w Kole PTTK CELMA, przodownik i przewodnik beskidzki, działacz Ligi Ochrony Przyrody.

14.10.:

1257: * Przemysław II, książę wielkopolski, który po 200 latach rozbicia dzielnicowego przywrócił Polsce godność królestwa.

15.10.:

1857: * Leonard Świba, umuzykalniony nauczyciel, długoletni kierownik szkoły w Brennej, z zamiłowania mineralog.

1882: * Jan Hess, wzorowy rolnik, inicjator hodowli karpia, społecznik, wójt gminy Ligota koło Bielska.

1907: * dr Ernest Farnik, dyrektor Seminarium Nauczycielskiego, zainicjował nowe pismo poświęcone literaturze regionalnej i kulturze ludowej „Zaranie Śląskie".

16.10.:

1907: * Władysław Floryan, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego, historyk literatury i czasopiśmiennictwa, redaktor „Biblioteki Pisarzów Polskich", edytor.

1982: † Stanisław Rospond, nauczyciel akademicki, rektor WSP w Opolu, inicjator cennego „Kwartalnika Opolskiego", wybitny etymolog, autor kilku słowników.

18.10.:

1757: † Rene Antoine Ferchault Reaumur, fizyk i przyrodnik francuski, wynalazł termometr z własną skalą temperatur nazwaną jego imieniem, udoskonalił metody otrzymywania stali, szkła matowego i in.

1957: † Gabriela v. Thun u. Hohenstein Larisch, dziedziczka dóbr i zamku w Kończycach Wielkich, działaczka charytatywna, fundatorka pawilonu dziecięcego w Szpitalu Śląskim.

20.10.:

1907: † Feliks Kozubowski, uczestnik powstania styczniowego, zesłaniec, schronił się w Cieszynie, gdzie opublikował szereg książek o różnorodnej tematyce, autor powieści.

23.10.:

1532: * Joachim Cureus, mgr filozofii, medyk, lekarz miejski Głogowa, autor cennych, ale i kontrowersyjnych „Roczników ludu śląskiego".

24.10.:

1857: * Teodor Paprocki, księgarz warszawski, wydawca, redaktor, bibliograf.

1882: * Imre Kálmán, popularny twórca operetek węgierskich.

25.10.:

1857: † ks. Jan Laxy, proboszcz w Ligocie koło Prudnika, wydawca szeregu książek nabożnych w języku polskim, tłumacz.

1907: * ks. Alfons Edward Przybyła, kapelan szpitala polowego inspektoratu miechowskiego AK, kanclerz kurii biskupiej w Katowicach i we Wrocławiu, proboszcz w Chorzowie Batorym, redaktor „Wiadomości Kościelnych".

27.10.:

1707: Delegatem ewangelickich stanów Śląska Cieszyńskiego na rokowania legata szwedzkiego z przedstawicielem cesarza został baron Ferdynand Henryk Sobek. Miał on wyjednać zezwolenie na budowę kościołów w Pogwizdowie, Pierśćcu, Wiśle i Cieszynie; jeśli zwrot odebranych kościołów nie wchodzi w rachubę, miał wnioskować budowę kościołów granicznych lub wystawienie jednego nowego kościoła w księstwie, możliwość utworzenia kaplic w domach szlacheckich i uruchomienie drukarni.

1782: * Nicolo Paganini, światowej sławy wirtuoz gry na skrzypcach, kompozytor.

28.10.:

1882: * Karol Buzek, nauczyciel m.in. w Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie, przyrodoznawca, inspektor szkolny, działacz Macierzy Szkolnej, Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego i Polskiego Towarzystwa Turystycznego, a potem Tatrzańskiego w Cieszynie, publicysta.

29.10.:

1982: † ks. dr Wacław Schenk, historyk, znawca i autor rozpraw dotyczących dziejów nauk liturgicznych w Polsce.

LISTOPAD

01.11.:

1907: * Roman Erwin Bubik, pedagog, nauczyciel śpiewu, dyrygent chórów, zespołu mando-

linistów, członek orkiestry Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, kompozytor, adiustator utworów muzycznych.
1932: † Tadeusz Makowski, malarz, grafik, czołowy przedstawiciel polskiego kubizmu z wykorzystaniem sztuki ludowej i wyobraźni dziecięcej.
1982: † Wilhelm Mynarz, długoletni naczelnik poczty w Zebrzydowicach, autor wierszy, monologów i innych powiastek zamieszczanych w prasie cieszyńskiej.

02.11.:
1982: ∗ Jan Pluciński, pedagog i społecznik na Spiszu i Orawie, zbieracz folkloru, organizator zespołów ludowych, publicysta, przez pewien czas pracował także na Śląsku.

14.11.:
1882: ∗ Andrzej Cymorek, misjonarz, sekretarz „Społeczności Chrześcijańskiej", współtwórca „Harfy Syjońskiej", redaktor pism religijnych, tłumacz.

16.11.:
1632: nierozstrzygnięta bitwa szwedzkich wojsk Gustawa II Adolfa z wojskami cesarskimi pod wodzą Albrechta v. Wallensteina; na polu bitwy zginął król szwedzki.

19.11.:
1557: w Bari zmarła na skutek otrucia królowa Bona, żona Zygmunta Starego.

20.11:
1857: ∗ Odon Feliks Kazimierz Bujwid, dr med., bakteriolog i epidemiolog, założyciel katedry bakteriologii i higieny przy UJ, pierwszy zastosował szczepionkę przeciw tyfusowi w cieszyńskich koszarach, wybitny esperantysta.

21.11.:
1982: † Paweł Krawczyk, pedagog, inicjator harcerstwa „wodnego", organizator rejsów morskich i spływów, budowniczy Ośrodka Żeglarskiego ZHP w Wiśle Wielkiej.

25.11.:
1907: ∗ Jan Czyż, poligraf, bibliotekarz, archiwista, kolekcjoner, wybitny historyk-samouk, autor kroniki Skoczowa.
1982: † Ryszard Hajduk, dziennikarz i pisarz, autor esejów, prezes Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego.

28.11.:
1907: † Stanisław Mateusz Ignacy Wyspiański, malarz i grafik, poeta i dramaturg okresu Młodej Polski, reformator teatru polskiego.

30.11.:
1832: ∗ Andrzej Broda, stolarz, założyciel warsztatu stolarstwa artystycznego, długoletni, zasłużony przełożony gminy Ustroń.

nn.11.:
1532: ∗ Marcin Czechowic, teolog i polemista ariański, tłumacz Nowego Testamentu, autor pism polemicznych.

GRUDZIEŃ

03.12.:
1857: ∗ Józef Konrad Teodor Korzeniowski, kapitan żeglugi wielkiej, pisarz, autor powieści o tematyce morskiej i podróżniczej pisanych w języku angielskim.
1957: † Jakub Kania, działacz Związku Polaków w Niemczech i innych organizacji w Siołkowicach Starych (opolskie), publicysta, poeta, autor pamiętnika.

04.12.:
1907: ∗ Ksawery Pruszyński, prozaik, publicysta, żołnierz Armii Polskiej na Zachodzie, dyplomata.

05.12.:
1907: ∗ Alina Centkiewicz, uczestniczka wypraw na Antarktydę, autorka licznych opowieści o tematyce polarnej.

06.12.:
1907: uruchomienie polskiej Szkoły Górniczej w Orłowej, kształcącej dozór techniczny.

07.12.:
1782: ∗ Ambroży Grabowski, kolekcjoner, księgarz krakowski, autor cennych przewodników *Historyczny opis miasta Krakowa i jego okolic*, *Dawne zabytki Krakowa* i in.

08.12.:
1907: ∗ Adam Pach, stolarz, rzeźbiarz amator, społecznik, kierownik zespołów ludowych, autor wierszy, gawęd, utworów scenicznych, artykułów związanych z Podhalem.

09.12.:

1907: ✶ Jerzy Skolimowski, inż. architekt, olimpijczyk, alpinista; wśród wielu nagrodzonych projektów jest współprojektantem Cmentarza WP pod Monte Cassino.

11.12.:

1882: ✶ Max Born, fizyk, twórca teorii elektrodynamiki kwantowej, laureat Nagrody Nobla.

12.12.:

1907: ✶ Stanisław Golachowski, muzykolog, pracownik Polskiego Radia, członek Komisji Muzykologicznej Polskiej Akademii Umiejętności, publicysta.

1907: ✶ Zbigniew Korosadowicz, geograf, taternik i alpinista, publicysta, autor przewodników po Tatrach i map panoramicznych.

1907: ✶ Jerzy Franciszek Rabsztyn, inż. górnictwa, dyrektor kopalń i Zjednoczeń Przemysłu Węglowego, także Głównego Instytutu Górnictwa, naczelny redaktor pism górniczych.

14.12.:

1701: † Karolina, księżniczka brzesko-legnicka, ostatnia z rodu Piastów na Śląsku.

1907: ✶ **Karol Badura, ofiara łapanek lwowskich, żołnierz w Armii gen. W. Andersa, artysta malarz, uzdolniony akwarelista, przebywał w Argentynie i we Włoszech.**

15.12.:

1732: ✶ Karl Gotthard Langhans, architekt, działał na terenie Śląska i Wielkopolski, projektant pałaców (Wrocław, Pawłowice) i kościołów (Głogów, Rawicz).

1832: ✶ Gustave Alexandre Eiffel, architekt, konstruktor mostów stalowych, twórca słynnej wieży jego imienia w Paryżu.

17.12.:

1882: ✶ Michał Żywiec, wójt kilku wsi mazurskich, działacz narodowy, współzałożyciel i prezes Polsko-Mazurskiego Towarzystwa Ewangelickiego w Działdowie.

1907: † William Thomson lord Kelvin, fizyk angielski, badacz zagadnień termodynamiki, twórca bezwzględnej skali temperatur (zero bezwzględne = –273°C).

1957: † Józef Kolowca, inż. rolnictwa, działacz Ligi Ochrony Przyrody, twórca wielkiego redyku owiec z Podhala do Pienin i Bieszczad, autor licznych prac o pasterstwie górskim.

19.12.:

1832: ✶ ks. Henryk Leopold Bartsch, superintendent warszawski, publicysta, autor zbiorów kazań, tłumacz biografii czołowych muzyków europejskich na język polski.

20.12.:

1657: w drodze powrotnej do kraju w Cieszynie zatrzymał się król Jan Kazimierz.

1807: † ks. Paweł Twardy, pastor polskiego zboru we Wrocławiu, tłumacz, pisarz i wydawca polskiej literatury protestanckiej, wydał m.in. słynną *Dambrówkę* i *Polską Biblię*.

1982: † Artur Rubinstein, światowej sławy pianista-wirtuoz, znakomity interpretator muzyki polskiej.

21.12.:

1932: † Karol Stryjeński, inż. architekt, grafik i malarz, publicysta, dyrektor Szkoły Rzemiosł w Zakopanem i profesor ASP w Warszawie, projektant m.in. Wielkiej Krokwi, schroniska w Dolinie Pięciu Stawów, Mauzoleum Jana Kasprowicza.

22.12.:

1882: ✶ Zygmunt Wiktor Krotkiewski, inż. mechanik, budowniczy wielkich pieców, kierownik wielu zakładów, wykładowca i pracownik Instytutu Żelaza w Gliwicach, publicysta.

24.12.:

1857: † Stanisław Jachowicz, nauczyciel, metodyk i filantrop, pierwszy polski poeta dla dzieci; z jego twórczości korzystał cieszyński autor podręczników Jan Śliwka.

1857: ✶ Seweryn Udziela, etnograf, zbieracz folkloru ziemi krakowskiej, twórca i kierownik Muzeum Etnograficznego w Krakowie, publicysta.

27.12.:

1982: w Cieszynie uruchomiono autobusową komunikację miejską.

28.12.:

1882: ✶ Ludomił Rayski, komendant Szkoły Pilotów w Poznaniu, inicjator budowy Państwowych Zakładów Lotniczych, generał lotnictwa WP, lotnik RAF.

30.12.:

1982: † Wincenty Swaczyna, mgr inż. leśnictwa, nadleśniczy w Wiśle, inspektor Lasów Państwowych, doprowadził do powstania częściowego rezerwatu przyrody na Baraniej Górze.

1982: † ks. Jan Szurlej, wykładowca teologii moralnej w Śląskim Seminarium Duchownym, sekretarz generalny Apostolstwa Chorych.

Rocznice, których dat dziennych nie znamy

1146/1157:
∗ Konrad Laskonogi, pierwszy książę głogowski.

1253/1257:
∗ Kazimierz — książę bytomski i kozielski, pan Gliwic i Toszka, brat Mieszka I cieszyńskiego, pierwszy hołdownik króla czeskiego Wacława II.

1257/1258:
∗ Henryk IV Prawy, książę wrocławski, opiekun miast i górnictwa, zjednoczył pod swoim berłem kilka dzielnic Śląska, zdobył Kraków, w pozyskaniu korony Polski przeszkodziła mu śmierć.

1332:
W refektarzu klasztoru cieszyńskiego zawarto ugodę pomiędzy biskupem krakowskim a arcybiskupem węgierskim w sprawie granic diecezji.

1407:
W Strumieniu powstała komorna celna.

1457:
∗ Maciej z Miechowa, dr med., rektor i kanclerz na Uniwersytecie w Pradze, autor dzieła *Tractatus de duabus Sarmatiis*, a także *Chronica Polonorum*.

1482:
Podpisanie pokoju w Kamieńcu Ząbkowickim; kończące walki o sukcesję po Henryku XI, księciu głogowskim. Powstanie pierwszych państewek stanowych na Śląsku: Sycowa i Ścinawy. Król węgierski Maciej objął w bezpośrednie władanie: Bytom, Toszek, Głubczyce, Wodzisław Śląski, księstwa kozielskie i raciborskie oraz Karniów i Opawę, zapewnił sobie dziedziczenie Oleśnicy i Głogowa.

1507:
∗∗ ks. Szymon Zacjusz, apostata, pierwszy superintendent zborów litewskich i podlaskich, później senior dystryktu krakowskiego, autor pieśni religijnych.

1532:
∗ Marcin Czechowic, unitarianin, autor wielu rozpraw i dyskursów religijnych.
∗∗ Jakub Niemojewski, czołowy przedstawiciel unitarianizmu w Polsce, publicysta.
∗∗ ks. Stanisław Sarnicki, kaznodzieja i senior zborów kalwińskich w Małopolsce, polemista religijny, autor cennej rozprawy z wojskowości *Księgi hetmańskie* i in.

1557:
W Krakowie wyszła *Postylla Pańska* Mikołaja Reja.

1582:
∗∗ **ks. Melchior Grodziecki, święty Kościoła Rzymskokatolickiego, jezuita, kaznodzieja w Pradze, wysłannik misji do Koszyc, gdzie poniósł śmierć.**
† Mateusz Siebeneicher, księgarz krakowski, zasłużony wydawca druków staropolskich, dzieł literatury religijnej i podręczników.
† Mikołaj Sienicki, podkomorzy, starosta, marszałek izby poselskiej, przywódca ruchu egzekucyjnego, uczestnik przygotowań aktu wyznaniowego konfederacji warszawskiej.

1607:
† Domenico Fontana, architekt włoski, twórca monumentalnych budowli barokowych w Rzymie.
†† Andrzej Koteniusz, poligraf toruński, wsławił się wydawaniem dzieł literatury protestanckiej, wśród nich Piotra Artroimiusza, Grzegorza z Żarnowca i in., znanych także na Śląsku.
■ Pacyfikacja Opawy przez wojska cesarskie w odwet za odrzucenie żądania wyrzeczenia się przez mieszczan protestantyzmu i znieważenie biskupa Dietrichsteina. Była to pierwsza zapowiedź tragicznej wojny trzydziestoletniej.

1607:
† Jakub Markowicz, właściciel oficyn w Wilnie, drukował kalwińską literaturę religijną, wśród nich czołowych pisarzy Marcina Krowickiego i Mikołaja Reja.

1632:
■ **Plądrowanie miast i wiosek cieszyńskich przez lisowczyków.** ■ **Uruchomiono pierwszą pocztę państwową na linii Cieszyn—Opawa—Karniów.** ■ **Wyszła z druku ewangelicka Biblia „Gdańska".**

1632:
∗ Andrzej Jan Żydowski, sekretarz królewski Jana Sobieskiego, marszałek konfederacji zator-

sko-oświęcimskiej, poseł i mediator; ufundował klasztor reformatów w Kętach.

1657—1705:

■ **Księstwo cieszyńskie w ręku Leopolda I.**

1657:

■ **przez księstwo cieszyńskie przechodził 16000 korpus austriacki gen Hatzfelda, śpieszący na pomoc Janowi Kazimierzowi przeciw Szwedom. Na porządku dziennym były kwaterunki i rekwizycje mienia.**

1682:

■ **Powstańczy oddział węgierskich kuruców w liczbie 4000 wpadł do Bielska, pozbawiając mieszczan wszelkiego mienia.**

1707:

✶✶ **ks Jerzy Bajtek, proboszcz parafii w Goleszowie i Jabłonkowie, współautor polskiego modlitewnika.**

1732:

✶ Jan Bogumił Plersch, malarz dekoracji ściennych okresu stanisławowskiego, twórca dekoracji teatralnych, miniaturzysta.

1757:

✶ **Józef Popp v. Poppenheim, dr med., lekarz okręgowy w Cieszynie, autor prac o chorobach roślin i zwierząt.**

† Beniamin Schmolck, pastor w Kościele Pokoju w Świdnicy, autor ponad tysiąca pieśni kościelnych.

1782:

† Francesco Placidi, architekt włoski, wzniósł kilka świątyń barokowych i innych obiektów w Krakowie, autor okazałych portali i ołtarzy.

✶ Karl Ferdinand Langhans, architekt, specjalista budowy teatrów m.in. we Wrocławiu, Legnicy i w Szczecinie.

✶ **Józef Kornhäusel, architekt, wg jego projektu powstał zamek Habsburgów w Cieszynie i szereg rezydencji szlacheckich.**

■ Ustanowienie Gubernium Morawsko-Śląskiego z siedzibą w Brnie.

1807:

† Jan Józef Bernard Kauschke, prorektor szkoły katolickiej w Żaganiu, intendent klasztorny we Wrocławiu, jeden z pionierów śląskiej etnografii, badał okolice Gliwic.

† David Roentgen, wytwórca wystawnych mebli rokokowych o bogatym zdobnictwie — markieterii, które dostarczał m.in. na dwór Ludwika XVI.

† Franciszek Smuglewicz, malarz doby klasycyzmu, pierwszy profesor malarstwa i rysunku w Polsce, autor obrazów o treści historycznej.

✶ **Jan Buzek, pedagog, działacz narodowy i społeczny, udzielał się w szeregu polskich organizacjach, prezbiter zboru, darczyńca na rzecz polskiej oświaty.**

✶ **Paweł Cienciała, gospodarz, wójt Mistrzowic, zawiózł furę ziemi na usypywany Kopiec Tadeusza Kościuszki w Krakowie.**

1832:

† **Jan Nepomucen Sułkowski, książę bielski, konspirator, pozbawiony szlachectwa, wielokrotnie więziony.**

1857:

† Joseph Freiherr v. Eichendorff, urzędnik państwowy w Berlinie i w Królewcu, czołowy śląski poeta niemiecki okresu romantyzmu.

† Jakub Kostuch, samouk, pisarz gminny, jeden z najstarszych twórców ludowych z terenu Galicji.

† **Karol (I) Prochaska, założyciel rodu cieszyńskich poligrafów, właściciel słynnej drukarni, wydawca książek i prasy cieszyńskiej.**

✶ Stefan Szyller, architekt, profesor, protektor architektury neorenesansowej w Polsce, zrealizował wiele monumentalnych gmachów w Warszawie, także kilku kościołów w innych miejscowościach.

✶ Teodor Marian Talowski, architekt, specjalista w dziedzinie romantycznej sztukaterii fasad, projektant wielu obiektów użyteczności publicznej na terenie Małopolski.

■ **Stalmach rozpoczął wydawania „Kalendarza Cieszyńskiego".** ■ **Ks. Antoni Janusz wydał w Cieszynie polski śpiewnik:** ***Praca codzienna, coroczna i całożytna każdego chrześcijanina katolika albo książeczka modlitewna i kancjonał dla katolików.***

1882:

† ks. Leopold Markiefka, zasłużony proboszcz i założyciel Domu Sierot i szpitala w Bogucicach, wyodrębnił parafię w Katowicach.

✶ Kazimierz Bartel, profesor Politechniki Lwowskiej, twórca polskiej szkoły geometrii wykreślnej, autor klasycznych dzieł z tej dziedziny.

✶ Hieronim Gostomski, emigrant śląski, nauczyciel, autor opowiadań na temat Śląska.

✶ **Józef Nowak, księgarz, drukarz w Orłowej, wydawca cennych kalendarzy, podręczników i lektury szkolnej dla młodzieży szkół polskich.**

* Ignacy Sikora, współtwórca i działacz Narodowej Partii Robotniczej i innych organizacji na Górnym Śląsku, poseł na Sejm Śląski, w czasie II wojny światowej w konspiracji.
* Konrad Winkler, malarz, publicysta, propagator i historyk formizmu w Polsce.
■ **Uruchomienie gazowni w Cieszynie.**

1907:

† Michał Glücksberg, księgarz edytor warszawski, celował w drukowaniu dzieł Józefa Ignacego Kraszewskiego.
† Walter Knebel, geograf, geolog, podróżnik, badacz zjawisk wulkanicznych, autor szeregu prac.
* Zygmunt Bośniacki, lekarz, także lekarz uzdrowiskowy w Iwoniczu Zdroju, z zamiłowania wybitny badacz mchów i torfowców na terenie Tatr, Pienin i Beskidów.
*** Franciszek Kępka, pilot, instruktor szybowcowy, kierownik Szkoły Szybowcowej na Chełmie.**
*** Alojzy Kudzielka, działacz PZKO, członek Komisji Teatralnej i Żywego Słowa przy ZG PZKO, utalentowany reżyser teatrów amatorskich na Zaolziu.**
*** Eugeniusz Mleczko, współzałożyciel pionu fotograficznego przy Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO, wytrawny fotografik, kronikarz dziejów Zaolzia, zwłaszcza Karwiny.**
* Feliks Topolski, malarz, twórca gigantycznego obrazu-labiryntu (o długości 200 m) w Londynie.
*** Stefan Tworkowski, architekt, projektant Domu Zdrojowego, współautor rozwiązania parku zdrojowego w Wiśle, autor pracy *Architektura w krajobrazie Beskidów*.**
■ **Macierz opracowała nowy statut, umożliwiający prowadzenie szkół, przedszkoli, czytelni, bibliotek, zespołów i zakładanie kół terenowych.** ■ **Andrzej Hławiczka powołał Polskie Towarzystwo Śpiewacze.** ■ **Ukończenie budowy zameczku myśliwskiego na Zadnim Groniu, budowa drogi z Wisły Czarnego na Kubalonkę.** ■ **W Dziedzicach podłączono pierwsze telefony.** ■ Sejm Śląski w Opawie uchwalił ustawę o równouprawnieniu językowym: język polski i czeski stały się językami urzędowymi na obszarze Śląska Austriackiego.

1932:

* Wiktor Jackiewicz, architekt, laureat licznych konkursów w Polsce i za granicą, zaprojektował m.in. gmach Filharmonii we Wrocławiu.
† Antoni Marcinek, społecznik, współzałożyciel Towarzystwa Sportowego „Piast", jego prezes, hodowca i działacz Towarzystwa Hodowców Gołębi Pocztowych i in.

1957:

† dr Antoni Rostek, adwokat w Raciborzu zasłużony w obronie Polaków, szef Wydziału Prawnego Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych, notariusz w Katowicach.
† Stanisław Wallis, etnograf, zbieracz folkloru Górnego Śląska, autor wielu prac z tej dziedziny.
† Waldemar Zillinger, fizyk, dyrektor szkół średnich w Dąbrowie Górniczej i Sosnowcu, autor cenionego zbioru zadań z fizyki.
■ **Powstało Towarzystwo Miłośników Ziemi Bielsko-Bialskiej.**

1982:

† Janina Kłopocka, działaczka Związku Polaków w Niemczech, grafik, twórczyni znaku „Rodła".
† Aleksander Kulisiewicz, popularyzator folkloru cieszyńskiego za granicą, dziennikarz, dokumentalista, bard i autor pieśni obozowych, dokumentalista twórczości więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych.
† Tadeusz Siwek, dziennikarz, redaktor naczelny „Zwrotu" i „Głosu Ludu", utalentowany śpiewak.
† Roman Tunikowski, architekt i urbanista, projektant centrów kilku miast na Śląsku (Opole, Legnica, Jelenia Góra) i osiedli (Wrocław, Świdnica, Góra).

OBJAŚNIENIE ZASTOSOWANYCH ZNAKÓW

*	— urodził się
**	— urodził się około podanego roku
†	— zmarł
/	— wydarzenie miało miejsce pomiędzy podanymi datami
■	— wydarzenie miało miejsce w podanym wyżej dniu lub roku

Zestawił: WŁADYSŁAW SOSNA

HISTORIA

TOPOGRAFIA CESARSKO-KRÓLEWSKIEJ CZĘŚCI ŚLĄSKA (VI)

O KSIĘSTWIE BIELSKIM (1802 ROK)

REGINALD KNEIFEL

Księstwo bielskie leży 49 stopni 46 minut aż do 48 minut północnej szerokości. Od północy graniczy z ziemią pszczyńską, od wschodu i południa z Galicją, dalej znowuż od południa i zachodu z ziemią cieszyńską. Od Pszczyńskiego dzieli je rzeka Wisła, od Polski rzeka Biała. Księstwo jest najwyżej 1 i 3/4 niemieckiej mili długie i 3 mile szerokie. Składa się ono w całości, łącznie z dobrami majątkowymi Jaworze i Czechowice, z 1 miasta, 19 wsi, 2 kolonii, 2561 numerów domów i 17 312 mieszkańców.

HISTORIA

Księstwo bielskie było przedtem częścią księstwa cieszyńskiego. Kiedy książę Fryderyk Kazimierz, jeden z synów księcia Wacława Adama, jeszcze za życia ojca poślubił w roku 1563 księżniczkę Katarzynę Lignicką, przekazał mu ojciec państwa: Frysztat, Bielsko, Skoczów, Strumień i Frydek, które tym sposobem zostały od Cieszyna odłączone.

Nie wiadomo, z jakich przyczyn książę Fryderyk Kazimierz popadł w ogromne długi sięgające 244.000 talarów. Prawdopodobnie z tego powodu został on w roku 1571 powołany do Pragi przed oblicze cesarza Maksymiliana II. Kiedy jednakże podczas tej podróży zmarł, państwa te zostały za zgodą cesarza sprzedane. Państwo i miasto Bielsko zakupił jeszcze w tym samym roku z całym dobytkiem za 80.000 talarów Karol baron von Prom-

nitz z Pszczyny i Żor, z zastrzeżeniem dalszej niezależności tych ziem od Cieszyna.

Karol baron von Promnitz sprzedał te ziemie w roku 1582 panu Schafgotschowi na Kynaście i Friedlandzie za 80.000 śląskich talarów, a ten z kolei w roku 1592 odsprzedał je za tę samą kwotę Janowi von Sunek, panu na Irofenitz i Budeschin. Przy tej rodzinie majątek ten był dobrem dziedzicznym aż do Juliusza Gottloba hrabiego von Sunek. Kiedy ten w roku 1724 zmarł bezpotomnie, administrację majątkiem prowadził do roku 1728 urząd królewski, po czym przeszedł on w ręce rodziny Solmisch, w roku 1743 w ręce hrabiego von Haugwitz i wreszcie w roku 1752 właścicielem stał się książę Aleksander Józef Sułkowski — za 630 tysięcy florenów, z czego dwie trzecie zostały zapłacone przy zakupie. Jego rezydencją była Rydzyna w Wielkopolsce. Cesarz Franciszek Józef I, kierując się specjalnymi względami, podniósł dotychczasowe państwo bielskie niższego rzędu, ustanawiając księstwo bielskie z tytułem „Majorat" (co oznaczało dobra nie podlegające podziałowi, przypadające zawsze najstarszemu synowi — tzw. ordynatowi).

Książę Aleksander Józef zmarł w roku 1762 i pozostawił synów: Augusta, Franciszka i Antoniego. Książę August został panem majoratu, przejął księstwo wraz z 1/3 kwoty kupna, która pozostała do spłacenia. Książę ten przeprowadzał różnego rodzaju ulepszenia i doprowadził do tego, że hrabiemu Haugwitzowi, zamiast 18.000 florenów, mógł na czysto przekazywać 24.000 florenów. Odprowadzał je jednakże tylko przez cztery i pół roku. Do roku 1786 spłaconych zostało 87.827 florenów. Wkrótce potem książę August zmarł, nie pozostawiwszy żadnego swojego spadkobiercy. Jego następcą został brat książę Aleksander, cesarski generał-major; zmarł on jednak w tym samym roku, także bez swojego spadkobiercy.

Teraz przeszło księstwo w ręce trzeciego brata, księcia Franciszka Sułkowskiego. Rezydował on na zamku w Bielsku i miał dwóch synów: Aleksandra i Jana. Książę unowocześnił wnętrze zamku, dobudował kilka pokoi mieszkalnych, założył ogród zamkowy, dom kąpielowy, następnie pomieszczenie na siano, ogrodowy labirynt i in.

Wraz z przejęciem rządów przejął zadłużenie w wysokości 132.948 florenów oraz 12 gmin wiejskich, gdzie znajdowało się 18 pańskich dworów oraz przeszło 100 dużych i mniejszych stawów, z których ryby, ze względu na wyjątkowy ich smak, zarybiały rzekę Wisłę. Teraz nie ma już tych 18 dworów, zostały one bowiem w 1787 roku sprzedane dzierżawiącym je poddanym. Dalej sprzedał tenże książę wielkie jasienickie pasmo górskie właścicielowi dóbr jaworzańskich, a wielkie lasy przepołowił. Również sprzedał łącznie z budynkami prawo pędzenia wódki, jak i prawie wszystkie dęby z książęcych lasów, kamienicką nową cegielnię z piecem i złożami gliny, a także wielką warzelnię piwa, który to browar został przebudowany na teatr. W związku z tym oddał też miastu w dzierżawę — za umowny roczny czynsz 600 florenów — wszystkie piwiarnie w podległych mu wsiach.

Po takich sześcioletnich rządach opuścił tenże książę 7 sierpnia 1792 r. swój zamek rezydencyjny i całe księstwo i z zebranymi w ten sposób pieniędzmi udał się do obcych krajów. W następnym roku zaczęli się zgłaszać wierzyciele. Ogłoszona została upadłość, której następstwem było wszczęcie postępowania związanego z zajęciem majątku, przy czym w stosunku do książęcej rodziny i samego księcia nic nie zostało postanowione. Z jednej trzeciej zadłużenia pozostało do spłacenia 21.000 florenów, natomiast inne osobiste długi księcia przekraczały 160.000 florenów.

GÓRY

Tylko południowa część księstwa składa się z gór — te najważniejsze to: Girowa niedaleko źródła Białki, od północy niedaleko od Skałki, oddalona w kierunku południowym od Bielska o 2 godziny drogi. Skałka znajduje się również niedaleko od źródeł rzeki Białej, w niedużym oddaleniu od ziemi cieszyńskiej i w bliskości granicy z Polską, 2 godziny od Bielska w kierunku południowym. Stołów, niedaleko polskiej, a przy cieszyńskiej granicy, gdzie wytryska rzeka Wapieniczanka. Na północnym zachodzie jest jeszcze parę mniejszych gór.

WODY

1. Szczególną rzeką jest Wisła, która stanowi północną granicę oddzielającą księstwo od Górnego Śląska.
2. Białka, która ma swe źródło na południowym stoku Skałki, niedaleko od granicy z ziemią cieszyńską, jest dopływem Wisły oddzielającym ziemię bielską od Polski. Białka ma bardzo smaczne pstrągi.
3. Wapieniczanka, której źródło znajduje się na stoku Stołowa. Wpływa ona na północy do Wisły.
4. Jasionka albo Joszanka, która wypływa na zachodnim stoku Stołowa i okrężnymi drogami bieży do Wisły, gdzie krótko przed nią łączy się z Wapieniczanką. Na terenie Jasienicy rzeka zwie się Jasieniczanką. Jest przyjęte, że rzeki przepływające przez daną wieś, noszą na tym odcinku nazwę tejże wsi.
5. Iłownica, która wypływa w Górkach Wielkich na ziemi cieszyńskiej, zdąża przez Świętoszówkę, Roztropice i Niklasdorf (?) pomiędzy górami i bagiennymi moczarami do Wisły. W tych rzekach znajdują się głównie pstrągi, karpie i łososie.

MOWA, ZWYCZAJE I RELIGIA

Mowa ludu w niżej położonych wsiach, które znajdują się bliżej rzeki Wisły, jest polska; w pozostałych niemiecka. Sposób budowy, ubiór i sposób życia jest śląsko-niemiecki.

Wyznanie jest w części katolickie, w części protestanckie, tak że w 1798 roku w ogólnej liczbie mieszkańców wiejskich (poza miastem Bielsko) było 4742 katolików i 4669 protestantów. 23 dusze liczyła wówczas garstka wyznawców wyznania mojżeszowego.

Katolicy podlegali kościelnemu sądownictwu Generalnego Urzędu Wikarialnego w Cieszynie i Archiprezbiteriatowi w Bielsku i mieli 6 kościołów, 2 plebanie, 2 kapłanów lokalistów i 7 szkół.

ŚRODKI UTRZYMANIA MIESZKAŃCÓW

Środki do życia wieśniaków składały się, jak i w całej prawie tej części cesarstwa, ze skromnej uprawy pól, hodowli bydła rogatego, uprawy lnu i hodowli jedwabników. Ziemia uprawna jest tu na wskroś średnio wydajna, najlepsza jedynie w okolicach Ligoty. Grunt przylegający do rzeki Wisły jest często narażony na powodzie. Kilka kamieniołomów dla miejscowych potrzeb znajduje się w gospodarstwach w Starym Bielsku, Jasienicy i Międzyrzeczu.

GŁÓWNE ŹRÓDŁA DOCHODU PAŃSTWA BIELSKIEGO

Po przeniesieniu własności dworów i sprzedaży jasienickiego pasma górskiego oraz prawa wyszynku dochody tegoż państwa pochodzą głównie z dzierżaw i czynszów Tereny górskie w Olszówce, Kamienicy, Wapienicy i Jasienicy obsadzane były bukami i jodłami; Wielka Polana przy Zabrzegu, Ligocie i Bronowie przy Wiśle była bogata w sosnę, jodłę i świerk. Poza tym znajduje się w książęcych dobrach również 1 cegielnia z piecem w Starym Bielsku, 1 wapienny piec w Kamienicy, 3 tartaki, 3 folusze sukna, 16 mącznych i 1 papierniczy młyn w Mazańcowicach. Do książęcych dóbr kameralnych należą następujące miejscowości: Zamek w Bielsku, Stare Bielsko, Komorowie, Bronów, Dziedzice, Ligota, Jasienica, Kamienica, Międzyrzecze, Górna i Dolna Wapienica, Mazańcowice, Olszówka (część) i Zabrzeg, następnie kolonie: Aleksandrowice i Franciszkowice (zwane Franzfeld lub Franzdorf).

BIELSKO — POŁOŻENIE

Miasto Bielsko leży u podnóża Karpat, niedaleko od granicy z Węgrami i Prusami i graniczy z Polską — Galicją i miastem Biała, od którego oddziela je jedno z ramion rzeki o tej samej nazwie, drugie natomiast ramię tej rzeki przepływa nadal przez Bielsko; miasto leży przy ul. Cesarskiej wiodącej z Wiednia do Lwowa, 2 i 1/2 mili oddalone jest ono w kierunku południowo-wschodnim od Pszczyny, 12 mil od Krakowa, 4 mile od północnego wschodu od Cieszyna pod 49 stopniem i 51 minut północnej szerokości. Miasto jest rezydencją książęcej rodziny Sułkowskich i znajduje się pod ochroną tegoż książęcego państwa.

HISTORIA BIELSKA

Na temat powstania miasta, a także nadania mu praw miejskich brak jest jakichkolwiek wiarygodnych wiadomości. Przypuszcza się, że początek zaistnienia miasta sięga XIV w. i wywodzi się od cieszyńskiego księcia Kazimierza III, który wybudował w Bielsku zamek, służący mu jako zamek myśliwski. Kiedy jednakże zaczął tu spędzać coraz to więcej czasu, zaczęli się tu osiedlać różni profesjonaliści, którym książę nadawał rozmaite przywileje i w ten sposób powstały podstawy założenia tego miasta. Tenże książę wydał w roku 1306 list łaski dotyczący wypasu zwierząt domowych. W roku 1413 otrzymało miasto od księcia Bolesława III list łaski dotyczący wolnego dostępu do lasu miejskiego bez jakichkolwiek opłat; nadał on również miastu w 1424 r. przywilej zwany prawem objęcia sukcesji. W roku 1440 miasto otrzymało prawo składowania soli. W roku 1525 Kazimierz IV przyznał miastu prawo wolnego handlu mięsem. Do lasu miejskiego otrzymało miasto jeszcze dodatkowo dwa inne kawałki lasu od właściciela tychże dóbr barona von Sunek, a to w zamian za odstąpione mu przez miasto karczmy z wyszynkiem piwa we wsiach. Od niego odkupiło też miasto kawał łąki za 600 florenów. Książę Fryderyk Kazimierz i jego następcy przekazali miastu szereg przywilejów, do których w szczególności należą wyszynki sprzedaży wina i piwa oraz miejski urbarz browarny, prawo milowe i sprzedaż wytłoków, z których korzystały różne miejscowości jak: Kamienica, Wapienica i inne przynależne. Polacy byli w owych surowych czasach bardzo niebezpiecznymi sąsiadami dla tego miasta i często odważali się wjeżdżać tu konno. Jeszcze bardziej cierpiało miasto w wyniku napadów węgierskich rebeliantów, którzy w okresie zamieszek na tle religijnym nierzadko je obrabowywali. W roku 1646 przybyli do miasta Szwedzi, którzy wymusili od mieszkańców dużo pieniędzy, a następnie miasto podpalili, wskutek czego 22 domy, łącznie z zamkiem, zamieniły się w popiół. W roku 1659 miasto spłonęło w całości. Zaledwie je odbudowano, już w roku 1664 ponownie 42 domy stały się łupem płomieni. W roku 1682 węgierskie hordy pod wodzą Petroza i Schuhejdy plądrowały miasto i zamek, przy czym zamordowanych zostało 30 osób, rannych 14. W roku 1750 od uderzenia pioruna spalił się miejski kościół, a wkrótce potem w 1753 roku ponowny pożar strawił 140 najlepszych domów. W wyniku wrogich podjazdów Prusaków oraz wielkich kontrybucji wojennych miasto popadło w ogromne długi, z którymi do tej pory nie zdołało się uporać.

WIZERUNEK MIASTA

Miasto Bielsko składało się niegdyś wyłącznie z drewnianych zabudowań, na miejscu których powstawały w większości dobrze murowane domy. Od kilku lat tak wiele się tutaj buduje, że opłaca się sprowadzać dostateczną ilość potrzebnych materiałów; można się spodziewać, że to miasto

wkrótce zdobędzie należne względy. Ma ono długie, ale wąskie domy i dwa przedmieścia: Górne i Dolne Przedmieście. Niegdyś było ono otoczone również murem i było przy górnej i dolnej bramie zamknięte. Aktualnie są one w większości rozebrane. Na Rynku obok Izby Straży Miejskiej znajduje się miejska waga, która jest wydzierżawiana, dalej studnia z pompą. Rozwój miasta należy w dużej mierze przypisać ulicy Cesarskiej, która tu przebiega, jak i korzystnemu położeniu sprzyjającemu prowadzeniu spraw handlowych; osobno wiele osób tłumaczy rozkwit miasta i rozwój okazałego przemysłu sukienniczego tym, że przed powszechnym wprowadzeniem tolerancji służyło ono jako miejsce schronienia wielu protestantów oraz popierało osiedlanie się tu obcokrajowców.

MOWA, LICZBA DOMÓW I MIESZKAŃCÓW

Mowa mieszkańców jest na wskroś niemiecka i tylko nieliczni mówią również po polsku. Z tej przyczyny także i kazania są głoszone w języku niemieckim, a tylko co trzecią niedzielę w języku polskim.

Samo miasto nie ma dużego zasięgu. Składa się bowiem z 90 numerów domów. Nieco większe są przedmieścia, będące w ogóle gęsto zaludnione. Stąd całe miasto łącznie z przedmieściami liczy 550 numerów domów i 4200 mieszkańców, bez obcych, którzy się tu zatrzymują, ale nie są do tej pory uważani za tutejszych. Do tychże zalicza się 3300 manufakturzystów, wśród których jest wielu tkaczy. Są oni w jednej części przypisani naukom katolickim, w części protestanckim. Obie partie religijne cechuje wysokie zgodne współżycie.

PUBLICZNE BUDOWLE I URZĘDY

ZAMEK

Książęcy zamek w mieście Bielsku został wybudowany na początku XIV wieku przez księcia Kazimierza III Cieszyńskiego jako zamek myśliwski, a więc znacznie wcześniej niż powstało samo miasto. Według dawnych przekazów były tu zalesione tereny, w których jeden rozbójnik miał murowane siedlisko. Rzekomo było to w miejscu, gdzie teraz stoi gorzelnia. Jest to prawdopodobne. Przypuszczać bowiem należy, że namalowany wizerunek zbójnika w ówczesnym stroju, który do roku 1788 znajdował się na murze nad oknami, pozostawiony był na pamiątkę. Obraz zniknął w czasie malowania na biało wszystkich zamkowych zabudowań. Został po prostu zamalowany. Do tejże zbójeckiej kryjówki dobudował książę Kazimierz III zamek, który w późniejszych czasach, szczególnie za księcia Franciszka Sułkowskiego, doznał wielu zmian. Wówczas powstały też obok: piękny ogród kwiatowy, szklarnia i oranżeria.

Bielski zamek w II połowie XIX w. Ze zbiorów Tadeusza Kopoczka.

KSIĄŻĘCE PRAWO KRAJOWE

Kiedy państwo bielskie niższego rzędu zostało podniesione do stanu księstwa bielskiego z wszystkimi książęcymi przywilejami, prawami i sądownictwem, musiał książę ustanowić i utrzymać u siebie książęce prawo krajowe. Siedzibą tego urzędu został ustanowiony zamek. Urząd ten składa się z 1 prezydenta, 2 radnych i 1 sekretarza. W registraturze i kancelarii jest 1 protokolant, 1 kancelista, 1 stróż i 1 woźny.

RATUSZ

W czasach, gdy całe miasto było drewniane, drewniany był także ratusz, który jest jeszcze w tej postaci widoczny, ale nie pełni już tej funkcji; zamiast niego jest nowy, dobrze zbudowany, murowany budynek. W 1786 roku został zorganizowany magistrat (urząd miejski), który składa się z jednego starosty, jednego syndyka, 3 radnych, jednego sekretarza, jednego urzędowego protokolanta, jednego oficera ułanów pełniącego jednocześnie rolę miejskiego poborcy i 1 doręczyciela protokolarnego. W gestii magistratu znajduje się również nadzór nad sądownictwem i przypadkami publiczno-politycznymi. Szczególny nadzór policyjny sprawowany jest przez jednego inspektora i 6 dzielnicowych, którzy podlegają magistratowi i wykonują jego polecenia.

KOMISJA BUDŻETOWA

Zarządzanie miejską gospodarką odbywa się na mocy śląskiej konstytucji krajowej i sprawowane jest przez komisję budżetową, przy czym przewodnictwo ma każdorazowy starosta powiatu cieszyńskiego. Ze strony zwierzchności uczestniczy jeden komisarz, a ze strony miasta każdorazowo ustalany sekretarz rady. Komisja ta kieruje sprawami ekonomicznymi za pośrednictwem dwóch ekonomistów miejskich, z których pierwszy steruje magistrackimi środkami pieniężnymi, a drugi działa jako społeczny kontroler, wybrany przez społeczeństwo i zatwierdzony przez komisję budżetową. Tejże komisji muszą być przedkładane do wglądu roczne wydatki związane z rentami i rachunkami za ziemiopłody.

To miasto jest równocześnie c.k. filią miasta z urzędem celnym i ma u siebie pokaźną składnicę soli. Sól ta sprowadzana jest w dużych ilościach głównie z Wieliczki i Bochni i jest stąd wywożona dalej na Śląsk i Morawy. Obsada personalna filialnego urzędu celnego obejmującego transport soli, stemplowanie mięsa, drogową kontrolę celną składa się z jednego poborcy, jednego kontrolera, jednego pisarza urzędowego, dwóch nadzorców, jednego stróża, i jednego poborcy myta z nadzorcą. Docześnie jest tu również jeden należący do cieszyńskiego inspektoratu rewizor tytoniowy.

CESARSKO-KRÓLEWSKI URZĄD POCZTOWY

Znajdujący się tu urząd pocztowy składa się z jednego poczmistrza i jednego pisarza biurowego. Urząd jest oddalony od Wiednia poprzez Skoczów, Cieszyn, Ołomuniec i dalsze miejscowości o 23 placówki. Wiedeńska poczta przychodzi tutaj codziennie po południu, zaś stąd odchodzi codziennie przed południem.

RELIGIJNE BUDOWLE

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY ŚW. MIKOŁAJA

Kościół parafialny miasta Bielska mógł zdaniem tamtejszej kroniki być wybudowany w 15. wieku. Kiedy jednak w 16. wieku cała okolica zadeklarowała przynależność do religii augsburskiej, świątynia przeszła w ręce protestantów. Prawdopodobnie dopiero w 17. wieku, w wyniku naglących nakazów cesarza Ferdynanda III. została ona odstąpiona katolikom. W roku 1659 kościół został całkowicie spalony. W roku 1750 rażony piorunem spalił się ponownie, ale w krótkim czasie został od nowa zbudowany. Wszystkie dzwony kościoła powstały z dobrowolnych datków gminy. Do parafii tegoż kościoła przynależą parafie: Bielsko, Czechowice, Międzyrzecze, Brenna, Rudzica i Grodziec oraz lokalie: Zabrzeg, Jasienica i Ligota. Prawo patronackie nad tym kościołem przysługuje rządzącemu księciu.

KOŚCIÓŁ POD WEZW. ŚW. TRÓJCY

Jest to mniejszy murowany kościółek na Górnym Przedmieściu, przy którym znajduje się również cmentarz. Był on również w rękach protestan-

tów, którym jednak został w czasie trwania 30-letniej wojny odebrany. Poświęcenie tegoż kościoła miało mieć miejsce 24 czerwca 1608 roku. Jego patronem była gmina miejska.

W zamku książęcym znajduje się kaplica.

KOŚCIÓŁ PROTESTANCKI

Na Dolnym Przedmieściu znajduje się okazały kościół protestancki, który po wprowadzeniu tolerancji wybudowali z własnych funduszów spokrewnieni wyznawcy z Augsburga. Jest tam zatrudnionych dwóch pastorów i wszyscy protestanci z całego księstwa są do tego kościoła przynależni.

KATOLICKA SZKOŁA MIEJSKA

Katolicka szkoła miejska składa się z dwóch nauczycieli, którzy pobierają swoje bardzo skromne wynagrodzenie z kasy miejskiej. Szkoła ta była wybudowana w latach 1788 i 1889, częściowo z funduszów gminy miejskiej, a częściowo z pokaźnych składek katolickiego mieszczaństwa, w następstwie czego jest ona jego własnością. Celem poprawy wynagrodzenia zatrudnionych w niej nauczycieli kupiec Karol Antoni Bratobewera ufundował kapitał w wysokości 50 florenów, z czego roczne potrzeby tych nauczycieli będą dofinansowywane. Również właścicielka firmy handlowej pani Dorota Hefmann oraz farbiarz Jan Gottlieb Fritsch, oboje wyznania augsburskiego, ufundowali na ten cel: pierwsza 50 florenów, następny 25 florenów. Wszystko to, co dotyczy kościoła i szkoły, jest pokrywane przez protestantów z własnych środków; jedynie tylko drewno potrzebne do ogrzania klas szkolnych, a także deputat drewna dla duchownych, jest przekazywane z miejscowych lasów.

Przy tejże szkole istnieje fundacja w wysokości 4000 florenów i druga w wysokości 1000 florenów, przeznaczona dla ubogiej młodzieży szkolnej. Pierwszą założył urodzony tu kupiec Andrzej Frischke, drugą także tu urodzony kupiec Gottlieb Bartlmus, oboje osiedleni we Wrocławiu.

SZPITAL PRZYTUŁKOWY

Znajdujący się tu na Dolnym Przedmieściu przytułek pod wezwaniem Św. Anny został ufundowany przez hrabiego von Promnitz, a następnie był również dotowany przez barona von Sunek. Znajduje tu bardzo skromne utrzymanie 19 osób. Cały kapitał wynosi 6435 florenów, a roczne potrzeby pochłaniają 360 florenów 32 i 1/4 krajcarów. Administracja składa się z dwóch szpitalnych zarządców wybieranych na zmianę przez aktualnego właściciela księstwa, a następnie przez magistrat.

INSTYTUT DLA UBOGICH

Tenże instytut dzięki wszechstronnej pomocy ma znaczący postęp w jego rozwoju. Aktualnie posiada kapitał w wysokości kilku tysięcy flore-

nów, który w wyniku wspaniałomyślnych zapisów i legatów testamentowych z roku na rok wzrasta. Instytut znajduje się pod pełnym zarządem magistratu. Miejscowy proboszcz i jedna osoba odpowiadająca za środki z magistratu zajmują się bieżącą gospodarką instytutu i przedkładają magistratowi roczne rozliczenia. Co trzy lata duchowni obu wyznań, wspólnie ze zwierzchnością miejską, ustalają wysokość subskrypcji, którą rocznie każdy współczujący mieszkaniec może dla ulżenia cierpieniom przekazać. Na zakończenie każdego roku wszyscy kapłani odczytują imienne wykazy osób, które objęte zostały pomocą instytutu, w wyniku czego wszyscy darczyńcy mogą się przekonać, jaki użytek został zrobiony dzięki ich dobrym uczynkom. Ustalono 4 rodzaje datków: 1 klasy — miesięcznie 2 floreny, 2 klasy — 1 floren i 30 krajcarów, 3 klasy — 1 floren oraz 4 klasy — 45 krajcarów.

BIBLIOTEKA

Jest wskazane, aby również tak małe miasto posiadało bibliotekę publiczną. Naturalnie posiada ona głównie prawnicze, ale także i wybrane książki. Jej fundatorem jest Zygmunt Fröhlich, dyrektor kancelarii rządowej księcia, który utworzył na dalszy rozwój i pomnażanie zbiorów kapitał legacyjny w wysokości 400 florenów. Należy się spodziewać, że z biegiem czasu biblioteka będzie się coraz to bardziej doskonalić.

TOWARZYSTWO STRZELECKIE

Od paru lat znajduje się tutaj za zgodą wysokich krajowych czynników towarzystwo strzeleckie. Liczy ono 40 członków, których umundurowanie stanowią zielone spódniczki i czerwono oblamowane kamizelki. Każdego roku w początkach września towarzystwo organizuje tzw. strzelanie główne i strzelanie królewskie. Mieszczanie prowadzący wyszynki, przeznaczają corocznie dla króla strzelców nagrodę w wysokości 50 florenów. Towarzystwo to bierze udział w paradach wszelkich uroczystości i ma 2 miejskich oficerów jako komendantów. Przy większych uroczystościach jest przyjęte, że w marszach bierze również udział młodzież mieszczańska.

MIEJSKIE POSIADŁOŚCI I DOCHODY

To miasto oprócz swoich już nabytych od księcia posiadłości stara się o dalsze ich przejmowanie. Jest już w posiadaniu Bystrej, jednej części Olszówki włącznie z dobrze utrzymanymi lasami o obszarze około 50 jochów wraz z wszystkimi przynależnymi dotychczas przywilejami jak wyższych i niższych praw itd. Do tejże nieruchomości jest przynależny zatrudniony tam gajowy. Fundusze kasy miejskiej to dochody z gospodarki leśnej, czynsze, opłaty pańszczyźniane, dochody z cegielni, z tartaków oraz z ustalonych przez magistrat opłat podatkowych.

Naturalnie miasto ma również prawo wyszynku wina we wszystkich książęcych miejscowościach, również i w Jaworzu, Czechowicach i Rudzicy; — prawo warzenia piwa, prawo milowe i gospodarkę wytłokami we

wszystkich książęcych wioskach; niestety prawo sprzedaży piwa i wina pod murami rynku miejskiego daje magistratowi nikłe dochody, jako że w zebranych z tego tytułu wpływach mają swój udział właściciele wszystkich 75 nieruchomości w mieście. Miastu dostają się więc znikome kwoty.

Uprawnione do zarządzania powyższymi zadaniami mieszczaństwo utrzymuje do tego celu jednego urzędnika-kasjera, który przedkłada mocodawcom roczne sprawozdania. Jeżeli nie wystąpią jakieś potrzeby związane np. z rozbudową browaru względnie z inną działalnością, roczna korzyść z tego tytułu może wynosić dla każdego właściciela domu 40—50 flaszek.

ŚRODKI UTRZYMANIA MIESZKAŃCÓW

Główną gałęzią utrzymania miejscowej ludności jest tkactwo i handel suknem i wełną, którym głównie trudnią się handlarze żydowscy; następnie handel winem. Bardzo ważne jest sukiennictwo, a później handel suknem. Aktualnie istnieje 520 mistrzów sukienniczych, przez których było zatrudnionych kilkanaście tysięcy rąk miejscowej ludności wiejskiej. Ich fabrykaty idą do wschodniej i zachodniej Galicji, na Węgry i do Turcji. Można przyjąć, że rocznie było wyprodukowanych 24.000 kuponów.

Wełna była sprowadzana z Galicji, Węgier i Moraw; jest tu również przerabiana wełna hiszpańska. Życzeniem mistrzów tkackich było zwracanie baczniejszej uwagi na hodowlę owiec, szczególnie we wschodniej Galicji oraz konieczność organizowania targów wełną i szukania innych sposobów, aby sukiennicy mogli zaopatrywać się w surowiec z pierwszej ręki. To mogłoby się przyczynić do szybszego rozwoju miejscowego przemysłu.

Podnoszeniu jakości produkowanych materiałów sprzyja zatrudnienie 4 farbiarzy-specjalistów oraz 30 postrzygaczy sukna. Obok tutejszych wyrobów przywozi się tu rocznie do farbowania kilkanaście tysięcy kuponów sukna z Moraw. Miejscowa woda ma prawdopodobnie jakieś specjalne właściwości wnoszące coś ożywczego do niebieskiego koloru. W mieście i okolicy znajduje się 6 foluszy; zdarza się jednak dość często, że fabrykanci sukna z braku wody zmuszeni są przywozić ją z miejsc oddalonych czasami do 20 mil. Bielsko ma kilka fabrykantów sukna; wśród nich do najznakomitszych należą: Jan Beniamin Nessitzius, następnie Menhard i Kolbenherer, którzy robią znaczne interesy i mają bezpośrednie kontakty sięgające aż do Konstantynopola. Ponadto znajduje się tu 9 firm handlowych, które zaopatrują publiczność w towary korzenne i łokciowe, 2 jubilerów, 1 fabryka wyrobów wełnianych, 1 wytwórnia wyrobów cukierniczych, 1 fabryka wyrobów lniarskich, 1 kunsztowny tartak do farbowania i krojenia drewna i 2 młyny. Również są tu produkowane bardzo dobre sikawki.

Istniejące tu cechy to: cech sukienników, który posiada własny dom sukiennika; cech postrzygaczy sukna; 12 rzeźników, 9 piekarzy, 17 szewców, dalej krawcy, kuśnierze, garncarze, kowale, ślusarze, cieśle i murarze.

Mydlarze należą do cechu w Opawie, powroźnicy do cechu w Cieszynie. Jest tu także: jeden lekarz medycyny, 4 dentystów i 2 aptekarzy. Doktór

medycyny otrzymuje rocznie z kasy miejskiej datek w wysokości 50 florenów i 12 sążni drzewa opałowego.

Gleba orna przy mieście Bielsko nadaje się pod uprawę żyta i owsa i częściowo również pszenicy i jęczmienia. Powierzchnia wynosi 548 jochów, 1063 i 3/15 m^2 gruntów uprawnych, 8 jochów, 107 m^2 ziemi użytkowanej naprzemiennie jako pastwiska i pod uprawy (trójpolówki), 12 jochów, 330 m^2 łąk, 104 jochów, 1408 m^2 ogrodów (sadów) i 32 jochów, 744 m^2 pastwisk.

JARMARKI

Miasto Bielsko ma przywilej prowadzenia rocznie 4 jarmarków i 4 targów na bydło. Terminy jarmarków: poniedziałek po piątej niedzieli przed Wielkanocą, poniedziałek po Janie Baptyście, 15 września i w dniu Św. Mikołaja; targi bydlęce: w poniedziałek po Św. Trójcy, w dzień po Janie Baptyście, na Jakuba i 15 września. Jarmarki trwają każdorazowo 2 dni.

WOJSKO

Zazwyczaj bywa, że w czasach pokoju jest w Bielsku zakwaterowany batalion piechoty pod dowództwem Wacława Colloredo, do którego to numeru Regimentu zarówno miasto jak i księstwo należą. Gmina miejska i miasto wybudowały do tego celu poza miastem magazyn żywnościowy, który został przekazany w posiadanie cesarsko-królewskiemu urzędowi żywnościowemu.

OSOBLIWOŚCI

Godnym podkreślenia jest fakt licznych przyjazdów do tej okolicy osób zamiejscowych, w szczególności chorujących na płuca, którzy z dobrym wynikiem korzystają z kuracji żętycznej. Ku zadowoleniu kuracjuszy i miejscowej społeczności ściągnięto z pobliskiej wysokiej góry Stołów bardzo duży kamień ważący około 50 centnarów, mający 3 sążnie w kwadratowym obwodzie (1 sążeń = 1.69 mb), który urozmaicił miejsce rozrywkowe. Studnia tamże zwie się studnią zdrowia, a jej woda źródlana jest tak zimna, że w pełni lata nie sposób zamoczyć w niej rąk.

Rzekomo kamień ten służył niegdyś za stół znanemu zbójnikowi Bilinezorowi i jego towarzyszom, którzy byli postrachem na terenie wszystkich pasm górskich ciągnących się aż do Frydku. Z góry Stołów mieli oni podziemne przejście prowadzące aż do Jaworza. Ślady tegoż istnieją do dziś.

(Tłumaczenie: JADWIGA ROIK)

KOLEJOWA TRADYCJA ZEBRZYDOWIC

HELENA I LUDWIK BARTOSZKOWIE

Półtora wieku temu Zebrzydowice przeżywały wielkie chwile: przystąpiono bowiem do budowy Wyłącznie Uprzywilejowanej Kolei Północnej Cesarza Ferdynanda, gdyż taką oficjalną nazwę nadano linii kolejowej biegnącej przez wieś. Często też nazywano ją Koleją Warszawsko-Wiedeńską, co niezupełnie odpowiadało prawdzie.

Budowa rozpoczęła się w roku 1850, kiedy przedstawiciele wiedeńskiego towarzystwa budującego kolej przystąpili do wykupywania ziemi pod planowaną „żeleźnicę". Przewidziany pod budowę teren nie należał do łatwych. Przecina go rzeka Piotrówka, a na wyznaczonej trasie znajdowało się wiele miejsc podmokłych. Projektanci zdecydowali się na śmiałą na owe czasy koncepcję usypania 300-metrowego nasypu oraz wybudowanie 570-metrowego wiaduktu, który zaprojektował profesor wiedeńskiej politechniki Franz Ripel.

Do pracy zaangażowano setki robotników z monarchii austro-węgierskiej, a do budowy mostów sprowadzono wielu specjalistów z Włoch. Cegłę do budowy wiaduktu wypalano na okolicznych polach z miejscowej gliny, natomiast z głębi monarchii sprowadzono cegłę do zewnętrznego olicowania. Budową kierował radca generalny von Frasconi, natomiast roboty wykonywała wiedeńska firma Braci Klein.

Podmokły grunt spowodował, że zaszła potrzeba wbijania głębokich pali, na których w kratę układano potężne drewniane kłody i dopiero na takim fundamencie wznoszono filary wiaduktu. Usytuowano go w pobliżu obecnego Zespołu Szkół w Zebrzydowicach, w kierunku ulicy Orzeszkowej, następnie przez Piotrówkę obok obecnej posiadłości rodziny Kościelnych oraz ulicą Ks. A. Janusza aż do nasypu obok stawu znanego jako Morskie Oko.

Liczący 570 m długości wiadukt wsparty był na 40 potężnych filarach, prześwit pomiędzy łukami wynosił 13,3 m, zaś największa wysokość docho-

Zaledwie 15 lat służył kolei zabrzydowicki wiadukt. Zdjęcie udostępnione przez Muzeum Śląska Cieszyńskiego.

działa do 19,7 m. Co czwarty filar był grubszy i miał szerokość 7 m. Bariery wiaduktu wymurowano z czerwonej cegły, wypusty nakrywając cienkimi kamiennymi płytami.

Odcinek linii Bogumin—Dziedzice oddano do użytku 17 grudnia 1855 roku. Przez Zebrzydowice biegł tylko jeden tor. Do dziś obok drogi wiodącej do ekspedycji kolejowej stoi niewielki budyneczek pierwszego „dworcowego" obiektu. Tu także, na wypadek awarii, położono krótki odcinek drugiego toru. Pociągi w Zebrzydowicach zatrzymywały się wyłącznie na wyraźne życzenie właścicieli wsi (rodzina Mattencloit), bądź właścicieli Kończyc Wielkich (hrabiostwo Thun-Hohenstein).

Po 15 latach eksploatacji w wiadukcie pojawiły się niebezpieczne pęknięcia. Ustalono, iż w czasie budowy (być może z braku odpowiedniego dozoru albo też zwykłej bezmyślności) robotnicy skracali sobie wbijane pale, co osłabiło fundamenty i spowodowało w konsekwencji pękanie budowli. Wtedy zrodziła się myśl budowy trasy okrężnej, przez Kończyce Małe do przysiółka Kotucz. Jednakże właściciel Kończyc Małych Jan Folwarczny zażądał aż 5 koron austriackich odszkodowania za każde wycięte drzewo. Zarząd budowy uznał tę cenę za zbyt wygórowaną, toteż od Morskiego Oka postanowiono poprowadzić — wtedy już dwutorową — linię kolejową o kształcie litery S. Trasa charakteryzuje się wielkimi łukami i do dziś nastręcza duże trudności.

Pochodzący z roku 1855 pierwszy budynek kolejowego przystanku w Zebrzydowicach.

Prace pod kierunkiem Eichlera von Eichorn z Wiednia rozpoczęto w 1872 r. Budowa torowiska nie była łatwa. Występowały trudności związane z osuwającymi się nasypami, zaszła potrzeba zwiezienia olbrzymich kamieni oraz wbijania długich pali głęboko w grunt. Czas budowy wyraźnie się przedłużał. Linię oddano wreszcie do użytku 3 lipca 1877 r., a jej koszt znacznie przekroczył kwotę, jakiej żądał J. Folwarczny.

W tym samym czasie na stacji położono 2 nowe tory odstawcze oraz wzniesiono nowy, znacznie większy budynek dworca (od dotychczasowego „przesunięto" go o ok. 400 m w kierunku wschodnim). Na piętrze były mieszkania dla kolejarzy (wiele lat później mieściła się tu stołówka pracownicza, dziś niestety już nieczynna).

Bezużyteczny wiadukt zaczęto powoli rozbierać ręcznie, później jednak zastosowano środki wybuchowe. W 1906 roku wysadzono 7 filarów. „Gwiazdka Cieszyńska" z 6 października 1906 roku zanotowała:

...Spodziewaliśmy się, że z resztek starego mostu zbudujemy tanio nową szkołę. Zawiedliśmy się. Trzy cetnary materii wybuchowej (ekrazytu) pod rozkazem kapitana i 2 oficerów wpakowane przez 26 pionierów w 7 słupach mostowych podziałało tak strasznie, że 3 filary się w proch obróciły. Był to wspaniały widok, gdy w sobotę dnia 29.09.1906 r. o godz. 2 po południu wśród strasznej detonacji słyszanej w całej okolicy obłok pyłu w górę się podniósł. Kawałki cegły spadającej uszkodziły dach bliskiego domu i parę natrętnych widzów, ale tylko nieznacznie. Zawiódł się kapitan, bo dawka 3q ekrazytu obliczona była na zburzenie 7 filarów, tymczasem padła ich tylko połowa, a koszta tego samego materiału wybuchowego wyniosły 1500 K, które ponosi kolej. Zawiedliśmy się sami, bo kupiliśmy od

Dworzec w Zebrzydowicach z 1930 r. Reprodukcja zdjęcia z publikacji *Dzieje katowickiego okręgu kolejowego* (Katowice 1997).

Dyrekcji kolei materiał dotąd stojącego mostu za 1000 koron. Może przy następnych próbach będziemy szczęśliwsi...

Wiadukt zniknął z pejzażu wsi, ale przez wiele lat zachował się fragment kolejowego nasypu. Dopiero w latach osiemdziesiątych ub. wieku jego resztki rozebrano, ziemię wykorzystując do zasypania dołu w miejscu, na którym zbudowano muszlę koncertową.

Osiedle mieszkaniowe zebrzydowickich kolejarzy.

W styczniu 1919 roku kolejowy dworzec zebrzydowicki stał się miejscem krwawych starć żołnierzy polskich z czeskimi legionistami, którzy zbrojnie zamierzali zagarnąć Śląsk Cieszyński.

Po zakończeniu wojennych działań Zebrzydowice, od tej pory miejscowość graniczna, zyskały na znaczeniu. Zaszła potrzeba zbudowania nowych pomieszczeń biurowych dla pracowników kolei, służb celnych, paszportowych i pocztowych. Zrodził się kolejny projekt rozbudowy stacji, a w roku 1924 przystąpiono do prac, prowadzonych pod kierunkiem inż. Szymańskiego z Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Krakowie oraz firmy „Kilof" inż. Kwiatkowskiego (także z Krakowa). Rozbudowa stacji trwała dość długo. Położono nowe torowiska, pomiędzy którymi wzniesiono nowy dworzec. W jego pobliżu wybudowano 3 dwupiętrowe domy mieszkalne dla pracowników kolei oraz parterowe przedszkole dla ich dzieci.

12 stycznia 1930 r. odbyło się uroczyste otwarcie nowej stacji w Zebrzydowicach. W kolejnych latach wybudowano dalsze 2 bloki mieszkalne dla celników oraz dla pracowników poczty.

W latach 1932—1934 zbudowano linię kolejową Zebrzydowice—Cieszyn. Większość mostów oraz budynki stacyjne przy tej trasie wykonała firma budowlana Franciszka Siwka z Zebrzydowic. Zachował się jeszcze budynek stacji w Kaczycach.

W 1935 r. oddano linię kolejową Zebrzydowice—Moszczenica Śląska, powstała obrotnica dla parowozów, wieża ciśnień, żurawie wodne, kanały odżużlania oraz boksy do składowania węgla dla lokomotyw.

W końcówce II wojny światowej budynek dworca uległ poważnemu zniszczeniu. W sąsiedztwie stacji w latach 1940—1944 naziści zorganizo-

Oddany do użytku w roku 1964 zebrzydowicki dworzec PKP popada dziś w ruinę.

wali filię hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz; więzieni tu Żydzi wykonywali ciężkie roboty przy naprawie i rozbudowie torowisk.

Prowizoryczne powojenne baraki, ustawione w miejscu zniszczonego dworca, przetrwały aż do lat sześćdziesiątych ub. wieku. Powstała, stopniowo powiększana, parowozownia, w latach pięćdziesiątych podniesiona do rangi III klasy. Dotrwała do roku 1992.

W 1963 roku przystąpiono do budowy nowoczesnego dworca, oddanego do użytku 29 kwietnia 1964 roku. Jego otwarcie wiązało się z ukończeniem elektryfikacji linii kolejowej, poprowadzonej do polsko-czechosłowackiej granicy państwowej. Zebrzydowicki dworzec przez wiele lat stanowił dla przyjezdnych spoza południowej granicy prawdziwą wizytówkę naszego kraju.

Rozpoczęta w latach dziewięćdziesiątych XX w. restrukturyzacja PKP spowodowała, niestety, zmniejszenie liczby pracowników kolei. Zlikwidowano parowozownię, świetlicę dworcową i stołówkę pracowniczą.

Ranga kolei zaczęła upadać. Połączenia pociągów stawały się coraz mniej dogodne, co wpłynęło na zmniejszenie się liczby pasażerów. To zaś stało się „wodą na młyn" decydentów, którzy mieli powody do likwidacji wielu kursów.

Coraz bardziej zaniedbane dworce i stacje kolejowe odstraszają dziś. pasażerów. Mieszkańcom Zebrzydowic coraz trudniej gdziekolwiek dojechać pociągiem. Nawet do stolicy powiatu — Cieszyna.

Stupięćdziesięcioletnia (z okładem) kolejowa tradycja naszej wsi powoli odchodzi w niepamięć.

Anegdotyczne

Cieszyńska CELMA przez wiele lat po II wojnie światowej nazywała się po prostu M-2. Tajemniczo, żeby wróg nie dowiedział się, co produkuje. Nastał wreszcie czas, kiedy fabrykę nazwać można było po ludzku. Ogłoszono konkurs na chwytliwą i łatwą do zapamiętania nazwę.

Dyrektor Bronisław Czuma (menadżer jakich ze świecą szukać!) lansował CELMĘ. Jako swoisty ekstrakt pełnej nazwy fabryki: Cieszyńskie Elektryczne Maszyny. Złośliwcy, których przecież nigdzie i nigdy nie brakuje, „dzwonili" do fabryki:

— Celma — przedstawiała się fabryczna telefonistka.

W odpowiedzi zaś usłyszała:

— Cel może ma, ale sensu ani odrobinę...

WSPÓŁCZEŚNI O HRABINIE GABRIELI VON THUN

MARIUSZ MAKOWSKI

„Dobra Pani z Kończyc Wielkich". Pod tym określeniem kryje się postać znanej wielu mieszkańcom ziemi cieszyńskiej ze swej dobroczynności i miłosiernych czynów — Gabrieli hrabiny von Thun und Hohenstein.

Była jedną z trzech córek hrabiostwa Eugeniusza Larischa von Mönnicha i Marii (zwanej Marianką) z domu hrabianki Deym von Střitež, znanej nie tylko z piękności, ale i z dobrego serca. Gabriela przyszła na świat w naddunajskiej stolicy 30 listopada 1872 r. Już w wieku 8 lat została sierotą, wychowywaną przez wuja Ferdynanda Deyma, który za wzór młodej hrabiance kładł jej zmarłą matkę. Od najwcześniejszych więc lat życie Gabrieli upływało pomiędzy wygodami i luksusem klasy, w której przyszło jej się urodzić, a wspomaganiem potrzebujących z uboższych warstw.

Hrabianka Gabriela spokrewniona z całą europejską arystokracją i spowinowacona z rodziną cesarską, wraz z siostrami Henriettą i Franciszką należała w Wiedniu do eks-

Hrabina Gabriela Thun-Hohenstein. Ok. roku 1900.

kluzywnego *„Comtessen-kreises"* — „Kółka hrabianek". Debiutowała na dworze w 1890 r., kiedy oficjalnie została przedstawiona monarszej parze. Cesarzowa Elżbieta — „Sisi" zamianowała ją swoją damą pałacową oraz damą Krzyża Gwiaździstego.

Tytuły te można było otrzymać tylko po wykazaniu przed specjalnym dworskim urzędem tzw. „Egzaminatora pochodzenia" czterech generacji przodków o nienagannym szlacheckim pochodzeniu. Uprawniało to do „prawa bywania u dworu" i decydowało o przynależności do tzw. *Hofkreisen* „dworskiego kręgu", ograniczonej ilości członków wysokiej arystokracji rodowej, mającej bezpośredni dostęp do dworu. Hrabina Gabriela, z racji swego wysokiego urodzenia, znajdowała się na wyjątkowo ekskluzywnej „Małej liście dworskiej" obejmującej paręset osób ścisłego dworu, w odróżnieniu od „Wielkiej listy", która obejmowała około 10 tysięcy szlachty i urzędników wysokich szczebli z całej monarchii.

Na „Wielkiej liście dworskiej" znajdowali się wszyscy uprawnieni do przybycia na tzw. „Bal Dworski" (*Hoffbal*) wydawany raz do roku przez cesarza w salach redutowych wiedeńskiego Hofburgu. „Mała lista dworska" uprawniała natomiast do uczestnictwa w bardziej kameralnych i rodzinnych „Balach u Dworu" (*Bal bei Hof*), które odbywały się w atmosferze mniej oficjalnej Sali Ceremonialnej. *Cechę pewnego rodzaju intymności tego balu* — wspominał jeden z ich uczestników, szambelan Marian Rosco-Bogdanowicz — *podnosiło także i to, że Sala Ceremonialna przytykała do tzw. Wielkiego Apartamentu, gdzie później, w ciągu balu, goście nie tańczący mogli się podzielić na mniejsze grupy. Kolumnada marmurowa otaczająca salę była wypełniona olbrzymimi czerwonymi azaliami w pełnym rozkwicie, obramowanymi dołem paprociami i profuzją białych hiacyntów. Pomiędzy kolumnami zwisały kosze przepięknych orchidei, dostarczanych przez kwiaciarnie szenbruńskie, których ogrodnicy z pełnym artyzmem i rozwiązywali swe zadanie dekoracji floralnej. Ponieważ liczba gości na tym balu była ograniczona do około 900 osób, wyłącznie do najwyższych kół towarzyskich należących, nie miało się wrażenia tłoku, które się odnosiło na Balu Dworskim, pomimo całego jego przepychu i jego wspaniałości. Jednym słowem Bal u Dworu był ostatnim wyrazem wytworności, tym bardziej że panie rywalizowały na tym balu więcej jak na każdym innym w elegancji swych toalet. Bal rozpoczynał sformowany przez funkcjonariuszy protokołu*

Gabriele Gräfin Thun Hohenstein
geb. Gräfin Larisch

Wizytówka hr. Gabrieli Thun-Hohenstein.

Fragment rezydencji hr. Gabrieli Thun-Hohenstein w Kończycach Wielkich. Ok. roku 1935.

tzw. cortège, czyli dworski pochód. Bezpośrednio przed cesarzem postępowa wspaniały w postawie i geście wielki mistrz ceremonii, z laską wysoko dzierżoną, jako oznaką swej godności. Przechodzono przez rzęsiście oświetlone historyczne sale Wielkiego Apartamentu, przez długie, gobelinami zdobne galerie, wśród szpaleru przepysznych w swych galowych mundurach, prawie dwumetrowych, jak posągi stojących urodziwych gwardzistów — do Sali Ceremonialnej, gdzie bal się odbywał. Lśniące diademy i klejnoty pań, rozwijające się na czerwieni dywanów długie treny ich wspaniałych toalet, bogate mundury tajnych radców, szambelanów i innych dostojników dworskich składały się na niebywały obraz. Wśród najkompletniejszej ciszy wchodził do Sali Ceremonialnej cesarz wraz z którąś z arcyksiężnych, a za nim długi, zdawało się nie kończący się szereg par. Wśród samorzutnie utworzonego szpaleru od drzwi wejściowych aż do estrady, na której miały zasiąść arcyksiężne, wśród plonżeonów pań i głębokich ukłonów panów, dziarsko i elastycznie, w białym mundurze feldmarszałka szedł wiekowy monarcha. Doszedłszy do estrady zwalniał ramię arcyksiężnej, która dziękowała mu głębokim dworskim ukłonem i zajmowała miejsce na kanapie w środku estrady. Cesarz zwracał się zaraz do ambasadorów i ich żon i rozpoczynał rozmowy, podczas gdy pierwszy oficer gwardii konnej rozpoczynał bal walcem z najstarszą arcyksiężniczką. Pozostali trzej gwardziści szli do tańca z innymi arcyksiężniczkami, podług ich rangi, a młodzież zwracała się do pozostałych panien. Taniec szedł z miejsca w ożywionym tempie, podług obliczonego na minuty programu. Sztywność Dworskiego Balu ustępowała na Balu u Dworu swobodzie ludzi czujących się w swoim towarzystwie i u siebie. Mamy siedzące wokoło plotkowały z przejęciem, nam zaś

Dzieci hr. Gabrieli Thun-
-Hohenstein.

młodszym oddany był cały parkiet. Bawiliśmy się swobodnie i wesoło. Po walcu następował honorowy kadryl. O godzinie 10 orkiestra grała najnowszego na ten sezon przez Jana Straussa skomponowanego walca. Niebawem służba ustawiała wokół przeznaczonego do tańca miejsca złocone krzesełka. Stawały pary do kotyliona. Wirowaliśmy przez chwilę po sali, po czym robiono wielkie rondo i rachowano, jak zwykle, pary. Pierwsze wywołane tańczyły. Tu się zaczynał popisowy egzamin danserów. Kotylion umiejętnie prowadzony trwał godzinę. Przed końcem kotyliona, jak zwyczaj każe, rozdawano bukieciki. Robione były podług niezmienionego od czasu cesarzowej Marii Teresy przepisu. W małych, atłasowych, obszytych koroneczką manszecikach torciki ułożone z drobnych kwiatków, wzruszająco naiwne. Punktualnie o jedenastej kotylion się kończył. Podawano doskonałą kolację przy stolikach na osiem osób, do których szło się w umówionych przedtem, jak do lansjera, czwórkach. Równie odwieczny bulion Marii Teresy, sporządzany według jej recepty, święcił tryumfy. Każdy — często nawet bez przekonania — uważał za obowiązek tradycji połknąć filiżankę tegoż. Po kolacji walc, później kadryl i jeszcze jeden walc kończyły po północy to najpiękniejsze przyjęcie u dworu. Formował się cortège w tym samym porządku, co przy wejściu i opuszczał salę. W salonach, przez które dążono ku wyjściu, stali rzędem lokaje, dzierżący olbrzymie tace pełne bombonie-

rek i misternie zwijanych cukierków z portretami cesarza i członków jego rodziny. Każdy nabierał, ile tylko zdołał. Panie napełniały nimi sakwy, panowie stosowane kapelusze, kołpaki i wojskowe czaka, a często i kieszenie. I to bowiem należało do tradycji. Nie można nie wspomnieć o orkiestrze tak znakomitej jak tylko orkiestry wiedeńskie być umiały. Dowodził nią członek dynastii Straussów, brat króla walców Jana, król dyrygentów Eduard. Jego pełny tytuł brzmiał Hofballmusikdirektor. Niechaj wypowie, kto może jednym tchem. Strój balowy dworskiej orkiestry składał się z czerwonego francuskiego, złotem szytego fraka, białej atłasowej z baskinami kamizelki, takichże „culottów", koronkowego żabotu, białych jedwabnych pończoch i trzewików z srebrnymi sprzączkami. Voila!

Wiedeńska gazeta wysokich sfer — „Wiener Salonblatt" — rozpisywała się o wrodzonym uroku, elegancji i szarmie hrabiny von Thun, o wytwornych przyjęciach na których gromadziła *śmietankę arystokracji oraz stołeczny świat dyplomacji i sztuki.* Sama hrabina Gabriela tak została scharakteryzowana: *piękna, uprzejma, brawurowa amazonka, dobrodziejka, mecenaska sztuk, elegancka łyżwiarka, wirtuozka fortepianowa, inteligentna i dowcipna pani domu... magnes dla ludzi ducha, polityki i sztuki.*

Zwieńczeniem jej towarzyskiej pozycji był zawarty w Wiedniu 30 maja 1893 roku ślub z austriackim arystokratą, hrabią Feliksem Leopoldem von Thun und Hohenstein. W tym czasie był on komendantem cesarskiej przybocznej konnej gwardii w Wiedniu. Później hr. Feliks awansował, został adiutantem cesarza, a w czasie Wielkiej Wojny marszałkiem armii austriackiej. Ślub tej pary odbił się szerokim echem w wiedeńskich kręgach. „Wiener Zeitung" — stołeczny dziennik, tak opisywał toaletę panny młodej: *Hrabianka Gabriela Larisch miała na sobie ozdobiony haftem „Point d'Aiguilles" gorset z hiszpańskim spenserkiem, na szyi brylantowy krzyż, w wianku ze świeżej mirty brylantową gwiazdę, na zwiewnym welonie ozdoby z mirtowych bukiecików. Powłóczysty długi tren z francuskiej mory ozdobiony był bogato brabanckimi koronkami i mirtowymi gałązkami.* Po ślubie wraz z *bardzo miłą i sympatyczną hrabiną Gabrielą* — jak wspominał Rosco-Bogdanowicz — *prowadzili na gruncie wiedeńskim wielkoświatowe życie. Hrabina stała się jedną z czołowych pań wiedeńskiego towarzystwa, której salon był równie wytworny jak i ekskluzywny, i która darzyła mnie zawsze uprzejmą i miłą serdecznością.*

Młodzi małżonkowie zainstalowali się w rodowych dobrach hrabiny Gabrieli w Kończycach Wielkich. Niebawem przystąpili do przebudowy pałacu w duchu modnego wówczas francuskiego neobaroku, natomiast wnętrza wyposażone zostały w najnowsze angielskie urządzenia higieniczne. Hrabina Betka Potocka z Łańcuta z zazdrością wspominała: *Bywałam też często w Kończycach u Thunów, których zamek przebudowany był z ostatnim wyrazem komfortu w angielskim guście urządzony. Tam zawsze podziwiałam konie huntery, ładnie utrzymane siodła i wędzidła, a także polerowane srebra na stole. Patrzyłam z upodobaniem na tace ze śniadaniem,*

Feliks hr. Thun z córką.

które do pokoju przynoszono, urządzenie biurek w gościnnych pokojach, ze wszystkim co potrzeba było...

Po przeniesieniu się do Kończyc młoda mężatka zaczęła przedkładać nad wiedeńskie, nie mniej dobre sklepy i magazyny Cieszyna, który wtedy przeżywał swój największy rozkwit. Jedna z cieszyńskich pań wspominała: *Więc po kapelusiki modne na zimę i wiosnę, po toczek i czapeczki na bal jechały damy do pani Zofii Leitner (potem Białek) na Głęboką, która, pełna zawsze powagi i grzeczności, dogadzała każdej, a ekspozycją nieustającą jej elegancji była głowa pani Gabrieli Thun z Kończyc. Wina najwyborniejsze, bo prosto z Węgier i Francji, były w piwnicy pana Turka, też na Głębokiej. Po rękawiczki wiedeńskie, perfumy, biżuterje, bronzy, kryształy i różne graciki na przyjacielskie upominki jechano do Henryka Grünfelda pod małymi laubami na Głębokiej, gdzie już pachniał śliczny magazyn, w którym zawsze można było spotkać kogoś z eleganckiego świata. Żadna wyprawa panny, wychodzącej za mąż, nie obeszła się bez srebra gotowalnianego i herbatniego roboty złotnika Pfeifera. Najlepsze frendzle, guziczki szmuklerskie i jedwabie były od Belloniego też na Głębokiej. Sukna zaś najlepsze były u Aufrichta na Placu św. Krzyża, kupca sumiennego. Cukiernie były najliczniejsze. Z pierwszych najsławniejsza Rudolfa Bartha z wyrobami Meinla na Głębokiej ulicy, z drugich — Klement na Rynku. Zacząwszy od głów damskich, zakończmy na nóżkach. Sławnym natenczas szewcem był Izydor Löwy, u którego gdy w wigilię balu obstalowywano trzewiki białe, on odmawiał je robić, mówiąc: „Ani ja, ani doktor Hinterstoisser nie pomożemy, gdy nas za późno wołają!"*

Jednakże zewnętrzny polor światowej damy krył „drugą" Gabrielę: osobę wrażliwą na ludzką krzywdę i biedę, która czynem i poświęceniem wcielała w życie chrześcijańskie przykazanie pomocy bliźniemu. Salony Gabrieli hrabiny Thun rozbrzmiewały nie tylko wiedeńską muzyką i wielkoświatowym gwarem, ale stały się także miejscem, gdzie dyskutowano o sposobach wsparcia potrzebujących i przygotowywano dla nich pomoc. Gdy tylko z mężem zamieszkała w swym rodowym majątku w Kończycach Wielkich, od razu rozpoczęła dobroczynną działalność, którą niezmordowanie konty-

nuowała do końca życia. Początkowo, wzorem swej matki, organizowała skromne imprezy dla biednych dzieci z okolicy, później charytatywna praca ulegała rozszerzeniu, szczególnie na terenie Cieszyna.

W 1902 r. została przewodniczącą cieszyńskiego Czerwonego Krzyża, przeprowadzała zbiórki na Szpital Śląski, a w 1910 r. doprowadziła do zbudowania w nim pawilonu dziecięcego, nazwanego jej imieniem. Przyczyniła się do powstania w Cieszynie ochotniczego pogotowia ratunkowego oraz powołała Towarzystwo Ochrony Zwierząt. Za swe zasługi została przyjęta w poczet honorowych obywateli miasta Cieszyna.

Podczas I wojny światowej pracowała jako siostra Czerwonego Krzyża, natomiast lata powojenne poświęciła na pomoc ofiarom wojny i ich rodzinom. W swoich Kończycach Wielkich założyła przytułek dla inwalidów wojennych im. kpt. Cezarego Hallera. Jak wspominała Zofia z Grabskich Kirkor-Kiedroniowa, po bohaterskiej śmierci od czeskiej kuli Cezarego Hallera dnia 26 I 1919 r. *zwłoki jego umieszczone zostały w kaplicy zamku w Kończycach Wielkich, których właścicielami byli hrabiostwo Thun-Hohenstein. Hr. Thunowa (...) czuła zadziwiającą sympatię do Polaków i dała tego liczne dowody.* Przewodniczyła i patronowała wielu organizacjom charytatywnym na Śląsku Cieszyńskim: Poradni dla młodych matek, Schronisku dla dzieci i młodzieży, Towarzystwu „Żłobek", Towarzystwu Patronatu nad więźniami i wielu innym. W 1926 r. hrabina, jako przewodnicząca niemieckiego Stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich, wespół ze Stefanią Michejdową z ramienia Koła Polek, zainicjowały akcje porządkowania grobów żołnierskich na cieszyńskim cmentarzu, zwracając uwagę, że poległym, bez względu na narodowość i mundur, należy się szacunek.

Te i inne czyny przyniosły hrabinie Gabrieli uznanie państwowych władz w postaci orderu „Polonia Restituta".

Dzieci hrabiostwa przygotowane do wyjazdu ze słodyczami dla swych rówieśników w Kończycach Wielkich. Zdjęcia ze zbiorów Muzeum Śląska Cieszyńskiego.

Mało znany jest patriotyczny wątek działalności hrabiny. Pomimo że była Austriaczką i w takim duchu była wychowana, zawsze manifestowała swoje przywiązanie do rodzinnego Śląska Cieszyńskiego, nawet, a może przede wszystkim, w najbardziej niespokojnych i niebezpiecznych czasach. W 1914 r. na równi z Polakami wspierała czyn legionowy Piłsudskiego, którego poznała osobiście w Cieszynie. Klemens Matusiak, jeden z uczestników przewrotu wojskowego w Cieszynie w 1918 r. wspomina, jak wysłał oficera do hr. Thunowej do Kończyc z prośbą o odstąpienie swego auta dla celów Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. *Hrabina zgodziła się bez oporu* — pisał — *i posłała nawet swego doskonałego szofera do dyspozycji. Szofer ten zginął podczas walk z Czechami...* Gdy w 1919 r. w Cieszynie przebywała Komisja Aliancka, hrabina często organizowała dla jej członków przyjęcia i kolacje w „Hotelu pod Jeleniem" w imieniu polskich środowisk Cieszyna. Wykorzystywała wtedy swoją wysoką pozycję, znajomość form i języków, ośmielając do bliższych kontaktów towarzyskich z aliantami nieśmiałe polskie panie. Na jednym z takich wieczorków, jak wspominała Kirkor-Kiedroniowa — *Panie cieszyńskie trzymały się na uboczu, zażenowane nieznajomością języków obcych i skromnością stroju, rażącego przy pięknych toaletach hr. Thunowej i jej córek. Koło hrabiostwa zgrupowali się panowie z Komisji, co zresztą złe nie było, bo Rada Narodowa dlatego zaprosiła Thunów, iż hrabina dobrą była ambasadorką polskiego Śląska.* Nic więc dziwnego, że tuż po wojnie hrabina przyjęła obywatelstwo polskie.

Swojej działalności nie zaprzestała także podczas II wojny światowej. Austriaków uważała za tchórzy, którzy z łatwością podporządkowali się Hitlerowi i obiecała sobie, ze nigdy już jej noga w ukochanym Wiedniu nie postanie, czego dopełniła. Po klęsce wrześniowej pomagała szczególnie polskim jeńcom i więźniom, wykorzystując swe pochodzenie i koneksje. Interweniowała w sprawie ich zwolnienia z obozów jenieckich, wstawiała się za osobami osadzonymi w więzieniach i obozach koncentracyjnych, ratując życie wielu Polakom. W swym majątku w Kończycach zatrudniała Polaków, pozwalając im przetrwać wojnę.

W 1945 r. cały jej majątek uległ konfiskacie, co przyjęła z chrześcijańską pokorą słowami Hioba: *Bóg dał, Bóg wziął, Jego imię niech będzie sławione.* Zamieszkała w skromnych warunkach w Cieszynie przy ul. 1 Maja (na parterze narożnej kamienicy nad amfiteatrem), razem z oddanymi siostrami Miksch. Utrzymywała się dzięki cichemu wsparciu części ludności Kończyc Wielkich i pomocy przyjaciół z Cieszyna, szczególnie rodzinie doktora Dalskiego, u którego na ul. Głębokiej była codziennym gościem. „Dobra Pani" zmarła w Cieszynie 18 października 1957 r. w klasztorze sióstr boromeuszek. Jej wysoka sylwetka pozostała w pamięci wielu cieszyniaków, a ludność Cieszyna i Kończyc Wielkich uczciła zasługi hrabiny Gabrieli Thun biorąc więcej niż liczny udział w jej pogrzebie. Postać hrabiny stała się nie tylko legendą i symbolem minionej epoki, lecz przede wszystkim przykładem poświęcenia dla innych i prawdziwego chrześcijańskiego miłosierdzia.

NASZA PRZESZŁOŚĆ W DOKUMENTACH

KRONIKA GRÓDKU

STANISŁAW ZAHRADNIK

Nie ulega wątpliwości, że do odtworzenia przeszłości niezbędna jest odpowiednia baza źródłowa. Jej brak często utrudnia, a nawet uniemożliwia przedstawienie rzetelnego obrazu historycznego. Wśród pisanych dokumentów istotną rolę odgrywają kroniki.

Ustawa czechosłowacka z 30 stycznia 1920 roku zobowiązywała organizacje i instytucje państwowe do prowadzenia kronik, zawierających chronologiczny zapis ważniejszych wydarzeń z życia danej organizacji czy instytucji. Zgodnie z rozporządzeniem, urzędy gminne i szkoły przystąpiły w latach 20. do zakładania kronik. Organizacje społeczne czyniły to rzadko. Najbardziej powołanym do prowadzenia kroniki był wówczas nauczyciel i rzeczywiście to jego najczęściej spotykamy w tej funkcji. Po II wojnie światowej nastąpiły pod tym względem pewne zmiany. Prowadzenie kronik nadal obowiązywało, ale w wypadku szkół zostało na początku lat 90. ubiegłego wieku zniesione; na szczęście szkoły w zdecydowanej większości nadal kroniki prowadzą. Równocześnie coraz częściej spotykamy się z kronikami w organizacjach i stowarzyszeniach społecznych. Funkcję kronikarzy, obok nauczycieli, coraz częściej też pełnią osoby do tego powołane. Nasze Zaolzie zostało w ubiegłym półwieczu wzbogacone m.in. dziesiątkami wzorowo prowadzonych kronik Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i jego jednostek organizacyjnych.

Dziś przy korzystaniu z kronik powinniśmy pamiętać o ich plusach i minusach. Ich poziom jest uwarunkowany zdolnościami i rzetelnością kronikarza. Wartość dokumentalna kronik w warunkach zaolziańskich wzrasta ze względu na brak innych źródeł. Często zawarte w nich informacje, spisywane na bieżąco przez kronikarza, są jedynym źródłem wiedzy na temat danego wydarzenia i z konieczności bardzo dużo zależy od tego, na ile wiernie zostały utrwalone. Istotny wpływ na sposób interpretacji wydarzeń przez kronikarza miały czynniki polityczne, narodowościowe, wyznaniowe. Nie bez znaczenia był charakter opisywanej organizacji czy instytucji. Na

Zaolziu ze zjawiskiem tym spotykamy się zwłaszcza w kronikach gminnych (miejskich) i szkół czeskich w okresie od międzywojnia do czasów współczesnych.

Po wstępnych uwagach skoncentruje się na udokumentowaniu powyższego na podstawie materiałów pomocniczych do kroniki gminnej w Gródku, pisanej przez kierownika miejscowej szkoły ludowej, Pawła Heczkę (ur. w 1876 roku).

Został on wybrany kronikarzem gminnym na mocy uchwały Wydziału Gminnego z dnia 25 III 1924. Bezpośrednio po maturze w 1895 r. był nauczycielem w Nydku, w latach 1906—1931 kierownikiem miejscowej polskiej szkoły ludowej. W kronice udało mu się uchwycić ciekawe, mało znane momenty z życia gminy gródeckiej, idące powoli w zapomnienie. Warto je tu w obszernych fragmentach przytoczyć (z zachowaniem oryginalnej pisowni). Dodaję, że nie chodzi tu o kronikę gminną, ale o zapiski przygotowawcze do niej. Przedstawiają one czasem większą wartość dokumentalną, bo nie uległy jeszcze przystosowaniu do potrzeb właściwej kroniki.

KAMIENIOŁOMY

Około r. 1900 otwarto w Gródku kamieniołomy. Jeden znajdował się „na Gaci" i należał do Maksymiliana Krasnego z Mor. Ostrawy, drugi „w Zarnówce". Należał on do budowniczego arch. Fuldy z Cieszyna. Trzeci znajdował się pod „Działem" i należał do budowniczego Kamca z Cieszyna. Za pracą przyszli do Gródku liczni kamieniarze z Czech, Jugosławii i innych krajów, którzy nauczyli miejscową ludność nie tylko „kamieniarki", ale i pijaństwa oraz złych obyczajów. W kamieniołomach zarabiali robotnicy dobrze, ale też prawie cały zarobek zostawiali w miejscowych gospodach, tzn. u Kurzmana i w gospodzie gminnej u Stefka. Oprócz tego w każdym kamieniołomie utrzymywał dozorca („paler") własną kantynę, w której sprzedawał wódkę, chleb, kiełbasę, kwargłe i tytoń. Z powodu nadmiernego używania alkoholu, słabego odżywiania oraz ciężkiej pracy zapadali często robotnicy na różne choroby (najczęściej płucne) i w bardzo młodym wieku umierali. I też podczas spisu ludności w r. 1911 (miało być *1910 — S.Z.) naliczono w Gródku więcej wdów, aniżeli mężatek [...].*

Dalsze przytoczone wydarzenia pochodzą z okresu walk o Śląsk Cieszyński, bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej.

WOJNA CZESKO-POLSKA

Czesi nie czekając na przeprowadzenie plebiscytu na Śląsku Ciesz. przekroczyli dnia 23. I. 1919 linię demarkacyjną i rozpoczęli regularną wojnę z Polakami. Wojska czeskie prowadził generał Snejdarek, znów wojska polskie pułkownik Latinik. Wojsk polskich było bardzo mało, ponieważ wszystkie bataliony zapasowe wysłano pod Lwów, gdzie wrzały walki

z Ukraińcami. Do południowej części Śląska wkroczyli Czesi dnia 24. I. 1919 a to od strony Czadcy. Pociągi przestały kursować a tłumy ludności uciekały w popłochu na wschód. Ponieważ wojska prawie że nie było, chwyciła za broń i ludność cywilna. Byli to przede wszystkim robotnicy z hut trzynieckich, górnicy karwińscy i studenci z cieszyńskiego i orłowskiego gimnazjum oraz seminarium.

Około godziny 11-tej dnia 24. I. 1919 przybył do Gródku oficer polski z kilku żołnierzami, przerwał druty telegraficzne i wysadził most nad podjazdem kolejowym poniżej szkoły. Trzy silne wybuchy zniszczyły zupełnie most. Szyby w szkołach jedynie ocalały, ponieważ okna były otwarte. Wojska czeskie posuwały się od południa wzdłuż kolei koszycko-bogumińskiej a na przodzie jechał pociąg pancerny. Na granicy nawiejskiej stawili im czoło robotnicy trzynieccy, którzy bronili się przeszło godzinę. Widząc jednak, że przewaga jest znaczna wycofali się w stronę Trzyńca. Wojska czeskie wkroczyły do Gródku około godz. 3-ciej popoł. Od razu przeprowadzono rewizję w niektórych domach i zaaresztowano następujących obywateli: P. Kowalskiego (nr 46), Pawła Rabina (nr 65), Pawła Ondrusza (nr 14 — starca 60-letniego), Jerzego Czudka (nr 115), jego brata i kilku obcych znajdujących się w gospodzie w Gródku. Wszystkich wywieziono przez Słowaczyznę na Morawy. Zaaresztowano również wójta Jana Młynka i kier. Pawła Heczkę pod zarzutem, że oni wysadzili most kolejowy. Obaj jednak tego samego dnia wieczorem wypuszczeni na wolność. W szkole zakwaterowali się oficerowie czescy, ale zjadłszy kolację, pomaszerowali dalej.

Około północy przybył do szkoły patrol polski i przeszukał cały budynek szkolny. Nie znalazł jednak żołnierza czeskiego, ponieważ ci siadłszy do pociągu pojechali w stronę Czadcy. Dwie godziny później przybyła kompania wojska polskiego i zakwaterowała w szkole. Około godziny 4-tej nad ranem dał się słyszeć straszny huk i brzęk szkła w oknie. Myślano z początku, że to Czesi strzelają z armat, ale prędko przekonano się, że w lewej klasie na I. piętrze wybuchł w piecu granat ręczny, który tam Czesi zostawili. Na szczęście nikt nie został ranny, ponieważ żołnierze spali pomiędzy ławkami. Odniósł to tylko piec, urządzenie klasy a przede wszystkim szyby w oknach. Rano wojska polskie wycofały się w stronę Mostów koło Jabłonkowa.

W następnym dniu, tzn. 26. I. 1919 odbywały się wybory do Sejmu w Warszawie. I w Gródku wybierano, ale tylko do godz. 11-tej przed południem, ponieważ w tym czasie przyszły pogłoski, że Czesi wracają do Gródku przez Milików. Ludność ogarnęła panika i też na gwałt zaczęto pakować niektóre rzeczy. Więcej zaangażowani Polacy — jak kier. P. Heczko i naucz. J. Heczko wywędrowali w stronę Cieszyna. Paweł wrócił do Gródku po 5 tygodniach, znów Jan już po 3-ech tygodniach. Pogłoska o Czechach się sprawdziła, ale niezupełnie, ponieważ nie przybyli oni od strony Milikowa, tylko od strony Frydku i przy Cieszynie połączyli się ze swoimi wojskami

nacierającymi od strony Karwiny. Wojska czeskie wycofały się przez Cieszyn aż po Skoczów, gdzie przyszło do wielkiej bitwy. W tym czasie przyszedł rozkaz z Paryża wstrzymania wszelkich kroków wojennych i wycofania czeskich wojsk na nową linię demarkacyjną, która biegła przez Łomną Dolną, Boconowice, Milików, Zaolzie, Karpętną, Oldrzychowice. Poza tą linią demarkacyjną odstępowali czesi pieniądze, znów po polskiej stronie zostały stare pieniądze austr. nieostęplowane.

Powyższe ujęcie wypadków styczniowych 1919 roku przez kronikarza P. Heczkę nie jest zawsze ścisłe, w rzeczywistości sytuacja była bardziej złożona. Kolejne przytoczone tu wydarzenie dotyczy założenia miejscowej szkoły czeskiej. Szkoła ludowa powstała w Gródku w 1869 roku. Początkowo nie nosiła oficjalnie nazwy polskiej, ponieważ inna w tej gminie nie miała racji bytu. Świadczą o tym wyniki spisu ludności z 1880 roku, kiedy narodowość polską zadeklarowało 793 spośród 795 mieszkańców wioski; jedna osoba była narodowości czeskiej i jedna niemieckiej. Po podziale Śląska Cieszyńskiego sytuacja uległa istotnym zmianom. Spis z roku 1921 wykazał, że wśród 900 obywateli było 708 (78,7%) Polaków i 192 (21,3%) Czechów (S. Zahradnik: Spisy ludności 1880—1991, Trzyniec 1991, s. 39), więc założenie szkoły czeskiej stało się sprawą aktualną.

SZKOŁA CZESKA W GRÓDKU

Powstała ona w Gródku w r. 1923 a to na mocy rozporządzenia min. Szkoln. i ośw. lud. w Pradze z dnia 30. X. 1923, L. 131381/23. Była to szkoła państwowa — mniejszościowa i podległa wprost min. Szk. i ośw. lud. Wpisy przeprowadził naucz. Rosendorf. Na początek zapisało się 28 dzieci — pod koniec roku było 36. Nauka odbywała się w jednej klasie w pol. szkole ludowej za co gmina otrzymywała z minist. 1.000 Kcz rocznie tytułem najemnego. W r. szk. 1924-25 zapisało się 34 dzieci — uczył naucz. Jaroslav Vojta, w r. szk. 1925-26 38 dzieci — uczył naucz. V. Vanis. W tym czasie w szkole polskiej było 142 dzieci.

Końcem miesiąca listopada 1925 r. przystąpili Czesi do budowy własnego budynku szkolnego. Budowę prowadziła fa Richter a Nosek z Czes. Cieszyna. Poświęcenie kamienia węgielnego nastąpiło 29. IV 1926, znów poświęcenie gotowego budynku 3. X. 1926. Kolaudacja szkoły 24. X. 1926. Przeniesienie dzieci do nowego budynku odbyło się 1. XI. 1926. Kierownikiem czeskiej szkoły był Em. Dvorak. Na rok szk. 1926-27 zapisało się 47 dzieci i 1. X. 1926 otwarto drugą klasę.

Ciekawy zapis dotyczy założenia gródeckiego cmentarza z kaplicą cmentarną. W Gródku od czasów reformacji większość mieszkańców była wyznania ewangelickiego. Na przykład w 1921 roku wyznanie ewangelickie deklarowało 714 osób, rzymskokatolickie 219, przynależność do Kościoła Czechosłowacko-Słowackiego — 3, do innego wyznania — 1 (Śląskie Wiadomości Statystyczne. V Rok, zeszyt 10. Październik 1938, s. 18). Gmina do

początku lat 20. ubiegłego stulecia nie posiadała kościołów ani cmentarza. Życie codzienne wymagało zmiany.

EWANGELICKI CMENTARZ I KAPLICA W GRÓDKU

Ludność Gródku uczęszcza do dziś dnia do kościołów w Nawsiu albo też Bystrzycy, ponieważ kościołów w Gródku nie ma. Wiele trudności sprawowały pogrzeby, ponieważ miejscowości te są dosyć odległe. Dlatego też w r. 1923 założono w Gródku cmentarz ewangelicki. Poszerzone zastępstwo zborowe stało się równocześnie prezbiterium cmentarnym. Przewodniczącym był Jan Młynek, który był równocześnie kuratorem zboru.

Dnia 29. IV. 1923 zakupiło prezbiterstwo pole o wymiarze 15 a 1 m² za 2.800 Kcz. Pierwszy datek na budowę kaplicy złożył Jan Nikodem z Ameryki (syn Adama Nikodema Nr. 28), który ofiarował na ten cel 14.180 Kcz, poczem 14.100 Kcz a wreszcie 10.090 Kcz — czyli razem 38.370 Kcz. Oprócz tego zakupił 2 dzwony.

Budowę kaplicy rozpoczęto 10. IX. 1923 r. a dokończono w r. 1924. Poświącka odbyła się 1. VI. 1924. Koszta budowy wynosiły 73.361 Kcz. Oprócz tego miejscowa ludność wykonała niektóre prace bezpłatnie — również furmanki były gratisowe. Dług w wysokości 18.255 Kcz spłacono z różnych składek i dobrowolnych darów.

Z powyższego wypływa wniosek, że i takie publiczne obiekty powstawały jedynie dzięki ofiarności miejscowych obywateli i darczyńców, o czym nie powinniśmy zapominać.

Trzyniec, grudzień 2005

Autentyczne

Kawiarnia i restauracja „Pod Jeleniem" były znane — i lubiane — nie tylko dzięki dobrej kuchni.

Na ich renomę pracowali zwłaszcza kelnerzy, z których szczególnie jeden, niezapomniany Stanisław Strużyk — do gości zwracał się mową wiązaną.

Obiekt wzniesiony na początku XX wieku, w latach sześćdziesiątych wymagał już pilnego remontu. Zanim do tego doszło, w zapleczu zagnieździły się... szczury. Stały się do tego stopnia bezczelne, że od czasu do czasu „zaglądały" nawet do kawiarni. Można było wtedy podziwiać refleks i przytomność umysłu kelnerów, którzy... kopniakami „przypominali" gryzoniom, gdzie jest ich właściwe miejsce...

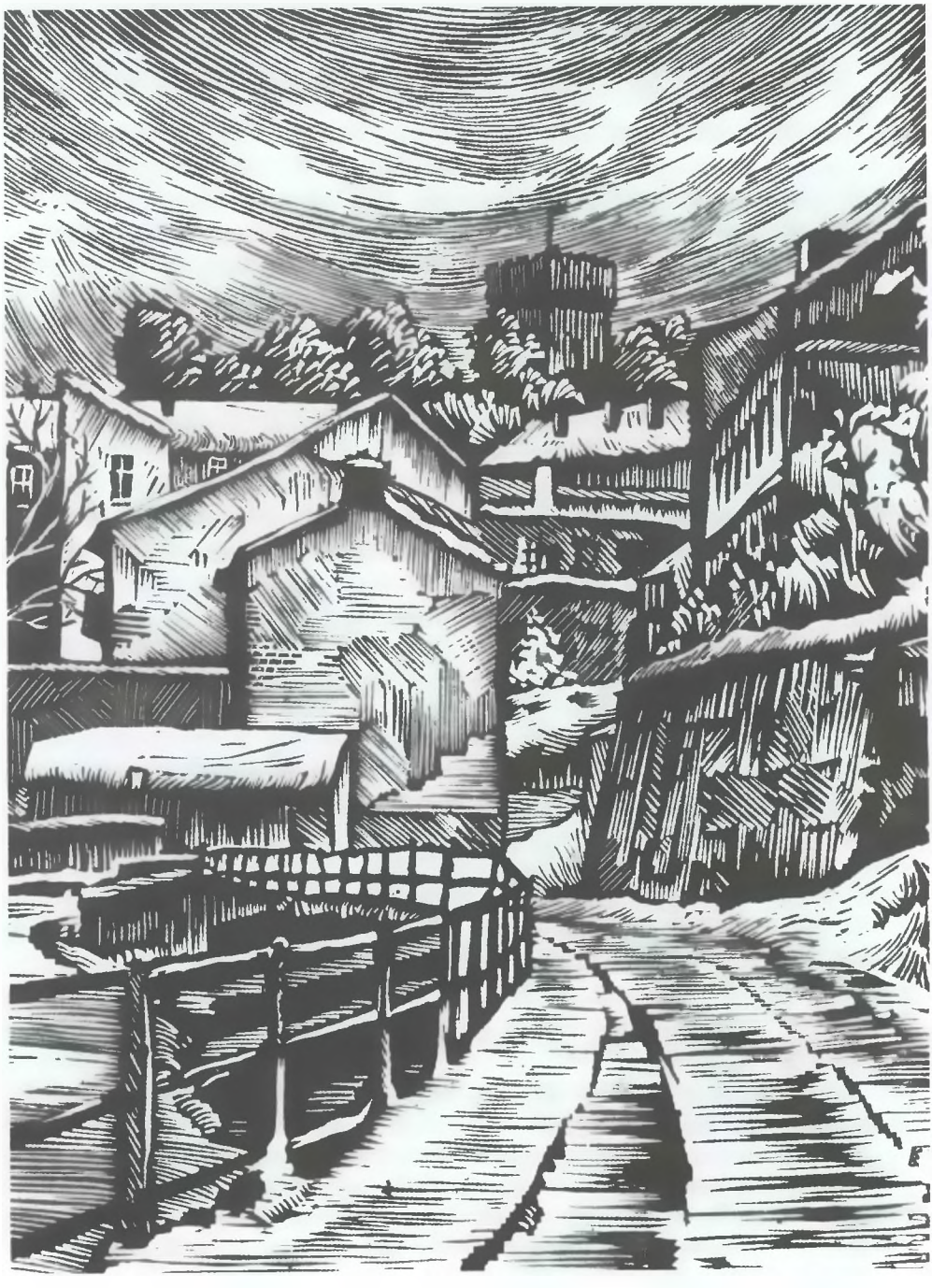

Bronisław Kohut — *Cieszyńska Przykopa*, linoryt.

ZACHOWAĆ W PAMIĘCI

JADWIGA ROIK

Każdemu się wydaje, że zawsze będzie pamiętał ważne wydarzenia ogólne i własne, nigdy nie zapomni nazwisk ludzi, z którymi przez pewien czas był związany, a którzy wyróżniali się swoją pozytywną działalnością i wpisali do historii swojego miasta czy wsi. Dużo wydarzeń z przeszłości zarejestrowanych jest także na fotografiach, których w większości się nie opisuje, bo „jakże mógłbym zapomnieć"? Aż tu nagle, oglądając je po latach, łapiemy się na tym, że niestety ulotna pamięć nie pozwala nam przypomnieć sobie nazwiska długo znanej, ale i długo już nie widzianej osoby, czy też okoliczności zarejestrowanych na zdjęciu. Dlatego tak bardzo cenne są zdjęcia z opisami na odwrocie. Jest takie powiedzenie, że „zdjęcie zamraża chwilę, która staje się wieczna".

W wielu domach często znajduje się dużo starych fotografii, jednakże nie potrafimy zidentyfikować nie tylko uwiecznionych na nich ludzi, ale także sfotografowanych miejsc i domów. W ostatnim czasie w gronie członków Towarzystwa Miłośników Jaworza zgromadzono sporo takich fotografii i trzeba powiedzieć, że na niektórych z nich, nawet z nie tak odległych czasów (np. zdjęcia klasowe), udało się zidentyfikować zaledwie kilka osób.

Planowane posiady, pt. „Spotkanie z przeszłością w fotografii", wymagać będą jeszcze wiele pracy.

Dorośli, oglądający albumy swoich nieżyjących już rodziców i dziadków, widzą obok nich zaprzyjaźnionych z nimi bliższych i dalszych krewnych oraz znajomych, ale w ogromnej większości nic o nich nie wiedzą, a także nie znają ich imion i nazwisk. A wiadomo, że w życiu każdego człowieka przychodzi taki moment, że chciałby wiedzieć jak najwięcej o przeszłości związanej z jego przodkami. Dlatego bardzo cenne jest wdrażanie dzieci i młodzieży do opisywania fotografii. Wbrew, bowiem, pozorom, że dziś wszystko mamy dzięki komputerom w zasięgu ręki, właśnie ten tradycyjny, opisany album był, jest i będzie najbardziej trwałym dokumentem dotyczącym naszej rodzinnej przeszłości.

Jaworze — fragment Centrum widziany z góry Borowiny (718 m). Podczas dobrej pogody widoczność sięga kilkudziesięciu kilometrów. Na horyzoncie można dostrzec pas zapory wodnej w Goczałkowicach.

Dobrym zwyczajem jest także zamieszczanie zdjęć na nagrobkach. Powtarzające się na przestrzeni lat te same nazwiska utrudniają odnalezienie właściwego grobu. Często bowiem nie zna się dokładnej daty zgonu poszukiwanego zmarłego. W okresie międzywojennym pracował w Szkole Powszechnej w Jaworzu Dolnym znany starszemu pokoleniu nauczyciel rysunków Jan Kula z Hażlacha. Zawiązane tu w tym okresie przez niego przyjaźnie spowodowały, że prawie do końca swojego życia (zmarł w 2000 roku, w 90. roku życia) przyjeżdżał rokrocznie do Jaworza po to, żeby porozmawiać z tymi, których dobrze znał. Każdego roku było ich mniej wśród żywych, a coraz to więcej na cmentarzach. Przyszedł czas, że odwiedzał już tylko cmentarze. Skrupulatnie notował co roku w specjalnym zeszycie każdego, kto przeniósł się do wieczności, zamieszczając równocześnie krótkie wspomnienie o jego działalności. Wiedział on więcej o dawnych mieszkańcach Jaworza, aniżeli większość jaworzan.

Towarzystwo Miłośników Jaworza w roku 1987 (wówczas jeszcze zamiast „Jaworza" — „Ziemi Jaworzańskiej") postanowiło z okazji siedemsetlecia Jaworza wydać cykl broszur o nazwie *Nasz Głos* i drukować w nich wspomnienia o ludziach, którzy zasługują na pamięć. Wydanych zostało kilka życiorysów. Od listopada 1991 r., staraniem ówczesnego wójta Pawła Mularza, powstała w Jaworzu gazeta lokalna o nazwie „Echo Jaworza", która kontynuuje ten piękny zwyczaj. Życiorysów zebrało się sporo — tak, że

starczyłoby na wydanie broszury. Może znajdzie się kiedyś ktoś, kto pokusi się o zebranie tego w jedną całość.

Ważnym źródłem historycznym są kościelne księgi metrykalne i cmentarze. Wiadomo, że nie wszystkie groby zmarłych na przestrzeni lat mieszkańców są zachowane. W przeważającej mierze istnieją one do trzeciego, a rzadziej do czwartego i dalszego pokolenia. Brak potomków, wykorzystanie grobów przez rodzinnych następców dla członków rodzin zmarłych w późniejszym czasie i w wyniku innych przyczyn powoduje, że groby te znikają. Pozostają jednak zapisy w księgach metrykalnych, które stanowią cenną historię każdej miejscowości.

Na cmentarzu katolickim w Jaworzu, poza hrabiowską częścią cmentarną, zachowało się, dzięki żyjącym jeszcze rodzinom kilka starych grobów, którym jednak również grozi w krótszym czy dłuższym czasie zniknięcie z cmentarza, głównie z uwagi na brak żyjących potomków.

W związku z tym Społeczna Rada Ochrony i Odnowy Zabytków, w składzie której znajdują się przedstawiciele prawie wszystkich miejscowych organizacji społecznych, postanowiła sporządzić spis grobów, które należałoby zachować ku pamięci potomnych i otoczyć odpowiednią opieką. Lista ta nie jest na razie zamknięta, mogą w niej jeszcze nastąpić zmiany, czy też dalsze uzupełnienia. Sporządzono krótką charakterystykę kilku postaci zamieszczonych na tej liście, których nazwiska nie powinny zniknąć z historii naszej gminy. Wybrano ludzi, którzy nie byli jaworzanami, ale los rzucił ich do Jaworza, które pokochali i spędzili w nim swoje życie oraz spoczęli na miejscowym katolickim cmentarzu.

JÓZEF SLADECZEK (1813—1883) — kierownik szkoły katolickiej w Jaworzu Dolnym, wybudowanej w 1829 r. przez ówczesnego właściciela dóbr jaworzańskich Filipa Ludwika hrabiego Saint-Genois. Józef Sladeczek, rodem z Paskowa na Morawach (należącego do Filipa Ludwika) podjął pracę w tej szkole w 1836 r. Nauczyciele nie mieli wówczas lekkiego życia. Ten młody, energiczny nauczyciel, widząc trudności, z jakimi borykały się dzieci uczące się z czeskich książek, w październiku 1837 r. wniósł prośbę do inspektoratu szkolnego o przydzielenie mu polskich podręczników. Ta śmiała i pierwsza w okręgu szkolnym petycja poskutkowała. W roku 1840 jego szkoła jako pierwsza w okręgu szkolnym wprowadziła polskie książki, które Sladeczek sprowadził z sąsiedniej Galicji. Reszta szkół musiała

na nie czekać jeszcze blisko 10 lat, nim ministerstwo zezwoliło w 1848 r. na naukę w języku polskim i nim szkoły zostały zaopatrzone w odpowiednie polskie podręczniki. Dzięki niemu szkoła, jako pierwsza w gminie, została podniesiona do rangi szkoły dwuklasowej. Był bardzo dobrym nauczycielem. Kilka lat starał się o przemianowanie szkoły z jednoklasowej na dwuklasową, co mu się udało, ale osobiście już tego nie doczekał.

■ KAROL FORNER (1854—1905) — dzierżawca majątku hrabiów Saint Genois. Jakie były jego zasługi? Na to pytanie odpowiada artykuł zamieszczony w „Gwiazdce Cieszyńskiej" z dnia 21 października 1905 r. — nr 42:

Jaworze. W poniedziałek, t. j. 9. b. m. o godz. 2. popołudniu odezwały się żałośnym głosem dzwony naszego kościoła, zwiastując nam, iż znowu ktoś z pośród nas został powołany na wieczność, aby złożyć rachunek przed Bogiem i Stworzycielem swoim. Głos dzwonów przeraził tym bardziej i boleśniej serca nasze, gdy się rozeszła wieść, iż tą ofiarą nieubłaganej śmierci, jest nas kochany pan Karol Forner, który zmarł w Cieszynie w szpitalu po ciężkiej operacji i gdzie też jego zwłoki na wieczny spoczynek w środę popołudniu złożone zostały. U nas zostało odprawione uroczyste żałobne nabożeństwo za duszę jego w piątek o godz. 8. rano. Ś. p. pan Karol Forner, który przez lat 13 żył pomiędzy nami jako współparafianin, był też jednym największym dobrodziejem naszego kościoła całej parafii, a zwłaszcza gdy nam trzeba było kapłana do chorego on nam użyczał bezpłatnie przyleżytości bez wyjątku czy w dzień czy w nocy, lub w czasie najpilniejszej pracy. My parafianie nie możemy zapomnieć tego i bardzo ubolewamy nad tym, że człowiek dbały o dobro duszy bliźniego swego, choćby najbiedniejszego, który zawsze był gotowy i w każdej porze dnia sprowadzić kapłana z ostatnią pociechą do konającego, sam nie miał tego szczęścia ani nawet człowieka, któryby mógł był w ostatniej chwili jego życia tę przysługę wyświadczył. Pytamy się więc, czyby w takim szpitalu w Cieszynie, utrzymywanym kosztem kraju, nie mógł mieszkać kapłan, któryby na każde skinienie przyszedł ze św. Sakramentami do chorych i konających? Czy nie ma kogo, któryby tę sprawę poruszył? Ś.p. pan Karol Forner był także członkiem „Wydziału czytelni;, zaliczając się do narodowości niemieckiej, umiał także szanować narodowość polską, za co też był przez nas Polaków łubiany a którego też możemy stawić za wzór naszym śląskim Niemcom i renegatom. My parafianie składamy jego pozostałej i zasmuconej rodzinie serdeczne dzięki za wszystką pomoc i ofiarność względem nas parafian, jemu zaś najlepiej będziemy wdzięczni, gdy jeden i drugi zmówimy ze szczerego serca pochodzące: lekki odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista, niechaj mu świeci.

Wdzięczni parafianie

Na niniejszy artykuł natrafił kustosz Muzeum Śląska Cieszyńskiego Mariusz Makowski. Ze wspomnień niegdysiejszych robotników leśnych zachowały się informacje o intensywnej walce Karola Fornera z ogarniętymi alkoholizmem licznymi robotnikami leśnymi, którzy domagali się wypłacania im

tzw. dniówek, czyli codziennego płacenia im należności za przepracowane godziny, które to pieniądze były w tymże samym dniu przepijane, a rodziny żyły w coraz to większej nędzy. W jednym z artykułów protestacyjnych robotnicy ci zapytywali, cóż może obchodzić p. Fornera, co robotnik robi ze swoimi pieniędzmi. Potomkowie Karola Fornera nadal mieszkali w Jaworzu i pozostawili po sobie pozytywną pamięć, a ich majątek (dwa domy) przeszedł w 1951 r. drogą fundacji na rzecz sióstr zakonnych. Godzi się przypomnieć, że tragicznie zmarły w 1948 r. wnuk Karola Fornera, więzień polityczny, był założycielem najbardziej prężnej w powiecie bielskim jaworzańskiej organizacji młodzieżowej „Orlęta".

■ JÓZEF JAWORSKI (1860—1930) — wieloletni kierownik szkoły katolickiej, a następnie (po połączeniu w r. 1902 obu szkół) dyrektor szkoły powszechnej. Przybył jako nauczyciel do Jaworza z niedalekiego Pogórza. Był niezwykle pracowity i obowiązkowy. Po pewnym czasie ożenił się z córką kierownika Sladeczka. Był współautorem podręcznika szkolnego w języku niemieckim dla szkół powszechnych, w którym jego autorstwa był dział przyrodniczy opisujący bardzo szczegółowo wszystkie znajdujące się na tym terenie gatunki drzew, krzewów, roślin, włącznie ze wszystkimi odmianami traw, zwierząt, ptaków, ryb, gadów i owadów. Niezliczone ilości wymienionych gatunków zostały starannie oznaczone w języku niemieckim, polskim i łacińskim. Po 40 latach pracy, gdy odchodził na zasłużoną emeryturę, Zarząd Gminny wręczył mu pamiątkowy złoty zegarek z dedykacją, co było bardzo wielkim wyróżnieniem. O grób obu wyżej wymienionych zmarłych dba na razie, też już wiekowa, prawnuczka zamieszkała w Skoczowie.

■ HENRYK AUGUST JELITA-KISIELEWSKI (1878—1928) — radca skarbu. Ten zmarły potomek zesłańców sybirskich przybył na teren Jaworza po I wojnie światowej z Rzeszowa, z misją utworzenia na terenie miasta Bielska urzędu skarbowego. Był równocześnie założycielem Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", które — istniejąc we wszystkich zaborach — jednoczyło Polaków w działalności patriotycznej. Nie udzielał się bezpośrednio na terenie Jaworza, ale poprzez pracę społeczną na terenie całego powiatu również i Jaworze było w zasięgu jego działalności. Przez pewien czas pełnił funkcję wicestarosty. Jego rodzina została zdziesiątkowana podczas

okupacji (w obozach koncentracyjnych). Ci, którzy przeżyli, wrócili tu po ciężkich przejściach, bo to była ich mała ojczyzna. Zamieszkiwali tu do lat sześćdziesiątych ub. wieku. Kilku członków tej rodziny również spoczywa na miejscowym cmentarzu. W okresie ich pobytu w Jaworzu odwiedzał ich bliski krewny — znany i ceniony w Polsce publicysta Stefan Kisielewski — zwany potocznie „Kisielem", o czym pisze on w kilku swoich wspomnieniach. Henryk Kisielewski zamieszkał w Jaworzu na zaproszenie ówczesnego właściciela dóbr jaworzańskich Henryka hrabiego Larischa, który zaoferował mu mieszkanie w swoich zabudowaniach. Wnuki i prawnuki, dorastając, rozproszyły się po Polsce, ale okresowo odwiedzają groby swoich bliskich. W rozmowach ze znanymi im jeszcze ludźmi zawsze ze wzruszeniem wspominają spędzone tutaj lata swojego życia.

■ JAN BOZIEWICZ (1864—1941), farmaceuta, jeden z najstarszych działaczy narodowych i społecznych na Śląsku Cieszyńskim — przybył do Jaworza w 1899 r. z małopolskiej, historycznej miejscowości Biecz. Kupił tu aptekę, która była w tym czasie jedyną apteką wiejską na obszarze od Bielska do Skoczowa. Pełen poświęcenia aptekarz, zastępujący wielokrotnie lekarza, a w potrzebie i weterynarza, odegrał ogromną rolę w krzewieniu ducha polskości wśród mieszkańców Jaworza. Cieszył się wielkim autorytetem. Był wspólnie z ówczesnym proboszczem, ks. Józefem Adamusem, założycielem katolickiej czytelni, mobilizował mieszkańców do organizowania odczytów dotyczących treści patriotycznych, urządzania zabaw, z których dochody przeznaczane były na różnego rodzaju społeczne cele. Razem z księdzem Adamusem założył kasę zapomogowo-pożyczkową, która wielu mieszkańcom umożliwiła wybudowanie domu, zakup parceli, czy też pomogła w innych sytuacjach życiowych. Lista jego chlubnych i owocnych osiągnięć jest ogromna, nie sposób przedstawić jej w krótkim wystąpieniu. Czasopismo „Ewangelik" w artykule zamieszczonym w roku 1936 w numerze 36 str. 4, a informującym o zaszczytnym odznaczeniu go Złotym Krzyżem Zasługi, tak m.in. pisze: *...stał u kolebki wszystkich polskich towarzystw i placówek kulturalno-oświatowych i narodowych, piastując w nich najważniejsze godności i pracując z wielkim poświęceniem około ich rozwoju i rozkwitu. Swym czystym charakterem, niezłomnymi zasadami, miłością dla Ojczyzny i wrodzoną wysoko inteligencją, tudzież niezwykłą skromnością, wyróżniał się zawsze pośród szarego otoczenia. Dźwigał zawsze na swych barkach wielki ciężar pracy narodowej, politycznej i społecznej, nie ustawając ani na chwilę w służbie publicznej i nie zniechęcając się do tej pracy żadnymi niepowodzeniami czy przeszkodami.* W 60. rocznicę śmierci redaktor Franciszek Karol Szpok zamieścił w „Echu Jaworza" nr 11/2001 r. artykuł wspomnieniowy przybliżający tę niezwykłą postać.

■ DR TADEUSZ KOSIBOWICZ (1893—1971) — swoje będzińskie życie dyrektora szpitala związał z Jaworzem. W roku 1932 wybudował w Jaworzu wraz z żoną Marią, byłą legionistką, willę wypoczynkową, znaną

przez dziesiątki lat jako willa „Zośka" (imię córki), w której spędzał swój wolny czas, promując Jaworze wśród odwiedzających go znamienitych przyjaciół z bliska i z daleka, co nie pozostało bez echa. W jaworzańskich zbiorach zachowała się fotografia z udziału dra Kosibowicza, wraz z zaprzyjaźnionym z nim poetą Julianem Tuwimem, w poświęceniu pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w 1931 r. Dr Kosibowicz był członkiem komitetu budowy tegoż pomnika. Tadeusz Kosibowicz urodził się w Nowym Sączu, ale za życia zawsze podkreślał, że na miejsce wiecznego spoczynku obrał sobie ukochane Jaworze. Jego siedziba w Jaworzu, do którego „przykleiła" się nazwa „Jaworzański Soplicówek", będąca od kilkunastu już lat w rękach trzeciego z kolei właściciela nie związanego z tą rodziną, nadal budzi zainteresowanie osób zajmujących się historią Jaworza. W domu tym bywali wybitni Polacy, wpisując swoje odwiedziny do pamiętnika córki Zofii, która corocznie spędza w Jaworzu kilka tygodni. Pani Zofia, wdowa po Janie Rydlu (z Rydlów bronowickich znanych z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego), zgodnie z wolą męża lekarza pochowała go w grobowcu rodzinnym w Bronowicach, sama jednak pragnie po swojej śmierci „zamieszkać" w Jaworzu. Dr Tadeusz Kosibowicz był człowiekiem czynu. Nie złamał go nawet pięcioletni pobyt w obozach koncentracyjnych w Dachau, Sachsenhausen Oranienburgu, Majdanku, Gross Rosen i Litomierzycach. Wielu współwięźniów zawdzięcza mu swoje życie. Jego ciekawa droga życia opisana jest w książce Romana Szenka pt. *Rewiry Hipokratesa*, znajdującej się w bibliotece w Jaworzu, a także w artykule redaktora Franciszka Karola Szpoka w gazecie lokalnej „Echo Jaworza" w numerze 91/1999 — str. 8—9 pt. *Zośka pełna sław.*

Może opisane w różnych wydawnictwach ciekawe dzieje Jaworza doczekają się ich powiązania w jednolitą całość i wydania w formie książki.

Cieszyński Związek Nauczycielstwa Polskiego zaprosił emerytowanych pedagogów na spotkanie z kuratorem oświaty z Katowic. Wśród najstarszych znaleźli się Franciszek Bogocz i Jan Żebrok.

Siedzieli przy jednym stoliku. Przysiadł się do nich kurator i nuże wypytywać o emerycką dolę.

Na co Żebrok:

— Ja przed wojną żyłem jak BOGOCZ...

„Wywołany do tablicy" najspokojniej zapewnił:

— Ja zaś żyję jak ŻEBROK...

Jan Wałach — *Dawne czasy,* drzeworyt.

OSTATNI LOT BOHATERÓW PRZESTWORZY

GRZEGORZ KASZTURA

28 sierpnia 1932 roku był wspaniałym dniem w historii polskiego lotnictwa. Załoga w składzie por. pil. Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura wygrała rozgrywane w Berlinie prestiżowe Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych. Zaledwie dwa tygodnie później cały kraj okrył się żałobą na wieść o ich śmierci podczas katastrofy lotniczej, która wydarzyła się 11 września 1932 roku w Cierlicku Górnym na Zaolziu, 75 lat temu.

W latach 20. i 30. ubiegłego wieku polskie lotnictwo przeżywało burzliwy rozwój. Piloci sportowi i wojskowi, konstruktorzy lotniczy wyrastali na narodowych bohaterów. W tym czasie w Europie najbardziej prestiżową imprezą lotniczą, skupiającą uwagę milionów, były Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych, zwane po francusku Challenge International de Tourisme. Pierwsza impreza odbyła się we Francji w 1929 roku, druga w Niemczech dwa lata później. Trzecią, w sierpniu 1932 roku, zorganizował ponownie Aeroklub Niemiec. Niemieccy lotnicy chcieli na swoim podwórku powtórzyć sukces z 1929 i 1930 roku i po raz trzeci wygrać zawody. Wspomagał ich nabierający rozpędu niemiecki przemysł lotniczy.

Pod koniec lat 20. młodziutkie polskie lotnictwo dopiero wkraczało na międzynarodową arenę. Ustanawiano nowe rekordy, budowo pierwsze, rodzime konstrukcje lotnicze. Najbardziej udane lekkie samoloty sportowe konstruowała trójka młodych inżynierów: Stanisław Rogalski, Stanisław Wigura i Jerzy Drzewiecki. Od ich nazwisk maszyny te nosiły oznaczenie RWD. Zawody Challenge były morderczym poligonem nie tylko dla uczestniczących w nich lotników, ale także płatowców i silników. Do zawodów w 1930 roku Polska po raz pierwszy zgłosiła 12 załóg. Z Polaków najlepsze, 19 miejsce, zajął Stanisław Płonczyński. Lecący na samolocie RWD-4 Żwir-

Kpt. Franciszek Żwirko (z prawej) oraz inż. Stanisław Wigura przed swoim „erwudziakiem".

ko i Wigura odpadli z konkurencji po awarii silnika i przymusowym lądowaniu. Pierwsze trzy lokaty należały do pilotów niemieckich.

F. Żwirko urodził się 16 września 1895 roku w Święcianach na Wileńszczyźnie. W czasie I wojny światowej służył w piechocie armii rosyjskiej. W 1922 roku został powołany do 1 Pułku Lotniczego w Warszawie. Ukończył Szkołę Pilotów w Bydgoszczy, następnie Wyższą Szkołę Pilotów w Grudziądzu. Był m.in. oficerem łącznikowym przy Aeroklubie Akademickim w Warszawie oraz szefem pilotażu w Centrum Wyszkolenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie. W 1929 roku związał się z biurem konstrukcyjnym RWD.

S. Wigura przyszedł na świat 9 kwietnia 1901 w Warszawie. W 1929 roku ukończył Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej, uzyskując

dyplom inżyniera. Na pilota sportowego wyszkolił się w stołecznym aeroklubie. Z por. pil. Żwirko latał jako mechanik pokładowy i nawigator. Razem tworzyli zgrany duet, który wkrótce miał zasłynąć jako najlepsza załoga lotnicza Europy.

Podczas berlińskiego Challenge'u 1932 roku Niemcy bardzo chcieli wygrać, aby zdobyć puchar zawodów na własność. Wystawili więc 15 załóg, podczas gdy Polska tylko 5, w tym Żwirkę i Wigurę na samolocie RWD-6 o numerze SP-AHN. Po konkurencjach technicznych, 21 sierpnia rozpoczął się drugi etap imprezy: lot okrężny na trasie o długości 7363,2 km. Prowadzenie należało do Żwirki i Wigury, ale tuż za nimi znajdowało się kilka załóg niemieckich. O końcowej klasyfikacji rozstrzygnęła próba prędkości maksymalnej na trasie o długości 300 km. Z rozpoczynających zawody 43 załóg pozostało zaledwie 18. Z próby prędkości polska załoga wyszła zwycięsko i jako pierwsza przybyła ma metę, wyprzedzając ścigających ich Niemców zaledwie o 83 sekundy. Zgromadzona na lotnisku w Berlinie stutysięczna publiczność musiała uznać wyższość polskich lotników lecących na polskim samolocie i wysłuchać *Mazurka Dąbrowskiego*.

Na lotnisku Mokotowskim w Warszawie na powrót zwycięskiej załogi czekało ponad 100 tysięcy ludzi. Tłum porwał lotników i niósł ich na ramionach. Bohaterowie przestworzy stali się bożyszczami całego narodu. Posypały się zaproszenia z całej Polski, propozycje wywiadów prasowych i audycji radiowych. Jeszcze w Berlinie Żwirko obiecał biorącym udział w zawodach czeskim pilotom, że we wrześniu przyleci do nich na święto lotnictwa.

W niedzielę, wczesnym rankiem 11 września, RWD-6 wystartował z lotniska w Krakowie w kierunku Brna, gdzie miało się odbyć międzylądowanie przed dalszym lotem do Pragi. Załoga minęła z prawej strony Cieszyn i wleciała nad Czechosłowację. Kilkadziesiąt kilometrów od granicy awionetka wpadła w gwałtowną burzę. Lotnicy podjęli decyzję o powrocie do Polski. W tym czasie nad wzgórzem Kościelec w Cierlicku Górnym szalała wichura. Mieszkający tam Polacy zauważyli zmagający się z wiatrem srebrzysty samolot. Powietrzny żywioł z niespodziewaną siłą uderzył w awionetkę, która nad Kościelcem straciła skrzydło. Pozbawiony sterowności „erwudziak", mimo rozpaczliwych wysiłków pilota, w śmiertelnym korkociągu runął ku ziemi. Zanim rozbił się o jej powierzchnię, zdarł wierzchołki dwóch świerków rosnących na skraju rzadkiego lasu, na który upadł. Jako tzw. „maszty śmierci" pozostawiono je później obok mauzoleum na miejscu katastrofy. Bezpośrednią przyczyną wypadku była zbyt mała wytrzymałość skrzydeł w miejscu połączenia z kadłubem na występujące w warunkach burzowych obciążenia skrętne. Zjawisko to ówczesnym konstruktorom nie było jeszcze znane.

Straszliwa wieść o śmierci bohaterów lotem błyskawicy rozeszła się po kraju. Zwycięzcy z Berlina zginęli w szczątkach maszyny, w której pokonali czołówkę światowego lotnictwa. Polegli razem, tak jak wspólnie latali i zwy-

Przekazanie trumien ze zwłokami tragicznie zmarłych bohaterów przestworzy na polsko-czeskim moście granicznym pod zamkiem w Cieszynie.

ciężali: konstruktor lotniczy i wojskowy pilot, awansowany pośmiertnie do stopnia kapitana. Z kapliczki w Cierlicku, gdzie złożono na noc zwłoki lotników, następnego dnia wyruszył do Cieszyna żałobny kondukt.

„Ilustrowany Kurier Codzienny" pisał w tym czasie: *Wczoraj granica polsko-czeska nie istniała. Z Cierlicka po czeskiej stronie wyruszył kondukt żałobny. Władze republiki czeskiej uczyniły wszystko co mogły, by pochód wypadł jak najbardziej okazale. Armia czeska oddawała polskiemu porucznikowi i polskiemu inżynierowi honory, jakby to byli oficerowie ich własnej armii. Więcej, udział narodu czeskiego przekroczył ramy oficjalnego współczucia, szablonowej żałoby.*

W poniedziałek 12 września wzdłuż całej trasy ustawiły się polskie dzieci z Zaolzia, obrzucające kwiatami owinięte w polskie flagi trumny. Za

W cierlickim „Żwirkowisku"obok symbolicznych mogił Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury wzniesiono mauzoleum poświęcone ich pamięci. W pierwszych dniach hitlerowskiej okupacji całkowicie zniszczone. Zdjęcia ze zbiorów Tadeusza Kopoczka.

trumnami kroczyli zgodnie polscy i czescy oficerowie. Nad trasą marszu przelatywały czeskie samoloty. Na granicznym moście trumny zostały załadowane do karawanów. Dalej ulicami miasta, przez cieszyński rynek, kondukt ruszył do szpitala. Nazajutrz, 13 września, po nabożeństwie żałobnym zwłoki lotników odprowadzono na dworzec kolejowy. Ostatnie przemówienie wygłosił burmistrz Cieszyna dr Jan Michejda.

Specjalny pociąg przez Bielsko wyruszył do Krakowa. Do Warszawy dotarł wieczorem przed północą. Wzdłuż trasy przejazdu gromadziły się tysiące ludzi. Lotników pochowano we wspólnym grobie w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim. W pogrzebie, który przemienił się w wielką manifestację patriotyczną, uczestniczyło ponad 300 tys. osób.

W 1934 roku w Warszawie rozegrano kolejne i jak się okazało ostatnie zawody Challenge'u. Komitet Fundacji ku czci por. F. Żwirki i inż. S. Wigury przez dwa lata zbierał fundusze na sfinansowanie budowy nowych polskich samolotów. Pierwsze dwa miejsca zajęły polskie załogi, Bajana i Płonczynskiego, startujące na nowych RWD-9. Żwirko i Wigura mieli godnych następców.

Przed wojną na „Żwirkowisku", jak miejscowi Polacy nazwali miejsce „startu do wieczności" Żwirki i Wigury, powstało poświęcone im mauzoleum, jednak zniszczono je podczas okupacji. Obecnie stoi tam pomnik z sylwetką Ikara na cokole, dłuta czeskiego rzeźbiarza. W 1994 roku, w 62.

rocznicę katastrofy, na Kościelcu powstał Dom Polski im. Żwirki i Wigury, zbudowany dzięki pomocy i przy udziale Polaków z polskiej strony Olzy. Od lat 90. 28 sierpnia, dzień berlińskiego triumfu naszych lotników, jest obchodzony jako Święto Lotnictwa Polskiego.

A TO CIEKAWE...

Sól towarzyszy człowiekowi od zawsze, a jej historia — jak się wyraził jeden z uczonych — jest wcześniejsza od dziejów ludzkości. Żywe organizmy potrzebują soli tak samo jak słońca. Organizm dla prawidłowej funkcji potrzebuje od 6 do 8 gr soli. Mniej więcej tyle, a czasem nawet więcej soli otrzymujemy w codziennym pożywieniu, głównie w mleku i mięsie. Sól jest doskonałym konserwantem żywności, sama się nie psuje i stanowi niezbędną przyprawę pożywienia, podnosząc jego smakowe walory. Wydalana podczas wysiłku przy poceniu się — osłabia organizm, toteż wymagane jest uzupełnianie soli w napojach lub pożywieniu.

Były w dziejach ludzkości okresy, w których sól była droższa od złota i stanowiła przyczyny wojen, powstań oraz rewolucji.

W początkowym okresie Republiki Rzymskiej żołd legionistom wypłacano w postaci grudek soli. Mimo iż nie trwało to zbyt długo, fakt ten zachował się w słownictwie języków romańskich do dziś. Wynagrodzenie po francusku brzmi *salaire*, żołd — *solde*, żołnierz — *soldat*.

Cena soli wysoka była zwłaszcza w średniowieczu i później, gdy jej wydobycie i handel objęto monopolem. Pierwszy monopol państwowy na sól, w celu zapewnienia stałego dochodu do królewskiego skarbca, w 715 roku wprowadził monarcha Lombardii Luitbrand.

Wzmożony handel solą w czasach późniejszych stał się dla ówczesnych władców Europy źródłem dochodów z ceł i podatków. W XVIII w. we Francji ściąganiem „haraczu" od soli zajmowało się 25 tys. urzędników, a podatek ten utrzymywał się tam do 1945 roku.

* * *

Na każdego zamieszkałego na Ziemi człowieka przypada w przybliżeniu ok. miliarda owadów. Wszystkie mają szkielet zewnętrzny i trzy pary nóg. Wyjątek stanowią pająki, które mają cztery pary. Ciało owadów składa się z trzech części: głowy, tułowia i odwłoku.

KULTURA ZABYTKI

WAROWNIA O SIEDMIU WIEŻACH

ZAMEK W GRODŹCU ŚLĄSKIM

MARIUSZ MAKOWSKI

Grodziec Śląski to stara i piękna miejscowość, usadowiona w podgórskiej okolicy, z której roztacza się niezwykle malowniczy widok na panoramę łańcucha Beskidów. Położony na wzniesieniu, w romantycznym założeniu parkowym, grodziecki zamek należy do jednych z cenniejszych tego typu obiektów na Śląsku Cieszyńskim.

Pierwotny zbudowany został w XIV w. Od swych początków związany był z rodziną Grodeckich (Grodzieckich) z Brodu herbu Radwan. Warto przypomnieć św. Melchiora Grodzieckiego, kanonizowanego w 1995 r. przez papieża Jana Pawła II oraz Wacława, który dla króla polskiego Zygmunta Augusta w latach 1561—1563 opracował i wydał pierwszą mapę Polski.

W drugiej połowie XVI w. Grodziec nabył Maciej Grodecki. Około 1580 r. jego syn Henryk Grodecki rozpoczął renesansową przebudowę starszego zamku. Pierwotny zamek był wzniesiony na planie prostokąta jako dwukondygnacyjna budowla zwieńczona attyką. Flankowały go dwie wieże znajdujące się przy dłuższych bokach. Kolejną przebudowę w stylu barokowym przeprowadzili w połowie XVII w. Marklowscy

Zamek w Grodźcu Śląskim widziany od strony podjazdu. Ok. roku 1935.

Zamek w Grodźcu Śląskim widziany od strony parku. Ok. roku 1935. Zdjęcia ze zbiorów Muzeum Śląska Cieszyńskiego.

z Żebraczy. Następny właściciel Karol Jerzy Sobek z Kornic w końcu XVII w. dostawił dwie mniejsze wieże przy krótszych bokach zamku oraz dobudował jedną kondygnację. Także w następnych dwóch wiekach dokonano kolejnych zmian przez wydłużenie korpusu zamku w kierunku zachodnim, dobudowanie od strony elewacji frontowej dwóch masywnych wież, a od strony parku tarasu z monumentalnymi schodami. W ten sposób powstał zamek o wielu wieżach, co nadało mu romantyczny charakter średniowiecznej warowni.

Wewnątrz zachowały się przestronne murowane piwnice, kamienne i drewniane spiralne schody, sklepione sienie i sale w parterze, a na pierwszym i drugim piętrze pokoje ze stropami z profilowanych belek. Wielką ozdobą zamku są renesansowe kamienne portale, barokowe drewniane posadzki, boazerie i drzwi ozdobione antabami.

Po stronie południowej zamku roztacza się na niewielkim wzniesieniu krajobrazowy park z zachowanym starodrzewiem. Przecinała go niegdyś aleja prowadząca do kaplicy grobowej baronów Zoblów von Giebelstadt. Od strony północnej znajdował się regularny francuski ogród, założony jeszcze w XVII w. W pobliżu zamku znajdują się liczne dworskie zabudowania gospodarcze.

Wielki hall zamku w Grodźcu Śląskim. Stan współczesny.

W rękach Grodeckich pozostawał do połowy XVII w. odkąd zamieszkali w nim baronowie Marklowscy z Żebraczy, Sobkowie z Kornic i Larischowie. W 1772 r. stał się własnością Leopolda Gotliba barona Kalischa z Kisbirocz. W 1884 r. jego wnuczka Annalora baronówna Zoblów von Giebelstadt zamężna hrabina Zamoyska sprzedała Grodziec przemysłowcowi z Białej Franciszkowi von Strzygowskiemu. Od niego kupił zamek w roku 1927 dr Ernest Habicht, dyrektor departamentu MSZ w Warszawie, zamek odrestaurował i otoczył opieką bogate zbiory zamkowe z cenną biblioteką.

Po nacjonalizacji w 1945 r. zamek i przyległy doń folwark otrzymał Instytut Zootechniczny Polskiej Akademii Nauk. W 2004 r. stał się własnością przedsiębiorcy Michała Bożka. W zamku i jego parkowym otoczeniu przeprowadzane są kompleksowe prace renowacyjne mające na celu przywrócenie mu dawnej świetności i utworzenie zabytkowego „Zespołu Parkowo-Zamkowego w Grodźcu".

GRODZIEC W LEGENDZIE

Żyli kiedyś trzej bogaci panowie Jesionek, Świętoski i Bierowski. Mieli jedno wspólne nieszczęście. Okradali ich rabusie, którzy po robocie uciekali ku północy. Pewnego dnia zebrali się, aby coś mądrego uradzić. I kiedy nie

mogąc dojść do wspólnego zdania, usłyszeli radę żony jednego z nich. Poradziła im, aby ogrodzili swoje pola od pana Grodzkiego. Posłuchali rady i zaczęli grodzić. Rabusie widząc co się dzieje, przepędzili robotników. Na straży postawili jednego ze swoich. Obiecali mu, że jeśli nie dopuści aby dalej grodzili, to pole stanie się jego własnością. Rabuś nie doczekał nagrody, gdyż inny go zabił z zawiści.

Pan Grodziecki zaś zaczął mścić się na swoich sąsiadach. Zaczął spraszać gości na długie i kosztowne hulanki. Gdy zaczynało brakować pieniędzy zmuszał poddanych, aby za niego płacili. Żony poddanych przychodziły do zamku prosząc o wyrozumienie. A on straszył, że mają się starać bo dostaną mores. Przyszedł czas, kiedy pieniędzy naprawdę zabrakło. Wtedy pan Grodziecki zwołał naradę. Wtenczas jego teść powiedział, musisz bić ile wlezie. Grodziecki odparł, że to robota dla silnych, on nie potrafi. Wtedy żona ze śmiechem powiedziała: Aby kazał przygotować solidną stolicę na pół metra szeroką, na dwa metry długą, a po bokach mającą silne pasy. I aby wyznaczył silnego hajduka co będzie ludzi wypłacał.

Zamek w Grodźcu Śląskim widziany od strony podjazdu. Stan współczesny. Zdjęcia: Henryk Tesarczyk.

O NIEKTÓRYCH CIESZYŃSKICH ŚLADACH W LITERATURZE I FILMIE

KRZYSZTOF WINICJUSZ JEZIERSKI

Przy okazji 120-lecia Macierzy Ziemi Cieszyńskiej — która, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, jest jednym z najstarszych stowarzyszeń oświatowych na ziemiach polskich — warto powiedzieć, że Cieszyniacy to nacja pod wieloma względami szczególna. Księstwo cieszyńskie już przed kilkoma stuleciami, bo w XIV wieku, znalazło się poza granicami Polski, zaś Cieszyniacy, a przynajmniej większość z nich, zawsze w Polsce byli, choć — co oczywiste — raczej duchem niż ciałem...

Region ten już kilka wieków temu różnił się, i to dość znacznie, od innych części Polski. Bardzo wcześnie bowiem na Śląsku Cieszyńskim jako grupa społeczna przeszłością stała się szlachta. A w innych regionach Polski to przecież ona pielęgnowała tradycje patriotyczne, to ona do pewnego stopnia spełniała w dawnych czasach rolę współczesnej inteligencji. W okolicach Cieszyna zaś, w wyniku specyficznej polityki Habsburgów, dość szybko i w znacznym stopniu zmieniały się stosunki własnościowe, powstała „Komora Cieszyńska" — rodzaj prywatnych dóbr rodziny panującej, i to latyfundium systematycznie rozwijano. Sposobem na jego poszerzanie był najpierw wykup ziemi od upadającej szlachty, a z ziemią wszystkiego co się dało, a potem w sukurs przyszły inne koncepty, realizowane przeważnie z krzywdą zwyczajnych ludzi... Jeśli w latach osiemdziesiątych XVIII stulecia areał „Komory..." stanowił 37 proc. obszaru ziemi cieszyńskiej, to w latach trzydziestych XIX wieku było to już 64 proc. Gustaw Morcinek w jednaj ze swoich książek podawał, że ów twór obejmował *143 wsie wraz z Beskida-*

mi. Jeśli zaś do prywatnych dóbr Habsburgów dodać jeszcze kompleks ziemski Larischów-Monnichów oraz dobra zniemczonej rodziny Sułkowskich, okaże się, że doliczymy się w ten sposób prawie 80 proc. areału Śląska Cieszyńskiego. W tej sytuacji szlachta na Śląsku Cieszyńskim zupełnie straciła znaczenie, a najliczniejszymi i najaktywniejszymi grupami społecznymi w okolicach Cieszyna z konieczności pozostały chłopstwo i mieszczaństwo, i to one na tym terytorium stworzyły kulturę, dość odrębną od spotykanej gdzie indziej w Polsce, bo nie od dziś wiadomo, że Cieszyniacy są ludźmi mający nader praktyczne podejście do rzeczywistości.

Mówi się często i chyba słusznie, że przysłowia są mądrością narodów... To stwierdzenie sprawdza się niemal na całym świecie, bo te krótkie konkluzje, wypowiadane niegdyś niemal przy każdej nadarzającej się okazji, są wnioskami, wyciąganymi z zaistniałych zdarzeń. Można więc o nich powiedzieć, że są rodzajem uogólnień. Można też skwitować to inaczej. Choćby tak, że to powszechna, prowadzona przez zwykłych ludzi „działalność badawcza", realizowana najtaniej jak tylko można, bez kosztownych doświadczeń, bez laboratoriów. A jeśli jakaś zależność sprawdza się w życiu często, wówczas staje się treścią przysłowia...

Niedawno w jednym z numerów „Literatury ludowej" z 1958 roku natrafiłem na artykuł Juliana Krzyżanowskiego, w którym łączy on cieszyńskie przysłowie: *Ty ni mosz? a myszka je mała, a mo?* z innymi, dość podobnymi w treści, których jednak ze względu na brak wskazania źródła nie można przypisać żadnemu regionowi. Oto one: *Każda mysz ma swoje tyż*, i drugie, równie klarowne, występujące w formie: *Biedna mysz, a ty tyż*.

Przyznam się, że od razu skojarzyły mi się te powiedzonka i z kimś bardzo *biednym jak mysz kościelna* oraz z Myszyńcem — stolicą Kurpiowszczyzny, ale chyba najbardziej z legendarnym Popielem, którego ponoć za jego bezeceństwa za karę *zeżarły myszy*. Gryzonie te w legendarnych prasłowiańskich opowieściach wystąpiły w roli miecza Damoklesa, który nie wisiał bezczynnie na włosku nad głową zbrodniczego władcy Słowian, ale urwał się zeń i swego dokonał. Nie ukrywam też, że przyszło mi do głowy, ale tylko przez chwilę, by w związku z tymi skojarzeniami zrobić z cieszyńskiej Rotundy coś w rodzaju popielowej Mysiej Wieży, tej istniejącej nad jeziorem Gopło... Bo jeśli Franciszek Popiołek (1868-1960) — historyk i dyrektor gimnazjum w Cieszynie, a nadto dr h.c. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, mógł w swoim czasie z przekonaniem dowodzić, że Rotunda cieszyńska powstała dzięki Cyrylowi i Metodemu, to cóż w tym za trudność, by ku pożytkowi miłośników dawności ciepłą ręką dodać jej jeszcze ze dwa wieki... Na to się jednak nie zdecydowałem. Za mało bowiem jak na mój gust, wiem o historii i prehistorii zacnego miasta, nazywanego Cieszynem.

Ale i bez tego zamieszania z cieszyńskim przysłowiem wiąże się nader ciekawa anegdota, w którą jako opowiadający zamieszany jest nie byle kto, bo sam Tadeusz Żeleński Boy. On to właśnie w swych pismach, w tomie *Lu-*

dzie żywi zamieścił bowiem niegdyś taką opowieść: *Pod kościołem zaszedł epizod, który Wyspiański utrwalił żywcem w wariancie do „Wesela". Kiedy cały orszak siedział już na wozach i miał ruszać, jeszcze jakaś paniusia chwyciła za rękaw starościnę, imponującą Kliminę i jęła dopytywać: „Moi drodzy, powiedzcie, czy ma też ona co?" Na co Klimina najdobroduszniej w świecie: „E, ma, zaśby tam nie miała! Bidna mys, a mo tyz". Wóz ruszył, a paniusia została z tą wiadomością.*

Piękny i jakże malowniczy jest język boyowskiej opowieści... Julian Krzyżanowski zaś wyciągnął z tej historii słuszny wniosek, że powiedzenie, którym posłużyła się Klimina, jest parafrazą przysłowia cieszyńskiego; że przysłowie owo, tyle że w swej sparafrazowanej formie, musiało być znane w Krakowskiem, przynajmniej w okolicy Bronowic, tam właśnie, gdzie i *Rydel się dobrze miewał, bo pod spody nic nie wdziewał* (mawiano tak o tym autorze nie tylko w Krakowie po tym, jak na przekór swemu środowisku ożenił się on z piękną chłopką). Zaś znany historyk literatury przytacza na potwierdzenie swej tezy fragment z *Wesela*, który Stanisław Wyspiański przy ostatecznym redagowaniu swego wielkiego dramatu niestety usunął ze sceny 12 w pierwszym akcie.

Radczyni: *Ma ona też jakie wiano?*
Klimina: *Nie wiem, czy ta co dostaną.*
Radczyni: *Czy on też ją bierze z czem?*
Klimina: *Cy jo wim, cy jo wim?*
Radczyni: *Charakterystyczny rys, przecie bo ta ma i coś.*
Klimina: *Bidna mys, a mo tyz.*

Czemu nasz wielki dramaturg pozbył się tak smakowitego fragmentu, przedtem tak się nad nim napracowawszy? Tego nie wiem. Bo przecież tak zwarte objaśnienie sensu konceptu tkwiącego w przysłowiu, tak staranne „rozpracowanie go" w nader skondensowanej rozmowie dwóch kumoszek, wścibskiej pani i rezolutnej chłopki, wymagało niemałego wysiłku. Mogę jedynie przypuszczać, że artysta nie chciał się narazić mieszkańcom Krakowa, o których i bez tego od dawien dawna krążą najrozmaitsze dowcipy, głównie dotyczące krakowskiego skąpstwa.

Jeśli jednak wielki znawca naszego języka — Julian Krzyżanowski — stwierdził, że omawiane przysłowie pochodzi z Cieszyna, to z pewnością powinno ono dla Cieszyniaków stać się powodem do dumy. Charakteryzuje bowiem doskonale cieszyńską zapobiegliwość. Dlatego i cieszyńska Rotunda wcale nie musi przekształcać się w mojej fantazji w Mysią Wieżę...

Ale ja nie byłbym sobą, gdybym z materiału pochodzącego i z autentycznej rozmowy, przypomnianej przez Boya, i z dialogu z *Wesela*, nie wykroił czegoś dla siebie. Tym czymś, co wykroiłem, jest moja fraszka. Cieszę się, że przyszła mi ona do głowy, kiedy natknąłem się na historię z cieszyń-

skim rodowodem. Oto ten krótki wierszyk. Odpowiada on na pytanie, cóż to takiego samego mogą mieć: babcia, ciotka, matka i córka.

KOBIECOŚĆ

Ciotka z babcią,
córka z mamą...
A wszystkie
mają to samo...

A cóż na to właśnie ja?
Każda ma?
Niech sobie ma...
Dobrze, że ma!

Jeśli zaś moja fraszka wyda się komuś z jakichś względów nieodpowiednia, to polecam temu komuś przypomnienie sobie innego cieszyńskiego śladu, obecnego zarówno w literaturze, jak i filmie, którym jest postać Gustlika Jelenia ze znanej niegdyś szeroko książki Janusza Przymanowskiego pt. *Czterej pancerni i pies*. Gustlik pochodzić miał z Ustronia, a ta miejscowość, co zresztą wyraźnie stwierdza Janusz Przymanowski, leży na Śląsku Cieszyńskim. W serialu pod tym samym tytułem pięknie rolę Gustlika wykreował, grając go nader ciepło, aktor Franciszek Pieczka...

Autentyczne

Mistrz nad mistrze złotniczego filigranu, Franciszek Horak, otrzymywał różne zamówienia. Oprócz jubilerskiej biżuterii (jego warsztat mieścił się przy ul. Ks. Świeżego) pracownię opuszczały m.in. takie arcydzieła, jak niezwykle zdobne łańcuchy rektorskie oraz pasy do kobiecego stroju cieszyńskiego.

Kiedy Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" zaczął zyskiwać coraz większy rozgłos, swych wykonawców zapragnął ubierać w autentyczne stroje ludowe. A do cieszyńskiego kobiecego potrzebne były owe srebrne pasy.

U cieszyńskiego mistrza zjawił się zatem przedstawiciel „Śląska", ale gdy poznał cenę złotniczego wyrobu, zaproponował Horakowi wykonanie pasów z... tektury (sic!). W odpowiedzi na co usłyszał:

— To muszom se panoczku obstalować u introligatora...

MODLITWA ROZŚPIEWANYCH SERC

BEATA SABATH

Mieszkańcy ziemi cieszyńskiej od wieków kochali muzykę i śpiew. To właśnie polska pieśń, czysta, dźwięczna i mocna pozwalała im przetrwać, prowadziła na spotkanie z pięknem i wartościami, a nawet z samym Stwórcą. Nic więc dziwnego, że nasi przodkowie wzajemnie obdarowywali się pieśniami, a czasem wspólnie ofiarowywali swój śpiew Bogu.

I tak, z potrzeby rozmodlonych i rozśpiewanych serc, narodziło się wiele chórów kościelnych. Tak również 75 lat temu powstał Katolicki Chór Kościelny „Lutnia" przy parafii Św. Marii Magdaleny w Cieszynie. A wszystko rozpoczęło się od niewielkiego ogłoszenia, zamieszczonego na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej" we wrześniu 1931 roku.

Nie zrażać się brakiem znajomości nut! Warunki wymagane są: dobry słuch, dobry głos, zapamiętanie i chęć do śpiewu — informowała odezwa opublikowana przez Rudolfa Halfara — działacza narodowego, pedagoga, posła na Sejm II Rzeczypospolitej i burmistrza Cieszyna, zarazem człowieka rozmiłowanego w muzyce i śpiewie, szczególnie w pieśni kościelnej, którą poznawał zarówno w Konserwatorium Krakowskim, jak też i w chórze katedralnym na Wawelu, do którego należał.

Rudolf Halfar.

Chór „Lutnia" w Cieszynie po roku 1932.

W działaniach zmierzających do utworzenia w Cieszynie polskiego katolickiego chóru kościelnego wspierał Rudolfa Halfara także Karol Legin, późniejszy prezes „Lutni".

W wyniku ogłoszenia na pierwszą próbę przyszło 10 mężczyzn, a pieśnią, od której rozpoczęto pracę, był utwór *O władco świata*. Uroczysta inauguracja działalności chóru, który przyjął nazwę Katolicki Chór Kościelny „Lutnia", nastąpiła 30 października 1931 roku, w święto Chrystusa Króla. Wkrótce potem 53 chórzystów rozpoczęło próby w Domu Dziedzictwa Błogosławionego Jana Sarkandra na Starym Targu w Cieszynie.

Ponieważ jednak Rudolf Halfar z racji swych obowiązków musiał często wyjeżdżać do Warszawy, na jego życzenie dyrygenturę objął znany kompozytor i organista — Wiktor Kisza. On właśnie podjął starania, aby „Lutnia" stała się chórem mieszanym. Na kolejny apel, zamieszczony w „Gwiazdce Cieszyńskiej" 1 kwietnia 1932, odpowiedziało 40 pań. Potem rozpoczęły się wspólne próby, występy, sukcesy.

Dwukrotnie historia próbowała przerwać to chóralne śpiewanie — w czasie II wojny światowej i później, podczas stanu wojennego w 1981 roku. Trudny był również okres powojenny i lata 50., kiedy to chór kościelny, aby przetrwać, musiał poszerzyć repertuar o pieśni świeckie i zmienić nazwę na Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia". Bynajmniej nie zmniejszyło to jednak pragnienia wspólnego śpiewu. Wręcz przeciwnie. To właśnie wtedy cieszyńska „Lutnia" dwukrotnie zajęła pierwsze miejsce w zawodach śpiewaczych okręgu cieszyńskiego Związku Śląskich Kół Śpiewaczych w Ustroniu (maj 1952) i Cieszynie (czerwiec 1953).

Wiktor Kisza.

Miłość do muzyki i pieśni, radość śpiewania jest jednak ponadczasowa i do dzisiaj łączy ze sobą różne pokolenia, o czym tak pięknie mówią sami chórzyści.

— *Nasz chór to właściwie moje życie. Śpiewam w „Lutni" na chwałę Bożą od 1961 roku. Czasem męczy mnie obowiązek bycia na długich próbach, jednak wracam do domu zadowolona i szczęśliwa, że jeszcze mogę wyśpiewywać Panu Bogu swoje smutki, żale i radości* — zwierzyła się Krystyna Bomba.

— *Dla mnie próby to głębokie, duchowe przeżycie, oderwanie się od szarej rzeczywistości, to modlitwa do Boga i Jego Matki poprzez piękne, refleksyjne teksty. Próby to również spotkania ze wspaniałymi ludźmi, których łączy radość śpiewania na cześć Pana Boga. Jestem jedną z młodszych chórzystek, lecz mam wrażenie, jakby różnice wiekowe się zatarły. Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, modlącymi się śpiewem. To wspaniałe przeżycie, które trudno opisać. Jednym z dawnych dyrygentów „Lutni" był mój pradziadek Wiktor Kisza, co pogłębia moją radość z możliwości śpiewania w chórze* — wyznała Magda Studenska.

Pieśń może prowadzić chórzystów na spotkanie z urokiem i wartościami ziemi cieszyńskiej oraz z pięknem serc ludzi, którzy na tej ziemi mieszkają. Świadczą o tym słowa Aleksandry Dębiec:

— *Wstąpienie do chóru wynikało z mojej wewnętrznej potrzeby wejścia w środowisko tutejszej społeczności oraz uczestniczenia w czymś co zawsze kochałam — wspólnym śpiewaniu. Udział w cotygodniowych próbach, kontakt ze wspaniałymi, życzliwymi ludźmi, możliwość przysłuchiwania się ich cudownej mowie stanowi dla mnie do dziś ogromną radość. Zaczynam nawet „myśleć" po cieszyńsku. Dzięki temu, że należę do chóru, mogłam zobaczyć wiele uroczych zakątków Śląska Cieszyńskiego. Jestem wdzięczna wszystkim, którzy okazali mi wiele ciepła i życzliwości. Każdy udział w koncertach traktuję jako dziękczynną modlitwę za to, że należę do chóru „Lutnia" i za to, że wspólny śpiew pogłębił moją wiarę.*

— *Nasza śpiewana modlitwa jest równocześnie naszym muzycznym pielgrzymowaniem po okolicznych parafiach i kościołach, domach opieki społecznej, miejscach, gdzie się nas oczekuje i gdzie czujemy się potrzebni* — wyjaśnia manager chóru, Jadwiga Matuszewska. — *Często słyszane bra-*

wa są dla nas wielką nagrodą za wykonaną pracę, lecz tą największą są chwile, gdy możemy obserwować wzruszenie słuchaczy, ich uśmiech albo ukradkiem ocierane łzy — dodaje.

Tą dźwięczną i rozmodloną pieśnią chórzyści „Lutni" ubogacają nie tylko swoją parafię, ale także liczne kościoły Śląska Cieszyńskiego, i to po obu stronach Olzy. Co roku włączają się również w nabożeństwa ekumeniczne oraz wspólne śpiewanie kolęd z chórami ewangelickimi, jak np. podczas niezapomnianego koncertu „U progu Europy Ducha", jaki odbył się 14 stycznia 1995 w kościele Jezusowym w Cieszynie. Chórzyści organizują również rozśpiewane pielgrzymki do różnych zakątków kraju, a nawet do... Rzymu, gdzie w kwietniu 1993 przeżywali wzruszające spotkanie z Janem Pawłem II. Członkowie Katolickiego Chóru Kościelnego „Lutnia" naręczem kościelnych pieśni obdarowują także tych, którzy najbardziej potrzebują ich radości — osoby chore, samotne, opuszczone — mieszkańców DPS.

Kunszt i artyzm chórzystów wszędzie zyskują uznanie i podziw, czego najlepszym wyrazem są jubileuszowe życzenia przekazane chórowi przez prof. dr hab. Krystynę Turek, dyrektora Instytutu Muzyki Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego, która powiedziała:

— *Pragnę złożyć wyrazy głębokiego szacunku, podziwu i hołdu dla założycieli, organizatorów, twórców i śpiewaków cieszyńskiej „Lutni", jakże aktywnych uczestników społecznego ruchu muzycznego. Całemu Zespołowi życzę wytrwałości w pielęgnowaniu pięknych tradycji śpiewaczych, dalszych sukcesów w pracy artystycznej, spełnienia wszelkich planów i zamierzeń, jak też sił w przekazywaniu ideałów i pasji nowym adeptom sztuki wykonawczej.*

Te artystyczne sukcesy to, oczywiście, efekt pracy nie tylko samych chórzystów, ale i, przede wszystkim, dyrygentów. W historii „Lutni" było ich kilkunastu: Rudolf Halfar, Wiktor Kisza, Alfred Nohel, Erwin Bubik, Teofil Żyła, Władysław Żebrok, Franciszek Bogocz, Władysław Rakowski, Jan Raszka, Emil Baron, Józef Burger, Tadeusz Geiger, Bogdan Sabath, Halina Goniewicz-Urbaś i Ludmiła Kubień. Od września 2002 r. chórem „Lutnia" dyryguje Maria Gruchel.

— *Przypadła mi rola przewodzenia grupie, którą tworzą nie profesjonalni muzycy, ale miłośnicy śpiewu, oddani idei głoszenia orędzia ewangelicznego całym sercem. Przez spólny śpiew członkowie chóru pragną okazać cześć Panu Bogu, a także wyrazić swą chrześcijańską tożsamość i przynależność do Kościoła. Działając przy sanktuarium Matki Bożej Cieszyńskiej pod serdecznym patronatem ks. Kanonika Henryka Satławy oraz dzięki opiece i wytrwałej modlitwie ks. Jana Walusia, a przedtem ks. Dariusza Suchego, chór posiada optymalne warunki dla swego istnienia i rozwoju* — podsumowuje dyrygentka.

Repertuar prowadzonego przez nią chóru obejmuje kilkadziesiąt utworów takich kompozytorów jak: L. Cherubini, G. Caccini, C. Gounod, J. Elsner, C. Frank, Z. Kodaly, H.M. Górecki, S. Hadyna i L. Delibes,

Chór „Lutnia" na występie dla słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku — styczeń 2006 r.

nawiązujących do roku liturgicznego. Tym jednak, co różni „Lutnię" od innych chórów kościelnych, jest współpraca z Jadwigą Papiernik — byłą solistką Opery Bytomskiej oraz Grażyną Heller — śpiewaczką, muzykologiem i wykładowcą Uniwersytetu Śląskiego. Pani Jadwiga dedykowała „Lutni" swój wiersz, Grażyna Heller natomiast powiedziała:

— *Współpraca z chórem „Lutnia" jest dla mnie radosną okazją wykonywania muzyki z ludźmi, którzy kochają i chcą łączyć służbę Bogu ze służbą ludziom... Niezwykłą rolę w tej pracy odgrywa dyrygent — taki właśnie, jak pani Maria Gruchel. To ona, dokonując mądrego wyboru odpowiedniego dla zespołu repertuaru i pracując z wyjątkowym oddaniem nad jego przygotowaniem, uczy dostrzegać piękno w każdej najprostszej frazie — i tak tworzyć zawsze wielką sztukę. Uczy radować się tak, aby śpiewając obdarowywać swym wzruszeniem innych. Bo przecież „piękno na to jest, aby zachwycało".*

A my, zwyczajni słuchacze, możemy tylko na zakończenie wyrazić swą wdzięczność: Drodzy Chórzyści Katolickiego Chóru Kościelnego „Lutnia", dziękujemy Wam za piękno rozśpiewanej modlitwy. Z całego serca.

A TO CIEKAWE...

Aby wino uwydatniło pełny smak i bukiet, po otwarciu butelki należy pozwolić mu nieco „odetchnąć", aby tlen z otaczającego powietrza miał czas zmieszać się z winem. Obecność tlenu w trunku powoduje rozkład pewnych specyficznych, niekorzystnych związków chemicznych, powstałych wskutek beztlenowej fermentacji. Dopiero po dłuższej chwili od otwarcia butelki oraz rozlania w pucharki, wino nabiera właściwych walorów smakowych.

Paweł Steller — *Wisła-Dziechcinka*, 1934, drzeworyt.

Z GIMNAZJALNYCH TRADYCJI MUZYKOWANIA

ZESPÓŁ MUZYCZNO-WOKALNY „ARYON" (ARION)

JANUSZ GUZIUR

Towarzystwo Muzykalno-wokalne uczniów c.k. gimnazjum polskiego w Cieszynie zaczęło się samorzutnie organizować już na przełomie 1897/98 roku, początkowo jako muzykujący zespół bez nazwy. Faktycznie jednak zespół zaistniał — co wiemy za sprawą „Gwiazdki Cieszyńskiej" — od inauguracyjnego koncertu gimnazjalistów w sali „Dziedzictwa" na Starym Rynku w dniu 22 XII 1898 roku, zorganizowanego z okazji 100 rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. I taka data założenia oficjalnie przypisywana jest temu zespołowi.

W 1903 roku nazwę zespołu ARYON zaproponował Franciszek Jeżowicz ze Stonawy (dziś zespół znany pod nazwą „Arion"), wówczas student klasy VII gimnazjum, prowadzący zespół w latach 1903—1905. Ażeby podnieść poziom artystyczny zespołu, uczył słabszych członków orkiestry grać na instrumentach smyczkowych oraz wyszukiwał nowych uczniów. Opiekunami muzycznymi zespołu wówczas byli: prof. Wiktor Kisza (1888—1954), a w latach 1932—1935 prof. Jerzy Hadyna (1888—1968), kompozytor, ojciec Stanisława twórcy „Śląska" oraz prof. Jan Gawlas (1901—1965), znany kompozytor i dyrygent chórów.

W latach 20. w „Aryonie" poza uczniami, którzy przed podjęciem wyższych studiów muzycznych bardzo poważnie traktowali próby i koncertowanie (Karol Stryja, Emanuel Guziur — dyrygenci, absolwenci katowickiego konserwatorium, Stanisław Golachowski — muzykolog), w zespole muzykowało wielu muzyków-amatorów, późniejszych znanych cieszyńskich działaczy społeczno-narodowych (Karol Kluz, Stanisław Unucka, Witold Reger), czy nawet profesorów, naukowców, lekarzy i literatów (Kornel Filipowicz — powieściopisarz, Alojzy Gembala — profesor historii, Karol Kozieł

Jeden z występów orkiestry szkolnej „Aryon" polskiego gimnazjum w Cieszynie, pod kierownictwem ucznia 6 klasy Emanuela Guziura, w sali „Pod Jeleniem". Zespół wzmocniony został instrumentalistami orkiestry wojskowej 4 PSP. Rok 1927.

— astronom, Otton Lazar — lekarz, Władysław Sikora — ppłk i pedagog, Stanisław Kołodziejczyk — matematyk, filozof).

W latach 1924—1929 skład osobowy zespołu ARYON przedstawiał się następująco. **Skrzypce**: Jerzy Kubeczka, Stanisław Meier, Stanisław Roman Kołodziejczyk, Władysław Jaworski, Karol Kozieł, Karol Kluz, Franciszek Kisza, Otton Lazar, Tadeusz Rakowski, Rudolf Turoń, Gustaw Cieślar, Edmund Stuligłowa, Karol Dyba, Jan Krygiel, Kornel Filipowicz, Stanisław Bogdanowicz, Alfred Zelina, Karol Stryja; **czelo**: Tadeusz Heczko, Emanuel Guziur (od 1925 roku — dyrygent zespołu); **kontrabas**: Stanisław Golachowski, Artur Smołka; **trąbka**: Karol Pustówka; **fortepian-harmonium**: Jadwiga Kubaczka, Wilhelm Zweck, Andrzej Wieroński, Władysław Sikora; **flet**: Jan Janas, Alfred Ryszka; **puzon**: Karol Pyka, Wiktor Lichtblau; **klarnet**: Wilhelm Król, Karol Durczok; **perkusja**: Witold Reger, Stanisław Unucka.

Od lewej: Wiktor Lichtblau, Antoni Kohut oraz Emanuel Guziur.

Spośród 20 dyrygentów „Arionu" na uwagę zasługuje muzyczny klan Hławiczków, z których aż czterech przedstawicieli trzymało batutę zespołu (Stanisław, Karol, Andrzej i Jan).

Dyrygentem zespołu w latach 1925—1929 był Emanuel Guziur (1908—1989), widoczny na zdjęciu z 1928 roku, w czasie koncertu w sali bankietowej „Pod Jeleniem". Jego wybór na dyrygenta, pomimo amatorskiego stażu dyrygenckiego w chórze w rodzinnej Górnej Suchej na Zaolziu, początkowo nie był łatwy i jednoznaczny. Panował bowiem w gimnazjum surowo dotąd respektowany zwyczaj, że dyrygentami „Arionu" mogli być jedynie starsi uczniowie, dwóch ostatnich klas gimnazjum (tabela). W czerwcu 1925 roku, po burzliwym zebraniu wyborczym, także dzięki autorytetowi Karola Grycza, ówczesnego zastępcy dyrektora gimnazjum w latach 1923—1929 i sympatyka muzyków, spośród zgłoszonych trzech kandydatów (Meier S., Kubaczka J., Guziur E.) zaledwie jednym głosem przewagi dyrygentem „Arionu" na 4 lata został najmłodszy kandydat, zaledwie 17-letni Emanuel Guziur (w latach 1927—1929 także prezes zespołu). Wypada tu nadmienić, że dyrektor Grycz miał wyjątkową „słabość" do przyszłego, choć niesfornego, dyrygenta chórów na Zaolziu, a po wojnie w Cieszynie[1], którego wielokrotnie wraz z prof. Królem ratował przed wydaleniem z gimnazjum za niedozwolone regulaminem szkolnym zarobkowe muzykowanie po nocnych lokalach Zaolzia.

Dyrygenci Towarzystwa Muzykalno-wokalnego ARYON
(Księga Pamiątkowa. 1960, *...Z cieszyńskich wspomnień...* 1978, 1980)

Lp.	Nazwisko i imię	Okres	Lp.	Nazwisko i imię	Okres
1.	Lipka Paweł	do 1903	10.	Heczko Józef	1919—1920
2.	Jeżowicz Franciszek	1903—1905	11.	Kubaczka Otton	1920
3.	Macura Stanisław	1905—1907	12.	Heczko Jan (*tylko chóru*)	1920—1922
4.	Piasek Franciszek	1907—1909	13.	Gembala Alojzy (*orkiestra*)	1920—1922
5.	Biłko Leopold	1909—1911	14.	**Hławiczka Jan** (*tylko chór*)	1922
6.	**Hławiczka Karol**	1911—1912	15.	Kulisz Jan	1922—1924
7.	**Hławiczka Stanisław**	1912—1913	16.	Kubaczka Jerzy	1924—1925
8.	MacuraWładysław	1913—1914	17.	**Guziur Emanuel**	1925—1929
9.	**Hławiczka Andrzej**	1916—1917	18.	Kalus Wilhelm	1929—1930
Przerwa wojenna: 1914—1916, 1917—1918			19.	Król Wilhelm	1930—1932
			20.	Folwarczny Jan	1932—1934

Emanuel Guziur, pochodzący z wielodzietnej i biednej rodziny w Górnej Suchej, w czasie nauki w gimnazjum sam się utrzymywał częściowo z lekcji gry na skrzypcach i zmuszony był zarobkowo grywać w „tanc-budach", w tym głównie poza Cieszynem i popularnej „Strzelnicy" (foto).

[1] Karol Grycz (1883—1963) był zamiłowanym chórzystą, wieloletnim członkiem i prezesem Towarzystwa Śpiewaczego „Harmonia", którym w latach 1946—1968 dyrygował jego wychowanek Emanuel Guziur.

Emanuel Guziur (pierwszy z prawej) jako uczeń gimnazjalny na swe utrzymanie zarabiał także graniem na zabawach tanecznych, co powodowało liczne kolizje z ówczesnymi przepisami szkolnymi. Zdjęcie z roku 1928 wykonano w „Strzelnicy" w Czeskim Cieszynie.

A tam niestety zachodzili czasem... profesorowie gimnazjum! W podziękowaniu za szkolny sponsoring i opiekę, zespół pod batutą E. Guziura w 1927 roku dał uroczysty występ z okazji imienin swego lubianego dyrektora.

Pierwszy, udany występ zespołu pod batutą nowego dyrygenta odbył się na „Brandysie" w Czeskim Cieszynie, na dożynkach Macierzy Szkolnej (1926). Poza ogólnowokalnym chórem mieszanym i męskim, wyższe klasy gimnazjalne miały ambicje posiadania własnego chóru, a także własnej drużyny piłkarskiej (E. Guziur był także... kapitanem klasowej reprezentacji!).

Zespół „Arion", pomimo usilnych starań dyrygentów i dyrekcji szkoły (zwłaszcza Karola Grycza), nie zawsze posiadał pełną obsadę muzyków, głównie z grupy instrumentów „blaszanych". Dzięki jednak życzliwości dowódcy 4 PSP w Cieszynie płk. Bronisława Warzyboka[2] (1898—1981) oraz

---

[2] Płk Bronisław Warzybok do Cieszyna przyjechał z Wileńszczyzny (1924), w 1950 roku wyjechał wraz z córką do Olsztyna gdzie zmarł (1981), do emerytury pracując w Bibliotece Głównej olsztyńskiej uczelni.

Córka pułkownika — mgr inż. Danuta W. (*1925) — po wojnie uczęszczała do cieszyńskiego gimnazjum, w 1949 roku rozpoczęła studia na Wydz. Mleczarskim PWSGW, po czym w 1950 roku wraz z uczelnią (i ojcem) wyprowadziła się do Olsztyna, gdzie wraz z prof. Haliną Karnicką, Krystyną Roczniak, Tadeuszem Knautem i Rudolfem Jurankiem pracowała aż do emerytury w Kat. Mikrobiologii Żywności ART Olsztyn. Od 1985 r. członek Koła MZC Olsztyn.

„Matematyczny" postrach wielu roczników gimnazjalnych (przed i po II wojnie światowej) Jan Heczko — sprawdza zadania Edmunda Salachny i Zygmunta Pacholego (zima 1955 roku).

wojskowego kapelmistrza por. Kanasia, w czasie większych koncertów „Arion" często korzystał z pomocy cieszyńskich orkiestrantów wojskowych (widoczni z tyłu na pamiątkowej fotografii z 1927 roku). Byli oni znacznie starsi od gimnazjalistów, nierzadko żonaci i jako typowi orkiestranci-wiarusy, po koncertach w kawiarniach i restauracjach nie zawsze respektowali surowe zasady towarzyskie i kulinarne, obowiązujące gimnazjalistów, którzy z kolei bardzo chętnie przyswajali sobie nowe, „dorosłe" zwyczaje. Tu znów krytyczne sytuacje na radzie pedagogicznej „Osucha" ratował niestrudzony dyrektor Karol Grycz, nierzadko też w zgodnej komitywie z pobłażliwym płk. Bronisławem Warzybokiem.

Ostatni występ E. Guziura w roli dyrygenta chóru i orkiestry gimnazjalnego zespołu „Arion" odbył się w teatrze miejskim w dniu 11 maja 1929 roku — na... dwa dni przed trudną maturą[3]. Wówczas orkiestra liczyła 40 osób (wraz z muzykami wojskowymi), zaś w ogólnoszkolnym chórze śpiewało aż 350 osób.

Następcą E. Guziura w „Arionie" był Wilhelm Kalus, który zasłynął zorganizowaniem w dniu 22 lutego 1930 roku w teatrze cieszyńskim koncertu polsko-włoskiego. Po nim dyrygentem został klarnecista Wilhelm Król, jeden z najwierniejszych „arionistów". Na Politechnice Lwowskiej był preze-

[3] Matura była trudna, zwłaszcza dla dyrygenta „Arionu", który w gimnazjum miał duże „kłopoty" z matematykiem „Hefajstem" (prof. Jan Heczko 1881—1964), podobnie jak... 27 lat później jego syn Janusz!

Orkiestra szkolna przed występem w sali Hassewicza (lipiec 1955 r.). Z lewej Karol Krop, w środku Ferdynand Chrobok.

sem słynnego Chóru Techników, a po wojnie, jako profesor Politechniki w Gliwicach — opiekunem tamtejszego chóru akademickiego (podobnie jak prof. W. Wawrzyczek w Olsztynie). Dzięki inicjatywie i fachowej pomocy prof. Wiktora Kiszy zespół wykonywał coraz bardziej ambitny repertuar muzyki polskiej, francuskiej, włoskiej, czeskiej, niemieckiej, wykonując m.in. *Poloneza As-dur* Chopina, *5 Symfonię C-dur* Haydna (1928), *Tańce słowiańskie* Dworzaka, pieśni śląskie w oprac. prof. W. Kiszy, czy wodewil muzyczny *Wiesław* K. Brodzińskiego (1930). Ostatnim dyrygentem zespołu został klarnecista i saksofonista Jan Folwarczny z Dolnej Suchej (stąd jego pseudonim „Saksofon"). W tym okresie repertuar „Arionu" przekształcił się w wyłącznie taneczno-rozrywkowy. Nie było już też prof. W. Kiszy, który odszedł na emeryturę.

Zespół „Arion" działał łącznie 37 lat, po czym rozwiązany został wiosną 1935 roku, głównie z powodu braku wystarczającej liczby muzyków-gimnazjalistów.

Jak po latach wspominał Emanuel Guziur (1978), [zespól Arion] *w życiu muzycznym cieszyńskiego gimnazjum dał wszystkim grającym i śpiewającym kolegom wiele szlachetnej radości i utorował dalsze życie muzyczne, zarówno na studiach, jak i na wszystkich późniejszych miejscach naszego żywobycia.*

Epilog. Gimnazjalne tradycje orkiestrowe w „Osuchu" ponownie odżyły w latach 50., dzięki inicjatywie prof. Rudolfa Ramszy (1907—2003), popularnego „Ramzesa" — znanego łacinnika i chórzysty oraz „żelaznego" opiekuna chórów szkolnych. Wykorzystując wyjątkowy wtedy „urodzaj" muzykujących gimnazjalistów, w 1952 roku zorganizował orkiestrę, złożoną w większości z uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej w Cieszynie. W orkiestrze tej w latach 1952—1956 muzykowali m.in.: Janusz Krzywoń i Jerzy Szender (krótko), Adolf Kisza z młodszym bratem Władysławem, Karol Krop, Burczyk Jan, Ryszard Sablik, Edward Semik, Bruno Sikora, Kazimierz Friedel, Zdzisław Ziajka, Andrzej Michejda, Wiesław Kareta, Henryk Smykowski (skrzypce), Andrzej Klocek (wiolonczela), Jerzy Raszka, Janusz Guziur, Ma-

Liderzy orkiestry gimnazjalnej (współcześnie). Od lewej Andrzej Klocek, Jan Burczyk oraz Janusz Guziur.

rian Pala (fortepian-harmonium), Edmund Salachna (gitara), Ferdynant Chrobok (akordeon),: Andrzej Ramsza (trąbka), Janusz Rucki (perkusja).

W klasie maturalnej (1955/56) kilku muzyków gimnazjalnej orkiestry (Guziur Janusz, Klocek Andrzej, Salachna Edmund, Nowicki Romuald, Rucki Janusz i inni), wraz z piosenkarką Marysią Mally z „Kopernika", utworzyło zespół taneczno-rozrywkowy, grając i „konspiracyjnie" zarobkując w ustronnych lokalach Wisły i Ustronia (także jeszcze po maturze). Pierwszym zaś dyrygentem orkiestry gimnazjalnej został Andrzej Klocek (1952/53), po czym na całe trzy lata, aż do matury, batutę dyrygencką tej orkiestry przejął Janusz Guziur. Dziwnym zbiegiem okoliczności poprowadził on występ orkiestry w teatrze miejskim także... na 2 tygodnie przed majową maturą (1956).

Ale to już osobna historia.

(*Fotografie ze zbiorów Emanuela Guziura*)

Autentyczne

Zdarzyło się to krótko po Polskim Październiku (rok 1956). Z całego powiatu do cieszyńskiego teatru zwieziono wzorowo gospodarujących rolników. Na spotkanie z Edwardem Ochabem, podówczas ministrem rolnictwa. Dygnitarz zabrał głos i przekonywał zgromadzonych, jak to oni mają się dobrze, albowiem:

— Chłopi mają mięso, chłopi mają mleko, chłopi mają jaja...

Takiego gromkiego aplauzu w cieszyńskim przybytku Melpomeny do tej pory jeszcze nie było.

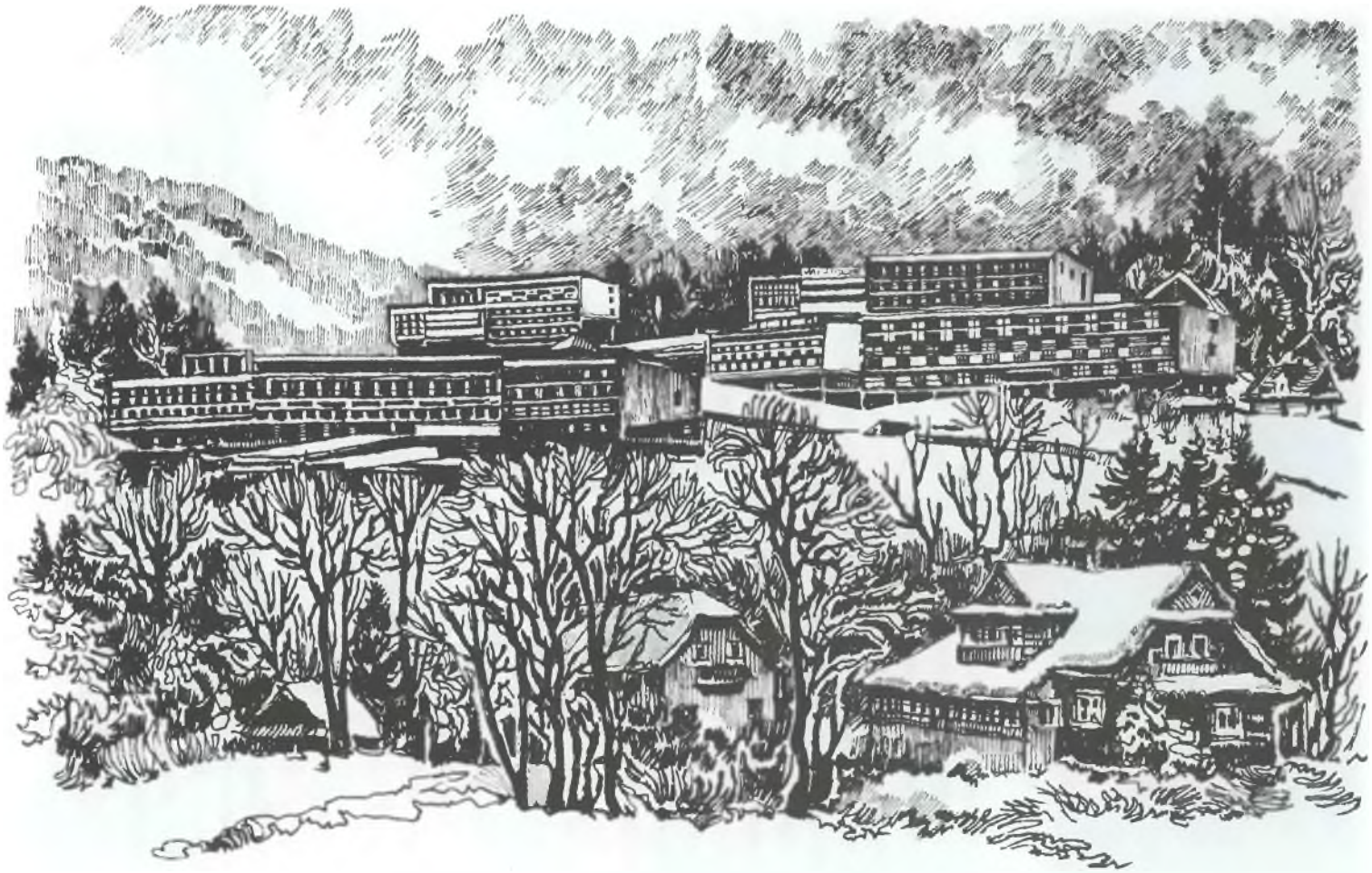

Bogusław Heczko — *Wisła-Uzdrowisko*, 1980, rysunek tuszem.

ZE ZNAKOMITEGO RODU

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA

W 1956 roku w liście do Instytutu Badań Literackich w Warszawie Zofia Kossak napisała, że urodziła się w Kośminie, w powiecie puławskim, województwie lubelskim. Wypełniając wymaganą w ankietach personalnych rubrykę dotyczącą pochodzenia, zaznaczyła, że było ono „ziemiańskie, artystyczne", choć w owych czasach taka informacja musiała wprowadzić urzędników w zakłopotanie, a w charakterystyce sporządzonej w 1967 roku na użytek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie napisano wprost, że wywodzi się z rodziny obszarniczej, co, oczywiście, nie było sprzyjającą okolicznością.

Mimo to Zofia Kossak nieraz jeszcze podkreśli, jak bardzo wspomniane pochodzenie zaważy na ostatecznym wyborze jej drogi życiowej. Uważała zresztą, że długie generacje szlacheckie odegrały w polskiej kulturze niebagatelną rolę. *Prawa przyrodzenia powiadają* — pisała w liście do Melchiora Wańkowicza — *iż nigdy żaden geniusz nie wyszedł wprost od wideł i gnoju. Geniusz musi być hodowany* Hodowany był również geniusz Zofii, wnuczki samego Juliusza — protoplasty rodu malarzy — batalistów i bratanicy Wojciecha. Wojciech był bowiem bliźniaczym bratem jej ojca — Tadeusza. Utalentowana to była rodzina — nic więc dziwnego, że tak nietuzinkowych wydała potomków. Nie bez powodu znakomity znawca historii Kossaków, Kazimierz Olszański nazywał ich „niepospolitym rodem" i niezwykłą familią. Niepospolita była też Zofia dziedzicząca i malarskie, i pisarskie talenty. Oczywiście, spokrewniona była blisko z literatkami pochodzącymi z Kossaków: Magdalena Samozwaniec i Maria Pawlikowska-Jasnorzewska były jej kuzynkami.

Zofia Kossak poważnie myślała o karierze malarskiej. To zapewne znakomite rodowe dziedzictwo spowodowało taką decyzję. Talent malarski w tej rodzinie, jak mówiła, na ogół wybuchał w dzieciństwie, by potem, w wieku około szesnastu lat, zniknąć zupełnie. Tak było i z nią. Talent — oczywiście — dziedziczyła po dziadku Juliuszu, ale po nim też może i dziedziczyła pogodne usposobienie. Mówiono bowiem, że Juliusz był zawsze dobrej myśli. Wojciech zaś ambitny pracowity, pewny swojego talentu i umiejętności.

Wnętrze Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich. W środku nad biblioteczką widoczny portret Anieli Gałczyńskiej.

Zapewne nikt nie przypuszczał nawet, że życie zgotuje jednej z wnuczek Juliusza tak dramatyczne przeżycia. To życie wymuszało na niej kolejne zmiany miejsca pobytu i rozpaczliwe szukanie stabilizacji. Nie była wietrznikiem, którego stale „coś" nosiło po świecie i bardzo przeżywała kolejne tragedie utraty i poszukiwania nowych, spokojniejszych miejsc.

Dziś ostatni dom Zofii Kossak, a jednocześnie muzeum jej imienia zawiera już tylko ślady dawnych dobrych lat Kossakowskiej familii. Nie wszystkie rodzinne pamiątki przetrwały, bo wiele z nich unicestwiły kolejne ucieczki, przeprowadzki, pośpieszne przenosiny, więc tym ważniejsze są te, którym dane było pozostać w domku ogrodnika i świadczyć o znakomitości niepospolitego rodu. *Zdolne bestie te Kossaki* — zachwycał się Boy, a my powtarzamy to zdanie patrząc na monumentalne obrazy, takie jak szkic olejny do *Bitwy pod piramidami* Wojciecha Kossaka, rysunki Juliusza, akwarele Leona i Karola.

Z rogu gabinetu pisarki spogląda zasępiony nieco dziadek Juliusz, z popiersia wykonanego przez Teodora Rygiera na jubileusz twórczości malarza w 1889 roku. Postument, pieczołowicie przechowywany przez Zofię Kossak w jej warszawskim mieszkaniu, był świadkiem wielkiej i tragicznej historii. Do dziś nosi jej ślady. W uszkodzonej podstawie znajduje się

odłamek pocisku, jaki w pamiętnej obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku eksplodował na balkonie mieszkania. Po latach zawędrował do Górek Wielkich — okaleczony nieco, ale nadal przypomina, że pisarka pochodzi z „tych" Kossaków. Na bibliotecznej półce znakomite książki, a wśród nich praca Stanisława Witkiewicza, który dokonywał syntezy dorobku samego Juliusza. Pisał: *Całości życia żadnej pojedynczy talent objąć nie może, Kossak jednak przedstawia taką mnogość zjawisk, taką ich różnorodność, taką wielostronność charakteru, że zdumiewać się trzeba, że to wszystko, co zrobił, wyszło spod jednej ręki, że jedne i te same oczy mogły widzieć tak krańcowo różne zjawiska.* W książce napisanej w latach 1899—1905 chwali wielkiego artystę i nadzwyczajnie prawego człowieka.

Spośród rodowych pamiątek wzruszający jest także niepozorny, ale także znaczący dokument. Jest nim klepsydra Juliusza Kossaka, który, jak informuje pożółkła karteczka: *zmarł dnia 3-go Lutego 1899 roku, opatrzony ŚŚ Sakramentami.*

O tym, że Zofia Kossak i jej mąż gromadzą pamiątki rodzinne wiedziano najwidoczniej, bo kuzynka pisarki — Magdalena Samozwaniec — powiadomiła ją o niezwykle ważnym dokumencie. Okazało się bowiem, że istnieje pamiętnik samej prababci Gałczyńskiej *pisany na wpół dobrą francuszczyzną, a na wpół złą polszczyzną z okropnymi błędami ortograficznymi.* Kopia pamiętnika do dziś znajduje się w zbiorach muzeum góreckiego i służyła pisarce jako ważny dokument. Wiele lat zbierała dokumenty do książki o swoim rodzie, jego dziejach i o swoich losach wpisanych w niepospolite dzieje niezwykłego rodu Kossaków. Pod koniec życia postanowiła napisać o własnej rodzinie i o dziedzictwie, które jej zawdzięczała tak właśnie tytułując powieść, której trzy tomy zdążyła wydać. Czwarty tom *Dziedzictwa* pozostał niedokończony w opasłych brulionach i maszynopisach. Śmierć przerwała zamierzoną opowieść o znakomitym rodzie. I tak zresztą nie była to książka — gawęda, której spodziewał się czytelnik. Powieść, zaplanowana podczas pobytu na kornwalijskiej farmie, miała być powrotem do dzieciństwa i młodości, miała być wspominaniem rodzinnej przeszłości znamienitej familii Kossaków. Z różnych powodów tak się jednak nie stało i Zofia Kossak napisała powieści będące bliżej dokumentu, niż gawędziarskiej opowieści o rodzinie i własnej przeszłości. Mimo to i w niej odnaleźć można wzmianki, które z dystansem, ciepłym humorem i sympatią opisują przeszłość i ludzi, których pamiętała lub znała z rodzinnych opowieści. Zanim opowiemy o powikłanych losach Juliuszowej wnuczki, pochylmy się na chwilę nad kartami pamiętnika prababci Gałczyńskiej i kolejnymi tomami dzieciństwa, by stamtąd wybrać choć parę fragmentów pozwalających lepiej poznać tych, którym pisarka zawdzięczała niepospolite i artystyczne pochodzenia.

* * *

Wnętrze Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich, gabinet pisarki.

Do tej pory zwykło się uważać, że talent Zofia Kossak odziedziczyła od Kossaków. Tymczasem lektura dziwnym trafem zachowanych zapisków zacnej prababci Gałczyńskiej, teściowej Juliusza Kossaka, rzuca nowe światło na tę sprawę. To ona, wzorem szlachetnych szlachcianek dbała o to, żeby pamięć o rodowych wydarzeniach nie za bardzo wyblakła z biegiem czasu i notowała skrupulatnie w modlitewniku daty urodzin i zgonów. Nie ograniczyła się tylko do tego rodzaju utrwalania pamięci. Spisała też niezwykle interesujące wspomnienia. Prababcia Gałczyńska dostojnie spogląda z portretu w góreckim muzeum i wierzyć się nie chce, że to ta sama osoba, którą widzimy też na litografii z Karlsbadu. Dziwaczna, ale zapewne modna fryzura, dziewczęca twarzyczka, wydekoltowana suknia.

Jej pamiętnik pokazuje osobę, w życiu której rozegrały się liczne, nieraz niecodzienne wręcz zdarzenia. Spotkała Adama Asnyka, jego ojca, samego Fryderyka Chopina. Różne doświadczenia życiowe opisywała z polotem, dystansem, czasem przymrużeniem oka. Miała styl dość barwny i żywy, więc może i jej talent odziedziczyła Zofia Kossak.

Nie mogę w tym miejscu nie wspomnieć szerzej o dostojnej prababci Gałczyńskiej, przywoływanej w rodzinnych opowieściach. Oto, jak pisze o niej w *Dziedzictwie* sama Zofia Kossak: *Niespodziewany przyjazd pani Anieli Gałczyńskiej wywołał radosną wrzawę. — Mamcia! — krzyknęła Zofia, chwytając w objęcia przybyłą, taką samą jak zawsze, w niezmiernym od lat wdowim czepku ze szlarką, załzawionym błękitem oczu spozierającą z nieśmiałą czułością wokoło.*

I znów posłużę się niezawodnym dowcipem Magdaleny z Kossaków. Oto przenosimy się w odległe czasy, czasy, których ślad pozostał w góreckim domku ogrodnika. Dostojna Aniela Gałczyńska, o której portrecie zaraz wspomnę, obchodziła swoje dziewięćdziesiąte urodziny. *Prababcia w srebrnej koronkowej sukni, w koronkowym czepcu, spod którego spływały długie białe loki, siedziała na aksamitnym czerwonym fotelu. Wokoło niej (...) siedziały półkolem inne babcie — jej córki. Ponieważ babcie były przeważnie wdowami (w owych czasach mężowie zawsze umierali wcześniej od żon, udręczeni przez owe cnotliwe matrony), więc rodzaj męski nie miał tu swoich przedstawicieli.* Wieczorem, podczas rodzinnego bankietu postanowił wznieść toast wnuk — Wojciech Kossak. To on sportretował ongiś swoją babcię, mając wtenczas tylko kilkanaście lat. Babcia Gałczyńska, ubrana w czepek i ciemną suknię, poważnie spogląda znad biblioteczki w góreckiej pracowni literackiej. Ilekroć na nią spojrzałam, przypominał mi się opis uroczystości rodzinnej sprzed lat. Magdalena Samozwaniec wspomina: *Wojciech Kossak, nie mając do przemówień najmniejszego daru, podniósł się z krzesła, podkręcił pięknego czarnego wąsa, błysnął ognistym okiem arabczyka, brzęknął w kieliszek i rozpoczął mowę od następującego zdania: — Kto nie pamięta wojen napoleońskich, zgliszcz i walących się starych chałup, niech spojrzy na prababcię... — dalej mówić nie mógł, ponieważ nagły, niepowstrzymany wybuch śmiechu przerwał mu potok wymowy. Usiadł z powrotem, okropnie zmieszany, po czym zaczął się śmiać razem z innymi.*

Babcia Gałczyńska ma swoje miejsce i w Górkach — spogląda z portretu, w dodatku świadczy o tym, że jej nastoletni wnuk objawiał już od zawsze wielki talent. Jeśli zaś przyjrzymy się jej pięknym dłoniom, dojrzymy pewien szczegół. Otóż w pierwszej wersji portretu najwyraźniej młody malarz nie mógł sobie poradzić z jednym palcem. Zamalował go w końcu, a nieubłagany czas pokazuje teraz, po wielu latach, ślad tamtej niepewności artysty i całego palca nie widać.

Przodkowie Zofii Kossak życie mieli nadzwyczaj barwne. Prababcia Gałczyńska swój pamiętnik zaczęła od wspomnień z dzieciństwa, a były one, zaiste, nie byle jakie. Otóż sam cesarz Aleksander I piastował ją na kolanach, a babkę obdarował *pięknemi brylantowem kolczykami.* Potem, już jako mężatka, słuchała Chopina. Nienajlepsze jednak zachowała wspomnienia, nie dość, że mąż natenczas chorował i wcześnie położył się spać, a ona, walcząc pomiędzy — jak to ujęła, przyjemnością a obowiązkiem —

niewiele mogła użyć pięknej muzyki, to na dodatek artysta nie był wesoło usposobiony, bo był *w przejeździe za granicę*. Doskonale znała Adama Asnyka, słyszała improwizującą Doetymę. Było to podziękowanie kasztelanowej, u której bawiła, za gościnność i pamięć o jej ulubionej potrawie, czyli buraczkach. Kiedy mieszkała na Świętojańskiej w Warszawie, widziała z balkonu wszystko, co działo się z drogą pamiątką po Chopinie, jego fortepianem, wyrzuconym *na pastwę wandali*. U Kossaków w Krakowie poznała wiele znakomitości, z których wymienia Pohla, serdecznego ich przyjaciela i Lenartowicza, *któren nam czytał swoje utwory, co panienki wcale nie bawiło*. Odnotowuje także skrupulatnie wiadomości ze świata, nazywając je *ciekawymi i sensacyjnymi* — znalazła się wśród nich wieść o śmierci Bismarcka, żelaznego kanclerza, który pozostawił *słabą pamięć po sobie i żadnego żalu*. Za to silne wrażenie wywołała śmierć cesarzowej Elżbiety Austriackiej, zabitej w Genewie (chodzi zapewne o Sissi).

Aniela Gałczyńska dumna była z osiągnięć najpierw zięcia — Juliusza Kossaka, którego poufale nazywa Julem, a potem także Wojciecha — jego syna. Nie omieszka wspomnieć mimochodem, że Wojciech cieszy się w Berlinie wielkimi względami u cesarza i jego dworu i że po śmierci Juliusza wielu wielbicieli jego talentu i cnót oddało mu hołd, a Wojciech otrzymał telegram od samego cesarza Wilhelma z Berlina, który jest dla niego bardzo łaskaw. Babcia Gałczyńska pisze, że *zewsząd dochodzą szczegóły o wyróżnieniach, jakimi darzy artystę cesarz. Są to szczegóły dla mnie wielce miłe że syn znanego Jula nie mniejszym się będzie mógł cieszyć sławą i uznaniem* — czytamy we wspomnieniach. Ich autorka swego czasu królowała w swoim rodzinnym majątku w Siąszycach na Kujawach. Tam wychowywał się czas jakiś Wojciech i ojciec Zofii Kossak — Tadeusz.

O synach Zofii z Gałczyńskich, żony Juliusza, nieraz wspominała seniorka rodu w swoim bezcennym pamiętniku. Kossakowie wyjechali do Paryża. Kiedy okazało się, że pani Juliuszowa jest w ciąży matka wyruszyła w daleką drogę, bo, jak utrzymywała, *niepodobną było jej w tak niebezpiecznej chwili zostawić samą wśród obcych*. Doświadczona pani Gałczyńska, zobaczywszy córkę, nie miała wątpliwości. Oto, jak wspominała spotkanie w Paryżu, *Zosia tak mi się wydawała kolosalną, że od pierwszego spojrzenia przepowiadałam jej bliźnięta, co się też sprawdziło. 31 Grudnia 1856 kiedy po ciężkich, cierpieniach urodziła dwóch ogromnych i ślicznych chłopaków, Wojtka i Tadeusza*. Chłopcy otrzymali dwie różne daty urodzenia. Pozornie różni ich cały rok, w rzeczywistości chodzi o minuty. Wojciech przyszedł na świat pierwszy — tuż przed północą w sylwestrową noc; Tadeusz urodził się już po północy, więc w 1857 roku. Chłopcy byli do siebie tak podobni, że rozróżniała ich jedynie matka, babcia wiązała na czapeczkach kokardki w różnych kolorach.

Oto zapisana przez Magdalenę Samozwaniec historia dotycząca bliźniaków. *Chłopcy kochali się bardzo i razem płatali figle. Ulubioną ich zabawą było robienie fuzji z gałęzi i strzelanie z niej. Ilekroć prababcia to wi-*

działa, powtarzała jedno i to samo zdanie: „Uważajcie, dzieci, bo gdy Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści". W związku z tym babcinym ostrzeżeniem chłopcy postanowili spłatać staruszce paskudnego figla. W tym celu wyszukali gruby kij, wydrążyli go od wewnątrz, napchali do niego prochu strzelniczego i gdy prababcia zbliżała się do nich, zaczęli z kija mierzyć do wróbli.

— Ej, chłopcy — rzekła swoim zwyczajem starsza pani — jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści! — I nagle huk! blask! wystrzał! Prababcia padła na ziemię zemdlona, chłopcy zaś dostali od ojca tęgie „cropidupum punctatum" — jak to Juliusz nazywał — i od tego czasu odechciało im się tego rodzaju zabaw.

Podobno chłopcy byli rozbrykani i garnęli się od zawsze do wojennego rzemiosła. Próbowali nawet uciec do lasu i wziąć udział w powstaniu styczniowym. Ich ojciec — Juliusz *patrzył na nich z podwójnym uczuciem miłości ojcowskiej i zachwytu artysty. Jacy byli obaj piękni i dorodni! Bystre, śmiałe spojrzenie, czyste rysy, bezbłędna budowa. Dwoistość potęgowała urodę. O jednym by powiedziano: To ładny chłopaczek! Na widok dwu identycznych wpadano w podziw.* Autorka *Dziedzictwa* poświęciła im kilka dowcipnych wzmianek. Oto jedna z nich:

Kiedyś, gdy dopraszali się czytania, matka sięgnęła po „Zachwycenie" Lenartowicza. Sama lubiła ten poemacik o wieśniaczce wędrującej po niebie, Stefciowi podobał się również, natomiast bliźniacy słuchali z roztargnieniem, kręcili się; z trudem wytrzymali do końca. — W tym niebie to się chyba nie biją — rzekł Tadzio lekceważąco. Musia, nieco zaskoczona, wyraziła przypuszczenie, że dusze rycerskie partycypują w wyprawach archanioła Michała przeciw diabłom i tym zręcznym zwrotem uratowała w oczach latorośli atrakcyjność raju.

Nieraz bracia nawzajem ratowali się z mniejszych i większych opresji. A zaczęło się już w szkole. Wojciech wspomina: *Zamiast słuchać, co profesor wykładał, gryzmoliłem zawzięcie batalie, konie, cent — gardów i kirasjerów. Wywoływano do tablicy Tadeusza Kossaka, to trącałem mego brata, aby szedł; wywoływano zaś Wojciecha, to tak samo trącałem go, aby szedł.* Bracia byli bardzo do siebie przywiązani — do tego stopnia, że podobno czas jakiś ukrywano przed Wojciechem fakt, że w Górkach Wielkich na Śląsku Cieszyńskim umarł w 1935 roku Tadeusz, obawiając się, że schorowany malarz bardzo to przeżyje.

Przez małżeństwo Wojtka i Tadeusz brat jego na tem skorzystał, poznawszym drugą Pannę Kisielnicką Annę z Korzenistego, stryjeczną siostrę Marylki, z którą zaręczywszy się nie za długo wzieli ślub, czekając tylko na ukończenie praktyki gospodarskiej Tadeusza, aby zamieszkać w majątku Koźmin położonym w Lubelskim nad Wieprzem nie daleko Iwanogrodu. — tak pisała Aniela Gałczyńska wyjaśniając rodzinne koligacje. Niezwykłościom w tej rodzinie nie było końca. Oto bowiem Anna z Kisielnickich i Maria z Kisielnickich — cioteczne siostry, wyszły za mąż za braci bliźniaków, synów Juliusza. Anna była matką Zofii — pisarki. Maria urodziła

Marię (Lilkę) — późniejszą poetkę i Magdalenę — która zostać miała satyryczką. Mamidło sportretowane przez Magdalenę we wspomnieniach, to osoba bogobojna, tolerancyjna, łagodna i dobra. Cierpliwie znosi kolejne romanse i tragedie córek, a także liczne przygody (w tym także sercowe) sławnego męża.

Annę sportretowała Magdalena z Kossaków, trzeba tę wypowiedź przytoczyć, bo jest opowieścią o osobie, o której powiedziano i napisano niewiele. *Ciocia Andzia, osoba pełna cnót wszelakich, miała według opinii rodzinnej tylko jedną wadę — nie była religijna, co pobożna nad wyraz Zofia miała jej za złe.* Pewnego wieczoru odwiedził ją duch jej zmarłej matki. Matka kazała uklęknąć i modlić się. *Od tego czasu ciotka stała się bardzo religijną i co miesiąc chodziła do spowiedzi. Ta historia pasjonowała mnie i Lilkę* — dodaje Magdalena. *— Jak to, ciociu — pytałam — i ujrzawszy zmarłą babcię ciocia nie zemdlała z wrażenia? Ciocia Anna była najbardziej zrównoważoną osobą, jaką znałam. Gdy podczas ostatniej wojny gestapo poszukiwało Zofii, która pracowała w konspiracji i wiedząc o tym, co jej grozi, opuściła mieszkanie, ciotka najspokojniej w świecie spaliła zakazane gazetki i usiadłszy w fotelu robiła na drutach, czekając na wtargnięcie gestapowców.*

— Dlaczegóż miałam zemdleć — ze zdziwieniem odparła na moje pytanie. — Przeciwnie, ucieszyłam się niezmiernie, myśmy się przecież bardzo kochały.

Anna była żoną Tadeusza, jeśli zaś Tadeusz podobny był nie tylko zewnętrznie do Wojciecha — był zapewne szlachcicem o dużej fantazji, szerokim geście i wreszcie mężczyzną nieobojętnym na kobiece wdzięki. Anna — kuzynka Marii, żony Wojciecha Kossaka, wydaje się być osobą zupełnie inną. Dostojna, dość nieprzystępna, smutna. Pisze Aleksander Kamiński: *Życie dworskie koncentrowało się w wielkiej izbie — jadalni, pełniącej także rolę salonu. Przy dużym stole, na reprezentacyjnym fotelu siedzi małomówna „Pani Rotmistrzowa" — Anna Kossak.* Właśnie tak ją sobie wyobrażam słuchając wspomnień o niej i oglądając piękny portret, który namalował w 1931 roku Witkacy. Portret ten to kolejne rodzinna pamiątka z góreckiego domku ogrodnika. Na tym portrecie, wyjątkowo oszczędnym w doborze środków wyrazu — matka Zofii Kossak ma smutne oczy.

Anna — kobieta o smutnych oczach i syn Juliusza Kossaka — sumiasty szlachcic Tadeusz byli rodzicami Zofii Kossak, która przyszła na świat w Kośminie, w powiecie puławskim, województwie lubelskim. Jej pochodzenie ziemiańskie, artystyczne, czy — jak chcieli inni — obszarnicze, zaważyło na wielu jej życiowych decyzjach.

PORTRETY I OBRAZY IWONY KONARZEWSKIEJ

MICHAŁ KAWULOK

Iwona Konarzewska urodziła się 11 maja 1949 r. w Siemianowicach Śląskich. Swoje dzieciństwo dzieliła między Katowicami a Istebną. Od początku wzrastała w otoczeniu sztuki, bowiem wielu członków jej rodziny było artystami: Ludwik Konarzewski senior (dziadek), czy Ludwik Konarzewski junior (ojciec). Jako mała dziewczynka pozowała ojcu do wielu portretów i rzeźb. Oprócz typowych portretów, można jej wizerunek przykładowo odnaleźć w obrazie *Ojciec Leopold Tempes* w kościele Dobrego Pasterza w Istebnej, czy w wizerunku anioła w rzeźbionej ramie do obrazu przedstawiającego Matkę Boską Fatimską w kościele na Stecówce. Idąc

Modelka i portret — reprodukcja ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle.

w ślad ojca i dziadka, została malarką. Obecnie I. Konarzewska tworzy w Istebnej-Buczniku.

Studia odbyła w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, na Wydziale Grafiki w Katowicach. Dyplom uzyskała w 1974 roku. Od tego czasu do urodzenia dzieci, na początku lat osiemdziesiątych, nastąpił bardzo intensywny okres wystawienniczy. I. Konarzewska indywidualnie wystawiała wówczas w Bytomiu (1977), Hagen (Niemcy, 1978), Alesund (Norwegia, 1979), Hesingor (Dania, 1979), Łodzi (1979), Bytomiu (1981), Szczecinie (1982). Wówczas wielokrotnie uczestniczyła również w wystawach zbiorowych.

Już w tym wczesnym okresie wykrystalizował się charakterystyczny styl w malarstwie I. Konarzewskiej, głównie portretowym. Jest to malarstwo dekoracyjne, w którym równą rolę odgrywa zarówno płaszczyzna, jak i każdy szczegół w tle czy ubiorze portretowanej osoby — razem określając wartości kompozycyjne. W takie *decorum* wplątana jest twarz postaci. Jej wyraz najczęściej dyskretnie balansuje pomiędzy smutkiem a dostojną powagą.

Od początku lat osiemdziesiątych nadszedł okres nie tylko artystyczny, ale i macierzyński. Brakowało już czasu na organizacje kolejnych wystaw. Wówczas jednak zaczęły powstawać obrazy najbardziej osobiste, prywatne, przepojone miłością do dzieci. Obrazy te są wędrówką w świat dzieci, emanują wiarą w nich; jak powiada artystka, człowiek ciągle musi wracać do sposobu postrzegania świata przez dziecko, żeby zawsze, wbrew rzeczywistości, pamiętał o marzeniach z najwcześniejszych lat życia. W tym okresie powstają portrety matki z dziećmi, czasem przypominając jakby współczesne Madonny. Stanowią jakby zapowiedź twórczości o tematyce religijnej.

Portrety artystki z tego czasu wydają się oscylować wokół najdostojniejszych słów: *Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.* W zderzeniu niewinności dziecka ze smutkiem, który przynosi rzeczywistość, dobroć ocalić może jedynie wiara. Ocalenie to jednak jest trudne, stąd nieubłagana powaga towarzyszy każdemu wizerunkowi osób portretowanych. Portrety dzieci, jakkolwiek miałyby duże, niewinne oczy, w zadumaniu stają się doroślejsze, choć wydaje się też, że ciągle pamiętają i wracają w obszar wspomnień z dzieciństwa. Wydaje się, że niewzruszone w tych obrazach pozostają jedynie wszystkie rekwizyty, przedmioty, elementy stroju, które są precyzyjnie wykończone.

Natomiast od połowy lat dziewięćdziesiątych sukcesywnie powstawały autoportrety. Widać w nich coraz wyraźniejszy kontrast między światem dekoracyjnych elementów a wzrastającą ekspresją twarzy, która, choć ciągle zachowuje smutek i dostojną powagę, przepojona jest również bólem. W tłach obrazów dyskretnie pojawiają się też symboliczne rekwizyty, których odczytanie prowadzi coraz wyraźniej ku treściom religijnym.

Wykrystalizowanie się bardziej dosłownego malarstwa religijnego ma miejsce na przestrzeni kilku ostatnich lat. Z obrazami tymi wiąże się również powrót I. Konarzewskiej na wystawy indywidualne i zbiorowe. Artystka wystawia głównie na terenie Górnego Śląska oraz Śląska Cieszyńskiego:

Autoportret w Gromniczną — reprodukcja ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle.

w Katowicach, Niepołomicach, Ustroniu, Wiśle, Istebnej. Oprócz tego od kilku już lat uczy malarstwa dzieci, prowadząc autorską Szkółkę Malarską pod patronatem Nadleśnictwa w Wiśle. W pracy z dziećmi, w rozmowach z nimi, znów dochodzi do źródeł pojmowania swojej twórczości.

W tematyce religijnej I. Konarzewska odnajduje oręż dla wiary. Ujawniło się to w pracach: *Popielec, 50 lat pielgrzymowania, Boże Ciało, Autoportret w Gromniczną, Ukrzyżowanie, Piekło—Niebo,* czy czternastu stacjach Drogi Krzyżowej, mieszczącej się w kaplicy fundacji Ojca Pio w Istebnej-Andziołówce. Ukoronowaniem tej tematyki jest *Różaniec Istebniański,* przedstawiający 20 tajemnic różańca świętego. Te swoiste spotkania z Chrystusem mają najczęściej scenerię domu artystki, ogrodu, kapliczki wystawionej przez jej dziadka. Biorą w nich udział również górale w strojach ludowych. W ten sposób Kana Galilejska może stać się Istebną, co zdradzają nogawiczki i kyrpce u tańczących czy czerwony bruclik.

W ostatniej tajemnicy Najświętsza Maria Panna nie opuszcza Bucznika, wyłaniając się z buków i rysując na niebie ponad Młodą Górą, zawsze widoczną z tego miejsca. Smutny wyraz Madonny jest pamięcią o jej współcierpieniu z Chrystusem, wydaje się też, że jest pamięcią I. Konarzewskiej o wszystkim, co było i jest w jej życiu, o marzeniach z dzieciństwa, które istnieją i które ciągle trzeba sobie przypominać, ponieważ szybko umykają.

Prace I. Konarzewskiej znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą; obraz *Wizyta* znajduje się w zbiorach sztuki Muzeum Beskidzkiego w Wiśle.

Henryk Konheisner — *Zamek w Skoczowie*, 1938, staloryt.

KINO OSOBNE

(Z FRANCISZKIEM DZIDĄ ROZMAWIA EDYTA ZACHURZOK)

Jest pan przede wszystkim człowiekiem kina, a na ile czuje się Pan również malarzem?

Od dziecka byłem związany z malarstwem. Ojciec był malarzem, malował amatorsko różne pejzaże, był również malarzem pokojowym, lakiernikiem. Moje pierwsze próby malarskie to były pejzaże i pejzażom jestem wierny do dzisiaj. To był najwcześniejszy okres kontaktu ze sztuką. Próby malowania, rysowania i potem bardzo szybko, w trzeciej czy czwartej klasie szkoły podstawowej, malowałem farbami olejnymi. Po okresie olśnienia malarstwem obrazek stał się dla mnie jednak za ciasny, ograniczały mnie ramy. Jestem raczej „fabularny" i „narracyjny", w związku z tym wolałem, żeby to było ruchome. Chciałem, żeby towarzyszyła temu anegdota.

Na ile związki malarstwa z kinem są widoczne w pana filmach?

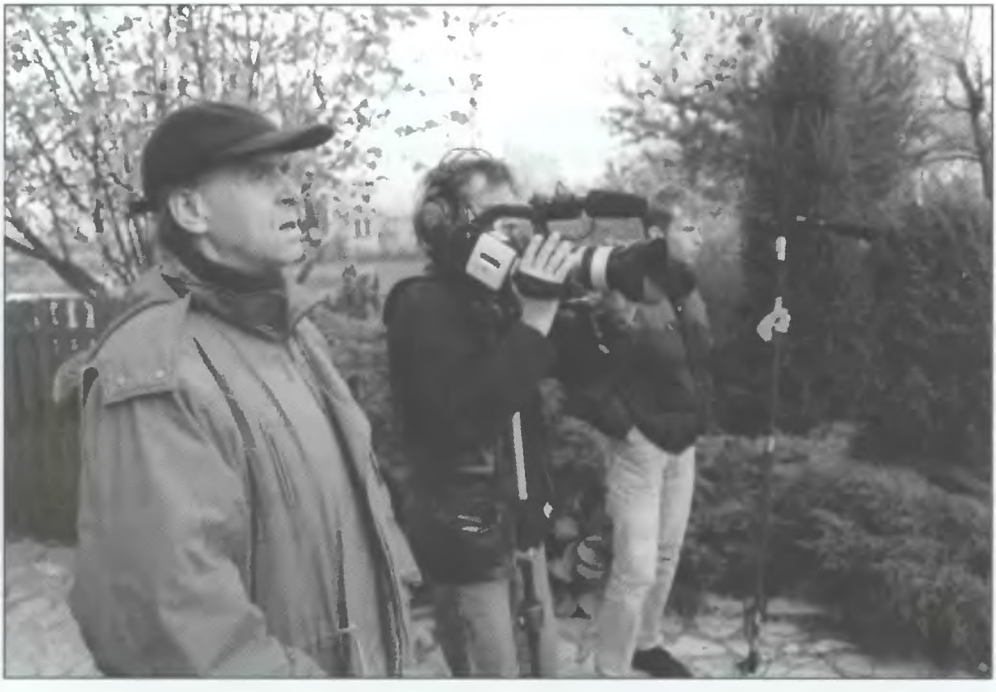

Franciszek Dzida na planie jednego z wielu zrealizowanych filmów. Fot. Witold Kożdoń.

Związki te są oczywiste. Nieustająco robię filmy okołoplastyczne, to są poszukiwania w kręgu eksperymentu, to jest kwestia kadru, komponowania, panowania nad operatorką i operatorem, myślenia plastycznego, pewnej estetyki...

Po pierwszym oczarowaniu sztukami plastycznymi przychodzi więc etap fascynacji kinem...

Tu znów muszę odwołać się do mojego ojca, który był kinomanem. Już przed wojną jeździł do kina, do Czechowic-Dziedzic. To było dość skomplikowane. Nie było powrotu, noce spędzał na dworcu. Był prawdziwym zapaleńcem, kino było mu bliskie. To on po raz pierwszy zabrał mnie do kina. Bardzo intrygowało mnie, skąd bierze się obraz. Prosiłem ojca, żeby zabrał mnie do kabiny projekcyjnej. Pamiętam kinooperatora, który w trakcie jednego z seansów przyszedł po mnie. Pokazał mi wnętrze kabiny, w której było bardzo ciepło, terkotał projektor, żarzyły się niebieskie diody, lampy, pętla w aparacie projekcyjnym przeskakiwała, no i ten magiczny snop światła... Patrzyłem na salę, widziałem rozświetlony półmrok, ludzi na widowni i obraz. To było moje największe przeżycie, oczarowanie, eksplozja. Ruch, światło... To był początek tej przygody...

Jak doszło do założenia w Chybiu w roku 1969 klubu filmowego? Jak udało się zgromadzić w środowisku wiejskim ludzi zainteresowanych działalnością kulturalną?

Pracowałem wtedy w cukrowni w Chybiu, na przerwach spotykaliśmy się, gadaliśmy, komentowaliśmy filmy, które oglądaliśmy w telewizji. Zaproponowałem kolegom założenie sekcji, początkowo planowaliśmy sekcję DKF (Dyskusyjny Klub Filmowy), żeby podyskutować, z tego jednak nic nie wyszło, bo szybko, już w lipcu 1969 roku kupiliśmy kamerę KWARC za składkowe pieniądze, Józek Orawiec dał 2 tysiące złotych, ja dałem 500 złotych. Zgłosiliśmy się do rady zakładowej cukrowni w Chybiu jako sekcja. Początkowo krytykowano nas, mówiło się o słomianym zapale, klub jednak konsekwentnie się rozwijał. To wszystko wynikało z moich doświadczeń, ja najwięcej wiedziałem o filmie, znałem reżyserów, oglądałem ambitne kino. Chciałem kupić sprzęt, wyremontować działające jeszcze wtedy kino „Unia". Pierwsze spotkanie klubowe miało miejsce 10 czerwca 1969 roku, było nas 10 i już wtedy przedstawiłem zarys działalności klubu. To się wtedy nazywało sekcją, bo takiego pojęcia jak klub jeszcze nie było. Najważniejszym punktem było szkolenie, miałem świadomość tego, że pozostali za wiele nie umieją. Ja byłem przygotowany najlepiej, wiedziałem, że nie można robić filmów nie chodząc do kina. Dzisiaj część filmowców-amatorów robi filmy z pominięciem kina. Najpierw trzeba posiąść solidną wiedzę. W naszej sekcji rozpoczęły się więc spotkania dyskusyjne, pokazywaliśmy film, jako kinooperator miałem dostęp do ówczesnej produkcji filmowej. Szkolenie dotyczyło techniki, każdy musiał umieć obsługiwać projektor na taśmę 16-milimetrową. Organizowaliśmy też maratony filmowe. Uczyliś-

my się, a potem we wrześniu zorganizowaliśmy egzaminy sprawdzające wiedzę poszczególnych członków.

Jakiego bohatera portretowały pana wczesne filmy?

To był bohater zbiorowy, młodzież, bo ona była nam najbliższa. Robiliśmy dokumenty inscenizowane. Manifest, który wtedy wygłosiłem, określał pewne kierunki. Punkt pierwszy to robienie filmów artystycznych i niezależnych, nie sugerowaliśmy się ocenami jurorów, tendencjami festiwalowymi, odrzucaliśmy presję polityczną. Miało to być kino ambitne, artystyczne, fabularne i autorskie. Drugim ważnym elementem naszej działalności była potrzeba prowadzenia edukacji filmowej, promowanie kultury filmowej, wychowanie odbiorcy ambitnego kina. Trzeci ważny punkt, który realizowany jest do dzisiaj, to zapis dokumentalny, kronikarski, który wykonujemy na rzecz naszego mecenasa — filmowaliśmy pochody pierwszomajowe, imprezy okolicznościowe itp. Te trzy cele do dzisiaj są w „Klapsie" realizowane.

Jak udawało się śmiałe obyczajowo filmy pokazywać na profilowanych festiwalach w PRL-u?

Paradoks polega na tym, że to teraz festiwale są bardziej po linii, niż były wtedy. To są mity, które o PRL-u się powtarza. Ja miałem po prostu odwagę, człowiek z prowincji, o której nikt nawet nie wiedział, że istnieje, pokazywać na festiwalach ogólnopolskich właśnie takie śmiałe filmy. To nie była kwestia mojej bezczelności, ale raczej świadomości, odwagi, którą powinien mieć twórca. Na jednym z festiwali

Wspomina pierwsze filmy: *Admirała Uszakowa*, *Białą grzywę*, *Krzyżaków*, których oglądał siedząc w kinie, w pierwszym rzędzie, z zadartą głową; swojego ojca — artystyczną duszę; pierwszą lekcję fotografii, której udzielił mu wuj Paweł; dziecięcy teatrzyk, divadlo przywiezione z Czech przez ciotkę, kabaret polityczno-satyryczny „Buraczek", który założył; swoją karierę konferansjera i zawód kinooperatora zdobyty przy okazji służby wojskowej... Te wszystkie doświadczenia, zdarzenia, ludzie, których spotkał na swojej drodze, złożyły się na osobowość Franciszka Dzidy. Poszukiwał, znalazł. Jego drogą jest kino. *Sztuka jest tym obszarem, gdzie naprawdę możemy być wolni, pod warunkiem, że darzymy ją bezinteresowną miłością* — mówi Franciszek Dzida. Opowiadając o sobie porównuje się do dziecięcego bohatera z filmu Giuseppe Tornatore *Kino Paradiso*, mały Toto, podobnie jak mały Franek, przeżywa najbardziej magiczną chwilę życia w kabinie projekcyjnej prowincjonalnego kina...

w Polanicy, krążyła nawet pogłoska, pisano o tym w gazetce festiwalowej, że to Uniwersytet Warszawski, bojąc się kompromitacji, udaje wieś, której nie ma w ogóle na mapie. Ja musiałem to prostować, tłumaczyć wszystkim, że Chybie istnieje i robi się tam filmy.

Najważniejsze filmy z lat 60. i 70., z okresu „ósemkowego" i „szesnastkowego"?

To były na pewno: „Impreza", „Przypowieść", „Motyle", „Zapis". Filmy zrobione na taśmie 8-milimetrowej. Z filmów zrealizowanych na taśmie 16-milimetrowej to „Przez lustro", film, który robi karierę w Europie, a także „Pejzaż niespełniony" i oczywiście „Nietutejsza", film który urósł już do rangi mitu. Produkcyjniak. Ten etap kończy się filmem przejściowym, ważnym, czyli „Szarością".

„Nietutejsza" to film ważny, choćby z tego powodu, że zwrócił na niego uwagę juror krakowskiego festiwalu „Dokument w filmie amatorskim", a był to...

...Krzysztof Kieślowski. To było bardzo ciekawe spotkanie. Prezentowaliśmy „Nietutejszą", film o pracy, o tytułowej bohaterce, pracownicy sezonowej, która przyjeżdża do Chybia i przyjmuje się do pracy w cukrowni. Jako „Klaps" programowo robiliśmy fabuły, w zasadzie nie pasowaliśmy do tego festiwalu, ale w związku z tym, że nasz film robiliśmy w systemie para dokumentalnym, istniały przesłanki, że można go wyświetlić. Został przyjęty. Projekcja odbyła się bez problemów. Potem ktoś mi powiedział, że jurorzy chcieli się ze mną spotkać. Kieślowskiego znałem z widzenia, z ekranu. Powiedział, że film był bardzo dobry, ale był powściągliwy w ocenie. Palił, chciał się czegoś więcej o nas dowiedzieć. Opowiadałem mu o naszej wsi, cukrowni, o tym, że filmy robię z bratem, że staram się robić kino osobiste. Jego interesowało najbardziej to, czemu akurat na wsi założono klub filmowy. Chciał przyjechać do Chybia. Zaprosiłem go. Tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie. Ale wtedy nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi.

To Kieślowski zamówił u pana dokumentację do filmu „Amator"?

— Był rok 1977, mieliśmy trochę filmów na swoim koncie, trochę nagród, robiliśmy już filmy na taśmie 16-milimetrowej. Kieślowski zorientował się, że tego materiału jest już tak dużo, że najlepiej byłoby, żeby to wszystko spisać. Miał świadomość, że wszystkiego nie zapamięta, nie robił żadnych notatek. Zaproponował mi spisanie moich wspomnień.

Premiera „Amatora" w Chybiu to przypieczętowanie przyjaźni reżysera z „Klapsem"?

To prawda. Premiera „Amatora" w Chybiu to było wydarzenie. Kieślowski już na obchodach 10-lecia AKF „Klaps", w 1979 roku, powiedział, że ta premiera w Chybiu się odbędzie. Było to wydarzenie, bo Kieślowski był już wtedy reżyserem znaczącym, niektóre jego filmy blokowano, próbowano „półkować" i już mówiło się, że to reżyser niezwykły, kontrowersyjny, postrzegano go jako postać, a nie jako grzecznego reżysera. Jak Kie-

ślowski zaproponował mi premierę, to pojawiłem się w wydziale kultury w Bielsku-Białej, musiałem mieć jakieś wsparcie. Najpierw planowaliśmy zrobić małą premierę, ale w Bielsku-Białej wiedzieli już, że to warszawka. Okazało się, że trzeba zaprosić notabli, związki zawodowe, stworzyć listę osób, wysłać zaproszenia... Barbara Sosna koordynowała całą premierę. To było ogromne przedsięwzięcie logistyczne. Profesor Wasilewski, ówczesny rektor filii Politechniki Łódzkiej, mówił: „To jest największy dzień w pana życiu, panie Franku!" Ja tego tak nie postrzegałem.

Wciąż mówi się o panu w kontekście Kieślowskiego, nie drażni to pana?

Powiem tak, im bardziej Kieślowski rósł w siłę, tym ja stawałem się pokorniejszy. Boję się, że czasami nadużywam tej znajomości, ale jest oczywistą sprawą, że Kieślowski mi nie pomógł. On miał swoją drogę, ja miałem swoją, te drogi się wzajemnie nie krzyżowały.

Jaka jest relacja między Filipem Moszem, bohaterem „Amatora" Krzysztofa Kieślowskiego, a Franciszkiem Dzidą? Ile w panu jest Filipa, ile w Filipie Franciszka Dzidy?

Jest to postać człowieka, który został „dotknięty" przez film. Nasze przypadki są tożsame. Film zmienił całe nasze życie. Jest to zauroczenie, przeznaczenie, ogromna determinacja, jaką wyzwala medium takie jak film. Mosz był dokumentalistą, chciał filmować swoje dziecko, a mnie nie interesowała rzeczywistość. A poza tym ja urodziłem się artystą, a Filip Mosz artystą się stawał.

Jest pan postrzegany przez pryzmat „Amatora", ale nie czuje się pan filmowcem-amatorem, w 1989 roku po wstąpieniu w szeregi Stowarzyszenia Filmowców Polskich, deklarował pan zamknięcie rozdziału twórczości amatorskiej. Czy w takim razie zgadza się pan na etykietę kina niezależnego?

Ja się nie utożsamiam z kinem niezależnym. Nie jestem ani offowy, ani niezależny, nie mam przecież pieniędzy. Amatorem też nie jestem, a wszyscy nadal piszą: prawdziwy amator, niektórzy piszą nawet z dużej litery! Ja robię kino osobne, osobiste, autorskie. Kino jest dla mnie formą komunikowania się.

Kino to dla pana sposób na życie, wentyl bezpieczeństwa?

To jest zbyt wąskie określenie, bo wentyl to zbyt małe ujście. To nie wentyl, to jest cała przestrzeń. To jest taki balon, ale w swoich marzeniach o kinie jestem realistą, wiem, że nie bardzo mogę odciąć się od tej rzeczywistości. Nie mogę robić filmów za 10 tysięcy dolarów, ale mogę zrobić za 5 tysięcy złotych i ja się na ten stan rzeczy nie zgadzam, ale film robię. Jak nie zrobię za 5 tysięcy złotych, to w ogóle nie zrobię!

A jednak najważniejsze wydarzenie w ostatnim czasie w Amatorskim Klubie Filmowym „Klaps" to wizyta Tadeusza Sobolewskiego w Chybiu i w konsekwencji udział w projekcie Marysi Lewandowskiej i Neila Cummingsa „Entuzjaści z Amatorskich Klubów Filmowych", czyli eksploatowanie wątku pana

przynależności do amatorskiego ruchu filmowego.

To prawda, to było wyjście na świat i Europę. Projekt faktycznie rozpoczął się w Chybiu, w miejscu magicznym. To wszystko się łączy. Sobolewski wystąpił w „Amatorze", w 2001 roku przyjechał do Chybia, to on powiedział Marysi Lewandowskiej, artystce, która na co dzień pracuje w Londynie i od stanu wojennego jest na emigracji, że musi pojechać do Chybia, jeśli chce się czegoś dowiedzieć o kinie amatorskim, że to jest miejsce, gdzie był „Amator" i Kieślowski, i tam wszystko się zaczęło. M. Lewandowska i N. Cummings spędzili w Chybiu trzy dni, obejrzeli sporo filmów...

Analizując pana twórczość można wydzielić kolejne etapy, najpierw realizował pan filmy na taśmie 8-milimetrowej, potem już używał pan taśmy 16-milimetrowej, taśmy magnetycznej, wreszcie przyszedł czas zapisu cyfrowego...

Tak, ale wszystko później, niż tego chciałem. Jednak we wszystkich ograniczeniach szukam form doskonalenia siebie, z ograniczenia staram się uczynić zaletę. Na przykład w ósemce osiągnąłem najlepsze parametry, zrobiłem najlepsze filmy, wydusiłem wszystko, co się dało. Do 1985 roku robiłem nieme filmy, od momentu wideo pojawił się dźwięk. Dzisiaj tęsknię za filmem niemym. Byłem niemową sto lat. Jak pojawił się dźwięk, to rozpocząłem walkę z literaturą, miałem problem z dialogami. Pokazać, a nie mówić. Należało znaleźć ekwiwalent dla słów, zwizualizować opowiadanie.

Wreszcie etap „wielkich produkcji", który rozpoczął się „Animą".

Jeszcze wcześniej ważne były filmy takie, jak „Piętra samotności" w 1989 roku, czy „Bliscy i oddaleni", najbardziej profesjonalny film od strony warsztatu, na największym nośniku, bo na półcalowym Betacamie, film zrobiony na profesjonalnym formacie telewizyjnym, z zawodowymi aktorami. Serię większych filmów w gruncie rzeczy rozpoczyna właśnie film „Piętra samotności", od tego filmu powinniśmy liczyć nową epokę. Potem jest długa przerwa. W 1991 roku zrobiłem film pt. „Bliscy i oddaleni", to było niepowodzenie, bardzo mnie to zniechęciło i do 1999 roku nie zrobiłem żadnego filmu, czyli prawie przez 8 lat nie było żadnego wielkiego filmu. Dopiero w 1999 roku powstaje „Anima", następnie „Późne czerwcowe popołudnie", „W maju", film bardzo mi bliski, bardzo wyrafinowany plastycznie, nasycony symbolami, skojarzeniami erotycznymi. To jest wielkie osiągnięcie. W tym filmie udało się zwizualizować stany erotyczne bez dosłowności erotycznej. Inne filmy to „Wyspa miłości", „Opuściłam siebie, zostawiłam ciało", „Strefa zmierzchu". Ostatni mój film to „Wędrowiec", antymoralitet, w którym dobro nie zwycięża zła.

Jak pozyskuje pan do swoich filmów znane twarze? W „Strefie zmierzchu" zagrał Jan Nowicki, w „Wędrowcu" Piotr Machalica...

To są relacje osobiste, to polega na tak zwanym zauroczeniu. Ja tym ludziom nic szczególnego nie

oferuję, ale oni stają na mojej drodze życia, np. to, że spotkałem Piotra Machalicę na festiwalu w Gdyni, to był przypadek. Jana Nowickiego poznaliśmy jeszcze w latach 70., zapytałem czy mógłby zagrać... Oni potem mówią, że ulegli urokowi... Myślę, że dostrzegają we mnie wariata, szaleńca. Przyciąga ich postać człowieka, mówię tu o sobie, który od tylu lat jest konsekwentny, wierny sobie, bezinteresowny, *ostatni z wielkich*, jak napisał Jan F. Lewandowski. W kontekście „Entuzjastów..." faktycznie jestem postacią, która żyje dla sprawy. Czystość intencji.

Jest pan spełnionym filmowcem?

Ja nie lubię podsumowań, bo wydaje mi się, że muszę coś kończyć. Największym darem losu jest to, że mogę robić filmy. Jestem też człowiekiem, który poświęcił dużo swojego życia dla innych, tworząc sprzyjającą atmosferę, uruchamiając pewne inicjatywy, zapraszając innych do wspólnego przeżywania, przez te wszystkie lata przewinęło się przez „Klaps" bardzo dużo ludzi, mam na swoim koncie wiele działań kulturotwórczych. To wszystko wypływa poniekąd z mojego zauroczenia kinem, z konsekwencji. Żeby trwać w swojej pasji, trzeba mieć dużo determinacji. Mam świadomość tego, że wpłynąłem na wielu ludzi w Chybiu.

Chybie jako punkt na filmowej mapie Polski. Jak pan to widzi?

Małe centrum pamięci Krzysztofa Kieślowskiego, instytut, jakaś przestrzeń galeryjna z częścią poświęconą Kieślowskiemu i klubowi filmowemu. Pokazać zdjęcia, wykopiować unikalne klatki filmowe, z premiery „Amatora" zrobić centralne wydarzenie, wywiesić zdjęcia z premiery, to wszystko w eleganckich antyramach, dołączyć materiały o Kieślowskim, które posiadamy, fotokopie listów, zapiski, protokoły z festiwali podpisane przez Kieślowskiego, wywiady z nim. Do tego boksy z monitorami, komputerami, gdzie można by przeglądać filmy z „Klapsa". W gablotach stare kamery, projektory, medale, wywieszone dyplomy, nagrania. A dopełnieniem tego wszystkiego książka o Kieślowskim pt. „Kieślowski w *Klapsie*".

Czuje się pan częścią historii kina?

To jest wstrząsające odkrycie, ale się czuję, bo ja zawsze chciałem być blisko kina i to mi się spełniło. Jak znalazłem się w „Encyklopedii kina" pod red. T. Lubelskiego, to pomyślałem sobie, że to już coś znaczy, to jest porządne wydawnictwo i to jest mój sukces! Jestem wdzięczny X muzie, że za moją wierność odpłaca mi takimi profitami.

Plany na przyszłość?

Najgorsza obecnie jest tak zwana potoczność serialowa. Ten rodzaj narracji, ten rodzaj dramatów, sposób opowiadania tych dramatów, przeżywania problemów. Serial jest niebezpieczną papką, która wszystko rozmiękcza. To jest taki rozpuszczalnik, który wszystko rozpuszcza! Język filmowy przechodzi różne metamorfozy, ale największym dla mnie wyzwaniem jest w tym momencie nakręcić coś, co nie jest serialem, co nie ma estetyki serialowej.

FRANCISZEK DZIDA, w 1969 roku założył w Chybiu Amatorski Klub Filmowy „Klaps", animator i kreator życia kulturalnego Chybia, współorganizuje 6 Przeglądów Twórczości Filmowej i 9 Festiwali Nieprofesjonalnych Filmów Fabularnych „Fabuła — Chybie" oraz warsztatów i seminariów filmowych. W 1977 roku na prośbę Krzysztofa Kieślowskiego spisał swoje wspomnienia, dokumentacja *Kolejna próba ukierunkowania. Z notatnika wiejskiego działacza kultury. Czerwiec 1969 — lipiec 1976* posłużyła Kieślowskiemu do napisania scenariusz filmu *Amator*. Franciszek Dzida jest pierwowzorem postaci Filipa Mosza, modelowym filmowcem-amatorem, peerelowskim entuzjastą taśmy 8- i 16-milimetrowej. Do tego fragmentu historii PRL-u nawiązuje w swoim projekcie Marysia Lewandowska i Neil Cummings. Franciszek Dzida i jego filmy (*Motyle*, 1971, 8 mm, *Przez lustro*, 1985, 16 mm) stanowią integralną część wystawy „Entuzjaści z Amatorskich Klubów Filmowych", która pokazywana była w Warszawie, Londynie, Berlinie i Barcelonie. Franciszek Dzida to autor ponad 70 filmów, robi je nieprzerwanie od 1969 roku aż do dzisiejszego dnia. Jest reżyserem niezwykle płodnym i aktywnym, dzięki temu AKF „Klaps" ma się również całkiem nieźle obecnie, współpracuje z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Chybiu, gości ludzi kina, organizuje wystawy fotograficzne, pokazy filmowe, przy „Klapsie" działają również warsztaty filmowe. Dzida zadebiutował *Ostami*, filmy realizowane na taśmie 8- i 16-milimetrowej są w większości czarno-białe i nieme; jak tylko pojawiła się możliwość realizowania filmów wideo, już dźwiękowych, zajął się upowszechnianiem tej techniki, organizował liczne warsztaty wideo. Obecnie realizuje filmy techniką cyfrową. Zdobywca ponad 65 nagród (część z bratem, Janem Dzidą), na swoim koncie ma m.in. Złoty Medal UNICA za całokształt twórczości (1986), doroczną nagrodę miesięcznika „Kino" za wybitne osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury w środowisku wiejskim oraz popularyzację amatorskiego ruchu filmowego (1986), nagrodę im. Norberta Boronowskiego za całokształt twórczości przyznaną przez Śląskie Towarzystwo Filmowe (1988), nagrody specjalne Stowarzyszenia Filmowców Polskich (1987, 1989, 1991), odznaczenie Zasłużonego Działacza Kultury (1979), Srebrną Cieszyniankę (2001), Doroczną Nagrodę Powiatu Cieszyńskiego w dziedzinie kultury (2002). W latach 1979—1992 Franciszek Dzida zasiadał w zarządzie Federacji Amatorskich Klubów Filmowych, od 1989 roku członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich, stypendysta Komitetu Kinematografii (1991). Organizator i komisarz I Międzynarodowego Przeglądu Filmów „Nowe Kino" (Bielsko-Biała, Biuro Wystaw Artystycznych 1996), założyciel (1992) i kurator Akademickiej Galerii 3-2-0 (Filia Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej, od 2001 Akademia Techniczno-Humanistyczna).

NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM PRZED 1918 R.

NAUCZYCIELE W POLSKIM ŻYCIU TEATRALNYM

BOLESŁAW ORSZULIK

Kółko Pedagogiczne, założone w Ustroniu w 1889 r. przez Jerzego Kubisza, było pierwszą organizacją polskich nauczycieli na Śląsku. Przekształcone w 1896 r. w Polskie Towarzystwo Pedagogiczne, zrzeszało najbardziej aktywnych na polu narodowym nauczycieli w 6 kółkach: cieszyńskim, błędowickim, dziedzickim, frysztackim, jabłonkowskim i ustrońskim, do których w 1908 r. należało około 250 nauczycieli[1]. Pracę tych kółek koordynował Zarząd Główny, mający swą siedzibę w Cieszynie, zaś organem towarzystwa był wychodzący od 1892 r. „Miesięcznik Pedagogiczny".

Szeroki był zakres działalności owego nauczycielskiego stowarzyszenia. Jego głównym celem była troska o rozwój polskiego szkolnictwa podstawowego, z czym wiązały się zdecydowane wysiłki przeciwstawiania się próbom utrakwizacji szkół ludowych, nasilających się zwłaszcza na przełomie wieków, podejmowanych przez ugrupowania niemieckie i proniemieckie. Towarzystwo rozwinęło też pracę w zakresie doskonalenia zawodowego swych członków, co dla polskich nauczycieli kształcących się w seminarium niemieckim miało szczególne znaczenie. Powstała z inicjatywy tej organizacji nauczycielskiej „Wzajemna Pomoc" wydawała polskie podręczniki szkolne. Należy również podkreślić, że przełom w działalności Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego, która od 1907 r. aktywizowała swe agendy w terenie, dokonał się z inicjatywy i przy czynnym poparciu Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego. W ten sposób nauczyciele zyskali nie tyl-

[1] J. Szuścik: *Potrzeby kulturalne ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim.* „Przewodnik Oświatowy" 1908, s. 46.

ko silnego sojusznika w walce o należną pozycję polskiego szkolnictwa, ale także współorganizatora szerzej pojętej pracy kulturalno-oświatowej i narodowej wśród dorosłych.

Od początku ruchu teatralnego na Śląsku Cieszyńskim udział w nim brali nauczyciele, którzy z reguły byli inspiratorami i reżyserami przedstawień organizowanych przez różne stowarzyszenia. W tym zakresie udzielali pomocy różnym towarzystwom (wyznaniowym, ogólnokulturalnym, a także, choć rzadziej, organizacjom politycznym i zawodowym). Także Polskie Towarzystwo Pedagogiczne, które rozwinęło szerszą działalność kulturalną, odegrało ważną rolę w polskim życiu teatralnym na Śląsku. Zespoły nauczycielskie występowały wprawdzie doraźnie, lecz zawsze z wartościowym i starannie opracowanym repertuarem. Zwłaszcza spektakle organizowane na największych scenach regionu (w Domu Narodowym w Cieszynie i w Hotelu Gwarectwa w Dąbrowie) stanowiły ważne wydarzenia w ruchu amatorskim.

W Cieszynie występowali nauczyciele w latach 1902—1913. W jednym z pierwszych przedstawień wystawili sielankę K. Brodzińskiego *Wiesław* w adaptacji K.J. Ostrowskiego (9 IV 1904)[2]. W następnych latach prezentowali wyłącznie arcydzieła polskiej dramaturgii. Ich zasługą jest m.in. wprowadzenie do cieszyńskiego repertuaru komedii Aleksandra Fredry *Pan Jowialski* (10 XI 1906) oraz pierwsze na tym terenie wystawienie siłami amatorskimi *Zemsty* (21 XI 1908). W ramach przedwyborczego wiecu nauczycielstwo polskiego Śląska Austriackiego odegrało *Karpackich górali* Józefa Korzeniowskiego (28 IV 1907)[3].

Także nauczyciele z Zagłębia, zrzeszeni we frysztackim kółku PTP, prezentowali cieszyńskiej publiczności ambitne spektakle. Dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego zespół ten wystawił po raz pierwszy w całości na Śląsku Cieszyńskim *Balladynę* (w Dąbrowie 8 XII 1909), którą powtórzono dwukrotnie na scenie Domu Narodowego w Cieszynie (15 I i 10 XII 1910)[4]. Wydarzeniem teatralnym stał się też gościnny występ tego zespołu, który oczarował cieszyńską widownię baśnią dramatyczną Lucjana Rydla *Zaczarowane koło* (13 I 1912)[5]. Jak doniosła ówczesna prasa, przed-

---

[2] Z udziałem Bajorkowej, Adamczykówny, Pauliny Gryczówny, Boruchańskiej, Władysława Doruli, Michejdy, Jana Szuścika i Sikory.

[3] Na scenie wystąpili m.in.: Ligężanka (Prakseda), Bolesław Włodek (Maksym), Maliniak (Antoś).

[4] Wg informacji ówczesnej prasy w spektaklu wystąpiły „znakomite siły amatorskie": Majcherczykówna (Balladyna), Zajączkówna (Alina), Antonina Szuścikowi (Wdowa), Maria Bajorkówna (Goplana), Rudolf Halfar (Grabiec), Rudolf Budnik (Skierka), Mucha (Filon), Paweł Pszczółka (Gralon), Dyndowicz (Kostryn), Jan Kotas (Kanclerz), Sikora (Chochlik), Siwy (Kirkor).

[5] Wystąpili: Jan Łysek (Maciuś), Antonina Szuścikowa (Młynarka), Rudolf Halfar (Drwal), Szczepański (Dziadek leśny), Maria Bajorkówna (Wojewodzianka), Sikora (Organista), Ostafin (Boruta), Kokotek (Kusy), Piotr Feliks (Wojewoda), Fojcik (Młynarz), Zielina (Janek).

stawienie *wypadło pięknie, w pojedynczych szczegółach wspaniale [...] Na pierwszy plan wybiły się postacie głupiego Maciusia i Młynarki [...] Czar, wiejący od wiejskiego pastucha Maciusia i naturalna groza Młynarki bez zmysłów, porywały wszystkich. Postaci obojga nieprędko zatrą się w pamięci widzów*[6].

Warto podkreślić, że frysztackie kółko odegrało w Cieszynie prapremierę śląskiej sztuki nauczyciela Jana Szuścika *Pańszczorze, czyli Wesele śląskie* (8 XI 1913). Spektakl reżyserował nauczyciel z Łazów Rudolf Budnik, zaś obecnemu na sali autorowi, aktywnemu członkowi zespołu, zgotowano wielką owację. Jeden spektakl wystawili w Domu Narodowym profesorowie polskich szkół średnich z Cieszyna i Orłowej. Ich występ w *Mazepie* Słowackiego (3 V 1912) był pierwszą pełną realizacją sceniczną tego dramatu na Śląsku Cieszyńskim. Niepełne przekazy dotyczące wymienionych inicjatyw nauczycieli nie pozwalają dokonać choćby najogólniejszej oceny scenicznego kształtu owych wysiłków, ale pośrednio można wnioskować (np. na podstawie obsady, repertuaru czy ogólnikowych pozytywnych wzmianek prasowych o recepcji spektakli), że mimo braku w tych poczynaniach większej systematyczności, był to cenny wkład w polskie życie teatralne Cieszyna.

Dobry poziom i wartościową linię repertuarową reprezentował w Dąbrowie frysztacki zespół nauczycielski. W ramach obchodów mickiewiczowskich wystąpił z inscenizacją fragmentu *Pana Tadeusza* pt. *Rada* (26 XI 1905). Setną rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego uczcił, jak już wspomniano, pierwszym w całości odegraniem *Balladyny* (8 XII 1909). Przed spektaklem patriotyczne przemówienie wygłosił prezes kółka Alfons Bajorek, zaś na scenie wystąpili najlepsi amatorzy Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego[7]. Przedstawienie było równocześnie manifestacyjnym zakończeniem wiecu, jaki w sprawie polskiego szkolnictwa odbył się w tym samym dniu w Orłowej. Dużym powodzeniem cieszyły się powtórzenia wspomnianych już spektakli (wystawionych w Cieszynie): *Zaczarowane koło* (5 III 1911) i *Pańszczorze* (9 XI 1913).

Pojedyncze przedstawienia organizowało PTP także w innych miejscowościach. W Gruszowie frysztackie kółko wystawiło *Na zawsze* Rydla (7 III 1909), a cieszyńskie odegrało w Bobrku *Cyganów* Korzeniowskiego (7 VI 1913). Trzy wartościowe spektakle odegrało w Dziedzicach tamtejsze kółko nauczycielskie: *Gwiazda Syberii* Leopolda Starzeńskiego (21 II 1909), *Grube ryby* Michała Bałuckiego (10 XI 1912) i *Nikt mnie nie zna* A. Fredry (7 XII 1913)[8]. Dwie komedie Fredry wystawiło w Ustroniu tamtejsze kółko

---

[6] „Dziennik Cieszyński" 1912, nr 12.

[7] Obsada: zob. odsyłacz 4.

[8] „Miesięcznik Pedagogiczny" (1909, nr 11, s. 182) podaje, że na walnym zebraniu dziedzickiego kółka TPT postanowiono uczcić 100. rocznicę urodzin J. Słowackiego wystawieniem fragmentów *Balladyny*, lecz brak potwierdzenia realizacji tego zamierzenia.

PTP: *Pan Jowialski* (3 II 1912) i *Damy i huzary* (14 II 1914). Natomiast z przedstawień jabłonkowskiego kółka nauczycielskiego wymienić należy *Karpackich górali* (4 VI 1910), *Pana Jowialskiego* (13 XI 1910) i *Grube ryby* (8 VI 1912).

Sceniczna aktywność polskich nauczycieli uwidoczniła się także poza organizacyjnymi ramami towarzystwa. Np. w Karwinie kilka przedstawień na dobrym poziomie zorganizowali samorzutnie tamtejsi nauczyciele. Wystawili m.in. *Wiesława* Ostrowskiego (11 XII 1909), fredrowskie komedie *Damy i huzary* (21 V 1911) i *Nikt mnie nie zna* (2 II 1912) oraz *Grube ryby* Bałuckiego (17 III 1912).

Wielki też był wysiłek nauczycieli w organizowaniu przedstawień teatralnych we wszystkich polskich placówkach wychowawczych — w szkółkach (przedszkolach), szkołach ludowych i wydziałowych, gimnazjach cieszyńskim i orłowskim oraz seminarium nauczycielskim na Bobrku.

Z reguły były to przedstawienia o charakterze patriotycznym, organizowane z okazji różnych rocznic narodowych (np. Konstytucji 3 Maja, powstań) oraz dla uczczenia pamięci wybitnych polskich osobistości (np. Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki i in.). Były to inicjatywy wychowawcze, które odegrały ważną rolę w kształtowaniu patriotycznej postawy wychowanków.

Stwierdzić zatem należy, że niemały polski amatorski ruch teatralny na Śląsku Cieszyńskim, będącym pod panowaniem Habsburgów, podejmował kulturalną działalność, by kształtować polską świadomość wśród etnicznie polskiego społeczeństwa.

Polscy zaś nauczyciele, będący z reguły członkami Polskiego Towarzystwa, odegrali w tym przedsięwzięciu wielką i zasadniczą rolę.

Wielka, międzynarodowa feta z okazji Milenium odbyła się w Cieszynie 14 i 15 maja 1966 roku. Drugiego dnia obchodów można było (bez przepustki) udać się do Czeskiego Cieszyna. Tyle, że pójść mogli nie ci, co chcieli, a ci, co zostali wydelegowani. Innymi słowy, oficjele i dziennikarze. Któż inny mógłby zrelacjonować tamtejsze zdarzenie, jeśli nie prasowi reporterzy?

A było co sprawozdawać. Zwłaszcza kulminacyjny punkt programu, jakim było zasadzenie drzewka przyjaźni przed czesko-cieszyńskim teatrem, w wykonaniu Edwarda Gierka i równorzędnego dygnitarza z Ostrawy Oldřicha Volenika. Czesi, dla których pewne liściaste drzewo jest swoistym symbolem i poniekąd stanowi ich narodową świętość, swobodnie rozpisywali się w gazetach na temat symboliki zasadzenia... LIPY PRZYJAŹNI...

ZABYTKI USTRONIA

LIDIA SZKARADNIK

Każda miejscowość posiada obiekty, które ze względu na walory architektoniczne czy rangę historyczną, lub obie te cechy równocześnie, są chronione z mocy prawa i podlegają wpisowi do rejestru zabytków, będącego w gestii Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Wpis ten obliguje właściciela zabytkowego budynku do wykonywania remontów zgodnie ze wskazaniami Służby Ochrony Zabytków, która z kolei refunduje do 23% kosztów poniesionych na renowację.

Ustroń jako miejscowość o długoletnich tradycjach przemysłowych, równocześnie posiadająca rangę uzdrowiska od 1882 r., już w połowie XIX w. przeżywał intensywny rozwój także w zakresie urbanistyki, co mimo ogromnych przeobrażeń w tej dziedzinie, dokonanych w ostatnim półwieczu, nie spowodowało zupełnego zaniku dawnej architektury. Zauważa się jednak pewien niedostatek w tej materii — wiele ciekawych budynków zburzono lub przebudowano w takim stopniu, że zatraciły one swój pierwotny styl, toteż należy dokonać przynajmniej minimum w tym zakresie, czyli inwentaryzacji opisowej i fotograficznej.

W rejestrze zabytków zostało umieszczonych 12 obiektów z Ustronia, niektóre z nich są skupione i funkcjonują w ramach jednej instytucji. Większość stanowią kościoły, jako budowle najstarsze, a ze względu na ich charakter, najbardziej bogate pod względem architektonicznym. Aby spopularyzować obiekty zabytkowe Ustronia, prezentujemy najważniejsze informacje na temat ich historii i stylu.

Niewątpliwie najstarszym spośród ustrońskich kościołów i najbardziej unikalnym jest kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem św. Anny w Nierodzimiu, jako jedyna drewniana budowla sakralna w tym mieście. Wzniesiony został w 1769 r., z fundacji Antoniego Goczałkowskiego. Wieżę nadbudowano w 1938 r. Odnawiany był wielokrotnie, m.in. w latach 1948, 1957 i 1966. W 1983 i 1999 r. dokonano restauracji kościelnych organów. W latach 1997—1998 nastąpiło malowanie elewacji i wnętrza obiektu. W roku 2000 wybudowano wolno stojącą dzwonnicę, na której zawieszono 4 dzwony.

Kościół p.w. św. Anny w Nierodzimiu (Bogusław Heczko, rys. piórkiem).

Jest to budynek drewniany konstrukcji zrębowej, zwrócony prezbiterium na zachód. Okna zamknięte półkoliście, a dach dwuspadowy kryty gontem. Hełm wieży cebulasty.

Na uwagę zasługuje wyposażenie wnętrza, a przede wszystkim ołtarz główny, późnobarokowy, z końca XVIII w., z rzeźbą Boga Ojca w zwieńczeniu, a na ścianach apsydy — rzeźby świętych Józefa i Jakuba oraz aniołów. W ołtarzu znajduje się malowidło przedstawiające św. Annę Samotrzeć z początku XVIII w., przemalowane. Ambona rokokowa, pochodzi z drugiej połowy XVIII w. Na wyposażeniu znajduje się kilkanaście obrazów olejnych z drugiej połowy XVIII w. i początku XIX w.

W centrum Ustronia, przy głównej ulicy, imienia Ignacego Daszyńskiego znajduje się kościół rzymskokatolicki p.w. św. Klemensa, wzniesiony w 1788 r. Jest to obiekt zbudowany z kamienia i cegły, bez wyraźnych cech stylowych. Został zwrócony prezbiterium na zachód. Posiada nawę trójprzęsłową, a w niej i w transepcie sklepienia żaglaste o wydatnych gurtach. Okna są zamknięte łukiem segmentowym, a dach dwuspadowy obecnie pokryty jest blachą. Wieża czworoboczna, o oknach zamkniętych półkoliście, nakryta została kopulastym hełmem i posiada zegar. Wielokrotnie dokonywano restauracji wnętrza, m.in. na początku lat siedemdziesiątych XX w. Na uwagę zasługuje ołtarz późnobarokowy z końca XVIII w., z rzeźbami świętych Piotra i Pawła oraz ambona barokowo-klasycystyczna z połowy XIX w. Od 1997 r. na wieży kościoła znajduje się nowy zegar, a w rok później nastąpiło malowanie wnętrza obiektu oraz instalacja nowego oświetlenia.

Kościół rzymskokatolicki p.w. św. Klemensa (Bogusław Heczko, rys. piórkiem).

Przed fasadą stoją dwie figury kamienne przedstawiające św. Józefa z Dzieciątkiem oraz św. Jana Nepomucena, wykonane w drugiej połowie XVIII wieku przez Wacława Donaya ze Skoczowa.

Od strony północnej do kościoła przylega dawny sierociniec zbudowany około 1740 r., częściowo rozebrany w latach trzydziestych. Obiekt został wymurowany z kamienia i cegły, w stylu późnobarokowym. Nad oknami znajdują się faliście wygięte gzymsy. Dach został pokryty dachówką w 1998 r., a w dwa lata później nastąpiła wymiana okien. We wnętrzach stanowiących obecnie budynek plebanii zachowały się żaglaste sklepienia.

Wśród wiekowych lip i brzóz, w niewielkiej odległości od głównej ulicy Daszyńskiego, znajduje się największy obiekt sakralny w Ustroniu — kościół ewangelicki p.w. apostoła Jakuba Starszego, wybudowany w 1835 r. Wieża zakończona strzelistym ostrosłupem powstała w latach 1856—1957. Istniejący tam zegar wymieniono w latach 1983—1984.

Pierwszy, drewniany kościół na tym miejscu powstał w 1785 r. Obecny, murowany z kamienia i cegły, nie posiada wyraźnych cech stylowych. Jest zwrócony prezbiterium, które zamknięto półkoliście, na wschód, a dwuspadowy dach pokryty jest obecnie blachą. Obiekt trójnawowy, z tego nawę główną nakryto sklepieniem kolebkowym. W kościele znajduje się ambona o cechach rokokowych, z przełomu XVIII i XIX w., obraz Ostatniej Wieczerzy z początku XIX w. oraz kielichy, dzbany cynowe i lichtarze liczące ponad 200 lat. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. przeprowadzono wiele prac renowacyjnych, m.in.: odnowienie elewacji zewnętrznej i dachu na kościele oraz wymianę drzwi wejściowych. Wnętrze

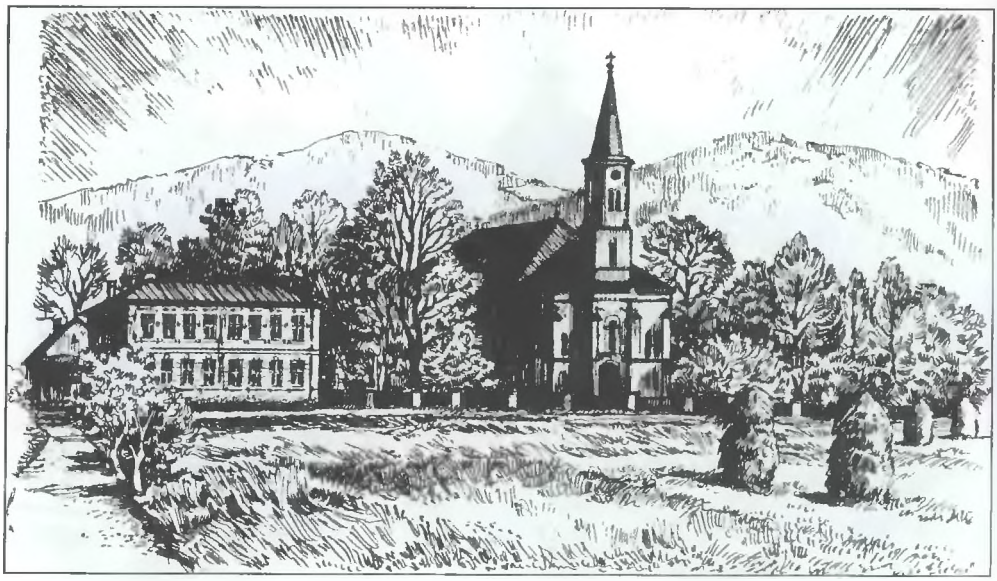

Kościół ewangelicki p.w. ap. Jakuba Starszego i szkoła (Bogusław Heczko, rys. piórkiem).

przemalowano w 1990 r. według projektu Karola Kubali. W 2000 r. obiekt został podświetlony.

W bezpośrednim sąsiedztwie kościoła od strony północno-wschodniej zlokalizowana jest stara plebania, pochodząca z przełomu XVIII i XIX w. Jest to obiekt murowany z kamienia i cegły, piętrowy, posiadający sklepienia kolebkowe, nakryty dachem tzw. polskim łamanym. W zasobach bibliotecznych najcenniejszym zabytkiem jest Biblia wydana w 1692 r. w Norymberdze. W latach 1992—1993 przeprowadzono remont kapitalny tego budynku.

Do podwórza kościelnego od strony północnej przylega dawna szkoła ewangelicka. Obiekt wybudowano w 1827 r., natomiast w 1870 r. zburzono go i wystawiono piętrowy budynek istniejący do czasów współczesnych. W 1902 r. dobudowano do niego skrzydło od strony południowo-wschodniej. W sieniach zachowały się spłaszczone sklepienia kolebkowe na gurtach. Dach czterospadowy pokryty został w latach osiemdziesiątych XX w. blachą. Pod koniec 1980 r. budynek zakupił Zakład Doskonalenia Zawodowego i przeprowadził w następnych latach jego adaptację do własnych potrzeb. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wykonano remont części hotelowej i strychu.

W centrum Ustronia Lipowca znajduje się kościół rzymskokatolicki wraz z plebanią. Kościół p. w. Podwyższenia Krzyża Świętego powstał w latach 1808—1810. Murowany z kamienia i cegły, nie posiada wyraźnych cech stylowych. Jest zwrócony prezbiterium na południe, jednonawowy, ze sklepieniami na gurtach. Dach dwuspadowy został pokryty blachą miedzianą, a nad prezbiterium jest niższy, pięciospadowy. Wymianę pokrycia

dachowego wykonano na początku lat osiemdziesiątych XX w. Wyposażenie wnętrza posiada cechy późnorokokowe. Na uwagę zasługuje ołtarz główny z rzeźbami świętych Piotra i Pawła, z połowy XIX w., chrzcielnica kamienna z dawnego kościoła, wiszące świeczniki z drugiej połowy XIX w. oraz obrazy z końca XIX w. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych XX w. wykonano wiele prac remontowych kościoła: m.in. malowanie elewacji i wnętrza oraz restaurację zabytkowego wyposażenia kościoła.

Parterowy budynek plebanii, ze sklepieniami kolebkowymi, został zbudowany w 1793 r. Posiada dach łamany, kryty papą. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych XX w. wykonano remont kapitalny wnętrz, wraz z wymianą okien. Uzyskane pomieszczenia przeznaczono na spotkania wiernych.

W centrum miasta, przy rynku od strony północnej, zlokalizowane są zabudowania drewniane, będące od roku 1982 własnością Bronisława Palarczyka, gdzie w grudniu 1998 r. uruchomiono prywatne muzeum etnograficzne pod nazwą Stara Zagroda. Obiekty stanowią rekonstrukcję *in situ*. Pierwotny budynek mieszkalny konstrukcji zrębowej pochodził z 1768 r. Wykorzystano z niego odrzwia i dwa stropy. Budynek posiada dach dwuspadowy, kryty gontem. Od zachodu usytuowana jest drewniana stodoła. Wewnątrz i na podwórzu znajdują się bogate zbiory etnograficzne.

W Ustroniu zachowało się sporo budynków pofabrycznych, związanych z długoletnią historią miejscowego hutnictwa i kuźnictwa. Niektóre z nich stanowiły hale fabryczne lub obiekty administracyjne. Do tych ostatnich należy piętrowy, murowany budynek, w stylu eklektycznym, pochodzący z początku XIX w., zlokalizowany przy ulicy Hutniczej, w którym pierwotnie mieściła się dyrekcja huty. Obiekt, ze względu na wielokrotne zmiany funkcji, przechodził częste remonty kapitalne, które prowadziły do zatracenia jego cech pierwotnych. Po likwidacji huty budynek zaadaptowano na mieszkania dla pracowników pozostałych zakładów, a w latach siedemdziesiątych XX w. utworzono tam pięć klas, zlokalizowanego w bezpośrednim sąsiedztwie Zespołu Szkół Technicznych. Jednak podczas prac remontowo-adaptacyjnych zmierzających do uruchomienia muzeum, przeprowadzonych w latach 1984—1986, oraz później w latach 1992—1993, starano się zrekonstruować pierwotne detale architektoniczne. W kwietniu 1986 r. uruchomiono tam Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa, a w 1997 r., na terenie przyległym do Muzeum, skansen przemysłowy wraz z kuźnią. Instytucja gromadzi regionalne muzealia zarówno o charakterze technicznym, jak i etnograficznym oraz organizuje wiele imprez kulturalnych — wernisaże wystaw, koncerty, wieczory autorskie i imprezy okolicznościowe. Podczas 20 lat działalności zorganizowano ponad 320 imprez, w których uczestniczyło około 150 tysięcy zainteresowanych.

W Ustroniu Polanie, w pobliżu stacji PKP, znajduje się kolejny budynek pofabryczny będący zabytkiem, gdzie w latach 1837—1870 funkcjonowała kuźnia „Teresa". Jest to obiekt wzniesiony pod koniec XVIII w., z prze-

znaczeniem na papiernię, która istniała tam przed uruchomieniem kuźni. Po likwidacji tej ostatniej, na początku XX w. uruchomiono siłownię elektryczną na potrzeby pozostałych w Ustroniu zakładów. Od 1990 r. właścicielem budynku jest Spółdzielnia Usług Rolniczych w Ustroniu, która w latach 1993—1994 wykonała remont kapitalny i zlokalizowała tam wylęgarnię drobiu.

Przy głównej drodze biegnącej z Ustronia do Wisły — ulicy 3 Maja stoi parterowy, murowany z kamienia i cegły obiekt nr 61. Pierwotnie była to karczma, wybudowana na początku XIX w. Na początku XXI w. obiekt po kapitalnym remoncie znów powrócił do pierwotnej funkcji.

Wymienione budynki zabytkowe stanowią tylko niewielki procent dawnej architektury Ustronia, którą na pewno należy chronić jako relikt przeszłości oraz jako materialny dowód ciekawej i bogatej historii miasta.

Anegdotycznie

Właściciel kawiarni „Pod Jeleniem" miał wyraźnie „na pieńku" ze studentami Państwowej Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego (od roku 1922 z przerwą wojenną działała w Cieszynie; w 1952 roku przeniesiono ją do Olsztyna).

Powodem zaś był „wąż w kieszeni", co skutkowało zbyt skąpymi datkami przekazywanymi na potrzeby akademickiego „Bratniaka".

Kawiarnię na barbórkowy wieczór walca wynajęła górnicza kadra śląskich kopalń, co cieszyńscy studenci jakimś sposobem „wyniuchali".

Od rana zatem licznymi grupkami odwiedzali lokal, a popołudniem stawili się gremialnie, zajmując wszystkie stoliki. Zamawiali wodę. Ze słomką. Kelnerzy odmówić nie mogli, godziłoby to przecież w renomę szanującego się lokalu.

Goście zaczęli się zjeżdżać. Sztygarzy w galowych mundurach, z wytwornie ubranymi żonami.

W szatni tłok był coraz większy, a studenci ani myśleli ustąpić miejsca. Tymczasem w kantorze właściciela przybytku trwały twarde negocjacje.

Coraz bardziej podenerwowani przybysze zaczęli przebąkiwać o konieczności rezygnacji z tradycyjnego barbórkowego ubawu. I to niebezpieczeństwo — realne przecież — przechyliło szalę rozmów. Właściciel kawiarni przyrzekł solenną poprawę, co miało skutkować bardziej hojnym wspieraniem bratniackiej kasy.

Wiadomość studenteria przyjęła z owacjami, po czym w okamgnieniu ulotniła się z lokalu...

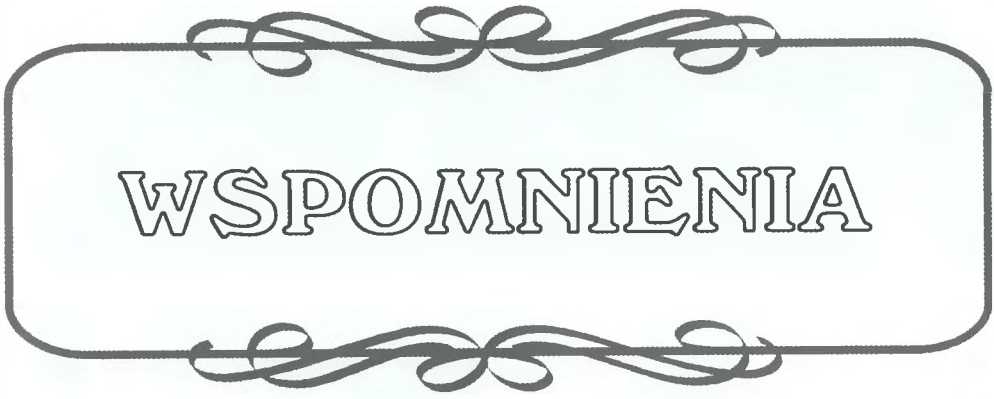
WSPOMNIENIA

PIĘĆ DNI WOLNOŚCI

WSPOMNIENIA BYŁEGO JEŃCA WOJENNEGO

STEFAN ŻEBROK

Wspomnienia te piszę po 42 latach od czasu przedstawionych tu wydarzeń. Nic więc dziwnego, że wiele faktów, nazwisk, miejscowości zatarło się już w pamięci. Niemniej większość przeżyć tak wryła się w moją świadomość, że mogę je jeszcze dziś przytoczyć bez większych wypaczeń.

Na wstępie kilka uwag. Na terenie Rzeszy w latach czterdziestych znajdowało się parę milionów jeńców wojennych i cywilnych różnej narodowości. Z tej ogromnej masy dziesiątki tysięcy młodych ludzi próbowało ucieczek, chcąc wydostać się z hitlerowskiego kotła. Nie muszę tłumaczyć, że była to sprawa niezwykle trudna i niebezpieczna. Niewielu było takich, którym udało się z tego piekła wydostać na wolność. Główną trudność sprawiał fakt, że całe Niemcy były jednym wielkim obozowiskiem wojskowym. Wszelki ruch czy jakiekolwiek przemieszczanie się były ściśle kontrolowane. Nie istniała cywilna komunikacja samochodowa. Nieliczne autobusy kursowały tylko w dużych miastach. Cała żywność na kartki. Wszyscy mężczyźni, od kilkunastolatków do dość późnego wieku, zmobilizowani i umundurowani. W takiej sytuacji każdy uciekinier, nie znający lub słabo władający językiem niemieckim, był łatwo rozpoznawany i łapany. Kończyło się to w najlepszym wypadku karnym obozem, więzieniem, często pobiciem, a bywały wypadki, że jeniec przypłacił ucieczkę życiem. Pomimo tego wielu jeńców próbowało ucieczki, wybierali tę trudną drogę do wolności.

Nasza komenderowka w Ostseebad Dahme, licząca średnio 30—40 jeńców pracujących u gospodarzy na roli, wyróżniała się pod względem ilości ucieczek. Najpierw zwiało pięciu naszych kolegów. Dwu z nich było z zawodu marynarzami z marynarki handlowej, dwu studentami, jeden prawnikiem. Uciekli w sztormową noc. Z lagru przedostali się przez małe niezakratowane okienko i z pierwszego piętra zeskoczyli na obornik. Następnie podwędzili

wiosłową łódź rybacką i popłynęli w siną dal z zamiarem przedostania się do Szwecji. Na drugi dzień po ucieczce starzy miejscowi rybacy twierdzili, że przy takim sztormie i na takiej łupinie mogli się najwyżej godzinę utrzymać na wodzie. Tymczasem epilog wyprawy był taki: Po makabrycznej nocy, wypełnionej wiosłowaniem, walką ze sztormem i opróżnianiem łodzi z wody, dręczeni morską chorobą i zimnem, znaleźli się już blisko wybrzeży szwedzkich, gdy nagle wiatr się odwrócił o 180° i zapędził łódź z powrotem ku wybrzeżom niemieckim w okolice Greisswaldu. Początkowo tamtejsi rybacy przyjęli ich gościnnie, jako norweskich rozbitków. Gdy sprawa się wydała, że to polscy jeńcy, którzy uciekli z obozu, przewieziono ich do Szlezwika. Po kilku miesiącach jeden z tej piątki, marynarz, bodaj nazwiskiem Sowa, przyprowadził w okolice naszej wioski całą kilkunastoosobową grupę nowych uciekinierów. Nie mieli nawet cywilnych ciuchów. Wszyscy byli w mundurach jenieckich. Ukrywali się przez kilka dni w okolicznych lasach, dokarmiani głównie przez nas zaoszczędzonymi posiłkami, które otrzymywaliśmy do pracy w polu. Przypadkowo odkryci w lesie przez dzieci zbierające grzyby, zmuszeni byli opuścić okolicę Dahme. Podzielili się na dwie grupy. Jedna poszła na północ w kierunku Danii, druga próbowała się przedostać do nieokupowanej Francji. Z obu grup udało się to tylko Sowie, gdyż po kilku miesiącach otrzymaliśmy od niego przez Czerwony Krzyż kartkę z pozdrowieniami, właśnie z nieokupowanej Francji. Jakim cudem się tam przedostał, czy miał jakąś pomoc na terenie Niemiec — nie wiadomo.

W drugiej ucieczce z naszego komanda wzięli udział dwaj młodzi chłopcy. Ucieczka ta była nieprzygotowana i raczej bezmyślna, gdyż złapali ich po godzinie. Zasadniczo zwiali oni nie z lagru, lecz od bambra, na rowerach. Po przejechaniu kilku kilometrów natrafili na autostradę i po niej w najlepsze pedałowali ku wschodowi. Ponieważ na autostradach nie wolno było się poruszać innymi środkami lokomocji, jak tylko pojazdami mechanicznymi, niedługo cieszyli się wolnością. Naturalnie niefortunnych uciekinierów odstawiono do Szlezwika i więcej już ich nie widzieliśmy.

A teraz nasza ucieczka. Przygotowywaliśmy ją od szeregu miesięcy. Miało w niej wziąć udział siedmiu kolegów. Niestety, w ostatniej chwili odpadł Staszek Godyń, który złamał sobie rękę i odstawiono go na rewir. Staszek był niepocieszony. Błagał, abyśmy poczekali na niego do chwili powrotu z Szlezwika. Zdecydowaliśmy się jednak trzymać zaplanowanego terminu, tym bardziej, że w związku z tragiczną śmiercią kol. Sobiepanka, o której pisałem w poprzednim rozdziale, wytworzyła się w lagrze niejasna sytuacja.

Jaki był plan naszej ucieczki?

Otóż chcieliśmy się przedostać do nieokupowanej Francji, a stamtąd, poprzez Hiszpanię, do Anglii. Przedsięwzięcie ogromne, bo trasa tylko do Francji w prostej linii wynosiła ponad 600 km. Pierwszym etapem miało być miasto Bielefeld w Westfalii lub Aachen na pograni-

czu niemiecko-holenderskim. W tych dwu miastach miały znajdować się punkty kontaktowe, ułatwiające uciekinierom przedostanie się na zachód. Adresy otrzymaliśmy już dawniej od jeńców francuskich.

Nasza sześcioosobowa grupa podzieliła się na dwie podgrupy. Bolek Wojtulewicz z dwoma marynarzami, Okrasą i Dronkiem, oraz czwartym kolegą, którego nazwiska nie pamiętam, miał udać się piechotą w kierunku na Lubekę, a potem na zachód. Ja natomiast, z Julkiem Wojciechowskim, zaplanowałem podróż „wypożyczonymi" u bambrów rowerami, również w tym samym kierunku. Termin ucieczki — niedziela, 14 czerwca 1942. Ulotnienie się z lagru nie było trudne. W każdą niedzielę chodziło się do swojego bambra na śniadanie, gdzie po jego spożyciu z reguły wykonywało się jakieś prace porządkowe, potem obiad i powrót do lagru. Na kolację otrzymywaliśmy suchy prowiant. Był to okres, kiedy wachmani nas nie eskortowali. Podobnie było w dniu ucieczki. Po śniadaniu poszedłem do stodoły, zabrałem „służbowy rower", na którym jeździło się do oddalonych pastwisk i wyjechałem w pobliski las, gdzie w umówionym miejscu spotkałem się u Julkiem. Tam też mieliśmy od dawna przygotowane ciuchy cywilne, trochę chleba, zaoszczędzonego w ostatnich dniach, butelkę piwa, zdobytą przez jednego z kolegów i ofiarowaną nam na drogę. Ponadto zaopatrzeni byliśmy w kompas, wykonany ze starego zegarka kieszonkowego. To również podarunek od naszych kolegów. Co najważniejsze jednak, posiadaliśmy wspaniałą mapę samochodową całych północnych Niemiec. Skąd ta mapa? Otóż zdobył ją Julek i to w zupełnie prosty sposób. Gdy wracaliśmy z pracy, często rzucał nam się w oczy stojący przed jednym z pensjonatów samochód osobowy, którym przyjeżdżał z Hamburga w odwiedziny do swej rodziny jakiś hitlerowski pułkownik. Jego rodzina, z powodu nalotów, czuła się bezpieczniej w małej miejscowości, aniżeli w Hamburgu.

Wracając raz z pracy, zauważyliśmy, że okienko w samochodzie jest opuszczone, a wokół żywej duszy. Julek, jako że znał się na samochodach i miał nawet prawo jazdy, orientował się, że w ówczesnych autach na drzwiczkach od wnętrza z reguły była kieszonka, w której kierowcy często przechowywali mapy. Przechodząc więc koło samochodu, sprawdziwszy, że wokół nikogo nie ma, Julek machinalnie przez otwarte okienko wsunął rękę do kieszonki i wyciągnął z niej coś, co szybko schował za koszulę. Dopiero w lagrze zorientowaliśmy się, jaka to cenna zdobycz przed naszą planowaną eskapadą. Była to właśnie ta mapa samochodowa. Każdy z nas miał również trochę reichsmarek, zdobytych różnymi metodami. Ja miałem nawet srebrną pięciomarkówkę. Trzeba podkreślić, że jeńcom wojennym nie wolno było posiadać żadnych pieniędzy, oprócz lagermarek, które miały wartość tylko w lagrach.

Ubraliśmy się szybko. Na jenieckie mundury włożyliśmy cywilne ciuchy. Miałem więc niebieską bluzę roboczą, brązowe sztruksowe

spodnie, jakie dawniej nosiło się do roboty, a nie jak dziś od parady. Na nogach miałem niemieckie wojskowe saperki, wyhandlowane od jakiegoś szkopa, który na pewno gdzieś je ukradł. Naturalnie, cholewy wpuściłem do spodni a nie na odwrót, aby nie rzucały się w oczy. I rozpoczęła się jazda. Kierunek Neustadt — nadmorskie miasteczko, oddalone dwadzieścia kilka kilometrów od Dahme. Pogoda cudowna, szosa równiusieńka i puściusieńka, rzeski wiaterek od morza. Żyć, nie umierać. Pędziliśmy ile sił w nogach. Trudno sobie wyobrazić, że na tym pierwszym odcinku nie spotkaliśmy żywej duszy. Wojna. Samochody prywatne nie jeździły. Benzyna tylko na cele wojenne. Jak strzała przejechaliśmy miasteczko Neustadt, zapełnione przy niedzieli odświętnie ubranymi szkopkami, mizdrzącymi się do nielicznych mundurowych urlopowiczów.

Miasto za nami. Czujemy się coraz pewniej. Jakby nam skrzydeł dodano. Zrobiliśmy już ładnych kilkadziesiąt kilometrów bez zmęczenia, i to w ciągu dwóch godzin. Gdzie my już będziemy, gdy przy popołudniowym apelu w lagrze wachmani zorientują się, że nas nie ma? Szosa szeroka, prowadzi wzdłuż morza prosto do Lubeki. Nagle widzę nadjeżdżającego z przeciwnej strony rowerzystę w mundurze z karabinem narzuconym na plecy. Grenzschutz — straż graniczna. Robię obojętną minę, jadę pierwszy i szczęśliwie mijam strażnika. W następnych jednak sekundach słyszę: „Halt" — odwracam się i widzę, że strażnik trzymał Julka, z którym nie może się dogadać, bo Julek kiepsko mówił po niemiecku. „No, to niedaleko zajechaliśmy" — myślę sobie w duchu. Podjeżdżam do nich. „Ausweis bitte", mówi do mnie. Ciarki przechodzą mi przez plecy. Zaczynam improwizować. Czuję, jak pot spływa mi ciurkiem spod pach. Gadam, co mi ślina na język przynosi. Skąd mi się ta gadka wzięła — nie wiem. Opowiadam, że nie mamy przy sobie dowodów, że jesteśmy Ukraińcami, pracującymi w Neustadt (Ukraińcy mieli specjalne względy u szkopów), że Schutzman (policjant) pozwolił nam poruszać się w promieniu 10 km, że jest niedziela, piękna pogoda, że wjechaliśmy sobie na wycieczkę i że tu mamy wałówę (wskazując na chlebak z prowiantem, przyczepiony do błotnika na tylnym kole). „Na ja ja — mówi strażnik — możecie się poruszać swobodnie ale zawsze musicie mieć przy sobie jakiś dowód osobisty. A u kogo pracujecie w Neustadt?" Julek wymienił jakąś firmę, handlującą węglem, w której był już kilka razy ze swoim bambrem. Mnie zaś wymknęło się, że pracuję w rozlewni piwa. Skąd mi taka myśl przyszła do głowy, nie mam pojęcia. Dziś już nawet nie pamiętam, jak nazywa się po niemiecku rozlewnia piwa. Strażnik popatrzył na mnie podejrzliwie i mówi, że w Neustadt nie ma żadnej rozlewni piwa. Ot i klops. Zaczynam kręcić. Mówię, że słabo jeszcze mówię po niemiecku i że tam, gdzie pracuję, rozlewają piwo do kufli, a na szybie złotymi literami napisane jest „Restaurant" (prawie wszystkie gospody w tamtych stronach miały takie napisy na szybach).

„A — to pracujesz w restauracji, a nie w rozlewni piwa" — śmieje się szkopisko. „A jak się nazywa twój gospodarz?" Brak mi już konceptu, pocę się niemiłosiernie. Zapomniałem, jak się nazywa — mówią — pracuję tam dopiero od 2 tygodni, a te niemieckie nazwiska nie siedzą mi w głowie. Wówczas strażnik zaczął wymieniać nazwiska restauratorów w Neustadt, a ja uradowany, zgodziłem się wreszcie na jedno z nich, mimo że usłyszałem je pierwszy raz w życiu. Wreszcie strażnik machnął ręką, powiedział nam „Glueckliche Reise" — szczęśliwej drogi — „a nie zapomnijcie następnym razem zabrać ausweis ze sobą" — i pojechał w kierunku Neustadt. Tajemnicą na zawsze pozostanie, czy niemczysko było takie ograniczone i uwierzyło moim naiwnym tłumaczeniom, czy też obleciał go strach; miał przed sobą dwóch młodych chłopów, a on, chociaż uzbrojony — był sam na pustej drodze.

Popędziliśmy dalej co sił w nogach, oglądając się bez przerwy za siebie czy przypadkiem od Neustadt nie zbliża się jakaś pogoń. Podejrzewaliśmy bowiem, że strażnik pojechał do miasta sprawdzić, czy tacy dwaj Ukraińcy pracują we wspomnianych firmach. Napięcie nerwowe, wywołane nieprzewidzianym spotkaniem, dało jednak znać o sobie. Po prostu osłabłem. Zjechaliśmy z szosy i ukryliśmy się w zbożu. Krótki odpoczynek, zakąska i skonsumowanie jedynej butelczyny piwa, przywróciło mnie do równowagi. Co robić? Jechać dalej szosą do Lubeki było samobójstwem, pogoń na pewno pójdzie w tym kierunku.

Teraz dopiero oceniliśmy, jak cenną zdobyczą była nasza mapa. Według niej kilometr dalej powinna znajdować się dróżka w kierunku na Bad Oldesloe i Bad Segeberg, i dalej do Hamburga. Postanowiliśmy więc zboczyć z głównej szosy i omijając Lubekę jechać wprost na Hamburg. Tak też zrobiliśmy. Przejechaliśmy szczęśliwie oba „Bady". Zmęczenie zaczęło nam się dawać coraz bardziej we znaki, a dzionek też miał się ku końcowi. Zresztą mieliśmy za sobą ponad 100 km jazdy. Trzeba szukać jakiegoś noclegu. Weszliśmy w gęsty, młody las i próbowaliśmy zasnąć na miękkim mchu. Nie odczuwaliśmy głodu, tylko pragnienie. Niestety, nie było nigdzie wody. Przedrzemaliśmy parę godzin, przyciśnieni do siebie, ale co to był za sen. Po gorącym dniu chłodna noc nie pozwalała nam zasnąć na dobre. Bez przerwy szczękaliśmy zębami. Z pierwszym brzaskiem popedałowaliśmy dalej. Kierunek Gross Hamburg. Jazda była jednak wolniejsza. Odczuwało się trudy poprzedniego dnia. Coraz bardziej dokuczało nam pragnienie, tym bardziej, że słoneczko mocno dopiekało. Jak na złość, nigdzie żadnego potoku czy źródełka. Droga na ogół omijała wioski i osiedla. Wreszcie natrafiliśmy na łąkę, na której pasło się bydło. Na łące wykopany był dół około 10 m średnicy, stanowiący zbiornik wody dla krówek. Woda nie była zbyt apetyczna, gdyż krowy stały w niej pijąc ją i równocześnie załatwiając doń swoje potrzeby. Mimo wszystko nam smakowała. Wypociliśmy się przecież przez dwa dni porządnie, trzeba było ubytek

wody w organizmie uzupełnić. Jedziemy dalej. Krajobraz zaczął się zmieniać. Coraz więcej zabudowań, dróg, dróżek i coraz więcej ludzi.

Zbliżamy się do ponaddwumilionowego miasta Hamburga. Jest późne popołudnie. Trzeba rozglądać się za noclegiem. W mieście byłoby trudno coś znaleźć. Znowu wjeżdżamy w lasek, w którym znaleźliśmy coś w rodzaju domku kempingowego, ogrodzonego drutem kolczastym. Nikogo nie ma. Bramka ogrodzenia zamknięta na kłódkę. Wokół słychać niesamowity świergot różnego ptactwa. Jakaś hodowla śpiewających ptaków, czy co? Wchodzimy przez płot do środka ogrodzenia, aby włamać się do domku i znaleźć tam miejsce na nocleg. Wkrótce jednak doszliśmy do wniosku, że, gdyby nagle nadszedł ktoś z zewnątrz, znajdziemy się jak w pułapce. Zdecydowaliśmy się jechać dalej. Im bliżej Hamburga, tym więcej zabudowań i coraz większy ruch na szosie. Postanowiliśmy pozbyć się rowerów, gdyż przejazd nimi przez tak wielkie miasto mógł być niebezpieczny. Musieliśmy przecież dojść do Łaby i przedostać się na zachodni brzeg a wszystkie mosty są ponoć strzeżone. Właśnie wjechaliśmy w tereny zajęte przez ogródki działkowe. Pobaraszkowaliśmy tam trochę. Wreszcie natrafiliśmy na dość głęboką młynówkę, w której zatopiliśmy nasze rumaki, tak wiernie służące nam do tej pory. Początkowo chcieliśmy przenocować w którymś z domków, ale szybko zrezygnowaliśmy z tego, gdyż z zapadaniem zmroku coraz więcej hamburczyków przyjeżdżało na noc z miasta na swoje działki, gdzie czuli się bezpieczniej przed nocnymi nalotami. W końcu trafiliśmy na rozległą łąkę, na której znajdował się jakiś wał ziemny w kształcie koła. Udaliśmy się w jego kierunku, z nadzieją znalezienia tam legowiska. Będąc już niedaleko wału stwierdziliśmy z przerażeniem, że wewnątrz znajduje się okryty pokrowcem olbrzymi reflektor przeciwlotniczy. Nogi za pas. Nie przebiegliśmy daleko, gdy zauważyliśmy zbliżający się z pobliskiego przystanku kolejowego oddział żołnierzy. Zapewne była to nocna obsługa reflektora. Mieliśmy szczęście, że nie wpadliśmy im w łapy. Natrafiliśmy wreszcie na jakieś szopy, ogrodzone płotem z desek. Przez dziurę w ogrodzeniu weszliśmy do środka. Cisza. Żywej duszy nie było. Pod wiatą znajdowały się ogromne hałdy suchych, pachnących liści, przeznaczonych chyba do produkcji namiastki herbaty. Prawdziwej herbaty w całych Niemczech nie było. Wymęczeni, już o zupełnym zmroku, zagrzebaliśmy się po szyję w liściach i spać, spać...

Ta noc przeszła spokojnie, a najważniejsze, że było nam ciepło. Wczesnym rankiem ruszyliśmy piechotą w dalszą drogę. Powoli zagłębialiśmy się w wielkie miasto. Ulica za ulicą, ulica za ulicą. Nieoceniony okazał się teraz kompas, zmajstrowany jeszcze w lagrze przez jednego z naszych kolegów. Kompas pozwolił nam trzymać się kursu na zachód. Tymczasem, zamiast do Łaby, dotarliśmy do dużego placu, na którym znajdowała się potężna budowla, zamaskowana olbrzymimi siatkami. Nad bramą widniał napis:

„Hauptbahnof Hamburg". Podejmuję decyzję. Zamiast szukać Łaby i ryzykować przejście przez nią jakimś mostem, lepiej pociągiem podmiejskim dostać się do dzielnicy Harburg, leżącej po drugiej stronie Łaby. Będzie szybciej i mniejsze ryzyko. Zostawiam Julka przed stacją na ławeczce, zalecając mu, aby udawał pogrążonego we śnie. Ja natomiast wszedłem do holu dworca przestudiować rozkład jazdy i kupić bilety. Pociągi jeździły do Harburga co kilkanaście minut. Stanąłem z duszą na ramieniu w kolejce po bilety przed okienkiem, nad którym wyszczególnione były różne miejscowości, m.in. Harburg. Oby mnie po akcencie nie poznali, że nie jestem szkopem. Nagle stanął za mną jakiś żołnierz niemiecki w pewnym rynsztunku i o coś się mnie pytał. Pomimo że właściwie po niemiecku wszystko rozumiałem, słów tego żołnierza zupełnie nie pojąłem. Intuicyjnie odpowiedziałem: „Ich weiss nicht" (nie wiem). Wypadek ten jednak dodał mi otuchy, gdyż przekonałem się, że i w języku niemieckim istnieją różne narzecza, które zasadniczo odbiegają od języka podstawowego, zwanego „hochdeutsch". Teraz już bez obaw dotarłem do kasy. Bitte zwei Fahrkarten nach Harburg (proszę dwa bilety do Harburga). Bez kłopotu otrzymałem je. Nikt nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. W ciągu kilku minut bez przeszkód znaleźliśmy się w Harburgu, już po drugiej stronie Łaby, oglądając ją w czasie jazdy z okna wagonu.

Rozpoczęła się podróż w kierunku południowo-zachodnim przez takie miasta jak Rotemburg, Verden, Nimburg, Minden, aż do Bielefeldu w Westfalii. Potrzebowaliśmy na przebycie tej trasy kilku dni. Dziesiątki kilometrów przeszliśmy piechotą. Gdy trafiliśmy na jakiś przystanek kolejowy, korzystaliśmy również z pociągu, ale zawsze na krótkich trasach. W wagonie Julek musiał udawać śpiącego, lub, że go zęby bolą. Nie mogliśmy przecież rozmawiać ze sobą po polsku. Wśród podróżnych spotykaliśmy wehrmachtowców, SS-manów, a nawet Polaków-cywilów oznaczonych literą „P" na marynarkach. Nie mogliśmy się jednak demaskować w pociągu, nawet przed rodakami. Modliliśmy się w duchu, aby nikt się do nas nie odezwał.

Zaraz za Harburgiem weszliśmy przypadkowo na stanowiska artylerii przeciwlotniczej, usytuowane po obu stronach dróżki, którą podążaliśmy. Wycofanie się byłoby podejrzane. Z duszą na ramieniu przeszliśmy obok stanowisk, szczęśliwie przez nikogo nie zatrzymani.

W czasie następnych kilku dni najwięcej kłopotów sprawiało nam znalezienie noclegów. Jazda pociągiem nocą czy też przemarsz piechotą ryzykowne. Trzeba więc było szukać legowisk gdzieś w polu, poza ludzkimi osiedlami. Nie pamiętam już, czy to było w Rotenburgu, czy Verden, o mały włos nasza eskapada mogła zakończyć się tragicznie. A było to tak: Po wielu kilometrach marszu ostatni odcinek do miasteczka przejechaliśmy koleją. Zapadał zmrok. Zmęczeni, głodni, spragnieni, ruszyliśmy na miasto, wielkością zbliżone do naszego Cieszyna. Nieopodal widać było las, w którym

mieliśmy nadzieję znaleźć schronienie. Po drodze do lasu napotkaliśmy ogromne pastwisko, ogrodzone płotem z drutu kolczastego. Na pastwisku pasło się chyba ze sto krów. Z brzegu znajdowała się posiadająca tylko trzy ściany szopa, służąca prawdopodobnie jako schronienie przed deszczem w czasie udoju. Kilkanaście metrów przed szopą stało kilkadziesiąt konwi na mleko. Byłem przekonany, że są pełne, gdyż pora wieczornego udoju już minęła. Z doświadczenia wiedziałem, że mleko z wieczornego udoju wywożone jest do mleczarni dopiero rano, łącznie z mlekiem z udoju porannego. Mój Boże, jak nam się chciało pić.

A oto świetna okazja. Czuliśmy, że wchłoniemy po kilka litrów mleka, a właściwie zimnej słodkiej śmietanki, która na pewno utworzyła się już na wierzchu naczyń. To nas powinno postawić na nogi. Niestety, bańki z mlekiem, aczkolwiek w zasięgu ręki, były widoczne z okien zabudowań gospodarczych, oddalonych o niespełna sto metrów. Trzeba było poczekać, aż się zupełnie ściemni. Usadowiliśmy się w szopie, niewidoczni od strony zabudowań, wpatrzeni pożądliwie w bańki. Jak ten zmrok powoli zapadał! Wreszcie nie wytrzymałem. Zaryzykowałem skok, pomimo że nie było jeszcze zupełnie ciemno. Chwytam jedną bańkę, drugą, trzecią... wszystkie puste. Co za okropne rozczarowanie. Wracam zawiedziony do szopy, widocznie panują tu inne zwyczaje aniżeli w Dahme, gdzie mleko z wieczornego udoju do rana pozostawiano na pastwisku. Ale nie wszystko stracone. Przecież dzięki madame Pruss posiadłem umiejętność dojenia, czas z niej teraz skorzystać. Gdy zapadły zupełne ciemności, zabrałem puste wiadro i zacząłem się skradać do najbliżej stojącej nieruchomo krowy. Nauczony doświadczeniem zacząłem do niej przemawiać pieszczotliwie w tamtejszym języku: hoje, hoje, hoje... Ledwo ją tylko dotknąłem, chcąc ją pogłaskać i obłaskawić — stała się rzecz straszna... krowa ryknęła, wierzgnęła i pogalopowała na oślep, płosząc resztę stada. Zrobił się niesamowity tumult. Krowy gnały w ciemnościach wpadając na siebie i na druty, alarmując zapewne wszystkich żywych w pobliskich zabudowaniach. Naturalnie — my nogi za pas i już nas nie było. Mój przyuczony zawód szwajcara okazał się niedostateczny, a z naszej śmietanki pozostały nici. Zasapani i wystraszeni, zatrzymaliśmy się dopiero w lesie. Tu panowała zupełna ciemność.

Ponieważ obowiązywało zaciemnienie, nie było widać żadnego światełka. Nawet księżyc ani gwiazdy nie świeciły. Po omacku zagłębialiśmy się w gęste poszycie lasu, szukając jakiegoś miękkiego i suchego skrawka ziemi, na którym wreszcie można by odpocząć, i zdrzemnąć się na chwilę. Niestety, fatalny dzień, a właściwie już noc, jeszcze się nie skończyła. Nagle w zalegające ciemności i nocną ciszę wdarł się potworny ryk, jak gdyby raptem tysiąc traktorów uruchomiło silniki. Włosy stanęły nam dęba na głowie. Od razu zorientowaliśmy się, że w pobliżu przed nami znajdują się, zamaskowane między drzewami, nocne samoloty myśliwskie (Nachtjagry), któ-

re wybierają się na nocny patrol. Mogliśmy w każdej sekundzie natknąć się na jakieś druty, zasieki czy straże, a wtedy koniec z nami. Zrobiliśmy w tył zwrot i na łeb na szyję, obijając się o pnie drzew, pognaliśmy z powrotem w kierunku miasteczka. Chyba dosyć przygód jak na jeden dzień. Ostatecznie zaszyliśmy się w jakimś żywopłocie przy samej ulicy, niedaleko dworca kolejowego. O spaniu nie było, mowy. Wczesnym rankiem pierwszym pociągiem pojechaliśmy dalej.

Ostatnią noc „na wolności" spędziliśmy na peryferiach miasteczka Munden. Legowisko znaleźliśmy pod wiatą na pastwisku i znowu w towarzystwie krówek. Nie próbowałem już korzystać z moich umiejętności, zresztą nie było tu żadnego wiadra ani bańki. Krowy okazały się wyjątkowo łagodne i towarzyskie, i nie opuszczały nas całą noc, wąchając nas bez przerwy, mrucząc i liżąc po rękach i twarzy. Nie muszę tłumaczyć, że o zaśnięciu w takich warunkach nie było mowy.

Ostatecznie po pięciu dniach naszej pełnej przygód wędrówki osiągnęliśmy Bielefeld — stutysięczne miasto, w którym przy ul. Kanterhuserstrasse miał się znajdować jakiś nieokreślony punkt kontaktowy, udzielający pomocy uciekinierom. A byliśmy już u kresu sił. Głodni, niewyspani, nieogoleni, pozbawieni od szeregu dni jakiejkolwiek ciepłej strawy, zalatujący łajnem krowim, wyglądaliśmy chyba aż zanadto podejrzanie. Jakakolwiek pomoc była konieczna. Niestety, spotkał nas okropny zawód. Cały dzień straciliśmy na szukaniu wspomnianej ulicy. Pytaliśmy o nią nawet spotkanych listonoszek, kioskarek, nikt jednak o takiej ulicy nie słyszał. Czyżby Francuzi, od których otrzymaliśmy adres, przekręcili w swoim żargonie nazwę ulicy? Załamani, wykończeni fizycznie i psychicznie, postanowiliśmy zaryzykować i skorzystać z pociągu dalekobieżnego, aby jak najszybciej osiągnąć Aachen, leżące ponad 200 km na północny zachód od Bielefeldu. Tam była nasza ostatnia nadzieja — drugi punkt kontaktowy.

W czasie studiowania rozkładu jazdy na stacji kolejowej podszedł do nas jakiś cywil, poprosił o dowody osobiste. Niestety, nie miałem już sił ani żaden koncept nie wpadł mi do głowy. Zrezygnowany, wyjaśniłem, że jesteśmy zbiegłymi jeńcami wojennymi i nie posiadamy żadnych dokumentów. Cywil przekazał nas z miejsca żandarmerii polowej (z tymi blachami na piersiach), która patrolowana dworzec. Żandarmi odprowadzili nas do obozu jenieckiego, znajdującego się w pobliżu na terenie dużej fabryki.

Tak upłynęło pięć dni „na wolności". Koszt tego przedsięwzięcia był niewspółmierny. Zapłaciliśmy za to więzieniem w Szlezwiku i długimi miesiącami najpierw karnego obozu w Hovede, a później specjalnego w Krehoe. Okres ten wymaga jednak osobnego omówienia...

Jan Wałach — *Matka z dzieckiem*, ok. 1950, drzeworyt.

POMÓŻCIE NAM ZACHOWAĆ PAMIĘĆ

JAN RUSZ

Pod takim hasłem, z okazji 60. rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem i zakończenia drugiej wojny światowej, Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie" ogłosiła ogólnopolski konkurs na relacje byłych robotników przymusowych III Rzeszy w latach 1939—1945. Na konkurs ten z całej Polski wpłynęło ogółem 748 prac. Jedną z kilku nagrodzonych było opracowanie pt. *Stracone lata, młodzieńczej złudnej nadziei*, którego autorem jest Jan Rusz, pochodzący z Zaolzia. Niektóre fragmenty tego wspomnienia drukujemy poniżej.

JAK ZOSTAŁEM PASTUCHEM

Miałem trzynaście lat, kiedy zostałem wezwany do niemieckiego urzędu pracy (Arbeitsamtu) w Jabłonkowie. Poszedłem tam sam, bez opieki rodziców.

— *Pojedziesz do Reichu, na roboty* — przywitał mnie od razu jasno i rzeczowo swoim bardzo cienkim, niecierpiącym sprzeciwu głosem, sam szef urzędu o nazwisku Kinol, który odbierał ode mnie to wezwanie.

— *Jak trzeba...* — odpowiedziałem niezwłocznie, grzecznie i beztrosko, jak naiwny dzieciak, marzący o ciekawych przygodach i podróżach po świecie.

Kinola aż zatkało, bo nie spodziewał się tak zdecydowanej i szybkiej zgody. Był bowiem przyzwyczajony do tego, że wzywani ludzie z reguły z nim dyskutowali, nie zgadzali się, prosili o łaskę i wyrozumienie, obiecywali wdzięczność za życzliwość...

Tym razem zaskoczony Kinol wpadł w zakłopotanie, z którego szczęśliwie wybawiła go urzędniczka z sąsiedniego pokoju, prosząc o chwilę rozmowy.

Poznałem ją. To była Helena Szlauerówna, nauczycielka, która przed wojną opiekowała się dziećmi w polskiej ochronce. Mieszkała ona

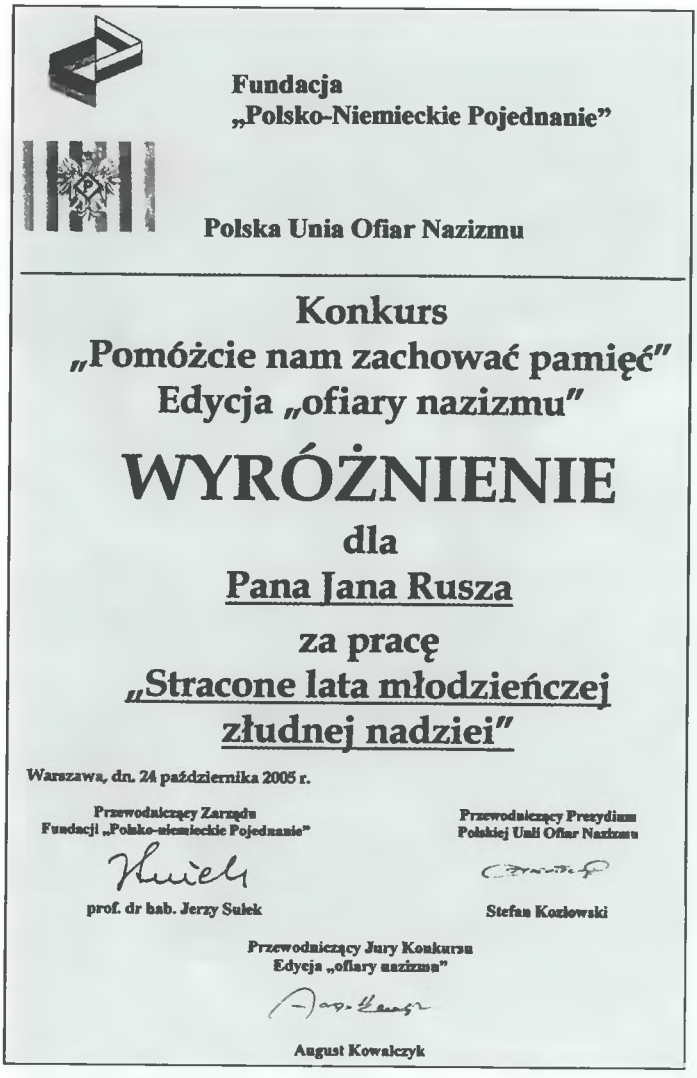

Fundacja
„Polsko-Niemieckie Pojednanie"

Polska Unia Ofiar Nazizmu

Konkurs
„Pomóżcie nam zachować pamięć"
Edycja „ofiary nazizmu"

WYRÓŻNIENIE

dla

Pana Jana Rusza

za pracę

„Stracone lata młodzieńczej złudnej nadziei"

Warszawa, dn. 24 października 2005 r.

Przewodniczący Zarządu
Fundacji „Polsko-niemieckie Pojednanie"

prof. dr hab. Jerzy Sulek

Przewodniczący Prezydium
Polskiej Unii Ofiar Nazizmu

Stefan Kozłowski

Przewodniczący Jury Konkursu
Edycja „ofiary nazizmu"

August Kowalczyk

Dyplom Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie", wyróżniający pracę Jana Rusza „Stracone lata młodzieńczej złudnej nadziei".

wtedy na piętrze tego samego Domu Macierzy w Gródku, w którym moi rodzice zajmowali część parteru.

Po chwili Kinol wrócił, mówiąc do mnie: — *Syneczku pójdziesz teraz do domu, a my wezwiemy cię jeszcze raz...*

Następnym razem miałem już jednak gotowy konkretny przydział do pracy pastucha w gospodarstwie „volksdojczki" Anny Czudkowej, której mąż był dróżnikiem, kosił trawę i pielęgnował przydrożne rowy wokół asfaltowej drogi, nazywanej „cesarską", bo zbudowanej jeszcze za czasów monarchii austro-węgierskiej. Jej syn natomiast służył przed wojną, jako pilot, w polskim lotnictwie, a o jego wyczynach pisała przed pół wiekiem „Skrzydlata Polska".

Mimo że przypisany byłem do pracy w jej zagrodzie, to również musiałem obsługiwać gospodarstwo

innych „volksdojczów", jej krewnych Bocków, którzy mieszkali w drugiej połowie tego samego budynku.

Moją domeną było krzątanie się wokół bydła i owiec. Była to praca bez pieniężnej zapłaty, a jedynie za skromny wikt. Oprócz pasienia tej zwierzyny musiałem każdego ranka i wieczoru porządnie wodą, a czasem i zgrzebłem, te krowie zadki obmywać, bo dobytek domowy musiał być czysty, zarówno na pastwisku, jak i na świeżej ściółce w oborze — nie to, co jeszcze dzisiaj można oglądać czasem w centralnej Polsce, gdzie po łąkach łażą brudne, niedomyte krowy, nierzadko zafajdane zaschniętym łajnem...

SZPITAL — LUKSUS DLA WYBRANYCH

Kiedyś jedna z krów bezmyślnie nadepnęła racicą na moją bosą nogę tak niefortunnie, że pod paznokciem wielkiego palca wyrastała mi żywa narośl. Gdy już prawie nie mogłem nałoży buta na tę nogę, poszedłem do zawsze życzliwego dla wszystkich ludzi lekarza Józefa Mazurka w Bystrzycy nad Olzą, który od razu dał mi skierowanie do szpitala. Pojechałem więc do Trzyńca, gdzie dość nieporadnie rozglądałem się wokoło przed budynkiem „zdrowia" na Podlesiu. Wyszedł z niego akurat ponuro wyglądający pan, więc pokazując mu skierowanie zapytałem, gdzie mogę zastać chirurga Sommera.

Nachmurzony pan natychmiast się rozpogodził i powiedział, że on właśnie nim jest. Już wychodził z pracy, ale kiedy zobaczył, że szykuje mu się rzeźnicka robota, czyli krwawa operacja, natychmiast zawrócił, poweselał i zaczął ze mnie dowcipkować: — *Żywe mięso, powiadasz. No, to ja ci dam kartkę żywnościową, a to twoje narosłe mięso sobie z twojej nogi powycinam.* Później dowiedziałem się, że lekarz ten zawsze odzyskiwał dobry humor, gdy jako chirurg miał okazję kroić człowieka.

Tak więc po prawie godzinnej operacji zostałem obudzony z narkozy i dowiedziałem się, że muszę pozostać na parę dni w szpitalu. Nawet się z tego ucieszyłem, że będę mógł sobie trochę odpocząć.

Za chwilę jednak wpadła na salę inna pielęgniarka i kazała mi się natychmiast ubierać. Nie zostanę w szpitalu, bo nie mam „volkslisty".

Zaskoczona tą decyzją pierwsza sanitariuszka usiłowała oponować, że przecież jestem jeszcze dziecko, że bardzo cierpię, że nie dam rady dojść do domu, że rana będzie się źle goić...

Druga „siostrzyca" ucięła jednak zdecydowanie ten wywód, postanawiając (i tworząc w ten sposób jakby dodatkową uciążliwość), że co kilka dni będę przychodził do lecznicy, a ona mi będzie zmieniać opatrunki i lapisować rany...

I tak oto znalazłem się znów na terenie huty trzynieckiej, przez którą wiodła najkrótsza droga ze szpitala do stacji kolejowej. O ile jednak, idąc na operację, „przeskoczyłem" ten odcinek zaledwie w dziesięć minut, to wracając ze szpitalnego lazaretu, mocno utykając i powoli ledwo włócząc nogami, pokonywałem tą trasę prawie godzinę. Rana na nodze

też się potem niedobrze goiła, a ślad po niej pozostał mi do dziś.

Moja przewlekająca się choroba nie podobała się też i mojej „bauerce". A jeszcze bardziej naraziłem się jej rodzinie, gdy na wiosnę znów zostałem wezwany do Arbeitsamtu. Lamentom nie było końca: przez całą zimę karmiliśmy pastucha, a teraz, gdy zaczynają się wiosenne roboty w polu, to chcą nam go zabrać. Niesłychane!

Na Arbeitsamcie nie pracowała już wówczas, pochodząca spod Kozubowej, Helena Szlauerówna. Została aresztowana i wkrótce straciła życie za pomoc okazywaną Polakom.

GDY PRACA NIE USZLACHETNIA

Byłem już prawie o rok starszy i jako niespełna czternastolatek z nakazu urzędu zostałem skierowany ponownie do przymusowej pracy fizycznej, tym razem do niemieckiego architekta, ponoć Reichsdeutcha, Alberta Resta, który stworzył sobie firmę dość specyficzną, chociaż oficjalnie nazwaną budowlaną. Jej siedzibą stał się barak, zbudowany na terenie tartaku drzewnego w Nawsiu-Jabłonkowie. A do pracy w tym przedsiębiorstwie kierowano różnych ludzi z okolicznych wsi beskidzkich, a tym także z Istebnej i jej sąsiednich miejscowości.

Jako najmłodszy w firmie, zarówno pod względem wieku, jak i stażu, często pracowałem z ludźmi starymi, a nawet już nieco niedołężnymi. Ponad sześćdziesiąt lat liczącego dziadka Ligockiego z Koniakowa zapamiętałem z tego, że stale trzymał w ustach staromodną, rzeźbioną faję z długim cybuchem i chodził prawie zawsze z nieodłącznym, moco już wysłużonym plecakiem. Matuszny z Kamiesznicy charakteryzował się ogromną przepukliną, a zamiast plecaka nosił zazwyczaj na ramionach zwykły worek od ziemniaków. Haratyk z Hyrczawy czasem straszył bardzo zezowatym spojrzeniem, a swoje rzeczy ubierał w jakieś zawiniątko, otoczone zwykłymi szmatami. A Gazurek z Istebnej, wzbudzający wesołość opowiadanymi kawałami, przeważnie „na rauszu", wolał swoje osobiste „bogactwa" trzymać w ręku. Wspominam o nich nie tylko jako najstarszych, już nawet nieco zdziwaczałych, ale także jako niezwykle zahartowanych górali i dobrych ludzi, którzy chyba całe swoje życie spędzili na wędrówkach za chlebem.

U Alberta Resta też nie mieli bajecznego życia. W ciągu zwykłych dni tygodnia, po pracy, nocowali na ogół w barakach, które budowaliśmy, a przy sobocie wracali piechotą z Nawsia lub Jabłonkowa do swoich siedzib, oddalonych po kilkanaście, a nawet po kilkadziesiąt kilometrów od miejsca pracy, aby dotrzeć do swoich chałup i mieszkań w górach nierzadko około północy. I znowu następnej nocy wyruszali, też piechotą, tą samą drogą, aby zdążyć do roboty w poniedziałek przed godziną szóstą czy siódmą rano. Żadnej stałej komunikacji na ich szlakach przecież wówczas nie było. Czasami przydarzyło im się jakieś przypadkowe szczęście, że ktoś podwiózł ich kawałek wozem konnym lub sania-

mi. Górale ci nieraz z rozrzewnieniem wspominali dobrodziejstwa, jakie swoją pracą przysparzali miejscowemu społeczeństwu jeszcze przed wojną, przedłużając linię kolei żelaznej z Goleszowa do Wisły Głębiec, żałując, że nie do Istebnej. Z przejęciem opowiadali czasem o asfaltowaniu drogi do Wisły Czarnego, czy do zameczku prezydenta Mościckiego. Robota ta zapewniała im bowiem pracę, byt, chleb, życie...

Różnych mieliśmy nadzorujących nasze roboty przymusowe podczas okupacji. Taki np. Wrona z Wędryni, zaufany głównego majstra, dbał przeważnie wprost obsesyjnie o to, aby wszystkim Polakom potrącać z zarobków po 15 proc. na tzw. Wehr-Steuer. Troszczył się też szczególnie, aby nam nie dawano tzw. pasków z obliczeniami przepracowanych godzin i zarobionych pieniędzy, a jedynie, aby na otrzymywanych kopertach zanotowano dowolne często kwoty, które nam wypłacano „na rękę". Na kopertach tych roiło się też nieraz od pisanych zwykłym ołówkiem różnego rodzaju „obciągów", zwłaszcza na wyfasowane „buty robocze", które jednak rzadko otrzymywaliśmy, a zgarniane w ten sposób pieniądze, nasze pieniądze, trafiały dodatkowo do kieszeni hochsztaplerów w kierownictwie firmy.

Nie pamiętam już, jak nazywał się inny nadzorca. Czy to był Futsche, Gaits, czy jeszcze ktoś inny spośród tej grupy Niemców (sprowadzonych z Besarabii), którzy zamieszkali w domach i gospodarstwach po wysiedlonych Polakach w Nawsiu...

Zadaniem zaś tego nadzorcy i majstra było prowadzenie robót, ale on też przeważnie pracował fizycznie razem z nami, zachęcając swym przykładem, abyśmy się starali szybciej uporać z wykonaniem „zadania". Besarabijczyk ten był ludzki i szczery. Kiedyś powiedział mi wprost, że wie, iż muszę pracować nieraz po 10 a nawet 12 godzin na dobę, ale on nie może mi zapisać na dniówkę więcej niż 8 lub 9 godzin pracy, bo jestem nieletni. Był nawet zaskoczony, gdy się dowiedział, że moje wynagrodzenie wynosi tylko 30 fenigów na godzinę...

WOJNA MUSI KOSZTOWAĆ

Firma Alberta Resta miała opinię „dziadowskiej", ponieważ prowadziła najgorsze, najbardziej brudne roboty, których wartość było nawet czasami trudno oszacować. Stąd, wyceniane często „na oko", bywały również źródłem przysparzającym dodatkowych dochodów. Możliwość oszustw „dziadów-Polaków" stała się też zachętą do tego, że Rest lubił zatrudniać szczególnie tych, którzy nie posiadali niemieckiej „volkslisty"...

Kiedy jako „Bauhilfsarbeiter" (pomocnik robotnika budowlanego) trafiłem do tej firmy, prowadzącej różne roboty *wysokościowe, naziemne i podziemne*, to współpracowała ona już z organizacją Todt, słynącą m.in. z budowy różnych obiektów wojskowych. A jakież to otwierało pole do kombinacji i machlojek.

Duszą tego rodzaju interesu był, podobno pochodzący z Włoch, człowiek, który kazał siebie tytu-

łować „panem inżynierem Gracyjanem", chociaż inżynierem nie był. Nie ukrywał jednak swoich talentów do uprawiania szwindli i oszustw. Jego zaufani nawet chwalili się tym, że potrafi on tak „umiejętnie" skalkulować koszty wznoszenia np. betonowych bunkrów przeciwlotniczych — jakie stawialiśmy na stacjach kolejowych w Nawsiu-Jabłonkowie, Trzyńcu, Cieszynie, Karwinie i innych miejscowościach — że o ile wartość kosztorysowa takiego schronu na początku budowy wynosiła przeciętnie 12 tysięcy marek, to po oddaniu go do użytku firma Albert Rest inkasowała za niego 20, a nawet 24 tysiące marek. Do każdego wznoszonego obiektu wliczano np. wartość nowych desek zużytych na szalunki, nowych gwoździ i różnych innych „nowych" materiałów, podczas gdy nie były one wcale dziewicze, ale wykorzystywane wielokrotnie. Sam nieraz musiałem gwoździe odginać i prostować, a deski czyścić ze starego betonu...

Ulubionym powiedzeniem „pana inżyniera Gracyjana" był slogan: *Wojna musi kosztować.*

W imię tej zasady, na konto wojny Gracyjan „kalkulował" też czyszczenie przez nas wszelkiego rodzaju śmierdzących kanałów, przepustów i szamb, remonty dziurawych mostów polnych, łatanie smołą powybijanych dróg, podbijanie szweli pod torami kolejowymi, wycinanie krzewów koło dróg, nie mówiąc już o montażu drewnianych baraków mieszkalnych i biurowych, budowie zapór przeciwpancernych, kopaniu rowów zaporowych, stawianiu kozłów żelaznych, montowaniu na drogach przeszkód komunikacyjnych z drewnianych bali itp.

Na konto „wojny" wybudowaliśmy również naszemu sprytnemu architektowi za pół darmo willę w Jabłonkowie, bo kosztami budowy zostały obciążone inne roboty prowadzone przez firmę. Mój udział w tym przedsięwzięciu polegał na kopaniu, a potem zasypywaniu rowów, w których umieszczone zostały rury i instalacje, doprowadzające wodociąg do budynku...

Pewnego razu „pan inżynier Gracyjan" kazał mi zameldować się na drugi dzień u żony w jego willi, aby mu narąbać drewna na opał. — *Będziesz pracował osiem godzin, a ja każę Wronie* (to jego „pomagier"), *aby ci zapisał dziesięć godzin pracy przy budowie bunkra przeciwlotniczego.*

Pojechałem. Rąbałem cały dzień. Komórkę w piwnicy zapełniłem drewnem prawie do sufitu, a na koniec zamiast podziękowania, żona „pana inżyniera" powiedziała zniesmaczona, tonem nagany i niezadowolenia.

— *Ugotowałam ci zupę z proszku, a ty tak mało narąbałeś tego opału.*

— *Pracowałem uczciwie przez cały dzień* — broniłem się.

Wrona jednak nie zapisał mi dziesięciu godzin pracy — ale też i ja nie pojechałem więcej rąbać drewna do bogatej willi, którą wcześniej, też w bardzo krótkim czasie, wybudowała Gracyjanowi w Łyżbicach nasza ekipa z firmy.

Prawie zaraz po wojnie te porządne zabudowania uległy celowemu zburzeniu, bo w owym czasie

Czesi tak pojmowali „walkę z Niemcami". Obecnie w tym miejscu znajdują się prywatne garaże samochodowe mieszkańców Trzyńca. Willa architekta Alberta Resta w Jabłonkowie też została po wojnie całkowicie rozwalona, a gruzy rozebrane i usunięte. Po „animatorach bisnesu wojennego" nie zostało więc żadnego śladu...

ŻYCIE W KRĘGU NIESZCZĘŚĆ

Podczas remontowania nasypu przy tunelu kolejowym w Mostach na Przełęczy Jabłonkowskiej w naszej brygadzie pojawiło się dwóch młodych, miejscowych górali: Janek Kluz, zafascynowany wszelkiego rodzaju pirotechniką i militariami oraz Józef Wiszczor, młodszy brat tego Wiszczora, który 26 sierpnia 1939 roku przyprowadził lasami przez góry beskidzkie hitlerowską bojówkę do Mostów, z myślą, że to właśnie w tym dniu, napaścią na Polskę, rozpoczyna się druga wojna światowa. Pracownicy w firmie szybko dowiedzieli się o tym, z kim mają do czynienia i po obserwacji obijającego się w pracy Wiszczora zrozumieli, że znalazł się on wśród nas nie po to, aby pracować, ale by spełniać jakieś inne, węszycielskie zamiary i niedobre dla nas czyny...

Janka Kluza zapamiętałem jako wielkiego ryzykanta. Podczas czyszczenia zbiornika wody pitnej w Kostkowie pod Stożkiem znaleźliśmy granat ręczny — niewypał, który nie eksplodował po wrzuceniu go do wody przez niemieckich żołnierzy, łowiących ryby metodą detonacji. Janek szybko dorwał się do niego, aby go rozbroić. Prawie wszyscy pracownicy mu to odradzali, a kiedy argumenty nie przekonały uparciucha, kazał nam odejść od niego jak najdalej.

Majstrował przy tym granacie dość długo, ale bez rezultatu i spodziewanej detonacji. Wreszcie zniechęcony rozpalił ognisko, do którego wrzucił granat. Nastąpił wybuch, ale jakiś słaby. Widocznie proch był zawilgocony — odpowiedział z rezygnacją zawiedziony Janek, który niedługo po wojnie zginął przy podobnych manipulacjach z niewypałami.

Był jeszcze Zbigniew Łabaziewicz. Mówił o sobie, że jest studentem ze Lwowa, ale miał już sporo ponad trzydzieści lat, a jego zachowanie bywało zastanawiające. Mieszkał w drewnianym baraku, w którym przechowywaliśmy łopaty, kilofy, grabie i inne narzędzia pracy. Czasami unikał ludzi. Nie przyjmował zaproszeń do odwiedzin domowych. W robocie raczej też się obijał. Zimą, nawet przy kilkunastostopniowym mrozie, spał w tej dziurawej budzie, nakryty pozbieranymi gdzieś łachmanami. Raptownie zniknął bez pożegnania na kilka tygodni przed zakończeniem wojny.

Niektórzy potem sugerowali, że mógł on mieć coś wspólnego z „wpadką" ludzi ruchu oporu z Istebnej i Jaworzynki. Wśród kilkunastu wtedy aresztowanych i zamordowanych Polaków znajdował się również jeden z naszych kolegów — pracowników firmy Resta. Nazywał się Wawrzacz. W miarę zbliżania się agonii III Rzeszy coraz więcej, śmie-

lej i pewniej opowiadał nam o konspiracji i o przygotowaniach do utworzenia po wyzwoleniu nowej, polskiej władzy w Istebnej. Miał do nas zaufanie. Nawet zlekceważył to, że na pewien krótki czas pojawił się wśród nas nieznajomy o nazwisku Zeman, że w miarę zbliżania się frontu kręciły się także inne „łaziki"...

Tragedia nastąpiła na wiosnę. Mniej więcej w połowie kwietnia 1945 roku kilkunastu górali z Istebnej i Jaworzynki zostało przez gestapo zastrzelonych, a raczej zamordowanych w Jabłonkowie — wśród nich i nasz Wawrzacz.

A TERAZ JEST PROFESOREM

Wyzwolenie spod okupacji niemieckiej nie wywołało u nas specjalnego wrażenia. Jeszcze bowiem w ostatnich dniach kwietnia 1945 roku ładowaliśmy na wagony szyny z rozbieranych torów kolejowych (przeciętnie 28—30 sztuk szyn dziennie), zanim wyleciały w powietrze wysadzone mosty kolejowe i drogowe. A potem, zaraz na początku maja, sąsiadka przyniosła wiadomość, że w Nawsiu masarz Pyszko zarżnął świniaka i sprzedaje każdemu bez kartek po pół kilograma boczku. Poleciałem więc i ja do tej sąsiedniej wsi, aby tę 500-gramową porcję zdobyć...

Po drodze, przy zniszczonej konstrukcji na Rogowcu, spotkałem kilkunastoosobową grupę dość starych wiekiem żołnierzy radzieckich, którzy usiłowali przy pomocy małych koników przerzucić przez zwały zawalonego mostu dwie górskie armatki polowe z doczepionym taborem. Przy nich stał kapitan z pełną piersią medali i odznaczeń, mocno cuchnął potem i trochę alkoholem, a gromadzącej się publiczności powtarzał w koło jedynie dwa zdania: pytanie: *kuda German?* i obwieszczenie: *Berno swabodne...*

A co nas obchodziło Berno, jak wszyscy gromadzący się oczekiwali z utęsknieniem na przybycie polskiego wojska. To jednak zapomniało o Zaolziu i wolało wyzwalać Mielnik koło Pragi.

W zamian za to po kilku dniach na głównej, asfaltowej drodze pojawiły się trzy oddziały czechosłowackich żołnierzy i żandarmów, którzy z piosenką na ustach *At žije Morava aji Praha* przemaszerowali od Czadcy ze Słowacji w kierunku Trzyńca i Cieszyna. Zaraz na nimi przybyli nie tylko do gródeckiej wioski czescy „specjaliści", których pierwsze rozporządzenie, wydane niezwłocznie w tym samym dniu, brzmiało: *natychmiast zdjąć wszystkie polskie flagi!*

Rozpoczęła się nowa, kolejna dla zaolziańskich Polaków, powojenna gehenna...

Zanim ona rozwinęła się w pełni, mocno rozbolały mnie zęby. Poszedłem więc do dentysty, który się już zadomowił w Czeskim Cieszynie, dokąd zjawił się na ordynację z niedalekiego Frydku-Mistku.

— *Człowieku, gdzieś ty żył?* — zapytał mnie starszy już pan. — *Coś ty robił? Takiego spustoszenia, jakie ty masz w ustach, jeszcze nie widziałem. Przecież ruszają ci się wszystkie zęby. Czy wróciłeś z obozu koncentracyjnego?*

— *To chyba z niedożywienia* — odpowiedziałem nieśmiało.

On jednak nie bardzo to pojmował, bo przecież w zasobnym w żywność Protektoracie Czech i Moraw mieszkańcy nie mieli nawet pojęcia o tym, czym były głodowe dni i marne pożywienie...

Kilkanaście lat później spotkałem w pasieczyńskim lesie „Na Brzyszkach" bardzo starego człowieka, który na skraju tego zagajnika sklecił sobie z desek i dykty coś w rodzaju domku, w którym mieszkał. Nasze twarze wydawały nam się znajome, więc porozmawialiśmy.

Nie myliłem się. Był to Włoch, pochodzący z Tyrolu, z rodziny Lorenzinich-Fontonarych, którzy sprowadzili się jeszcze przed pierwszą wojną światową do Gródku, gdzie znaleźli zatrudnienie w trzech miejscowych kamieniołomach. Ulokowali się na brzegu rzeki Olzy, „Na Skale". Żyjąc wśród miejscowej ludności nauczyli się po polsku. Z czasem jednak, chcąc uprawiać wolny zawód kamieniarzy, uważali, że lepiej będzie dla nich, gdy zadeklarują się, iż są Czechami. W czasie drugiej wojny światowej synowie ich służyli w Wehrmachcie — w tym w doborowym oddziale SS.

Właśnie jeden z nich, starszy o kilka lat ode mnie, pewnego okupacyjnego dnia przyjechał w czarnym mundurze na urlop i przechodząc polną drogą, przy której przyginałem gałązki drzew i krzewów, aby lepiej nakarmić naszą kozę, zatrzymał się, wyjął z kabury krótką broń i zaczął strzelać. Ludzie mówili potem, że do mnie. Ale stary Lorenzini po upływie tak wielu lat powiedział mi, że syn chciał się tylko popisać przede mną, a może mnie jedynie trochę nastraszyć...

Ja jednak zapamiętałem na zawsze przerażone spojrzenie pasionej przeze mnie zwierzyny domowej, porażający świst kul i szelest rozdygotanych liści w koronie drzewa, pod którym pasła się nasza koza.

— *A teraz syn mój jest profesorem w Wyższej Szkole Rolniczej w Pradze* — pochwalił się na zakończenie naszego spotkania Włoch — ojciec — staruszek...

Anegdotyczne

Zamieszkały w Goleszowie mistrz jednej z cieszyńskich fabryk kupił wreszcie (na raty) wymarzone przez rodzinę radio. Czyż mogło się obejść bez „smarowania pokręteł"? Przecież nie wolno dopuścić, by... zardzewiały. Zabieg sfinalizowano w „Pokrzepie", skąd blisko do pociągu.

Do domu szczęśliwiec dotarł — niestety — dopiero nad ranem. Przesypiał Goleszów, na przemian budząc się to w Bielsku, to w Cieszynie.

Po powrocie do domu całą rodzinę zerwał na równe nogi:

— Tato kupił radio!!!

Niestety. Domownicy nie mogli radia ani obejrzeć, ani usłyszeć.

Wszak pokaźny, firmowy karton z „Kasprzaka" wypełniały... cegły.

Jan Wałach — *Baba z kozą*, ok. 1950, drzeworyt.

SYLWETKI

WĘDROWIEC Z KRESÓW

MARIA KOCYCH-IMIELSKA

Był niestrudzonym rysownikiem i wierszopisem, a nade wszystko miłośnikiem wędrówek krajoznawczych. Pieszo przemierzał kraj rodzinny, ziemie sąsiednie bliższe i dalsze. Był prekursorem polskiej turystyki na Śląsku. Szczególnie Dolny Śląsk przeszedł wzdłuż i wszerz, utrwalając piórem i pędzlem to, czego doświadczył. Był jednym z najlepszych znawców Tatr i Podhala w połowie XIX wieku, autorem pierwszych w Polsce albumów krajoznawczych.

Bogusz Zygmunt Stęczyński — postać dziś nieco zapomniana i niedoceniona, urodził się 20 stycznia 1814 roku w Hermanicach pod Dobromilem. Niemały wpływ na przyszłego *lubownika natury* miała okolica, w jakiej wzrastał, pełna skał, parowów, malowniczych strumieni. Po latach wyzna w jednym ze swych rozlicznych utworów, iż *od najrańszej młodości mojej miałem upodobanie w pięknościach Przyrody, która była dla mnie nieustającą pociechą.*

Bogusz Zygmunt Stęczyński — litografia Ignacego Gołębiowskiego 1852. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.

Po skończeniu szkół w Krośnie i Przemyślu, podejmuje w roku 1833 — ma wówczas 19 lat — pieszą wędrówkę krajoznawczą, zrazu po najbliższej okolicy. Niekłamany zapał i niezwykła pracowitość skromnego wędrowca, w którego sakwie podróżnej znajdowały się głównie pędzle, papier, ołówek, zwróciły nań dość rychło uwagę możnego rodu z Medyki. Pietyzm dla pamiątek przeszłości, utrwalanych w rozlicznych szkicach, piękne „krajowidoki" oraz cenne realia etnograficzne,

zjednały Stęczyńskiemu przychylność Pawlikowskich, umożliwiającą mu kontynuowanie peregrynacji krajoznawczych przez szereg lat, aż po rok 1856.

Na szlak wyruszał wiosną, wędrując od wsi do wsi, od miasta do miasta. Nie omijał gór. Na nocleg zachodził do chat wiejskich, bywało — do karczem. Najczęściej jednak nocował w polu, pod drzewem, w stogu siana, w lesie.

Poznawałem kraj drogi spokoiwszy siebie
Artystycznym zawodem o wodzie i chlebie.

Gdy jesień strząsała ostatnie liście z drzew, schodził ze szlaku. Na zimę wracał w domowe pielesze, gdzie porządkował plon trzech pór roku: liczne rysunki, sztychy, akwarele, notatki i wiersze. Czytał sporo, dokształcał się, rozmyślał. Marzyło mu się olbrzymie wydawnictwo krajoznawcze, obliczone na pięćdziesiąt tomów, zawierających po osiemdziesiąt obrazów każdy, a obejmujące całą Polskę z widokiem miast, zabytków sztuki oraz cudów natury.

Spośród ziem polskich upodobał sobie Tatry i Śląsk. Był pierwszym po Ludwiku Zejsznerze turystą, przybywającym w Tatry systematycznie. Owocem tych wypraw — przypuszczalnie od roku 1836 — było przejście eksponowanych Miedzianych Ławek w Dolinie Jaworowej — naonczas było to czwarte wejście. Jako jeden z pierwszych przeszedł Niewcyrską Przełęcz, był na Łomnicy, w wielu mało wówczas odwiedzanych dolinach i szczytach. Pokłosie tych wypraw upamiętnił wydany w roku 1860 obszerny poemat *Tatry w dwudziestu czterech obrazach* z 80 rysunkami autora, oraz *Album Pienin i Tatrów.* Owa turystyczno-krajoznawcza działalność Stęczyńskiego doczekała się po latach uznania ze strony Witolda H. Paryskiego w jego Encyklopedii Tatrzańskiej, w której poświęcił mu stosowny biogram, uznając go, jak się już rzekło, za jednego z najlepszych znawców Tatr i Podhala w połowie XIX wieku. A przypomnijmy, iż były to czasy, w których bywały i działały w Tatrach tej miary osobistości, co Seweryn Goszczyński, Ludwik Pietrusiński, Wincenty Pol, Ludwik Zejszner, czy Józef Ignacy Kraszewski.

Na Śląsku — przypuszcza się — bywał w latach 1844—1851. Pokłosiem tych wypraw były trzy wersje poetycko-malarskiego poematu. Pierwszy z nich pt. *Sudety,* spoczywał do roku 1981 (!) w rękopisie. Nie doczekała się dotąd wydania wersja druga, zatytułowana *Śląsk — podróż malowniczo-historyczno-uczuciowa.* Wersja trzecia: *Śląsk. Podróż malownicza w 21 pieśniach* ujrzała światło dzienne w 1949 roku, zatem niemal 60 lat po śmierci autora. W rok po ukazaniu się *Śląska* recenzował ten poemat profesor Stanisław Pigoń. Zaznaczył, iż *mamy tu do czynienia nie z klejnotem twórczości literackiej, ale raczej ze świadectwem geo- i etnograficznym.* Wysoko ocenił w tej opowieści turystycznej *drobiazgowość wrażeń, czuj-*

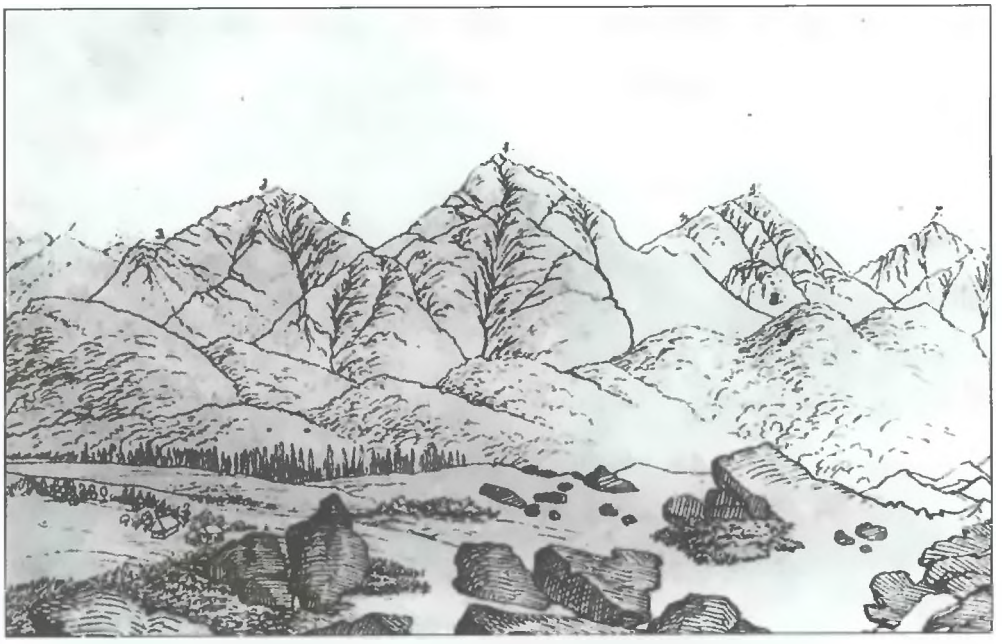

Góry wokół Cieszyna — rysunek B.Z. Stęczyńskiego. Reprodukcja z książki: *Polskie podróże po Śląsku w XVIII i XIX wieku.* Ossolineum 1974.

ność na rzeczy bagatelne, zwyczajne, niepozorne, jak choćby śpiewy pastuszków. Podkreślił, iż Stęczyński dał świadectwo *o charakterze ludu wiejskiego na Śląsku, o jego delikatności w obejściu, o głębokim odczuciu moralności, o gościnności.* I choć jest to *utwór poetycko dość nieudolny, ale pełen informacji o przeszłości Śląska, o jego zabytkach, osobliwościach przyrody, krajobrazie zarazem, a nade wszystko o polskości tej ziemi.*

Spośród 21 pieśni tylko dwie związane są ze Śląskiem Cieszyńskim. W pieśni XX zachwyca się Stęczyński naszym miastem:

Gdy wokoło górzysta bawi nas kraina,
Jesteśmy powitani widokiem Cieszyna,
Co przed nami na wzgórzu wygląda wesoło.

Dalej następuje dokładny opis miasta, wszystkich zabytków. Poeta wspomina mennicę, pożary, zaszłości historyczne, nie pomija legend, a także widoku gór spod Studni Trzech Braci. Poświęca uwagę Pawłowi Stalmachowi i jego „Gwiazdce Cieszyńskiej", która

Wskrzesza ducha, uczucia i polskie zwyczaje.

W latach bodaj 1870. był jeszcze u Stalmacha, próbując, podobnie jak nieco później Hieronim Derdowski z Kaszub, znaleźć tu kawałek chleba w jego redakcji.

W *Pieśni XXI* wybiera się Stęczyński na Baranią Górę:

(...) Ową sąsiadkę Śląska, niebotyczną panią.
Przebywszy most drewniany pod miastem Skoczowem,
Idziemy do Ustronia, wioski w miejscu zdrowym.
(...) Przybywamy do wioski Wisły, co daleko
Rozłożyła swe chaty, przedzielone rzeką
Co się Wisła nazywa (...)

Drogę na Baranią odbywa poeta w towarzystwie górala, który opowiada mu o zdarzeniu z przeszłości:

Pasterze na noc nie zgasili ognia, który
Spalił las i barany!.. Więc to miejsce góry
Spaleniskiem nazwane, na pamiątkę szkody.

W momencie, kiedy dotarli do wykapów Wisły, mimo letniej pory zaczął padać śnieg.

(...) Wyszukujemy źródeł między kamieniami,
Okrytymi od wieków siwymi mechami;
Chociaż wiater północny mocno nas przejmuje,
I powietrze się chmurzy — i śnieg polatuje!
My swoją wytrwałością nie zważamy na to,
Bo ta chwila przeminie, bo istnieje lato. (...)
Więc idąc coraz wyżej, nareszcie wysoko
Zadawalniamy naszą ciekawość, myśl, oko
I przez wielkie dla źródeł tych uszanowanie
Milczymy, — na ostatku wpadamy w dumanie. (...)

Opis Baraniej Góry kończy się inwokacją:

O Królowo rzek naszych jezior i strumieni!
Naród zmienić się może, twój byt się nie zmieni!
Więc my wtenczas wygaśniem, gdy wyschną twe wody?
Wieczna Wisło! a z tobą słowiańskie narody!

Po skończonych peregrynacjach krajoznawczych, osiada w Krakowskiem, imając się różnych zawodów: jest pracownikiem księgarni, nauczycielem domowym, leśniczym, korektorem, woźnym w wydawnictwie i wreszcie bibliotekarzem u Mieczysława Dzieduszyckiego. Wraz z jego śmiercią w roku 1872, traci podstawy egzystencji. Bieduje. I choć nie miał szczęścia do wydawców i czytelników, nadal pracuje nad swymi poematami, nie wiedząc na szczęście, iż w większości pozostaną w rękopisach na

półkach bibliotek, podobnie jak tysiące jego rycin. Głodującemu poecie próbuje przyjść z pomocą Józef Ignacy Kraszewski, który w swoim czasie (1860) tak oto wypowiadał się o nim na łamach „Gazety Codziennej": *poezja jego jest wcale przyjemna, rzewna, prosta, — mnóstwo w opisie podań, legend, obrazów, szczegółów objawiająca, tymczasem ryciny są wcale znośne.* Ogłasza apel do społeczeństwa o kwestę na rzecz Stęczyńskiego. Sam Stęczyński zwrócił się nawet z prośbą o wsparcie do cesarza Franciszka Józefa, otrzymując jednorazową zapomogę w wysokości 40 guldenów.

Jest coraz bardziej zgorzkniały. Znękany niepowodzeniami, znajduje schronienie w krakowskim przytułku miejskim. Tam też umiera 8 sierpnia 1890 roku.

Swoje *credo* życiowe i poetyckie zawarł w przedmowie do *Śląska*:

Ja zaś pisałem dlatego teraz jedynie, aby po sobie zostawić dowód, że żyłem nie daremnie na tym pięknym świecie...
... może znajdzie się kto, co tę obecną mozolność moją rozpatrzy, rozmiłuje się w tych pieśniach i oceni moje chęci i trudy podróży pieszej.

A TO CIEKAWE...

Popularne i niezbędne dziś parasole wymyślone zostały już ponad 4 tysiące lat temu i pojawiły się niemal jednocześnie w Asyrii, Chinach, Egipcie i Grecji. Prawdopodobnie jednak najwcześniej w Chinach, gdzie wytwarzano je z cienkiego jedwabiu, a zdobione były malunkami kwiatów i krajobrazów. Parasole były symbolem bogactwa. Przed władcami i możnymi nosili je niewolnicy. Dopiero w XVI w. parasole weszły do mody europejskiej. Ich nazwa pochodzi z włoskiego: *para* znaczy przeciw, *sole* — słońce. Ludwik XIV, król nomen omen „Słońce", posiadał całą kolekcję parasoli od słońca i deszczu. Anglicy, mimo deszczowego klimatu, parasol zaczęli przyjmować w XVII w. Nosiły go najpierw kobiety. Dopiero 100 lat później fizyk z Edynburga, Spens, odważył się na jawne i regularne noszenie parasola. Sądzono bowiem, że używanie parasola jest przejawem zniewieścienia. Toteż początkowo mężczyźni — o ile się odważyli — chodzili z nimi nocą. Parasolki angielskie — „umbrelle" wykonywane były z naoliwionego jedwabiu, w czasie deszczu trudno się otwierały i zamykały, rączki miały ciężkie, a w ogóle były bardzo drogie. Pierwszy kieszonkowy model, zarazem lepszej jakości i wygodniejszy, wykonano w fabryce Cheapside w 1787 roku. Dopiero od końca XIX w. nastąpiła masowa produkcja parasoli oraz ich powszechne używanie.

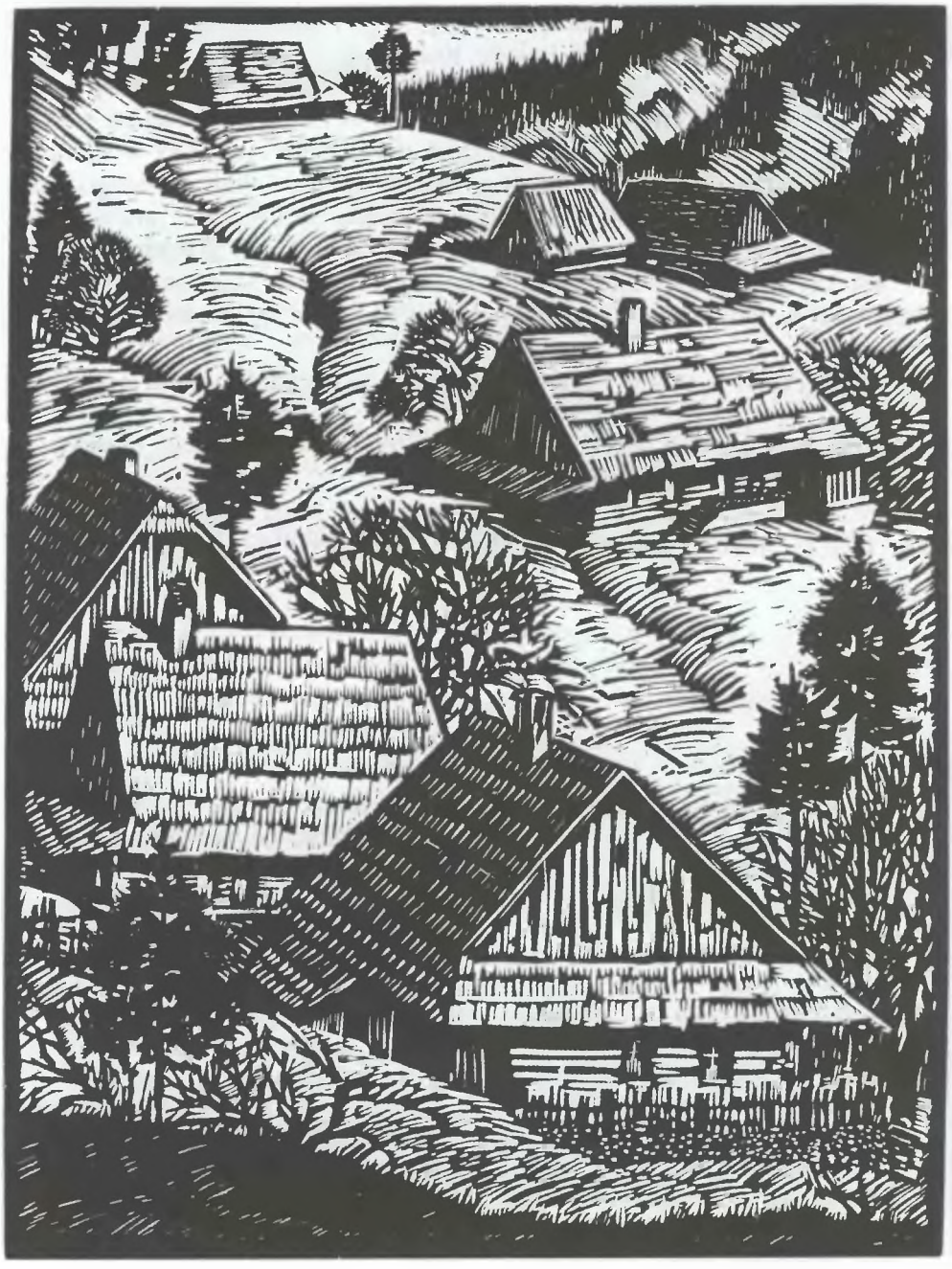

Adolf Drobik — *Chłopskie zagrody w Beskidach*, pocz. XX w., drzeworyt.

MAZURSKA PRZYJACIÓŁKA CIESZYNIAKÓW

PAMIĘCI EMILII SUKERTOWEJ-BIEDRAWINY (1887–1970)

JANUSZ GUZIUR

Sto dwadzieścia lat temu, 29 stycznia 1887 roku, w Łodzi, przyszła na świat Emilia Sukertowa-Biedrawina — Legenda Mazur, wybitna mazurska działaczka i literatka, oraz wielka miłośniczka Śląska Cieszyńskiego po obu stronach Olzy.
Nazywano ją popularnie Babcią. Przed wojną pani Emilia była duszą „Mazurskiego Piemontu" w Działdowie, a po 1945 roku stała się olsztyńskim *genius loci*. Do niej prowadziły wszystkie drogi regionalnej kultury i życia umysłowego w młodym województwie. Dobra pamięć o niezwykłej badaczce i popularyzatorce dziejów Mazur trwa nadal, choć już minęło 36 lat od jej śmierci.

Emilia Zachert urodziła się w Łodzi, jako córka bogatego fabrykanta. Chociaż była pochodzenia niemieckiego, to daj Boże rodowitym Polakom tyle gorących uczuć patriotycznych, popartych czynami. Jej córka Bożena Wilamowska (1922—1999), członek W-M Koła MZC, tak charakteryzowała rodzinę Zachertów: *Zakorzenioną w rodzinie polskość i poczucie sprawiedliwości społecznej wzmacniał jeszcze etos ewangelickiej pracowitości.*

Bracia Emilii — Konstanty i Wiktor Hugonowie — konspirowali w Królestwie Polskim, doświadczyli Syberii, z Piłsudskim walczyli z Rosją sowiecką i jako oficerowie WP odznaczeni krzyżami Virtuti Militari zginęli w Katyniu. Tam też zamordowano młodego lekarza Henryka Sukerta. Za Polskę oddał życie 19-letni Mirek Zachert, jedyny syn Wiktora Hugona, harcerz gimnazjum im. S. Batorego, bohater IV odcinka „Wachlarza" w Mińsku Maz. Zosia Zachert, córka Konstantego, poległa w Powstaniu Warszawskim. Matka Emilii — Wiktoria z Gundelachów Zachertowa, główna orędowniczka polskości w ro-

Emilia Zachert. Rys. Hieronim Skurpski.

dzinie — umierając w 1951 r. na raka wątroby w Olsztynie wykrzykiwała: *Pochowajcie mnie daleko od Niemców i Sowietów, bo będę kopała!*

W 7. roku zycia Emilia pobiera naukę w prywatnej pensji Marii z Tukalskich Nielubiczów Berlachowej w Łodzi. Po śmierci ojca rodzina przenosi się do stolicy, gdzie Emilia kończy II Żeńskie Gimnazjum Rosyjskie. W latach 1905—1912 studiuje w Towarzystwie Kursów Naukowych, prywatnej Szkole Pięknych „Conti" oraz w Akademii Eksportowej w Wiedniu. W 1912 roku wychodzi za mąż za jubilera Stanisława Sukerta, pochodzącego z Saksonii i b. Prus Wschodnich, człowieka wielce majętnego, właściciela kilku kamienic w Warszawie. W czasie I wojny światowej pracuje w Towarzystwie Niesienia Pomocy Ofiarom Wojny.

W 1919 roku związała się z Mazurami i Zrzeszeniem Ewangelików Polaków, a związki te stały się odtąd treścią jej życia.

Od najmłodszych lat bez reszty oddana Mazurom. Przez 51 lat orędowała w ich sprawach w Warszawie i za granicą. Po wojnie działała już wspólnie wraz z zięciem Bohdanem Wilamowskim (1914—1985), także czołowym Mazurem (z rodziny osiadłej już w XV w.), w czasie wojny dowódcą AK i BCh, późniejszym posłem na Sejm i KRN, wicewojewodą olsztyńskim, naukowcem i profesorem ekonomii olsztyńskiej uczelni ART. Pisała książki o przeszłości pruskiego Mazowsza, badała folklor mazurski, gromadziła zbiory etnograficzne i muzealne, popularyzując sprawy mazurskie w prasie polskiej i zagranicznej (w tym także w Turcji).

Przed wojną wydawała „Kalendarz dla Mazurów" oraz „Gazetę Mazurską", podkreślając polskie przywiązanie Mazurów do Macierzy. Korzystała też z rad i pomocy finansowej mecenasa Antoniego Osuchowskiego, dobroczyńcy Mazurów i Macierzy Cieszyńskiej. Była też prawdziwym ambasadorem ruchu mazurskiego i polskich ewangelików w Polsce oraz czołową reprezentantką interesów mazurskiej ludności w Niemczech.

Po przegranym Plebiscycie na Warmii, Mazurach i Powiślu (1920), aktywnie współpracowała z Seminarium Nauczycielskim w Działdowie*, gdzie

* Jedyny kawałek Mazur przyznany wtedy Polsce bez Plebiscytu (nb. za sprawą Hallerczyków), gdzie w 1921 r. na 24 tys. ogółu mieszkańców — aż 18 tys. (75%) stanowili Mazurzy.

Reprodukcja strony tytułowej „Kalendarza dla Mazurów na rok 1938".

Drogiej Pani Zofii Bogusławskiej dnia XV rocznicy ślubu serdeczne życzenia droga z wzajemnymi wyrazami poważania przesyła Emilia Lutkowa-Biedrawowa

Działdowo, 1/XII 1937

Kalendarz dla Mazurów

na rok

1938

który jest rokiem zwyczajnym zawierającym w sobie 365 dni

Podług południka królewieckiego jest astronomiczny i kościelny kalendarz ułożony

Rocznik piętnasty

Nakładem czasopisma „Mazur" w Szczytnie
Czcionkami S. Pieniężnego w Olsztynie

była duszą tego mazurskiego Piemontu. Wcześniej zaś (1926—1929) kilkakrotnie odwiedzała Śląsk Cieszyński wraz z Zaolziem, stając się wielką miłośniczką naszego regionu i jego mieszkańców. Dyrektorem Seminarium został później profesor z „Osucha", cieszyniak rodem z Trzyńca — prof. Józef Biedrawa (1879—1944), późniejszy jej mąż. Dzięki nim trzon grona nauczycielskiego w Działdowie, nauczający i repolonizujący mazurską młodzież „zza kordonu", stanowili sprowadzeni do Działdowa cieszyniacy: Robert Kożusznik, dr Tadeusz Michejda, Paweł Chlebek, Paweł Ożana, Paweł Klimosz, inspektor Jan Pawica oraz burmistrz miasta Alfred Rzymian.

W czasie wojny Biedrawowie ukrywali się w Warszawie pod pseudonimami (jako Bernatowiczowie), a następnie w Krośnie, gdzie p. Emilia pochowała schorowanego męża. W 1962 r. prochy J. Biedrawy sprowadzono do Olsztyna i oboje spoczywają w Alei Zasłużonych na cmentarzu w Olsztynie. W marcu 1945 r. powróciła do ukochanego Działdowa, ale nie znalazłszy tam pracy, w czerwcu wyjechała do Olsztyna. W Olsztynie rzuciła się ponownie w wir życia kulturalnego i umysłowego w województwie. Była

założycielką, pierwszą dyrektorką i sekretarzem generalnym Stacji Naukowej Instytutu Mazurskiego, zalążka obecnego Ośrodka Naukowego Badań im. Wojciecha Kętrzyńskiego (OBN). Ośrodek ten obecnie kierowany jest przez prof. zw. Stanisława Achremczyka, czołowego historyka W-M, prorektora uniwersytetu UWM w Olsztynie oraz także wielkiego sympatyka cieszynian.

Przez 12 lat pani Emilia redagowała słynne Komunikaty Mazursko-Warmińskie. Była autorką ponad 2 tysięcy prac naukowych, literackich i publicystycznych. Pracę jej cechowały odważny upór i determinacja, z jakimi poświęciła się scalaniu mazurskiej spuścizny literackiej i etnograficznej, co w trudnych latach 40. i 50. było niemal wyczynem. Pomimo niesprzyjającego Mazurom klimatu politycznego, uhonorowana została najwyższymi odznaczeniami państwowymi i regionalnymi, w tym także wielce cenionym przez siebie Medalem Rodła. W 70. rocznicę założenia Zespołu Szkół Rolniczych w Malinowie k/Działdowa (1930—2000) szkołę tę nazwano imieniem Emilii Sukertowej-Biedrawiny. Także Wojewódzka Biblioteka Publiczna nosi jej imię, podobnie jak jedna z ulic Olsztyna.

Dr inż. Marzena Wilamowska-Korsak, prodziekan ds. studentów Wydz. Nauk Technicznych UWM Olsztyn (wnuczka Emilii Sukiertowej Biedrawiny).

W przeddzień 110. rocznicy jej urodzin (1997), olsztyński ośrodek OBN wraz z uczelnią przygotował sesję poświęconą pamięci tej wybitnej działaczki mazurskiej. Wszyscy licznie zebrani uczestnicy tej sesji, w tym profesorowie M. Szostakowska, J. Samsonowicz, J. Jasiński, S. Achremczyk, zgodnie stwierdzili, że: *była autorytetem prawdziwym i nie wymagającym sztafarzu i podgrzewania.* O jej życiu i dziele mówiło wielu naukowców i działaczy, w tym dr Jan Chłosta, redaktor publikacji 23 wspomnień o niej *Niechaj Pani blaskiem świeci*, gdzie zamieszczony był także wiersz legendarnego poety mazurskiego Michała Kajki (1858—1940) oraz szkic wspomnień córki, Bożeny Wilamowskiej. Nie zabrakło tam też wspomnień nestora olsztyńskich artystów malarzy Hieronima Skurpskiego (ur. 1915), tego samego, który dzięki prof. J. Biedrawie i pani Emilii otrzymał w Działdowie stypendium (1928) i możność studiowania sztuk pięknych „za kordonem" — w Krakowie.

Wypada tu dodać, że wieloletnie kontakty matki i ojczyma z Cieszynem i Zaolziem kontynuowali nieżyjący już Bożena Wilamowska wraz mężem Bohdanem, a obecnie ich córka, dr inż. Marzena Wilamowska-Korsak, prodziekan Wydziału Nauk Technicznych UWM i wieloletni skarbnik zarządu olsztyńskiego Koła MZC. Ciekawostką może być także fakt urodzenia się w Działdowie prof. Oskara M. Lorka — b. dziekana i wiceprezesa Koła MZC w Olsztynie, a wcześniej mgr Józefa Klajska — sekretarza Zarządu Głównego MZC w Cieszynie.

Tak więc bogate tradycje kontaktów cieszyńsko-mazurskich, rozpoczęte przez Emilię Sukertową-Biedrawinę — Legendę Mazur, nadal są kontynuowane.

A TO CIEKAWE...

Prędkość obrotu Ziemi wokół własnej osi wynosi 23 godziny, 56 minut i 4 sekundy. Tyle wynosi rzeczywista doba astronomiczna, w przeciwieństwie do doby słonecznej, równej 24 godzinom. Obwód Ziemi na równiku wynosi 40076,5 km, co oznacza, że wraz z wszystkim na powierzchni Ziemi „pędzimy" z szybkością 1670 km na godzinę. Dla ścisłości: tak jest na równiku, natomiast równoleżnik z Polską jest mniejszy i wynosi 25000 km. Tym samym Polacy wokół ziemskiej osi „latają" wolniej, z szybkością 1040 km na godzinę, co oznacza, że w ciągu minuty pokonujemy odległość równą 17,5 km. I co ciekawe, wcale tego nie odczuwamy.

* * *

Każdy z nas w ciągu życia przebywa odległość wielokrotnie dłuższą, niż ziemski równik. Codziennie mniej więcej 5 godzin jesteśmy „na nogach", poruszając się po mieszkaniu, podwórku, ulicy, w pracy, w polu. Wynosi to ok. 20 km, co w ciągu roku czyni niespełna 7300 km. Jest to mniej więcej pięćdziesiąta część odległości między Ziemią a Księżycem. Jak z tego wynika, w ciągu 50 lat życia pokonujemy drogę z Ziemi na Księżyc.

Bronisław Kohut — *Zabytkowy kościółek w Zamarskach k. Cieszyna*, linoryt.

INSPEKTOR KAROL BUZEK

WŁADYSŁAW SOSNA

14 czerwca 1936 r. Jak łatwo sprawdzić — była to niedziela, a jak potwierdzają kronikarze, była w tym dniu piękna pogoda, świeciło słonko. Ktoś, kto kocha góry, ten wie, że nie sposób wówczas siedzieć bezczynnie w domu. Po prostu — „góry wołają". Mówi się, że ten ktoś zna góry, niekiedy ponoć lepiej niż własną kieszeń. Ale jest i tak, że to góry rozpoznają człowieka, który do nich się zapuszcza i użyczają mu tego, czego nie może doznać w zgiełku ucywilizowanej codzienności, a choć oglądane dziesiątki razy, nigdy nie są takie same, ale zawsze zniewalające swoim majestatem, pięknem, niekiedy grozą. Jedynie dla „niewidomych" są tylko zwałami bezładnie rozrzuconego „skola", pozostają głuche, niegościnne, niebezpieczne, wymagające wysiłku.

Zew gór. Mimo ostrzeżeń lekarzy, Karol Buzek wybrał się tej niedzieli na wycieczkę na nadgraniczny Połom. Zapewne bywał tu niejeden raz. Tym razem nie doszedł na szczyt, nie zapukał do schroniska... Niewydolne serce odmówiło posłuszeństwa. Pozostał wśród gór... Kilka dni później spoczął na cmentarzu komunalnym w Cieszynie. Żegnały go całe zastępy tych, którzy także kochali góry, ale przede wszystkim nauczyciele, dla których był wymagającym inspektorem, zgoła „punkciczkorzem", ale także niezrównanym metodykiem i pedagogiem, który swój zawód traktował jako powołanie i odpowiedzialną służbę.

Karol Buzek.

Karol Buzek urodził się w Lesznej Dolnej, w chłopskiej rodzinie.

Uczęszczał do szkoły ludowej w Trzyńcu, potem do szkoły wydziałowej w Cieszynie, wreszcie do paralelnego Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie, które ukończył w 1901 r. Po dwóch latach praktyki w szkole ludowej w Raju, w 1903 r. zdał egzamin kwalifikacyjny, w 1905 r. został przeniesiony do szkoły ludowej w Karwinie — Granicy. Już wówczas dał się poznać jako nauczyciel o określonej postawie narodowej i zrozumieniu roli, jaką miały spełniać szkoły, wypełniane w końcu przez polską dziatwę. Liczne artykuły zamieszczane w „Miesięczniku Pedagogicznym", „Gwiazdce Cieszyńskiej", a także w „Dzienniku Cieszyńskim", mówią o tym wyraźnie. Aczkolwiek Karola Buzka nie znajdujemy w pierwszym zarządzie Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid Śląski", założonego formalnie w 1910 r., najprawdopodobniej brał udział w posiedzeniach organizacyjnych, a według świadectwa choćby tylko Andrzeja Podżorskiego, namawiał wielu polskich nauczycieli do członkostwa w PTT. Zdawał sobie bowiem sprawę, że także turystyka jest jedną z istotnych form uczenia patriotyzmu i miłości do własnej ziemi.

Z chwilą otwarcia Seminarium Nauczycielskiego w Bobrku, w 1911 r. został powołany do Szkoły Ćwiczeń przy tymże Seminarium. Rok później zdał egzamin nauczyciela wydziałowego ze specjalnością w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych. Wada wzroku — był bowiem krótkowidzem — uchroniła go od przymusowego wcielenia do wojska i zesłania na front I wojny światowej. Osiągnięcia w Szkole Ćwiczeń pozwoliły, mu w 1917 r. przejść na etat nauczyciela głównego w Seminarium; mógł wówczas dać upust swojemu zamiłowaniu, prowadząc wykłady z zakresu przyrodoznawstwa.

W 1919 r. Komisja Szkolna Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego nominowała Karola Buzka na tymczasowego inspektora szkolnego. Nominacją tą był zaskoczony, wolałby zgłębiać swoje zainteresowania, przyjął jednak nowe obowiązki i spełniał je aż do 1933 r. Był pierwszym polskim inspektorem po odzyskaniu niepodległości. Na jego barkach spoczęła organizacja polskiego szkolnictwa w całym regionie. Nie były mu obojętne wydarzenia polityczne tamtych lat, związane z przetargami o Śląsk Cieszyński; skoro sam niczego nie mógł zmienić, starał się służyć pomocą nauczycielom pochodzącym z Zaolzia. Organizował także pomoc dla dzieci i młodzieży, starał się o dożywianie, kierował je na wakacyjne kolonie. Już w 1922 r. Ministerstwo Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych potwierdziło decyzję Rady Narodowej, uznając Karola Buzka jako inspektora stałego na powiat cieszyński.

Mimo rozlicznych obowiązków, nie zaprzestał działalności w Polskim Towarzystwie Pedagogicznym, Polskim Towarzystwie Ludoznawczym, a także od 1921 r. w Oddziale Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i w Macierzy Szkolnej. Zaraz po wojnie pełnił obowiązki skarbnika w PTT, a trzeba wiedzieć, że w tym czasie Towarzystwo przystąpiło do budowy nowego schroniska na Stożku. W latach 1925 — 1929 pełnił obowiązki wiceprezesa

Oddziału PTT; wcześniej, przez kilka lat był stałym przedstawicielem oddziału w Zarządzie Głównym PTT w Krakowie. W 1923 r. został wybrany do Zarządu Głównego Macierzy, a po dwu latach powierzono mu funkcję prezesa Macierzy Szkolnej, którą pełnił aż do 1934 r. Rok 1925 r. przyniósł mu oficjalny patent do nauczania przyrodoznawstwa. Zainteresowania te potwierdził w wielu pionierskich w naszym regionie opracowaniach. Już w 1913 r. w „Miesięczniku Pedagogicznym" w odcinkach ogłosił wyczerpującą pracę *Przyczynek do geologii Księstwa Cieszyńskiego* oraz opracował pierwszą polską *Mapę geologiczną Księstwa Cieszyńskiego*. Rok później tytuł pokazał się w postaci książkowej. Gdy w 1930 r. dr Jan Galicz przystąpił do wydawania „Roczników PTT", przez szereg lat Karol Buzek zasilał je swoim cennymi artykułami. Na łamach „Roczników" możemy znaleźć następujące prace: *Powstanie Beskidów Śląskich, Ruda żelazna w Beskidach Śląskich i jej znaczenie dla kraju, Trzęsienia ziemi na Śląsku Cieszyńskim — Cieszynity, Trzon skalny Beskidów Śląskich, Okres lodowy w Beskidach Śląskich, Zioła i byliny w Beskidach Śląskich*. Były to wówczas opracowania na wskroś nowatorskie i to w dziedzinie prawie zupełnie zaniedbanej, mało znanej. W dwudziestolecie Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, walne zebranie delegatów Towarzystwa, obok innych, przyznało Karolowi Buzkowi tytuł członka honorowego.

Wielką wagę przywiązywał Karol Buzek do nauczania elementarnego. Jako wytrawny metodyk na nowo opracował i dostosował do współczesnych wymagań stary *Elementarz* Jerzego Kubisza; początkowo użytkowany tylko w powiecie cieszyńskim, później podręcznik ten był rozpowszechniany w całym województwie śląskim.

Aż nazbyt wcześnie ukryta choroba zaczęła manifestować swoją destrukcyjną działalność. Już wcześniej Karol Buzek musiał zrezygnować ze wszystkich funkcji społecznych, także z zasiadania w Wydziale Gminnym Miasta Cieszyna, z początkiem 1934 r. ostatecznie przeszedł w stan spoczynku. Nie umiał jednak wyrzec się ukochanych gór...

A TO CIEKAWE...

Według anegdoty, pająk uratował króla Prus Fryderyka II (1712–1786) od śmierci w wyniku zamachu. Przebywający w swoim poczdamskim pałacu król o zwykłej porze udał się do saloniku, by wypić czekoladę. Zauważył jednak, że do filiżanki spadł z sufitu pająk. Fryderyk zażądał nowej filiżanki z ulubionym napojem. Wtedy w pałacu rozległ się huk. Wkrótce wyszło na jaw, iż przekupiony kucharz do filiżanki z czekoladą wsypał truciznę, a przekonany, że król odkrył spisek, strzałem z pistoletu odebrał sobie życie.

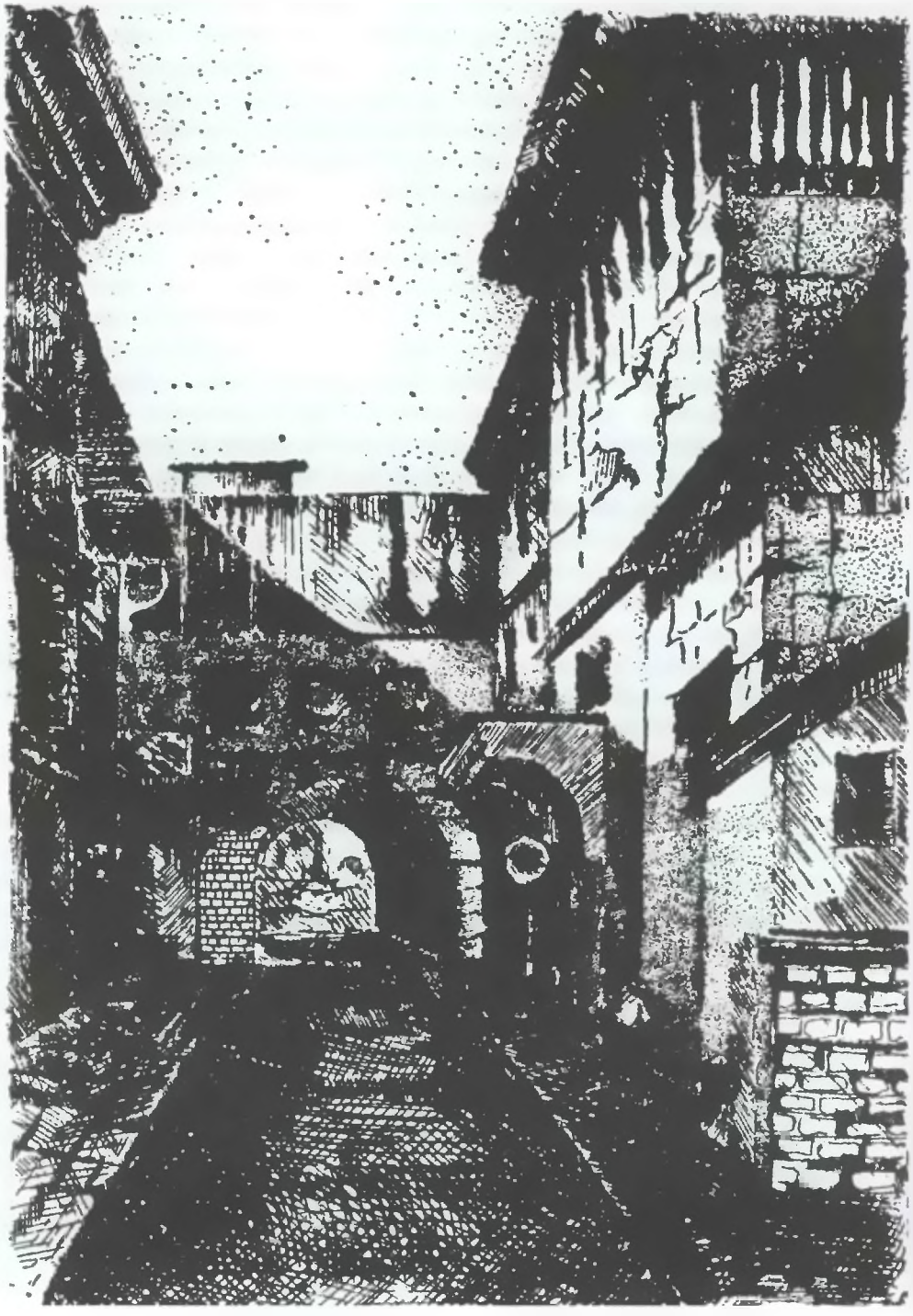

Lucyna Błońska — *Cieszyńska starówka*, akwaforta.

LEGENDA Z GÓRY CHEŁM

GRZEGORZ KASZTURA

9 września 2000 roku w swoim domu na górze Chełm w Goleszowie w 93 roku życia zmarł Franciszek Kępka senior, ostatni kierownik tamtejszej Szkoły Szybowcowej. W 2007 roku mija setna rocznica urodzin człowieka, który tak bardzo kojarzy się z najlepszym okresem rozwoju lotnictwa na ziemi cieszyńskiej.

Franciszek Kępka, syn Franciszka i Reginy z domu Sikora, przyszedł na świat 18 grudnia 1907 roku, w miejscowości Jeleń w gminie Jaworzno, w powiecie chrzanowskim, w wielodzietnej rodzinie górniczej. Będąc w szóstej klasie gimnazjum zrezygnował z dalszej nauki, aby wstąpić do korpusu kadetów. Wkrótce wrócił jednak do domu i zatrudnił się jako laborant w jaworznickich Azotach. W 1926 roku ukończył w Krakowie kurs samochodowy i został kierowcą autobusu kursującego na trasie Jaworzno—Szczakowa. Następnie pracował w Fabryce Lokomotyw w Chrzanowie jako mechanik. Po szeregu szkoleń w Wiedniu został nawet kimś w rodzaju ich „oblatywacza". Jednak jazda po ciągle tych samych torach nie przypadła mu do gustu i wrócił do zawodu kierowcy. Odtąd jeździł na długich trasach, nawet do odległej, położonej na Nowogródczyźnie Lidy (obecnie na Białorusi). Podczas jednego z wyjazdów złapał lotniczego bakcyla. Był bowiem świadkiem lądowania samolotu wojskowego, należącego do stacjonującego w Lidzie 5 Pułku Lotniczego. Pomógł pilotowi w naprawie uszkodzonego silnika i w nagrodę po raz pierwszy w życiu poleciał samolotem.

Młody Franek odtąd nie umiał sobie znaleźć miejsca na ziemi. Poczuł w sobie sportową żyłkę i został mechanikiem motocykli żużlowych, a następnie czynnym zawodnikiem. W 1933 roku, w barwach Unii Sosnowiec, zdobył tytuł mistrza Polski. W tej dziedzinie był także wicemistrzem Europy. Jednak jego prawdziwą pasją okazało się lotnictwo, które w latach 30. ubiegłego wieku przeżywało w Polsce burzliwy rozwój. F. Kępka rozpoczął swoją życiową przygodę z szybownictwem. Kolejne stopnie wyszkolenia zdobył w Libiążu i Tęgoborzu. Najwyższą kategorię „D" pilota szybowcowego oraz tytuł instruktora szybowcowego uzyskał w bieszczadzkiej Ustia-

Franciszek Kępka — senior (z prawej), as polskich myśliwców PSP-RAF, Tadeusz Góra oraz Franciszek Kępka — junior, na lotnisku Aeroklubu w Aleksandrowicach.

nowej. Tam spotkał się ze swoim bratem Wiktorem, późniejszym pilotem 2 Pułku Lotniczego w Krakowie i polskich dywizjonów myśliwskich w Wielkiej Brytanii. W Bieszczadach, będących centrum polskiego szybownictwa, przez kolejne dwa lata szkolił lotniczą młodzież.

W maju 1939 roku przybył na górę Chełm do Goleszowa, aby objąć obowiązki zastępcy kierownika Szkoły Szybowcowej Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, którym był wówczas Mieczysław Lewandowski. 21 maja na szybowcu „Komar" wykonał przelot z Goleszowa do rodzinnego Jaworzna, pokonując trasę ponad 60 km. Zastępcą kierownika szkoły był do lipca 1939 roku, kiedy to został kierownikiem szkoły szybowcowej w Libiążu Małym. Tam zastał go wybuch wojny. Po ewakuacji szkoły wrócił do sąsiadującego z Chełmem Godziszowa, skąd pochodziła jego żona. W 1940 roku przyszedł na świat pierwszy syn, Franciszek Kępka junior, późniejszy czterokrotny brązowy medalista mistrzostw świata, rekordzista świata i trzykrotny mistrz Polski w szybownictwie, uhonorowany w 1992 roku Medalem Lilienthala.

W czasie okupacji senior Kępka trafił na pewien czas do niemieckiego więzienia. Po wyjściu na wolność znalazł zatrudnienie w Bielsku, w warsztatach parowozowych. W tym czasie na górze Chełm, także w okresie zimowym, Niemcy prowadzili intensywne szkolenie lotniczego narybku dla Luftwaffe w ramach Narodowosocjalistycznego Korpusu Lotniczego (NSFK).

Mieszkający w pobliżu szybowiska Kępka z zazdrością obserwował poczynania Niemców, zaś wiosną 1945 roku był świadkiem przygotowań do obrony przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Mając dobre rozeznanie w położeniu niemieckich umocnień w rejonie góry Chełm, skontaktował się z radzieckim dowództwem, przez co pomógł w ich zlikwidowaniu.

9 maja 1945 roku rozpoczął się najbardziej pracowity okres w jego życiu. Po sześciu latach przymusowej przerwy wrócił do latania i szkolenia młodzieży. W tym czasie pierwszoplanowym zadaniem było ponowne uruchomienie szkoły szybowcowej, do czego senior Kępka zabrał się z wielkim zapałem już od pierwszych dni wolności. Jako tymczasowy kierownik szkoły zabezpieczył jej majątek i zorganizował warunki do rozpoczęcia szkolenia. Pierwszy przystąpił do lotów na przedwojennym polskim szybowcu „Salamandra", który cudem przetrwał wojnę, przechowywany w ukryciu u gospodarzy w Godziszowie.

Pod koniec 1945 roku goleszowska szkoła posiadała już 6 szkolnych szybowców i 3 treningowe. Ośrodek Szkolny Szybownictwa Goleszów rozpoczął oficjalnie działalność w styczniu 1946 roku. Jego kierownikiem został oczywiście instruktor F. Kępka. W tym roku, z wykorzystaniem silnika z amerykańskiego samochodu marki buick, wykonał wyciągarkę do holowania szybowców przy pomocy liny, która umożliwiła intensyfikację szkolenia. Mimo licznych obowiązków administracyjnych angażował się także w pro-

Szybowisko na Chełmie w latach swojej świetności, widziane z lotu ptaka. Zdjęcia ze zbiorów Tadeusza Kopoczka.

wadzenie instruktażu. Wśród uczniów popularne było na przykład jego przykazanie: *Nie ściągaj drążka do pępka — mówi kierownik Kępka.*

W 1948 roku szkoła na Chełmie przeszła pod kuratelę Powszechnej Organizacji Służba Polsce, a później Ligi Lotniczej. Rok 1950 był niestety ostatnim rokiem działalności tej wielce zasłużonej dla polskiego lotnictwa placówki. Na wysokich szczeblach władzy zapadła decyzja o przeniesieniu szkolenia szybowcowego z gór na niziny. Szacuje się, że w latach 1946—1950 lotnicze „ostrogi" w prowadzonej przez F. Kępkę szkole zdobyło ponad 1300 adeptów latania. Był wśród nich Kępka junior, który pierwsze kroki w powietrzu stawiał pod okiem swojego ojca. Pierwszy samodzielny lot późniejszy laureat Medalu Lilienthala wykonał nad Chełmem już w wieku 10 lat, co oczywiście było sprzeczne z przepisami i odbywało się w tajemnicy oraz na wyłączną odpowiedzialność ojca.

Po likwidacji szkoły Kępka senior został pracownikiem Aeroklubu Bielsko-Bialskiego. Do przejścia na emeryturę w 1973 roku był tam instruktorem, mechanikiem lotniczym i kierownikiem grupy osprzętu lotniczego. Latał na samolotach i szybowcach różnych typów. W 1967 roku przeżył na Chełmie poważny wypadek lotniczy.

W listopadzie 1988 roku na terenie byłej szkoły szybowcowej na Chełmie odbyła się uroczystość z okazji 70 rocznicy odzyskania niepodległości. Zapowiedzią powrotu do przedwojennej tradycji tego miejsca było ponowne wmurowanie w ścianę budynku szkoły marmurowej tablicy z napisem: *Szkoła Szybowcowa wybudowana staraniem i kosztem LOPP.* Tablica z białego marmuru została w okresie powojennym celowo uszkodzona i zrzucona z budynku. Jej odnowienie było zasługą społecznego opiekuna zabytków, Tadeusza Wojtonia, który odnalazł tablicę z pomocą F. Kępki. Podczas listopadowej uroczystości senior Kępka odsłonił odnowioną tablicę.

Ostatni kierownik szkoły na Chełmie do końca życia mieszkał w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Wielokrotnie wyrażał żal z powodu nagłego zamknięcia szkoły i zaprzepaszczenia wspaniałego dorobku. Jego pogrzeb odbył się 14 września 2000 roku na cmentarzu ewangelickim w Godziszowie, gdzie spoczął obok swojej żony. W imieniu Zarządu Głównego Aeroklubu Polskiego, Aeroklubu Bielsko-Bialskiego i Bielskiego Klubu Seniorów Lotnictwa pożegnał go ppłk w st. spocz. Stanisław Fedyszyn. Powiedział o Zmarłym między innymi: *Franciszek Kępka był szeroko znany w lotniczym świecie jako instruktor, wychowawca lotniczej młodzieży. Łączył talenty pilota i technika lotniczego. Był inicjatorem wielu rozwiązań technicznych, które z powodzeniem stosował podczas szkolenia na Chełmie i później, kiedy pracował na lotnisku w Aleksandrowicach. Jednak najbardziej zasłużył się dla polskich skrzydeł, kiedy tuż po wojnie reanimował słynną Szkołę Szybowcową na górze Chełm.*

CIOCIA ZUZKA Z WILCZEGO

TERESA WASZUT

Życie i działalność Zuzanny Gembołyś (5 lutego ub.r. minęła 5. rocznica jej śmierci) godne jest książkowego tematu. Dokonaniami pedagogicznymi, bezinteresowną służbą pokoleniom istebniańskim, przykładem miłości do małej ojczyzny, dokumentowanej czynami — w pełni zasługuje na tak wzniosły gest pamięci.

Na kartach magisterskiej pracy *Zuzanna Gembołyś — animatorka i propagatorka tradycyjnego folkloru słownego i muzycznego*, Ciocię uwieczniła jej wnuczka Justyna Polok. Dla mnie — a myślę, że nie jestem osamotniona — pozostanie wzorem autentycznego zaangażowania na rzecz wzbogacania kultury regionu, pielęgnowania wartości, które mają wymiar ponadczasowy.

Zuzanna Łupieżowiec świat ujrzała 14 lipca 1914 roku, w oddalonym od centrum Istebnej przysiółku Wilcze. Urodziła się w biednej rodzinie, jako najmłodsza z sześciorga rodzeństwa. Ojca pochłonęła I wojna światowa, kiedy Zuzanna liczyła zaledwie 18 dni. Wychowanie i wykształcenie (ukończyła średnią szkołę handlową w Cieszynie) zawdzięczała matce i chociaż jej wielkim marzeniem był zawód nauczycielki, nie powiodły się starania o przyjęcie do seminarium. Obdarzoną scenicznym talentem, często w Cieszynie angażowano do amatorskich przedstawień, a w roku 1936 po raz pierwszy wystąpiała na Święcie Gór w Wiśle, gdzie, do wybuchu II wojny światowej, pracowała na poczcie.

Po powrocie z obowiązkowej ewakuacji (październik 1939 roku), dzięki znajomości niemieckiego zatrudniona została w pocztowej centrali telefonicznej w Istebnej. Codziennie — w letnie skwary, jesienne słoty, czy śnieżne zadymki — przemierzała 5-kilometrowy szlak do pracy i powrotny do domu. Ignorując zakazy okupanta, wysyłała żywnościowe paczki uwięzionym góralom, a nierzadko ostrzegała przed pułapkami i aresztowaniami. Pisała istebnianom prośby, tłumaczyła niemieckie urzędowe pisma, pomagała wypełniać pocztowe druki. Gestapo brutalnie przerwało jej działalność, jednak przed zesłaniem do obozu koncentracyjnego Ciocię uratowała godna pochwały postawa ówczesnego kierownika poczty.

Zuzanna Łupieżowiec i Walerian Gembołyś 22 sierpnia 1948 roku zawarli związek małżeński. Na pamiątkowym zdjęciu z przodu od lewej: małe drużki (piórka) Maria Legerska i Teresa Waliczek. W rzędzie II: Maria Waliczek i Antoni Byrtus — drużbowie, młoda para oraz Anna Waliczek i Paweł Kawulok — drużbowie.

Na istebniańskiej poczcie Zuzanna Łupieżowiec (w charakterze naczelnika) pracowała do roku 1949. Rok wcześniej poślubiła nauczyciela oraz instruktora harcerskiego z Libiąża — Waleriana Gembołysia.

Nie zapomnę jej wesela z druhnami, drużbami, starostami, rodzinami z obu stron, licznymi i zacnymi gośćmi odzianymi w odświętne stroje ludowe, a nade wszystko z uświęconymi istebniańską tradycją weselnymi obrzędami. Będąc małą drużką — „piórkiem", z zapartym tchem chłonęłam wszystko, a już tańce, w których popisywały się moje starsze siostry, długo wirowały mi w pamięci.

Ciocia Zuzka — będąc już żoną i matką — zdecydowała się na naukę w studium nauczycielskim, które ukończyła w 1954 roku. Dopiero teraz spełniły się jej marzenia: uczyła w Szkole Podstawowej na Wilczem, która dzieciom z odległych przysiółków skracała drogę po naukę. W zawodzie nauczycielskim przepracowała 18 lat, a ten czas oceniła jako najpiękniejszy w jej życiu. Wszak dzieci kochała i była im oddana bez reszty. Przekazywała im nie tylko wiedzę, wpajała miłość i szacunek dla innych, potrzebę zwalczania własnych słabości, a nade wszystko umacniania wytrwałości w osiąganiu ambitnych celów.

Układała scenariusze przedstawień, urządzała festyny i bale, dzięki którym zdobywano środki na krajoznawcze wycieczki, uczyła krzyżykowego

Pamiątka z wesela Marii Łupieżowiec (siostra mojej mamy) z Franciszkiem Legierskim. W środku za muzykantami — babcia Anna Łupieżowiec, po jej lewej stronie ciocia Zuzanna (druhna) ze starszym bratem Józefem. Koniaków, rok 1934.

haftu, szycia regionalnych strojów, starych pieśni i tańców, przybliżała twórczość miejscowych poetów.

45 lat prowadziła — założony przez siebie — dziecięcy zespół regionalny „Młoda Góra", własnym staraniem wyposażając go w stroje ludowe. W występach znajdowały odbicie zwyczajowe obrzędy, tradycje polskich świąt, sceny z życia przodków, wątki znanych legend oraz ojczystych dziejów. „Młoda Góra" oklaskiwana była w Jabłonkowie, na dorocznych Tygodniach Kultury Beskidzkiej w Wiśle oraz w wielu miastach Polski, z Warszawą i Katowicami na czele.

Mógłby ktoś pomyśleć, że po osiągnięciu emerytalnego wieku Ciocia spoczęła na laurach. Nic bardziej błędnego!

Członków zespołu zapraszała do siebie, chętnych przygotowywała do gwarowych konkursów, urządzała jubileuszowe obchody szkoły na Wilczem.

Ostatni w swym życiu program artystyczny przygotowała dla zobrazowania i przypomnienia zasług szkoły na Młodej Górze i Wilczem oraz dokonań dziecięcego zespołu regionalnego. Niestety, złożona chorobą, występów już nie obejrzała.

Nie mogę pojąć, skąd Ciocia czerpała siły, by nieprzerwanie 60 lat służyć kulturze. A warto przypomnieć, że na próby Zespołu Regionalnego „Istebna" udawała się piechotą i tylko przy niesprzyjającej pogodzie, bądź zimową porą, nocowała u swej przyjaciółki Anny Halamowej. Wiem na pewno, że sił dodawała jej wiara w Boga oraz zaufanie do ludzi, zarówno tych najmłodszych, jak i wiekowo dojrzałych.

W czerwcu 1946 roku otwarto szkołę podstawową na Młodej Górze. Uroczystość tańcami i śpiewem uświetniły miejscowe panny. Pierwsza z lewej Zuzanna Łupieżowiec.

Zuzanna Gembołyś (w środku) z Anielą Marszałek (po lewej) i Teresą Waliczek, w 50-lecie pracy twórczej Jana Wałacha. Istebna Andziołówka, rok 1961. Zdjęcia ze zbiorów rodzinnych Teresy Waszut.

Zuzanna Gembołyś przed występem na Tygodniu Kultury Beskidzkiej w Wiśle, rok 1964. Fot. Tadeusz Kopoczek.

Obdarzona niezwykłą mocą oddziaływania, Ciocia spowodowała, że członkowie jej rodziny, krewni i przyjaciele należeli do zespołu „Istebna". Entuzjastycznie wspierała miejscowy Klub Literacki, kierowany przez Karola Szmeka.

Kiedy w roku 1956 zdałam maturę w cieszyńskim Liceum Pedagogicznym, Ciocia swymi cennymi radami wprowadzała mnie do służby w oświacie. Przykazywała mi, bym uczniów wyzwalała z nieśmiałości, sprzyjała odkrywaniu ich uzdolnień, ułatwiała naukę dzieciom z biedniejszych rodzin, trudniej przyswajających sobie programowe wymogi.

Różnymi sposobami, a przyznać trzeba, że skutecznie, inspirowała mnie do czynnego udziału w imprezach, uroczystościach oraz świętach obchodzonych w jej rodzinnej wsi. Do tego stopnia, że kiedy zamieszkałam w Cisownicy, na próby i występy dojeżdżałam do Istebnej.

Cioci Zuzannie w znaczącym stopniu zawdzięczamy przywiązanie do rodzinnej wsi, znajomość jej dziejów oraz ludzi, wpisanych na chlubne karty historii. Jej wspomnienia, drukowane w „Naszej Trójwsi", przybliżyły nam wiedzę o znanych istebniańskich rodach oraz ich niezwykłych umiejętnościach. Można się także z nimi zapoznawać (pokolenia Łupieżowców, Sikorów, Łacków, Gembołysiów) w „Izbie pamięci przodków", urządzonej w drewnianym domu na Wilczem, który nie bez trudu i o własnych siłach Ciocia wraz z mężem zbudowali przed laty.

Dziś agroturystyczne gospodarstwo, prowadzone przez jej córkę Bernadetę i Antoniego Łacków (emerytowani nauczyciele cieszyńskich średnich szkół zawodowych), szeroko otwiera drzwi gościnnego domu, mocnego duchem swojej mamy i teściowej.

Na koniec jeszcze jedna refleksja. Zawsze byłam pod przemożnym wrażeniem niespożytej pomysłowości mojej Cioci, a nade wszystko niespotykanej na co dzień jej skromności i bezinteresowności.

Zuzanna Gembołyś (de domo Łupieżowiec), zmarła 5 lutego 2001 roku w Cieszynie, pochowana została na cmentarzu w Istebnej.

A TO CIEKAWE...

Na przełomie wieków XIX i XX, kiedy pojawiły się automobile spalinowe, zaczęto je chwalić jako środek transportu — w przeciwieństwie do pojazdu konnego — bezpieczny, cichy, a przede wszystkim czysty i nietrujący. Obliczono bowiem, że w Nowym Jorku na ulicach codziennie gromadziło się ponad 2,5 miliona funtów (ok. 1200 ton) końskiego nawozu i 272 tys. litrów uryny końskiej. Jak na owe czasy — była to prawdziwa bomba ekologiczna.

* * *

Nazwa syjamskie bliźnięta wywodzi się od braci Changa i Enga Bunkers, urodzonych w roku 1811 w Tajlandii — ówczesnym Syjamie. Bracia zrośnięci byli przymostkowymi chrząstkami żeber. W 1843 roku poślubili siostry Sarę i Adelajdę Yates. Chang miał 10 dzieci z Sarą, Eng 12 z Adelajdą. Zmarli w styczniu 1874 roku, w odstępie 3 tygodni.

Pierwszą udaną operację rozdzielenia bliźniąt syjamskich przeprowadzono w 1955 roku, również w Tajlandii. Były to dwie siostrzyczki.

TYTAN SPOD ZNAKU PCK

TADEUSZ KOPOCZEK

Był człowiekiem, o którym bez przesady, zawsze jednak z uznaniem, mówiono: fanatyk czerwonokrzyskiej idei. Gdyby przed laty mieszkańcom Cieszyna i regionu zadano testowe pytanie: kto kojarzy się z Polskim Czerwonym Krzyżem — daję głowę, że bez większego namysłu padłoby nazwisko Antoniego Więzika.

I nie mogłoby być inaczej. Wszak to on jednocześnie był organizatorem oraz prowadzącym kursy pierwszej pomocy medycznej dla sióstr pogotowia, to on z wielce społecznie przydatną wiedzą docierał do uczniów szkół podstawowych i średnich, zakładał drużyny sanitarne, tworzył kręgi wiejskich przodownic zdrowia we wszystkich miejscowościach cieszyńskiego powiatu.

Nade wszystko jednak inspirował masowe akcje honorowego krwiodawstwa. Kto dziś zada sobie trud i policzy, ilu mieszkańców naszego regionu (a zapewne nie tylko) bezcennej krwi zawdzięcza uratowanie życia czy przywrócenie zdrowia?

Polski Czerwony Krzyż doceniał wieloletnią ofiarną służbę Antoniego Więzika, pełnioną z poczucia głębokiej troski o dobro bliźnich. Uhonorowany został wszystkimi czterema stopniami organizacyjnych odznaczeń. Ale nie tylko: krajowe władze PCK zadbały o to, by pierś niestrudzonego działacza udekorowana została Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Antoni Więzik.

Wryła mi się w pamięć jego zawsze pogodna twarz oraz charak-

terystyczny, tchnący życzliwością tembr głosu. Skutecznie przekonywał nim do czerwonokrzyskiej idei, dla wielkiej humanitarnej sprawy porywając największych nawet sceptyków. Dla jego racji i pomysłów nie można było pozostać obojętnym i nie przelać ich na papier, a w konsekwencji nie zamieścić w gazecie. Nieraz miałem okazję tego doświadczyć.

Antoni Więzik urodził się w Szczyrku (28 stycznia 1917 r.). Od chłopięcych lat swą przyszłość widział za sklepowym kontuarem. Ukończył bielską szkołę handlową, trzy lata w mieście włókniarzy terminował w renomowanym sklepie, a kiedy zgłębił wszelkie arkana zawodu — bielskie gremium kupców orzekło, iż dobrze rokuje, by stać się wzorowym subiektem. Wkrótce po tym założył „ciasny", ale własny interesik w Bystrej.

Nie prowadził go długo. W roku 1939 przeniósł się do Cieszyna, gdzie przy ul. Polnej stanął za ladą wymarzonego własnego sklepu kolonialnego. Niestety, hitlerowski najazd na Polskę brutalne przerwał dobrze zapowiadającą się przyszłość. Mało! Zamknął handlowy rozdział jego życiorysu.

Na nic zdały się uniki przed przyjęciem volkslisty. Ugiąć się jednak musiał wobec „niepodważalnych argumentów" gestapo, co w konsekwencji przyszło mu opłacić rychłym wcieleniem do Wehrmachtu (rok 1943). Los okazał mu swą łaskawość: znalazł się w jednostce skierowanej do Francji, co umożliwiło mu ucieczkę do Anglii (doznał wtedy postrzałowej rany w bark).

Został żołnierzem 1 Dywizji Pancernej (dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka), uczestniczył w historycznym desancie aliantów — „Overlord", brał udział w zdobywaniu Bredy, nad Mozą został ciężko ranny w lewe podudzie (groziła mu amputacja). Niezwłoczna interwencja w lazarecie polowym, a następnie kuracja w szpitalu Królewskiej Marynarki Wojennej — uratowały go przed niechybnym kalectwem.

I chociaż długi jeszcze czas poruszać się musiał o lasce, zrezygnował ze skierowania na rekonwalescencję w Szkocji, bowiem niepewność o losy dwojga dzieci, a zwłaszcza chorej żony, ciągnęły go do domu. Z brytyjskimi odznaczeniami na battle dresie: „Gwiazdą Francja-Niemcy", „Medalem wojennym 1939-45" oraz polską honorową odznaką za odniesione rany — najbliższym transportem wrócił do kraju. Tu jednak nie uznano jego inwalidztwa, a na dodatek często meldować się musiał w „bezpiece".

I chociaż nie bez trudów znalazł pracę inkasenta w cieszyńskiej elektrowni, zdarzenie to odmieniło jego życie. W trakcie 2-miesięcznego kursu sanitarnego w Warszawie (na który skierowany został przez pracodawcę) uświadomił sobie, iż działalność na niwie Polskiego Czerwonego Krzyża powinna stać się jego życiowym przeznaczeniem. Rozpoczynał jako instruktor, a po niedługim czasie objął funkcję kierownika Powiatowego Oddziału PCK. Od roku 1957 we wszystkich działaniach sekundowała mu Anna Wałach, po upływie kilku lat jego druga żona.

W latach emerytury razem oddali się turystyce, przemierzając wszystkie beskidzkie szlaki. Zaliczyli także zagraniczne podróże, ale największe

wrażenia, wręcz fascynację, wywieźli z Indii, Mekki filozofii Wschodu. To dzięki nim powstało w Cieszynie — jako dziewiąte w kraju — koło Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej, któremu oboje przewodzili 15 lat.

Antoni Więzik — by dopełnić jego wizerunku — zaczytywał się w dziełach klasyków filozofii, był miłośnikiem poezji, a nade wszystko wielkim przyjacielem zwierząt. Z dumą powiadał, iż urodził się pod znakiem „chińskiego smoka", a szczególnym podziwem darzył koty. Jak mawiał — za to, że zawsze umiejętnie spadają na cztery łapy...

Ojciec Henryka, Ireny oraz Stanisława, odszedł nagle 16 października 2005 roku. Zgodnie z ostatnią wolą, urna z jego prochami złożona została w grobie rodziców żony Anny, na cmentarzu ewangelickim w Hażlachu.

Anteny tygodnia

W latach sześćdziesiątych (i na początku siedemdziesiątych) niepodzielną władzę w Cieszynie i powiecie sprawował, codziennie z Bielska przywożony i odwożony, Antek „Trzeba pomóż" (ksywa wzięła się z jego niegramatycznego, za to dość często powtarzanego zwrotu). Za jego „rządów" tubylcy rugowani byli z zajmowanych stanowisk, na rzecz jego bielskich kumpli. W Cieszynie „nie znaleziono" właściwego kandydata nawet na stanowisko kierownika sklepu z... wyskokowymi trunkami! Podawano sobie wtedy z ust do ust charakterystyczny dwuwiersz:

„Po Cieszynie grzmi i HUCZY,
a w powiecie echem włóczy..."

W owym czasie w karnawale urządzano „bale aktywu" z gwoździem programu, jakim były loterie fantowe (nagrody „fundowały" fabryki z miasta i powiatu). Najważniejszym elementem imprezy... był stół prezydialny, za którym zasiadał satrapa z dobranym przez siebie towarzystwem. By zaś nikt nie zarzucił, że stroni od robotników, za honorowym stołem znalazło się także dwóch, trzech przodowników pracy.

Loteria poszła w ruch. „Najważniejszy" nabył kilka losów (osobiście!) i rozwinął pierwszy: długopis, natomiast sąsiad w „prezydium"... stół kuchenny. Na drugi los wygrał wiązkę zamków błyskawicznych w momencie, gdy z sali doleciał uradowany głos:

— Wygrałem sarnę!...

Kiedy trzeci los despotycznemu Antkowi przyniósł bloczek do odręcznych notatek, a jakiś balowicz oznajmił, że wygrał komplet sztućców — bielszczanin wstał, i z wyrazem twarzy świadczącym o stanie najwyższego oburzenia — opuścił imprezę...

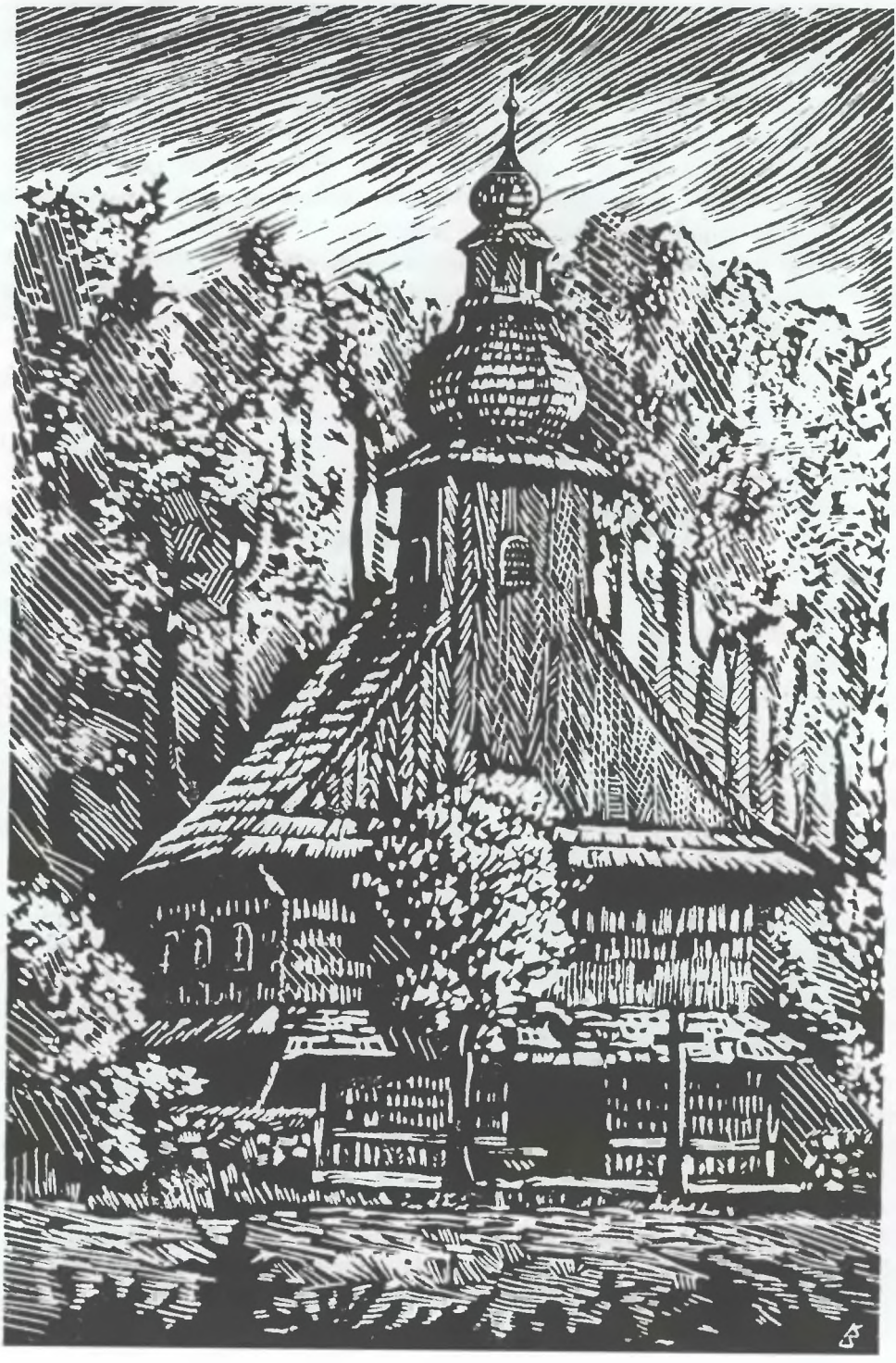

Bronisław Kohut — *Kościółek w Nierodzimiu*, linoryt.

USTROŃSKI PASJONAT FILATELISTYKI

LIDIA SZKARADNIK

Filatelistyka, jakże modne hobby w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zarówno wśród młodzieży, jak również dorosłych, w dobie ekspansji komputerów stało się pasją raczej zapomnianą i niedocenianą. A jednak znalazł się w Ustroniu człowiek, który ukochał znaczki i przez kilkanaście lat działał wytrwale w dziedzinie ich popularyzacji.

Stanisław Głowacki nie był rodowitym mieszkańcem Ustronia, lecz pokochał go i starał się lansować jego historię i teraźniejszość przede wszystkim przez filatelistykę. Włączał się również w wiele inicjatyw społecznych, toteż warto przypomnieć dokonania tej znanej w miejscowym środowisku postaci, zwłaszcza, że w 2007 r. przypada 10. rocznica jego śmierci.

Urodził się 26 września 1927 r. w Kutnie. Rozpoczął swoją działalność zawodową od pracy na kolei, co było tradycją rodzinną. Od 1947 r. do 1956 r. pełnił wojskową służbę zawodową w Wojskach Ochrony Pogranicza, gdzie osiągnął stopień starszego sierżanta sztabowego. W 1951 r. założył rodzinę i osiadł na stałe w Ustroniu. W 1956 r. powrócił do pracy w kolejnictwie, początkowo jako kierownik pociągu, a następnie jako dyżurny ruchu stacji w Ustroniu. W 1977 r., z uwagi na zły stan zdrowia, przeszedł na rentę.

Stanisław Głowacki uwieczniony w 10-lecie koła PZF w Ustroniu (15 czerwca 1993 r.).

Jeszcze pracując zawodowo zaczął włączać się w organizację wielu przedsięwzięć społecznych na rzecz miasta, jak m.in. budowa amfiteatru i stacji PKP Ustroń-Zdrój. Przez wiele lat działał w Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem", a w 1983 r. został prezesem Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej w Ustroniu i pełnił tę funkcję do 1997 r.

Omówienie jego długoletniej i aktywnej działalności filatelistycznej jest możliwe dzięki przekazaniu do Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa dwóch tomów kronik z pracy ustrońskiego koła. Zostało ono założone 21 listopada 1983 r. z inicjatywy Stanisława Głowackiego, którego wybrano przewodniczącym. Koło zarejestrowano pod numerem 60. Początkowo liczyło ono 23 osoby, a zebrania odbywały się w Szkole Podstawowej nr 1. Głowacki był również opiekunem koła młodzieżowego działającego przy tej szkole, liczącego 30 członków. Od początku istnienia koło postawiło sobie ambitne zadania. Zebrania organizowano regularnie, a na nich urządzano pogadanki na temat przygotowania zbiorów filatelistycznych do wystaw. Już w marcu następnego roku postanowiono, że będzie ono uczestniczyć we współzawodnictwie o najlepsze koło okręgu. W międzyczasie przeprowadzono zbiórkę pieniędzy na pomnik Matki Polki i zwrócono się z apelem do innych kół o podjęcie uchwał w tej sprawie. W następnych latach włączano się wielokrotnie do podobnych inicjatyw. Prasa lokalna coraz częściej zamieszczała notatki na temat działalności ustrońskiego koła. Pod koniec listopada 1984 r. otrzymało ono pierwsze miejsce grupy III we współzawodnictwie okręgu, co powtarzało się wielokrotnie w latach następnych.

W lipcu 1985 r. koło zorganizowało w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu (wówczas w organizacji) wystawę towarzyszącą X Konkursowi Piosenki Czeskiej i Słowackiej zatytułowaną „Folklor 85". Wydano komplet kopert okolicznościowych. W roku następnym wystawę zorganizowano ponownie w tej instytucji, a w kolejnych latach ekspozycje urządzano w Zespole Szkół Technicznych. Ostatnia edycja tej cyklicznej imprezy odbyła się w 1989 r., a pokaz znaczków miał miejsce znowu w Muzeum. Każdej z tych wystaw towarzyszyły koperty i pieczęcie okolicznościowe oraz katalog, co stanowiło wielki wysiłek organizacyjny i finansowy. Do tradycji należało, że członkowie koła pełnili dyżury podczas prezentowania ekspozycji. We wszystkich tych zadaniach głównym inicjatorem i organizatorem był zawsze Stanisław Głowacki, który niemal codziennie sporo godzin poświęcał przygotowaniu wystaw i wszelkim zadaniom z tym związanym. W 1986 r. koło liczyło 44 członków i opiekowało się już trzema kołami młodzieżowymi. W rok później urządzono wystawę filatelistyczną na temat oświaty, z okazji 200-lecia Szkoły Podstawowej nr 2. Koło przez wiele lat kontynuowało tradycje, aby z okazji świąt państwowych, rocznic państwowych i regionalnych, Dnia Kobiet, Dnia Dziecka itp. organizować pokazy znaczków na dany temat oraz prelekcje. Corocznie urządzano też Dzień Znaczka i Poczty Polskiej. W 1988 r. po raz kolejny koło miało wystawę w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa. Jej tematem było 100-lecie kolejnictwa w Ustroniu.

Wernisaż Wystawy filatelistycznej w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa. Stanisław Głowacki w środku.

W lutym 1990 r. staraniem przewodniczącego koło uzyskało własny lokal w Spółdzielni Mieszkaniowej „Zacisze". W tym samym roku, jesienią, w Muzeum urządzono wystawę z okazji 70-lecia miejscowej Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem". W następnym roku w siedzibie koła otwarto Klub Filatelistów. Rozpoczęto też organizowanie wśród młodzieży konkursów wiedzy filatelistycznej. Coraz częściej członkowie koła brali udział w wystawach okręgowych, a nawet ogólnopolskich.

Na początku 1993 r. koło zorganizowało uroczystość z okazji swego 10-lecia i 100-lecia filatelistyki. W tym roku po raz kolejny przewodniczącym wybrano Stanisława Głowackiego, który pełnił tę funkcję również przez następną kadencję, aż do śmierci w 1997 r. W czerwcu 1993 r. przygotowano wystawę w ustrońskim Muzeum, której tradycyjnie towarzyszył stempel okolicznościowy, koperty z nadrukiem oraz katalog. W rok później zorganizowano w tym samym miejscu wystawę zatytułowaną „Z biegiem Wisły". Latem 1995 r. w muzealnej sali pokazano miejscowe zbiory z okazji 150-lecia polskiego kolejnictwa oraz 10-lecia przystanku PKP Ustroń — Zdrój. W tym samym roku Śląski Szpital Reumatologiczny w Ustroniu obchodził 20-lecie działalności i była to znów okazja do prezentacji zbiorów filatelistycznych. Natomiast na przełomie 1996 i 1997 r. filatelistyka została zaprezentowana w Muzeum jako jeden z punktów programu obchodów 40-lecia nadania Ustroniowi praw miejskich.

Instytucją, w której koło zorganizowało najwięcej wystaw, było Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa. Tam też w listopadzie 1997 r. urządzono ostatnią ekspozycję zorganizowaną przez koło, na temat 550-lecia parafii rzymskokatolickiej św. Klemensa w Ustroniu. Na kilka dni przez jej uruchomieniem, w dniu 28 października, zmarł nagłe animator ruchu filatelistycz-

nego w Ustroniu, Stanisław Głowacki. Wystawę zorganizowali członkowie zarządu: Zdzisław Jonszta z Elżbietą Kwoczyńską. Po śmierci przewodniczącego w kole ujawniły się narastające problemy. Liczba czynnych filatelistów już od początku lat dziewięćdziesiątych stopniowo malała. Metody pracy przewodniczącego nie były przez wszystkich akceptowane, lecz dzięki jego wyjątkowej aktywności i zaangażowaniu praca koła była stale widoczna. Po jego śmierci, mimo prób wyboru nowego zarządu, ze względu na brak zainteresowanych, w lutym 1999 r. koło rozwiązano. W ten sposób zamknął się kilkunastoletni okres czynnej działalności ustrońskiego koła nr 60 Polskiego Związku Filatelistów.

Nie umniejszając zasług pozostałych filatelistów, trzeba stwierdzić, że niewątpliwym motorem działania był Stanisław Głowacki. Starał się on o to, aby każda zorganizowana przez koło wystawa miała uroczyste otwarcie i zakończenie z udziałem władz miejskich i okręgowych Polskiego Związku Filatelistycznego. Członkowie ustrońskiego koła nr 60 byli wielokrotnie odznaczani i otrzymywali dyplomy za uczestnictwo w wystawach. W latach dziewięćdziesiątych relacje z działalności ukazywały się systematycznie w „Gazecie Ustrońskiej" i innych periodykach regionalnych.

Stanisław Głowacki był człowiekiem bardzo aktywnym, który poświęcił wiele czasu i energii dla rozwoju filatelistyki w Ustroniu, a poprzez tę dziedzinę przyczynił się do popularyzacji miasta daleko poza jego granicami. Wydawane dzięki jego zabiegom przez wiele lat walory filatelistyczne oraz katalogi docierały do zainteresowanych w całej Polsce i pozostaną jako dowód pełnej inwencji działalności ustrońskich filatelistów u schyłku XX wieku. W 2007 r. mija dziesięć lat od śmierci tego wartościowego człowieka, którego dokonania w skrócie opisano, aby ocalić je od zapomnienia.

WIKTOR BUCZEK, NAUCZYCIEL I NACZELNIK WISŁY

MICHAŁ KAWULOK

Wiktor Buczek urodził się 10 VI 1932 roku w Ustroniu. Jak wspomina, z domu wyniósł twarde wychowanie. Z dużą dyscypliną zetknął się też w objętej planem germanizacji szkole podstawowej w Ustroniu, do której przyszło mu uczęszczać w czasie II wojny światowej. Specjalnie zmuszano wówczas dzieci i młodzież do przynależności do Hitlerjugend, od czego W. Buczek, jak i jego koledzy szkolni, skutecznie się wykręcali.

Surowe wychowanie spowodowało jednak, że W. Buczek bez problemu dostał się do bardzo dobrego Liceum Pedagogicznego w Cieszynie, w którym uczył się cztery lata. Nauka w liceum była prowadzona na bardzo wysokim poziomie. Po ukończeniu czterech klas każdy uczeń obowiązkowo musiał umieć grać na jakimś instrumencie, stosować praktyczne umiejętności z zakresu prac ręcznych: szycie, gotowanie, robienie na drutach, oprawa książek, drobne prace blacharskie itp. Absolwenci mieli też doświadczenia aktorskie w prowadzonych przez polonistów kółkach teatralnych. Oprócz tego uczniowie odbywali różne dodatkowe szkolenia. Praktykę pedagogiczną W. Buczek odbył już w trzeciej i czwartej klasie wspomnianego liceum. Praktyka odbywała się w szkołach podstawowych powiatu cieszyńskiego, a także w szkole ćwiczeń w gmachu Państwowego Liceum Pedagogicznego.

Po ukończeniu Liceum Pedagogicznego W. Buczek, jako dziewiętnastolatek, objął odpowiedzialną funkcję, ponieważ został kierownikiem Szkoły Podstawowej w Wiśle Równem. Była to szkoła o sześciu klasach i dwóch nauczycielach, a nauka odbywała się w klasach łączonych. Szkoła w Równem szczyciła się, że w latach trzydziestych uczył w niej Jan Sztwiernia. Innymi znanymi nauczycielami w tej szkole byli Jerzy Drozd oraz Józef Lipowczan. W te bogate tradycje pedagogiczne wpisał się również W. Buczek.

Wiktor Buczek (czwarty od prawej w ostatnim rzędzie) jako kierownik Szkoły Podstawowej w Wiśle Równem (rok 1954).

W trakcie pracy W. Buczka bardzo zmieniała się liczba dzieci uczących się. Dla przykładu można podać, że w 1951 roku do szkoły uczęszczało 42 uczniów, a w roku 1954 tylko 21 uczniów. Wpływ na to miał fakt, że wiele wiślańskich rodzin migrowało wówczas do miasta, gdzie łatwiej było o dobrą pracę. W zawodzie nauczyciela W. Buczek czuł się spełniony. Pracę szkoły wspomagał i nadzorował inspektor, na co dzień urzędujący w Cieszynie, który dwa razy w roku pojawiał się w danej placówce i badał wyniki nauczania.

W roku 1954 W. Buczek otrzymał awans na kierownika Szkoły Podstawowej w Czarnem (obecnie szkoła nie istnieje, ponieważ jest zalana wodą zapory). Kierownikiem tej szkoły był do 1964 roku, z krótką przerwą w roku 1955, kiedy zastąpił go na kilka miesięcy Roman Kubok. W latach 1962—1964 kontynuował i ukończył trzyletnie Studium Nauczycielskie w Cieszynie, o kierunku fizyka, rysunek i prace ręczne.

W latach 1954—1956 odbył służbę wojskową. Pierwsze dwa tygodnie spędził w jednostce 13 pułku piechoty w Ciborzu, która cechowała się obostrzonym rygorem (dziś województwo lubuskie). Dostał się tam w wyniku zatajenia faktu posiadania krewnego, który przebywał za granicą. Szczęście sprawiło, że przebywał tam krótko. Dzięki bardzo dobrej postawie wojskowej trafił do Podoficerskiej Szkoły Łączności Radiowej w Gliwicach. Zdobył III klasę radiotelegrafisty. W kodowaniu i szyfrowaniu biegle posługiwał się alfabetem Morse'a.

W latach 1962—1965, jako nauczyciel i działacz młodzieżowy, pełnił funkcję radnego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. Właśnie ten organ 15 lipca 1962 roku głosował za tym, żeby nadać prawa miejskie Wiśle. W. Buczek osobiście patronował tej sprawie. Za osiągnięcia w pracy pedagoga i radnego został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

W 1964 roku objął stanowisko przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Wiśle. Pełniąc tę funkcję, był zarówno przedstawicielem władzy wykonawczej, jak i ustawodawczej miasta. Dodać należy też, że w latach 1970—1976 odbył studia magisterskie na Wydziale Techniki Uniwersytetu Śląskiego.

W okresie sprawowania najwyższego urzędu w mieście przez W. Buczka dokonano szeregu inwestycji. W Wiśle powstały wówczas trzydzieści cztery domy wczasowe, w tym na Parteczniku, Jarzębatej, Bukowej. Duży wpływ na ich powstanie miał również gen. J. Ziętek, który z części pieniędzy przeznaczonych dla administracji centralnej potrafił wygospodarować środki właśnie na budowę pensjonatów dla pracowników hut i kopalń. Oczywiście związki zawodowe górników i hutników również gorliwie wspomagały te przedsięwzięcia.

Wiele zabiegów i rozmów wymagała budowa nowego ośrodka zdrowia w Wiśle. W. Buczek pertraktował w sprawie tego ośrodka z premierem Józefem Cyrankiewiczem, który niejednokrotnie przebywał w Zameczku na Zadnim Groniu w Wiśle. Załatwianie sprawy w ten sposób wywołało jednak niezadowolenie wojewody Ziętka. W związku z tym dalsze uzgodnienia trzeba było prowadzić również na szczeblu wojewódzkim, w Katowicach. Nie było natomiast problemów ze strony mieszkańców Wisły, a rodzina Jana Raszki, olimpijczyka, dała nawet za darmo parcelę pod budowę.

Za rządów Wiktora Buczka w Wiśle podjęto również decyzję o budowie obwodnicy, omijającej centrum miasta, na miejscu starej, bitej drogi z lat trzydziestych. Asfalt był ufundowany przez Urząd Miasta, natomiast

Wiktor Buczek (w środku) jako kierownik Szkoły Podstawowej w Wiśle Czarnem (rok 1963).

Wiktor Buczek podczas inauguracji Tygodnia Kultury Beskidzkiej (rok 1967). Zdjęcia ze zbiorów Muzeum Beskidzkiego w Wiśle.

pracę w czynie społecznym wykonali mieszkańcy Wisły w sobotnie popołudnia oraz w niedziele.

Wspomnieć należy również, że W. Buczek był przyjacielem powstałego w 1964 roku Muzeum Beskidzkiego. Kiedy pisarka Maria Wardasówna prywatnie wsparła go kwotą 10.000 zł, W. Buczek przekazał te pieniądze na ręce ówczesnego dyrektora i założyciela muzeum, Andrzeja Podżorskiego. To właśnie w czasie kadencji W. Buczka zaczęła swoją działalność ta placówka muzealna oraz doszło do otwarcia pierwszego Tygodnia Kultury Beskidzkiej. W. Buczek zachęcał też Ferdynanda Dyrnę do wystawienia *Szałaśników* z muzyką J. Sztwiertni, co też miało miejsce w Teatrze Polskim w Cieszynie, 10 marca 1966 roku, oraz na scenie wiślańskiego amfiteatru w ramach TKB.

To tylko niektóre z przykładów przedsięwzięć zrealizowanych w Wiśle za rządów W. Buczka, które trwały do października 1976 roku. Obecnie, jako emeryt, w wolnych chwilach podejmuje się twórczości malarskiej, której podstaw nauczył się już w Liceum Pedagogicznym, a później cały czas rozwijał, choć przez bardzo długi czas tworzył zupełnie nieoficjalnie i wyłącznie „do szuflady". Obawiał się, że łączenie urzędu naczelnika czy zawodu nauczyciela z oficjalną twórczością plastyczną jest złym zestawieniem. Jednak dzięki inicjatywie niektórych członków grupy „Wiślanie" wstąpił do ich zrzeszenia.

W swym malarstwie W. Buczek stosuje zarówno pastele, jak i farby olejne. Szczególnie często tematem jego prac jest architektura, znane zabytki, ale też zwykłe chałupy góralskie. Natura dla tych obiektów stanowi zwykle tylko tło. Kiedy podejmuje się ukazywania krajobrazu bez domów, pejzaż musi być, jak to wyraża, nostalgiczny, co najczęściej ukazuje poprzez mgłę. Jednym z ulubionych obiektów, który często czyni tematem prac malarskich, jest drewniany kościół Jadwigi Śląskiej na Zadnim Groniu, nieopodal Zameczku Prezydenta. Często przedstawia również wiadukty kolejowe i wodną zaporę w Czarnem. Prace jego były i są eksponowane na różnych wystawach okolicznościowych.

Malarstwo stało się jego pasją i sposobem na życie.

ZŁOTY DYREKTOR Z BRACKIEGO

PAWEŁ CZUPRYNA

11 listopada 2005 roku w cieszyńskim Teatrze im. Adama Mickiewicza dyrektor Brackiego Browaru Zamkowego Tadeusz Kubok odbierał laur Honorowej Złotej Cieszynianki. Przyznano Mu ją za wspieranie inicjatyw kulturalno-oświatowych i sportowych. Niecały miesiąc później zorganizował w murach zabytkowego browaru okazałe spotkanie pożegnalne dla całego zespołu „Głosu Ziemi Cieszyńskiej". Pożegnalne, gdyż zrezygnował z funkcji dyrektora, obiecał jednak, że będziemy się widywali nadal. Któż mógł przypuszczać, iż na tym świecie już nie?

12 grudnia 2005 r. dotarła do mieszkańców Cieszyna smutna wiadomość o nagłej śmierci 59-letniego, powszechnie szanowanego dyrektora, człowieka o gołębim sercu, lubianego przez pracowników i docenianego przez działaczy ziemi ciszyńskiej społecznika. Pogrzeb przedwcześnie zmarłego dyrektora był manifestacją, jakiej Cieszyn nie pamięta od lat. Kościół św. Marii Magdaleny pękał w szwach. Na rynku brakło miejsca dla autokarów, które przywiozły delegacje organizacji i instytucji, pragnące oddać hołd Zmarłemu. Jego grób na Cementarzu Komunalnym pokryły dziesiątki wieńców i setki wiązanek kwiatów od wszystkich, którzy nie mogli pogodzić się ze stratą tak powszechnie cenionego człowieka.

Tadeusz Kubok był rodowitym cieszynianinem, urodził się w domu przy nieistniejącej już ulicy Na Brze-

Fot. Krzysztof Marciniuk

gu, która biegła wzdłuż Bobrówki i zabudowań dawnej Cefany. Mieszkał tam do 1957 roku, kiedy to przeprowadził się do Hermanic, gdzie ojciec zbudował dom. Po ukończeniu podstawówki uczył się fachu w tyskim Technikum Browarniczym.

Przed czterdziestu laty, w 1965 roku, podjął pracę w cieszyńskim Browarze Zamkowym. Przeszedł wszystkie działy i stanowiska produkcyjne. Był kierownikiem słodowni, potem piwnic. W 1975 r. opuścił browar i objął kierownictwo hurtowni i rozlewni piwa PSS „Społem" w Skoczowie.

W 1985 roku T. Kubok wrócił do cieszyńskiego browaru, ale już na stanowisko dyrektora. Znał ten zakład od podszewki i było mu łatwo nawiązać kontakt z pracownikami, wiedział, czego można od nich wymagać, a czego nie. Dzięki temu zyskał sobie uznanie podwładnych, którzy nie tylko go szanowali, ale czuli przed nim respekt, gdyż wiedzieli, że szefa nie można łatwo wykołować. Miał serdeczny stosunek do każdego członka browarnianej braci, niezależnie od miejsca w zawodowej hierarchii.

Dyrektor chwalił się tym, że cieszyński browar jest w grupie Heinekena jednym z dwu zakładów, które produkują piwo metodą tradycyjną, klasyczną. Zresztą prezydent koncernu, kiedy przyjeżdżał do Cieszyna, zawsze mówił, że trzeba tę metodę zachować, choćby tylko dlatego, aby przyszłym adeptom sztuki piwowarskiej pokazać, jak tradycyjnie produkuje się piwo. Mówił też, że browar cieszyński ma duszę. To imponowało dyrektorowi, który zaraz odpowiadał z dumą, że cały Cieszyn ma duszę i łatwo się o tym przekonać spacerując wąskimi uliczkami nadolziańskiego grodu.

T. Kubok dbał o reklamę cieszyńskiego piwa i prowadzonej przez siebie firmy. Rozumiał siłę i rolę marketingu w obecnych czasach. Nie było w regonie miejscowości, ani żadnej imprezy, bez reklamy Brackiego Browaru Zamkowego. Wspierał finansowo wiele imprez kulturalnych, sportowych i turystycznych. Przed proszącymi nigdy nie zamykał drzwi swojego gabinetu.

Miał ambitne plany na przyszłość. Nosił się z zamiarem utworzenia w pomieszczeniach browaru z prawdziwego zdarzenia piwiarni. Prezes Heinekena zapalił się do tego projektu i obiecał dać pieniądze na tę inwestycję. Z tego bardzo cieszył się dyrektor Kubok, gdyż w ten sposób realizowało się jeszcze jedno jego marzenie. Wierzył, że choć nie będzie już dyrektorem od 1 stycznia 2006 roku, a emerytem, to jako członek Rady Nadzorczej spółki będzie miał wpływ na ukończenie swojego planu.

Nie było mu jednak dane dożyć tego. Zabrał do grobu to marzenie. Będzie nam go brakowało.

KULTURA LUDOWA
FOLKLOR

JAK POTOK PŁYNIE CZAS

LIDIA SZKARADNIK

Nad Ustróniym nowy dziyń budził sie pumału. Jeszcze było cima, jyny ptoszki zaczynały śpiywać swoji przeszumne pieśniczki. Łóny dycki sóm wiesiołe łod samego rana. Słóńce jeszcze nie wyzdrziło zza Równice, a już w chałupach rożygali lampy na nafte. Gaździnki rychtowały hónym swaczyne swoim chłopóm, coby zdónżyli na szychte. To przeca kowole szli do kuźnie kożdy dziyń tym samym chodniczkym. Ponikiery sóm, inszy zaś z kamratym. Na werku godziny ukazujóm szóstóm — poczóntek zmiany.

Gaździnki kole chałup na dziedzinie też już downo sie kryncóm. Z chlywa niesóm szkopce pełne ciepłego mlyka. Kuróm i inszej gowiedzi sujóm łobili. Budzóm dziecka, kierych dycki była pełno chałupa. Warzóm śniodani. Psy harwoszóm, kohóty śpiywajóm, gynsi jako to majóm we zwyku, dycki narobióm moc krawalu i jyny stare kocury przecióngajóm sie lyniwie.

U Cieślara pod grapóm też już downo wszyscy sóm na nogach. Gazda z kóniym majóm pilobe na zogónach. Gaździno doji Gwiazdule, a jeja cera Jewka dziepro stanyła, poprawiła zogłówki i pierzine, zasłała łożnice i zozdrziła do łokna na słóneczko, bo dyć przeca jak łóno świyci, to zaroz wiesieli człowiekowi na duszy. Dziywcze stanyło przed zdrzadłym i roz dwa zaplytło binkocz, a na kóńcu zawiónzało modróm maszke na kistke. Łoblykło jakisi lónty na każdo (jakla kapke zesandrzano, a spodek połotany) i podyrdało do kuchyni, dy tu już mamulka rożygli łogiyń pod blachóm, a na piecu postawili w garcu mlyko na szwołki.

Na polach zazielyniło sie, jako to w kwietniu. Była isto strzoda, taki łobyczajny dziyń. Cieślarka nastawiła końszczek chabaniny na łowiynzióm polywke, a pod blache chynyła szwarny gnotek drzewa, coby nie wygasło. Pospołu z frelkóm zawiónzały se szatki, łobuły gumowe charboły, bo na zogónach marasu jeszcze moc i poszły sadzić flancki kapusty i keleruby. Latoś wczas sioły przisade pod łoknym w zogródce i doista sie im podarziła. Aji sałot był szumny, choć dycki im to jakisi pierórństwo zeżrało, ledwo zielyniućki listki wyszły ze ziymi.

Jewka zgibo sie kole mamulki i sadzi modre keleruby, równiućko w rzóndku jedna kole drugi, nale rozmyślo ganc ło czym inszym. Nos utrziła do fortucha, bo sznumtychle zabyła w chałupie i westchnyła ciynżko. Mo przeca dwacet roków, tóż je już nejwyższy czas coby sie

wydać. Dyć ni ma możne, coby tako szwarno dziełcha została staróm dziywkóm. A tu szykownych kawalerów ni ma, ani jako to prawióm, na lykarstwo. Jak idzie w niedziele do kościoła z łojcami, tóż rozglóndo sie po sómsiednich ławkach, czy kaj jaki syn gospodarski na nióm nie spoziyro. Ale katać też tam! Abo downo żónaci, abo jeszcze taki małe szkwety. Sama nie pujdzie na muzyke do gospody, bo to przeca gańba, nale fórt jóm to mierzi, jako pozno kawalera. Łoto w zimie była pore razy na szkubaczkach po dziedzinie i aji przocielka naraiła ji tam jakigosi Jónka czy Jyndrysa, bo już zabyła jako mu było na miano, nale sie ji nie nazdoł, chocioż ni ma przeca wybiyrziczno. Isto synek musioł mieć jakómsik chybe, bo już trzicet roków na karku, a jeszcze sie nie łożynił. Aji łonej sie zdoł taki ni masny, ni słóny. Dali sie rozglóndo, nale nic z tego...

Jewka ani sie nie nazdała, a flancki były posadzóne, tóż poszła naspadek do chałupy. Przitożyła do pieca łopatke wónglo, nugli nasuła do zupy i zozdrziła zaś do zdrzadła, czy doista je tako szpatno stwora, że żodyn jóm nie chce. Ukozała jynzyk tej ze zdrzadła, co sie na nióm dziwała i poszła dali. Cegliczke ze żelozka dała do pieca, coby sie zagrzoła i przirychtowała se swoji szróty i cychy, co jich wczora biyliła na miedzy do biglowanio. Gichła wodóm na naszkróbiónóm cyche i równiućko roz wedle razu bigluje. Nale zaś rozmyślo ło tym swojim żywobyciu. Łoto Zuzka, hanej zza cesty, łóńskigo roku miała dziepro łosimnoście roków, a już na jesiyń sie wydała i to jeszcze za gazde całóm gymbóm z Lipowca. Abo Helynka, co pospołu chodziły do szkoły, już urodziła bliźnioki, a łona Jewka, do piernika, fórt je staróm dziywkóm! Toby my sie podziwali! Jak tak ło tym rozwożała, tóż była zło jak diobli.

Po łobiedzie siadła se frelka pospołu z mamulkóm na ławce w zogródce. Słóneczko świyciło, ptoszki fórt tak pieknie i wiesioło śpiywały, tóż nie dziwota że kapke lekczyj zrobiło sie ji na duszy. Przeca szumnie je na tym świecie. Cało zogródka żółciutko łod kluczyków, a hanej łowca szkubie młodóm trowke. Ryży kocur, co mu dali na miano Jakub, łochli sie ło nogi gaździnej, isto dopómino sie jodła.

Ja, dobrze tak posiedzieć, nale trzeja sie brać za robote, dyć sama sie nie zrobi. Jewka poszła garce pomyć. Pumyje z lawora gichła do ampra i zaniósła babuciowi. Łodbyła gowiydź i tak fórt je cosik do roboty aż do wieczora i ani sie człowiek nie nazdo, a zaś nowy dziyń i nowo robota.

Wiosna minie, i lato, i jesiyń. Jedyn rok góni za drugim. Łoto młode dziywcze i ani sie nie łobejrzysz, a już stateczno gaździno, a potym stareczka siwiutko. Kożdy dziyń zdo sie taki podobny do drugigo, a jednakowoż inszy...

I świat sie zmiynio i ludzie łodchodzóm na wieczny łodpoczynek. Kaj je dzisio ta Jewka, Zuzka, czy Marynka, co hańdowni pasły krowy na miedzy i helokały na pastyrzi? Tóż, kaj sóm ty zgrabne frelki z szumnymi binkoczami, co cały tydziyń harowały, a w sobote biglo-

wały se szróty na czakaczke? Już jich nie spotkosz, choćbyś nie wiym kaj chladoł. Nale, jak sie wybieresz na szpacyr pod Czantoryje, abo Kopiyniec i sfuczany siedniesz kansik na miedzy, to posłóchej jak wiater pomiyndzy smrekami jujczy, a możne aji usłyszysz kónsek downej, dzisio jeszcze ponikiedy śpiywanej pieśniczki:

Upływa szybko życie, jak potok płynie czas,

za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas.

I nasze młode lata popłyną szybko w dal,

a w sercu pozostanie tęsknota, smutek, żal...

Autentycznie

W pierwszych powojennych latach wszyscy (prawie) „szkolnicy" zza Olzy z lubością uprawiali przemytniczy hazard: „uda się, czy przyłapią?"

Czuwał widocznie nad nimi jakiś Belzebub lub inny Rokita, bo wpadek nie było. Może dzięki temu, że głównym towarem „eksportu" z Czechosłowacji, były... drożdże, nieodzowny składnik „księżycówki", wtedy prostacko samogonem nazywanej. A ta przecież wyzwala (i to jak!) piekielne duszki...

Przemycało się nie tylko drożdże. Olbrzymie wręcz zapotrzebowanie było na materiały piśmienne, których polska biurokracja chłonęła każdą ilość. Nosiło się zatem kalki, chemiczne ołówki (kopiowe), taśmy do maszyn do pisania, gumy, zszywacze, dziurkacze i czort jeden wie, co jeszcze. Ale furorę robiły „grzechotki", jak z racji wydawanych dźwięków nazywano kieszonkowe latarki, na ręcznie napędzane dynamo.

Każdy z chmary szkolnych kontrabandzistów (Czesi przecież nie uruchamiali polskich szkół średnich) miał swojego odbiorcę, który za „dostawę" płacił od ręki. Grosiwa (do października 1950 roku w Polsce nie było bilonu, a najmniejszym nominałem była papierowa 50-groszówka) „zarabiał" tyle, co kot napłakał, ale była własna, ryzykancka mamona.

Gdyby czescy celnicy sięgnęli głębiej do uczniowskich teczek (a celowo używano największych!), „połowy" byłyby obfite.

Ale nie sięgali. Dlaczego? Na sam wierzch kładziono „tworóżki" (kwargle). Te najbardziej... „aromatyczne". Celnikom (bez wezwania) bezczelnie podsuwano pod nos otwierane teczki z cuchnącą zawartością.

— Bieżte, bieżte! — i ze skwaszoną miną odsuwali się jak najdalej...

Bronisław Kohut — *Kościółek w Gutach*, linoryt.

Z LUDOWYCH OPOWIEŚCI

KAROL KAJZER

JAK NOCZNICE SMYKAŁY

Nocznice, to sóm taki duszyczki umrzitych, kiere za drobne grzychy muszóm jeszcze po śmierci pokutować na ziymi i tak dłógo sie tłóc po świecie, aż zostanóm przez kogo wybawióne. Takóm duszyczke może wybawić śmiertelnik jekimsi uczynkym abo powiedzynim. Nejwiynksze prawo majóm nocznice w adwyncie. Tóż jak sie zrobi noc, to lepi z chałpy nie wychodzić. Widać ich wtedy, jak błóndzóm po miedzach, wiyrzbinach, kowiorach, bo świycóm jak chroboczki świyntojóński.

Tóż roz też szeł gazda z gospody doś nieskoro w nocy, a do chałupy cesta mu tryfiała kole stawu i takich barzelin, zarośniyntych krzokami. A że szeł z gospody, tóż mioł szykownie pod myckóm. Było też to prawie w adwyncie. Naroz zleciało sie kole niego pełno tych jóniczków i gdosi zaczón na niego wołać. A były to ty nocznice. Chłopa zmyliło to wołani, bo mu sie zdowało, że to jego baba woło, tak szeł fórt za tym głosym. Tóż go tak smykało po wodzie, po torkach, co kole stawu rosnóm, po bagnie i kaj już jyny. A ón jak nieprzitómny, myśloł, że jidzie po ceście. Calutkóm noc tak błóńdził, aż nad ranym wpod kańsi do krzipopy i nie wiedzioł, kaj je. Jak sie łopamiyntoł, było już widno i dziepro uwidzioł, że je w krzipopie pod samućkóm chałupóm, cały mokry i ufultany od bagna.

Tóż tak go ty bezburcyje nocznice posmykały.

(Według opowiadania Zuzanny Hołomek z Ochab)

NOŻYM DO GROBU

Byli roz trzej kamraci, co dycki społym do gospody chodzowali. Jak se popili, to wydziwiali też roztomaite wiecy. Nigdy im rady nie było. Tóż jako tacy młodziki.

Roz też sie jedyn ś nich założył z tymi drugimi o pół litra, że o północy pójdzie na kierchów — a ludzie prawili, że tam stryszy — i wbije nóż na świyży grób swoigo kamrata, co go niedowno tymu pochowali. A tyn nieboszczyk strasznie za życio bijoł sie z nożym na muzykach kaj popadło, tóż mu teraz tyn kamrat chcioł tyn nóż do grobu wbić. Tak jak sie założyli, poszli wszyjscy trzej na tyn kierchów, a mieli już doś godnie wypite. Ci dwoj stanyli se kapke dali, bo już im

tak kapkę nieswojo było, a ón doszeł ku samućkimu grobu, wyjón od poska taki dłógi bodziok i wbił go na postrzodek kopieczka do ziymi. A żeby go wbić, musioł se przyklynknóć i pochylić, żeby móg siyngnóć na środek grobu. A jak go wbił i chciół stanóć, to ni móg, bo go cosi za kabot przidzierżało. Tyn sie strasznie zlónk, że to jisto duszyczka tego nieboszczyka go chyciła za to, że taki świyntokradztwi popełnił i ze strachu padnół trupym. Kamraci, jak to uwidzieli, sami ze strachu uciykli z kierchowa.

Dziepro rano, jak poszli po niego, pokozało sie, że nóż przybił mu kabot do ziymi i to go tak przidzierżało. A ónego ze strachu szlag trefił.

(Według opowiadania Anny Grzybek z Kiczyc)

Autentyczne

Michał „Bulka" Legierski z Istebnej zawsze nosił się po góralsku. Jego długie, posrebrzane włosy przydawały mu splendoru i nikt by nie przypuszczał (oprócz tych, którzy go znali), że jest to człowiek o sowidrzalskim usposobieniu.

Na przedwiośniu, po uciążliwej wielce zimie stulecia z początku lat sześćdziesiątych, spotkałem go w Cieszynie:

— Witejcie ujcu (grzecznościowy zwrot, w Trójwsi Beskidzkiej należny góralskiej starszyznie)! — Cóż to Was przygnało do Cieszyna?

— Radijo musiołech se dać sprawić. W zimie bezskurcyja zamarznyło i terozki jyny same kolyndy mi grywo...

Jakiś czas Bulka pracował w charakterze szatniarza w popularnym lokalu na Kubalonce. Obowiązki swe niezmiennie pełnił w góralskim stroju. Był przeto swoistą atrakcją cieszącego się dużym powodzeniem gastronomicznego przybytku, do którego często zaglądali przeróżni prominenci.

Jeden z nich wdał się w rozmowę z góralem, a na pożegnanie Bulkę poczęstował cygarem. Szatniarz cygaro obejrzał, powąchał i... schował.

— Dlaczego pan nie zapali?

— Zakurzim se, ale w lepszim towarzistwie...

Restauracja na Kubalonce miała widokowy taras. Bulka chętnie pokazywał okoliczne górskie szczyty. A kiedy horyzont bywał przymglony, solennie zapewniał przybyszów:

— Wiycie, jak jest po halniaku, kiery przedmucho powietrzi, to z tego miejsca widać paryskigo Ajfla. O hań, do prawa łod tego wielkigo smreka...

HOHENEGGER

WŁADYSŁAW KRISTEN

Hawiyrz mo oczy jako kocur, kiery poradzi przywyknóć do ćmoka. Hajer Minciel wracoł nieskoro w nocy ze szychty, bo był z tych, co bez niego by hawiyrnia nie szła, choć pinióndz z tego był procny. Ćma było, że ani nosa przed sebóm nie było widać, bo miesiónczek schowoł se za gynste mroki i na ceste, kiero krynciła se w dolinie przi Karwińskim Potokum, trzeba było pierónowacie dować pozór. Szachta Hohenegger, co jóm Mirówka każdy nazywo od saframynckigo lagramyntnika Miry, co tu teraz po nocach w łańcuchach straszy za swoji grzychy. Żodyn nie wiy, skónd se tyn wydrziduch wzión. Tela jyny, że mioł chyntke na grónt, co mioł patrzić siyrotóm, bo jim tatulek i mamulka umrzyli. Dekle z gruntu jim potargoł. Ta drobocina po tym z głodu pomrzyła, a ón schyłcił wszystko dlo siebie i stoł se gazdóm. Pole potym dobrze sprzedoł, a dzisio stoji i tu szachta.

Minciel miyszkoł na Potyszówce i robił na szachcie uż od synka. Wyngli tu je nejlepsze, kupujóm go aji Szwedzi. Dzisio na szychcie — już też podziynkowoł Świyntej Barbórce — z ratki pecyn wyngla wypadnył prawie tam, kaj stoł. Gibko uskoczył i dosłoł po nodze, toż troche kulhynco i opiyro se na krziwaku. A krziwak nosił, bo ceste mioł dalekóm, przez całóm dziedzine, aż za solecki kopiec. Już jako szleper nie był żodyn przepijłata, co to po gospodach siedzi, a potym psinco mo. Zarobióne pinióndze naściskoł tak, że se uż jako żónaty przekludził do Solce, kaj mioł na Czornym Chodniku kupiónóm chałupe. Samo cesta, był to po prowdzie chodniczek, była w głymboki dolinie. Niży był uż jyny Karwiński Potok, kiery wyciykoł spod Honegerki i ciyk ze zachodu na wschód. Podobnie jak Strzybnioczka, kiero ciecze daleko pod Suskim Lasym. Sóm to jedyne karwiński potoki, co dowajóm swojóm wodę rzyce Stónówce. Mijoł w lewo na kopcu Stary Kościół, a poniży szkołę, w kierej miyszkoł rechtor, co to był wszyckimi maściami mazany. Ponikierzi mówiom, że chodził na wysokóm szkołe, ale dach terować. To sóm drzisty. Prowda je isto kajsi indzi, bo co bardży dokuczy, to lepszy nauczy. Co tu mo kiery narzykać? Jo uż

od szternostego roku harujym, a na sztudyrowani nie były piyńcioki. W prawo je szachta, kiero stoi na Matuszyńskigo polu pod gruszóm, a nazywo se Gabryjela.

Przyszeł teraz na odludzi, do doliny, kaj Karwiński Potok wlywoł se do stawów. Poczuł ziómb, jakby go zimnóm wodom poloł. Jak na zawołani miesiónczek wyloz spoza mroku i było naroz widno, jakby rożnył wszystki światła w kościele. Światło miesiónczka odbiło se od kalnej wody i rozjaśniło mgły i szuwary stawu, żebyś jegłe w sianie naszeł. Stary Minciel wybałuszył oczy. Jezeryja! Nie boł se niczego, tóż se bubami straszyć nie doł. Na kraju stawu siedziała dobrze wyfutrowano bioło gyńś. Kisz djas? Może to być wasermón!? Opaternie, aby nie wlyźć do bagna, przibliżył se, a bioło liwa pozwoliła se mu dotknóć, nie uciykła.

— *Boroczku, kaj tu bydziesz hledać corek w chruście. Jeszcze cie tu jaki psisko roztargo.*

Rozglóndnył se dokoła. Nigdzi nic.

— *Dyć żyż tu nie bydziesz nocować. Jak cie weznyć, kiej do kapsy nie wleziesz, a miyszek ani dzichteczke ni móm. Chybać se bydziesz pod rynkóm.*

Ale kaj też tam. Dała se wzióńć i jakby se z tego cieszyła.

— *Darzy se mi* — pomyśloł. — *Aleś je ciynżko. To se bydzie gaździna cieszyć.*

Do chałupy mioł jeszcze szykowny kónsek cesty. Ale jako to była cesta. Przystowoł co pore kroków, gyńś przekłodoł spod jednej rynki pod drugóm, a óna była coroz ciynżejszo. Całe szczyńści, że se nie wydziyrała i była zadowolóno, że se niesie. Umrusany, ufultany zastawił se przy ciurczku. Gyńś położył na ziym, cicho leżała. Cały sparzóny obmył se gymbe i napił wody. Postawę mioł drobnóm, bo hawiyrz i koza mo sadło pod kościami. Trza było iść dali i niyść tóm ciynżkóm gawiydź. Czuł jednak, że mu sił ubywo. Leda jóm kansi niechać. Ale tu se przedstawił tóm wielkóm radość, jakóm do dómu niesie.

Kiedy już przyszeł do Solce ku Strzybnioczce, to tam stoła chałupa od Dudy. Nigdy miyndzy nimi ostudy nie było. Do jego chałupy był jeszcze szmat cesty. Było to uż koło jednej w nocy. Tóż odewrzył jyny fórtke do zogrody i tam na grzyndzie przikrył gyńś koszym na zimioki. Gyńś se odezwała, co se mu zdało, jakby przez nos — „*dziynka*".

Rano róncz se słóneczko wyszkrobało, polecioł do sómsiada. Wrotka były zawrzyte, po gynsi ani słychu-dychu. Burził na dwiyrze i nic. Już myśloł, że ni ma żodnego. Dwiyrze se odewrzyły, a w nich była Dudzino, blyszcze miała czyrwóne, widać było, że mo jakisi sużyni abo mierziónczke.

— *Mój chłop, co od wiosny krzipoł i karwiynczoł, dzisio o jednej w nocy umrzył.*

Stary Minciel obloł se potym, wiedzioł uż, czymu ta bioło gyńś była tako ciynżko...

(*Tekst napisany w gwarze dolańskiej-karwińskiej*)

DRZEWIEJ NA WARMII I MAZURACH

WIELKANOC NA KRESACH PÓŁNOCNYCH

JANUSZ GUZIUR

Święta te należały tam do najpiękniejszych i wyczekiwanych. W czasach, kiedy ziemie te zamieszkiwali pogańscy Prusowie, uroczystości odbywały się w świętych gajach. Uczestniczyli w nich tylko mężczyźni. Gospodarz — głowa rodu zwany *ofiarnikiem*, napełniał drewnianą miseczkę sfermentowanym napojem, podnosił ją do góry i odmawiał modlitwę: *Boże nasz, ty precz zimę przykrą odganiasz a raczysz zioła, kwiatki i trawy rozmnażać, my teraz ciebie prosimy, żebyś zboże nasze zasiane... raczył hojnie rozmnożyć, aby kłosisko rosło, a wszystek kąkol racz sam podeptać.* Następnie odlewał część napoju na ziemię, resztę wypijali i kontynuował modlitwę, błagając bóstwa o ochronę przed gromami, gradem i deszczem, prosząc także o słońce, pogodę, urodzaj i szczęśliwe doczekanie do żniw. Zebrani raczyli się napojem i śpiewali do białego rana. Gdy wyjrzało słońce, ruszali w pole rozpoczynając wiosenną orkę. Po kilku dniach także nocą, w świętych gajach, odbywały się kolejne modły i zabawy poprzedzające wypędzenie bydła na łąki i przed pierwszym siewem.

W czasach późniejszych wiele dawnych, pogańskich obrzędów wiosennych przybierało nową, chrześcijańską formę. Teraz cieszono się nie tylko z wiosny, Zmartwychwstania Pańskiego, ale i zakończenia rygorystycznego postu. Nie wolno było grać, tańczyć, gwizdać, a zwłaszcza jeść do syta. Nic tedy dziwnego, że po 40 dniach takich umartwień Wielkanoc stała się czasem dobrego jedzenia i picia.

Święta Wielkanocne tradycyjnie rozpoczynała Niedziela Palmowa. Tego dnia mieszkańcy Warmii chodzili do kościoła święcić palmy.

Protestanckie Mazury nie znały tej tradycji. Palma warmińska nie była tak kolorowa, jak wileńska czy kurpiowska. Była zrobiona z kitek kończących źdźbła jałowca, trzciny oraz zielonych gałązek brzozy i bazi. Poświęcone palmy zatykano za obrazami, a kotki bazi łykano, co chroniło przed chorobami gardła.

Na Warmii w Wielki Piątek *większość ludzi pościła i składała Kościołowi ofiary* — jak mówią stare kroniki. W tym dniu także święcono ogień i wodę, lecz nie potrawy. Ten ostatni zwyczaj był do wojny raczej nieznany i dotarł tam wraz z ludnością napływową (kresową) dopiero po 1945 roku (zwłaszcza z Wileńszczyzny i Kurpi). Nie używano też nazwy „rezurekcja" tylko „jutrznia" lub „szara jutrznia", czyli poranna msza wielkanocna. Po przyjściu z kościoła zasiadano do stołów, zastawionych mięsem, wędlinami, łakociami i ciastami. Były też i jaja malowane w łuskach cebuli na brąz lub w źdźbłach żyta na zielono, z wyskrobanymi ostrym narzędziem wzorami. W tym dniu chłopcy biegali po wsi z drewnianymi klekotkami, oznajmiając, że jest to dzień żałobny. Gdzieniegdzie palono też najstarszy we wsi krzyż, a popiół z niego miał mieć właściwości lecznicze.

Pierwszy dzień świąt na Warmii i Mazurach pełen był obrzędów, wróżb i nakazów magicznych. Wczesnym rankiem należało wejść do potoku lub rzeki, płynącej tylko na wschód, co gwarantowało zdrowie przez cały rok. Wodą też skrapiano konie, bydło oraz ziemię — żeby lepiej rodziły. W tym czasie nie wolno było chodzić boso, bo groziło to wrzodami. Kury zaś należało nakarmić grochem, aby się dobrze niosły.

Na Warmii i Mazurach wielkanocne śniadanie nie było obfite, a raczej wręcz skromne. Jadło się zwykle twarożek, chleb z masłem i kilka gatunków ciast, ale mazurków czy paschy nie znano. O wiele wystawniejsza była kolacja wielkanocna, gdzie podawano już wędliny i pieczony drób.

Tradycyjny śmigus-dyngus na Warmii i Mazurach występował tylko gdzieniegdzie, głównie na terenach w pobliżu Mazowsza. Powszechnym był zwyczaj „chodzenia po smaganiu". Wtedy to liczne grupy młodych i starszych „wykupników" wędrowały od zagrody do zagrody, niosąc gałązki wierzbowe i jałowcowe. Poświęcone, służyły niekościelnemu już teraz obrzędowi smagania mieszkańców odwiedzanych domostw, a zwłaszcza młodych dziewcząt. Smagający śpiewali pieśni religijne i... pełne humoru piosenki regionalne. Smagani wykupywali się wędlinami, jajkami, kiełbasami i ciastami. W wielu domach otrzymywali także słone ptaszki, symbolizujące powracającą, życiodajną wiosnę. Oprócz smagających rózgami, młodzi chodzili z gaikiem-maikiem lub obnosili po wsiach kukłę z zimy, po czym topili ją w jeziorze lub rzece.

Dziś już tylko miejscami topi się Marzannę. Pozostał też śmigus-dyngus (nie zawsze kulturalny) oraz suto zastawiony stół, no i... goście wielkanocni z telewizją.

POEZJA, PROZA

POEZJA, PROZA

POEZJA PODZIEMNA NA ŚLĄSKU 1939—1945

MICHAŁ HELLER

Zagadnienie to jest bardzo mało znane. A jednak poezja taka istniała na Śląsku. Dowodziła ona, że ziemia ta spełniała należycie twardą, narodową służbę. O jej zadaniach ciekawie mówi poetka-partyzantka Maria Kawik, stwierdzając z swoich wspomnieniach, że *w tamtych strasznych czasach była ona wielką podporą moralną i patriotyczną dla tej młodzieży walczącej prawie beznadziejnie z tym strasznym i bezwzględnym wrogiem.* Autorzy tej poezji to ludzie walczący z bronią w ręku z wrogiem. Część z nich pozostała bezimienna. Ich wiersze zamieszczały czasopisma konspiracyjne rozprowadzane na Śląsku, często krążyły one powtarzane ustnie, jak komunikaty frontowe. Czasem śpiewane były przez partyzantów. W artykule zaprezentowano niewielki wybór wierszy, których część zamieszczona była w „Biuletynie Zachodnim", „Zachodniej Straży Rzeczpospolitej", „Kilofie Śląskim" oraz „Świcie" i innych pismach.

Poezja ta poruszała żywotne problemy walki ze znienawidzonym wrogiem. Wzywała do bezpardonowej rozprawy z nim, opisywała śmierć partyzantów, przedstawiała los Ojczyzny, która zdradzona zeszła do ludu, do partyzantów, robotników wzywała do działań. Wiersze te wreszcie poruszyły tragiczny problem „Volksdeutschów" na Śląsku.

Poezja konspiracyjna była groźną bronią w ręku zniewolonego narodu. Stała się ona autentycznym wyrazem postawy bohaterskiego narodu polskiego, postawy, która zdobyła wielkie uznanie wśród narodów sprzymierzonych. Na Śląsk docierały też sporadycznie pisma podziemne poświęcone sprawom kultury i twórczości, a także zbiorowe i indywidualne tomiki poetyckie, które ukazywały się przez cały okres okupacji. Ze zbiorowych chronologicznie pierwszy to *Pieśń niepodległa*, drugi bardzo popularny *Duch wolny w pieśni* i wreszcie trzeci *Słowo prawdziwe*. Tomiki te, oprócz nie-

rozszyfrowanych pod względem autorstwa, zawierały utwory W. Broniewskiego, J. Tuwima, A. Słonimskiego, S. Balińskiego, K. Wierzyńskiego, L. Staffa, K. Baczyńskiego i innych.

Część poezji pisana była gwarą, co powodowało, że jej odbiór, zwłaszcza wśród robotników górnośląskiego okręgu przemysłowego, był pełniejszy. Dotyczy to głównie twórczości dziecka hałd i biedaszybów Józefa Ryszki „Szczepona". Często poezja ta była śpiewana w domach polskich i w oddziałach partyzanckich.

Na uwagę zasługuje twórczość poetki-partyzantki Marii Kawik, zbiegłej z posterunku policji w Brennej do oddziału partyzanckiego w czerwcu 1944 r. Wiersze jej wyrażały rozpacz za utraconym domem, w którym pozostało kilkoro nieletnich dzieci, ukazują codzienne życie oddziału partyzanckiego, poświęcenie się jego członków dla Polski. Wzruszające są zwłaszcza utwory poświęcone Ojczyźnie czy przysiędze składanej przez jej oddział.

W czechowicko-dziedzickim ośrodku konspiracyjnym ukazywało się od końca 1940 r. czasopismo „Świt". Zamieściło ono m.in. interesujący wiersz Amalii Hanzlówny *Tęsknota za Warszawą*, do którego melodię skomponował dowódca tej konspiracji Maksymilian Miglanc ps. „Czech".

W rejonie Istebnej — Koniakowa i Jaworzynki partyzanci również układali wiersze, śpiewane następnie w bunkrach.

Poziom artystyczny tej poezji jest różny. Nie o to jednak chodziło. Ważne było to, że budziła ona i potęgowała wiarę w przetrwanie, dodawała otuchy do walki z okupantem, sławiła bohaterskie czyny ludzi z konspiracji, ukazywała wizję przyszłej, wolnej i demokratycznej Polski, odtwarzała drogę powrotną do niej, wreszcie powodowała, że w sercach ludu śląskiego rosła ta sama Polska, co w sercach żołnierzy znad Oki, spod Tobruku, czy z Warszawy.

Józef Ryszka „Szczepon"

My Ślązoki

Kiej nos z łojcowizny, nos biydnych Ślązoków
Wojna wygoniła tysiącem wyroków,
Kiej po naszej ziemi dzisiok Niemiec chodzi —
Ano, nic nie szkodzi.
To wszystko do casu, tak jak wszystko mijo,
Tak i ty się skończysz niemiecko bestyjo,
Ty się sparzys łapy, ty pochylis głowy —
Ślązok już gotowy.
A jak śpiywka godo — tak i my powiymy,
że tom my som chłopcy, co się nie bojymy,

Firera strzaskomy, bić bydymy dali —
Aż się Germania całko nie łobali.
A że czas tyn przyjńdzie, jo to dziś już czuja
i we swoi piersi nowy Śląsk choduja.
Łon mi przyjacielem... ś nim ciągła godom.
Przeca go niedługo ta... poniesa do dom.

Maria Kawik

Czy wrócę?

Czy kiedy do mej lubej chaty,
Do mej rodziny, do izby tej,
Tam gdzie mi moje upłynęły laty,
Do moich zajęć, do pracy mojej.
.....
Czy wrócę kiedy do braci kochanych,
Którzy ach, jakże kochali mnie,
Do mych sióstr drogich o mnie zatroskanych,
Które tak płaczą żałując mnie
Czy wrócę kiedy do najmilszych dziatek,
Które tak nagle straciły mnie,
Do mej Elżbietki, do jej młodych latek,
Co nie zna ojca, teraz traci mnie.
.....
Czy wrócę jeszcze do mej miłej wioski,
Gdzie wszyscy ludzie, co znają mnie,
Co także mają swoje krzyże, troski,
Czy oni jeszcze powitają mnie.

Maria Kawik

Dla Ciebie Polsko

Dla Ciebie Polsko te moje prace,
Dla Ciebie trudy, życie tułacze,
Dla Ciebie tak ciężka mego życia droga,
Dla Ciebie Polsko, ma Ojczyzno droga.
Dla Ciebie Polsko te straszne śledztwa,
Dla Ciebie fałszywe przeciw mnie świadectwa,

Dla Ciebie straszna, śmiertelna trwoga,
Dla Ciebie Polsko, ma Ojczyzno droga.
Dla Ciebie Polsko te straszne tortury,
Dla Ciebie katusze i więzienne mury,
Dla Ciebie obozów krzyżowa droga,
Dla Ciebie Polsko, ma Ojczyzno droga.
Dla Ciebie Polsko te ciała spalone,
Dla Ciebie w krematoriach w popiół obrócone,
Dla Ciebie bluźnierstwa, że nie ma Boga,
Dla Ciebie Polsko, ma Ojczyzno droga.
Dla Ciebie Polsko tych szubienic lasy,
Dla Ciebie straszne mej hańby czasy,
Dla Ciebie mroźna, lub śmierć głodowa,
Dla Ciebie Polsko, ma Ojczyzno droga.
Dla Ciebie Polsko całe życie moje,
Dla Ciebie wylane krwi mojej zdroje,
Za Ciebie co dzień ślę modły do Boga,
Dla Ciebie Polsko, ma Ojczyzno droga.

Autentyczne

Był rok 1964. Okrągła rocznica PRL. Z tej okazji należało — taka bowiem dyrektywa nadeszła do „Głosu Ziemi Cieszyńskiej" — w pozytywnym tonie napisać nawet o najgorszej firmie.

A taką bez najmniejszych wątpliwości był sławetny Rejon Eksploatacji Dróg Publicznych z siedzibą w Skoczowie.

Zadanie nie było łatwe, wszak kolumny „Głosu" roiły się od wytykania nieudolności i partactwa, będących „dziełem" wymienionej firmy.

Ostatecznie napisania „peanu" podjął się naczelny (Jerzy Stanisław Polaczek), ale gdy gazeta znalazła się w kioskach — wybuchła bomba: nazwa nieszczęsnej firmy została zniekształcona, co (jak się po pewnym czasie okazało) było sprawką dowcipnego linotypisty oraz udziałem nieuważnej korekty. Wydrukowano zatem: Rejon Eksploatacji DOMÓW Publicznych...

REDP odebrał ten fakt jako celową zniewagę i wniósł do sądu pozew przeciwko „Głosowi" o zniesławienie. Skończyło się oddaleniem powództwa.

W lutym 2004 roku „Dziennik Zachodni" przywłaszczył sobie klasyczną chochlikową wpadkę „Głosu", ale niech mu będzie.

LIDIA SZKARADNIK

Z okazji 500 koncertu Estrady Ludowej „Czantoria"

Gdy „Czantoria" rodzime, swojskie pieśni śpiewa
I muzyką czaruje wiernych melomanów,
Głos cudowny jak echo wokoło rozbrzmiewa
I wraz z każdym koncertem wzrasta grono fanów.

O „Czantorio" urocza, sięgasz kunsztu szczytów,
Twe śpiewy niczym ptaki z głosem brylantowym,
Zawsze liczna publiczność nie szczędzi zachwytów
I stawia Cię na miejscu pierwszym — honorowym.

I choć po raz pięćsetny koncertu słuchamy,
Chłonąc piękno, zarazem roniąc łzy wzruszenia,
Śpiewaj jeszcze, bo nigdy Cię dosyć nie mamy,
Niech muzyka trwa zawsze i niech się nie zmienia.

Wszyscy, którzy kochamy swojskiej pieśni słowa,
Których sercom ustrońska piosenka jest bliska,
Prosimy Cię o bisy — śpiewaj wciąż od nowa,
Nasza droga „Czantorio" — Ty perło beskidzka!

Twe cudowne koncerty teraz i przed laty
Pozostają nam w sercach, posilają duszę,
To dla Ciebie zakwitną wszystkie polne kwiaty,
Bowiem nigdy za wiele i piękna, i wzruszeń.

Dziękujemy po stokroć nasz wspaniały chórze
Za wokalną maestrię — tego nam potrzeba!
Tu kochamy Cię wszyscy, a z pewnością w górze
Też jesteś podziwiana przez mieszkańców nieba.

Bo, gdzie tylko przybędziesz z melodią uroczą,
To nawet głaz się wzruszy siłą Twojej pieśni,
Więc „Czantorio" kochana śpiewaj nam ochoczo,
Byśmy się na tysięcznym koncercie znów zeszli.

CIESZYN W OCZACH GIMNAZJALISTÓW

Zamieszczamy wybór utworów, które wyszły spod piór uczennic i uczniów Gimnazjum nr 2 im. Jana Kubisza w Cieszynie.

CIESZYN

Jest takie miasto,
gdzie Polak i Czech
jak bracia dzielą
swe troski.

Ich wspólnym domem
Cieszyn — czeski i polski.
Dzieli ich Olza
rzeka długa i piękna
jak kolorowa wstęga.

Malwina Kociuba

Kraina pełna
miejsc tajemniczych,
a jej historia
wiele lat liczy.

Są tutaj piękne
miasta i wioski.
Ludzie, jak wszędzie,
mają swe troski.

Ale na uśmiech
ich zawsze stać,
bo to jest przecież
cieszyńska brać!

Malwina Kociuba

ŚLĄSK CIESZYŃSKI

Jest taka ziemia
wśród gór i łąk,
co się nazywa
Cieszyński Śląsk.

MOJE MIEJSCE

Miasto stare i dumne
w górski pejzaż
wplecione,
Olza, Wisła błękitem

się mieni.
To jest moja mała
ojczyzna.
Moje miejsce
na ziemi.

Katarzyna Kożuszek

WIERSZYK O MOIM CIESZYNIE

Moja miłość do Cieszyna
jest niczym wiersze — pana Tuwima,
bo kiedy patrzę na tę okolicę —
zawsze się nią zachwycę.
Dawne uliczki są takie śliczne,
jak piękne środki, te artystyczne.
Gdy wśród nich gościsz o każdej porze,
pieśń o przeszłości usłyszeć możesz.

I wtedy staje się oczywiste,
że to są strony moje ojczyste.
Można je czytać jak strofy wierszy,
Mój zachwyt nimi jest więc najszczerszy.

Przemysław Rączka

CIESZYNIANKA

Cieszynianko nasza, ty kwiatuszku wonny,
śliczny, choć maleńki, zielony, bezbronny.
Według legendy jesteś wspomnieniem
miłości naznaczonej cierpieniem.

Na co patrzyło twoje oblicze?
Na krew Polaków, której nie zliczę,
kiedy w Legionach naprzód kroczyli,
Cieszyńskiej Ziemi życiem bronili!

Wtulona w jasne słońca promienie
pomnisz, kto jeszcze kochał tę Ziemię.
To zasłużeni słowem i czynem:
Stalmach, Michejda, Reger z Londzinem.

Kwitniesz przy Olzy przejrzystej brzegu,
Kubisza słowa szepczącej w swym biegu.
A szmer tej wody pięknie powiada
o dziejach przodków, z dziada, pradziada.

Cieszynianko nasza, ty kwiatuszku wonny,
Śliczny choć maleńki, zielony, bezbronny.
Rozkwitasz od wieków wśród cieszyńskich lasów.
Skarbnica legendy. Świadek naszych czasów.

Aleksandra Solińska

WIOSENNE SPOTKANIE

Był pogodny, wiosenny dzień, a ja spacerowałam sobie radośnie wraz z walkmanem alejkami Lasku Miejskiego w Cieszynie. Słoneczko przygrzewało, listki się zieleniły, a „Metallica" dudniła w uszach na maksa. Było naprawdę odlotowo.

Usiadłam sobie na ławce i oddałam się heavy-metalowym marzeniom. Gdy kaseta dobiegła końca, z westchnieniem zdjęłam słuchawki i...

— Ej, ty, no posuń się wreszcie! Długo jeszcze mam mówić?! — usłyszałam czyjś cichy, lecz bardzo oburzony głos. Rozejrzałam się dookoła, ale nikogo nie zauważyłam.

— Chyba przesadziłam z decybelami — pomyślałam. Jednak uparty głosik nie ustępował:

— Weź ze mnie te ohydne buciory!

— Ohydne? Moje wspaniałe glany?! Wszystkie dziewczyny z klasy mi ich zazdroszczą — zdenerwowałam się, ale posłusznie przesunęłam nogi.

— Ta dzisiejsza młodzież! Niczego nie uszanuje! Niczego! Nie wiesz, że tu jest rezerwat?! I że to właśnie ja jestem w nim pod ochroną? — gderał wciąż mały kwiatek, rozprostowując zgniecione przeze mnie płatki.

— Zielony jak Shrek, a taka maruda — wyrwało mi się niechcący.

— Jaki Shrek? Jaki Shrek? Jestem *Hacquetia epipactis* — z dumą oświadczył kwiatuszek.

— Wiem, wiem. Cieszynianka wiosenna. Czytałam o tobie w książce. Ale nie miałam pojęcia, że umiesz mówić — dziwiłam się.

— Ty też byś się odezwała, gdyby cię ktoś tak brutalnie przygniótł i spłaszczył — powiedziała z wyrzutem.

— No, przepraszam. Nie gniewaj się — poprosiłam — Po prostu cię nie zauważyłam, kiedy słuchałam mojej ulubionej muzyki.

— Muzyka łagodzi obyczaje — rzucił sentencjonalnie kwiatek, a potem dodał: Dobrze, wybaczam ci. To musiała być piękna melodia, skoro zapomniałaś przy niej o całym świecie. Czy mogłabym jej posłuchać?

— Jasne — odpowiedziałam, po czym położyłam słuchawki obok cieszynianki i włączyłam walkmana. Już po kilku taktach biedna roślinka zesztywniała, nastroszyła listki i, przerażona, zawołała:

— Matko Naturo! Co to jest?! To ma być muzyka?!

Pośpiesznie wyłączyłam „Metallicę". Cieszynianka odetchnęła, a po chwili stwierdziła ze smutkiem:

— Panta rhei. Dokąd zmierza ten świat? Dawniej to były piosenki: „Listeczku dębowy", „Szumi jawor", „Czerwone lilije". Tak ślicznie śpiewała je Hanka nad grobem pewnego szwedzkiego żołnierza...

— No nie, znałaś tę Hankę z legendy?! — tym razem aż krzyknęłam ze zdumienia.

— Osobiście nie, ale moi przodkowie, którzy onegdaj pojawili się na jego mogile, zrodzeni z garstki rodzinnej ziemi owego młodzieńca, podobno z zachwytem słuchali tęsknego śpiewu samotnej dziewczyny, wspominającej ukochanego. No, ale kto dziś pamięta dawne legendy i pieśni? Nikt — podsumowała zrezygnowana cieszynianka.

— Nikt? — powtórzyłam, po czym zaśpiewałam jej „Płyniesz Olzo". Wszystkie 9 zwrotek. Kwiatuszek najwyraźniej poweselał.

— Aa, Kubisz. Ponoć chętnie tu spacerował. Ale moja babka twier-

działa, że najbardziej lubił Zamkowe Wzgórze.

— Szczególnie Wieżę Piastowską, której poświęcił kilka wierszy — zauważyłam. *Hacquetia epipactis* po raz pierwszy spojrzała na mnie z podziwem.

— Skąd tyle wiesz o Kubiszu? — zapytała.

— Jan Kubisz, nadolziański Mickiewicz, jest patronem mojego gimnazjum — wyjaśniłam.

— Non omnis moriar, jak mawiał Horacy. Gratuluję — ucieszyła się. A potem dodała:

— Wiesz, znałam kiedyś jednego nauczyciela-poetę. Nazywał się Julian Przyboś. Często tutaj przychodził.

— Pewno miał dość poprawiania szkolnych wypracowań — pomyślałam. Kwiatuszek mówił dalej:

— Siadywał tu, na tej samej ławce. Przyglądał się drzewom, kwiatom, obłokom i wsłuchiwał się w ich opowieści.

Zamyśliłam się. Przyboś? Tak, znam kilka jego wierszy. Więc odpoczywał właśnie tu? Spoglądał na to samo, co ja? A potem swoje myśli przemieniał w utwory. Ciekawe, czy też gawędził z cieszynianką? Pewno tak, poeci to potrafią — uznałam, bo przypomniało mi się wyznanie Słowackiego:

Tu każdy kwiatek powie wierszyk Zosi.
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.

Nie jestem Zosią ani, tym bardziej, Słowackim, tylko zwyczajną dziewczyną w glanach i „Metallicą" w kieszeni. Ale może i ja będę kiedyś rozmawiać z lasem, rzeką i łąką? Muszę tylko nauczyć się ich słuchać. Zrozumiałam to dziś. Dzięki... cieszyniance.

Z wdzięcznością spojrzałam na malutki kwiatuszek. Stał sobie ze swym żółtym środkiem i zielonymi płatkami, zwrócony do słońca. Nie powiedział już nic. Zresztą, może wszystko mi się zdawało? Ale nauczył mnie patrzeć na świat. I jestem mu za to bardzo wdzięczna.

Agnieszka Rozmus

Anegdotyczne

Niestrudzonym w pomysłach dowcipnisiem, nie tylko zresztą w latach akademickich, był niejaki Władek, student cieszyńskiej Państwowej Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego. To on podsunął myśl, aby odwiedzić w szpitalu ich kolegę — „cierpiętnika", któremu pod narkozą usunięto kilka zębów.

W samych odwiedzinach nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie to, że rekonwalescentowi koledzy przynieśli dużą torbę... włoskich orzechów.

NOSIŁ WILK RAZY KILKA

(OPOWIADANIE MYŚLIWSKIE)

ERWIN DEMBINIOK

Był małomówny aż do opryskliwości, ale niekiedy lubił wspominać dawniejsze czasy. Opowiadał, i to bardzo ciekawie, o lesie i o tym, jak brał udział jako naganiacz, w dużych polowaniach na dziki i cichych pędzeniach na jelenie. Kiedy go pytałem, gdzie to było, zbył mnie krótko: na północy. Nie był skłonny do wygładzania swojej chropowatej przeszłości. Czasem odnosiłem wrażenie, że żałuje tego, co powiedział. Podejrzewałem, że był kiedyś myśliwym, po czym coś się stało i przestał nim być. Znałem kilku takich w moich stronach. Z reguły nie garnęli się do myśliwskiego towarzystwa. Mieli swoje. Niektórym z nich było łyso z powodu niechlubnych czynów, których finał miał miejsce w sądzie łowieckim, a czasem w państwowym. Byli też inni. Z powodu odebrania im broni albo cofnięcia zezwolenia przez ówczesne komunistyczne władze, robili wrażenie, jakoby mieli do nas, posiadających broń, żal. Niekiedy myślałem, czy aby Patoka do nich nie należy. Ale nigdy nie rozwiązałem tej zagadki.

Pod koniec lat pięćdziesiątych był rencistą i dorabiał w nadleśnictwie. Mieszkał samotnie na odludziu pod samym lasem. Kołu łowieckiemu dokarmiał zwierzynę, utrzymywał w dobrej kondycji paśniki, posypy i ambony. Nikt nie namówił go do ścinania drzew.

Pomimo że chodził prościusieńko jak żołnierz kompanii honorowej, zawsze nosił z sobą laskę. Nosił i często się nią podpierał. Była z jałowca, z wieloma sękami przedstawiającymi artystyczne ujęcia en face głów różnej zwierzyny. W górnej części były to głowy jeleni, rogaczy, muflonów i koziorożców, trochę niżej wilków, lisów, psów i zajęcy, a na samym dole, gdzie sęki były malutkie, łasiczki, kuny i inny sympatyczny drobiazg. Wielu ludzi podziwiało artystyczną pracę i unikalne plastyczne rozwiązanie przedmiotu, któremu trudno odmówić określenia użytkowego.

— To nima nic wielkiego, każdy se może cosi takowego wystrugać — mawiał, jeśli ktoś zapytał o nabycie takiej samej albo podobnej laski.

Zainteresowanym dawał laskę do ręki, a oni podziwiali, cmokali, obmacywali, a nawet głaskali to niecodzienne cacko.

— Dyć to je lekutki jak piórko, kany żeście naszli taki fajne drzewo?

Ale Patoka nie był do dialogu. Uśmiechnął się, niedbale machnął ręką, powiedział swoje „na dyć" i temat został wyczerpany.

W soboty po południu przychodził do miejscowej gospody. Jego miejsce było za stołem koło okna. Zazwyczaj siedział sam, a jeśli się ktoś do niego dosiadł, rozmowy nie było. W tych czasach w każdym prawie lokalu gastronomicznym i szanującej się gospodzie wisiały na ścianie w drucianej oprawie, z wygodnym do trzymania, uchwytem gazety, chętnie czytane tak przez panoczków z miasta, jak i przez miejscowych gazdów.

Patoka wypił piwo, przeglądnął gazety i z sakramentalnym „z Panem Bogiem, miejcie się tu dobrze" — wychodził. Szedł w kierunku lasu i po ciemku wracał do domu.

Kiedyś zaprzyjaźniony z myśliwymi rolnik opowiadał, jak przy jasnym księżycu widział go niosącego coś ciężkiego na plecach. Ktoś inny, przy okazji zdobywania nielegalnie świątecznego drzewka, spotkał go — jak się złośliwie wyraził — pilnującego zwierzynę, ale przedtem usłyszał strzał.

Z upływem czasu Patoką zaczęła się interesować placówka straży granicznej. Wopiści chcieli wciągnąć go do współpracy, o którą sąsiedzi dawno go posądzali. Powiedział dowódcy, co myśli o donosicielstwie, o komunistach i gdzie ich wszystkich ma.

Sprawy nie było. Komendant był porządnym człowiekiem, a Patoka urósł do rangi odważnego w oczach niektórych bohatera. Nikt go też jakoś nie widział podczas podejrzanych czynności.

Od pewnego czasu słyszano, i to dość często, niekontrolowane strzały, nie wpisane do książeczek myśliwych i nie figurujące w adnotacjach straży granicznej. Po piętnastym maja zniknął przyszłościowy rogacz, na początku czerwca jeden z myśliwych znalazł w rozkładzie szpicaka strzelonego śrutem.

Największą chęć schwytania kłusownika wykazał Patoka. Chociaż nie był myśliwym, czuł się, jak mówił — zobowiązany. Przecież to jemu koło dało pod opiekę dwa uroczyska: Osiny i Jarząbek. Czuje się wobec tego współgospodarzem obwodu i nie popuści.

— Z ręką na sercu mówię, że tego pierona jasnego chycę. Na wszystko trzeba trochę czasu. Jednego miglanca mom już na oku.

Minął rok. Przyroda pachniała pełnią lata. Był sierpień. Świty wstawały nieco chłodniejsze, mgły trzymały się długo przy ziemi. Na ostro błękitnym niebie pojawiały się długie szeregi siniejących z dołu cumulusów, które w tym miesiącu należą do rzadkości. Było ciepło, ruja saren w pełni. Do odstrzału pozostał tylko jeden kozioł łowny. Otrzymał go jako nagrodę za długoletnią pracę w kole skarbnik, który w tym roku przeszedł na emeryturę. Ten piękny zwyczaj koło przyjęło od Czechów.

Senior wyjeżdżał na kozła na rowerze. Teren był płaski, było też dużo wydeptanych ścieżek śródpolnych i jazda rowerem z bronią przewieszoną przez plecy nikogo nie dziwiła. Niekiedy zabierał z sobą powierzonego do opieki kandydata do koła, Jurka.

Raz w polu spotkali Patokę, jak zawsze z laską. Nie podpierał się, ale niósł ją zawieszoną na przedramieniu lewej ręki. Ubrany jak się patrzy na myśliwego, powiedział, że zdąża do Osin, gdzie będzie naprawiał nadwerężoną ambonę.

Jeśli powiedział, że zdąża do Osin, medytuje stary, doświadczony i znający ludzi myśliwy, na pewno będzie w Jarząbku. Był to dobrze zagospodarowany, czterdziestohektarowy lasek o różnorodnym drzewostanie, graniczący od północy z dobrymi łąkami. Przez środek płynęła nieduża rzeczka, a wokół niej kilka ćwierćhektarowych łączek. Była to jedna z lepszych ostoi zwierzyny nie tylko w obwodzie, ale w okolicy. Tutaj koło urządzało sylwestrowe polowania trwające do godziny dwunastej i tu kończył się sezon polowania na zające. Obfity rozkład, miła atmosfera i ostatni w roku sygnał „koniec polowania" stanowiły piękny akcent łowieckiego życia. Z Jarząbka prowadziła mało uczęszczana droga, a raczej miedza do wsi i kawałek za chałupą Patoki wpadała prostopadle do drogi powiatowej, a ta, w pojęciu nie tylko tutejszych mieszkańców, szła w szeroki świat.

— Spróbujemy dzisiaj zapolować na kłusownika.

Jurek szybko się zorientował co do zamiarów swojego opiekuna, zwłaszcza, kiedy po godzinnym okupowaniu ambony usłyszeli w Jarząbku strzał.

Minęła godzina. Ciemność otuliła świat, kłusownika nie widać. Miał tędy wracać. Pewno wraca inną drogą i już dawno jest w domu. Nadchodzi, nie podpiera się laską, ma ją w ręku. Za sobą ciągnie trzymanego za parostki kozła. Idzie mu dobrze. Miedza jest wilgotna od rosy, a starsze koleiny są zarośnięte trawą. Kiedyś była tu granica dóbr hrabiego L. — jak pisało na mapie, z gruntami włościańskimi. Dzisiaj od zachodniej strony jest prawie już dojrzała pszenica spółdzielni produkcyjnej, po wschodniej kułackie pola. Wysoki mężczyzna idzie powoli, co kilka kroków odpoczywa.

— Ręce do góry! — krzyknęli w duecie.

— Rzuć broń! — ryknął senior.

Patoka podniósł ręce i położył laskę na ziemi.

— Mocie — rzekł grobowym głosem.

Była w niej sprytnie wmontowana śrutowa lufa kalibru dwadzieścia cztery i mechanizm spustowy, sprawny, chociaż odbiegający od zamków Hollanda.

Drugą, prawie identyczną, nosił kłusownik na co dzień dla niepoznaki. Jedynym człowiekiem, który wiedział, kiedy ma przy sobie broń, a kiedy laskę, był nasz jubilat.

Zawsze, kiedy się podpierał, była to laska, a kiedy była trzymana na przedramieniu — jednorurka. Przecież wylot lufy i muszka nie mogą być przed oddaniem strzału zanieczyszczone...

Jan Wałach — *Gościna dzieci*, 1835, drzeworyt.

RÓŻNOŚCI

HISTORIA PEWNEJ WIDOKÓWKI

JADWIGA ROIK

W Kalendarzu Cieszyńskim ukazało się na przestrzeni ostatnich lat kilka artykułów z fragmentami historii Jaworza z okresu, w którym było ono przez 154 lata (1752—1906) w rękach dwóch spokrewnionych rodów: Laszowskich herbu Nałęcz (2 pokolenia) i Saint-Genois d'Anneaucourt (4 pokolenia). Do wielu pozostałych po nich zabytkach należy znajdujący się na cmentarzu katolickim cmentarzyk hrabiowski, gdzie spoczywają niegdysiejsi właściciele dóbr jaworzańskich, spośród których te wyżej wymienione sześć pokoleń zapisało się szczególnie pozytywnie w historii naszej miejscowości. Nic więc dziwnego, że — mało o nich wiedząc — rozpoczęto przed laty, już w sprzyjającej tego typu działaniom sytuacji, przy wydatnej pomocy muzeum Śląska Cieszyńskiego, a także Rollettmuseum w Baden pod Wiedniem, zbieranie wiarygodnych materiałów przybliżających ich życie, które okazało się być bardzo interesujące.

Trwające nadal poszukiwania są pasjonujące. Dotarliśmy bowiem, krok po kroku, do żyjących jeszcze dziś potomków. Dzięki ich bezinteresownej przychylności oraz niespodziewanym innym okolicznościom wiele pytajników dotyczących historii z tego okresu znalazło odpowiedź. Cierpliwe dociekania przynoszą czasami niespodziewane rezultaty.

W listopadzie 2003 r. jaworzański kolekcjoner widokówek Jaworza Ryszard Stanclik zakupił na aukcji widokówek w Bytomiu blisko 100-letnią widokówkę wysłaną wg stempla pocztowego 7.III.1908 r. z Jaworza do Baden pod Wiedniem, która zawiera kawałek historii naszej miejscowości. Zagadką pozostanie droga tejże widokówki z Baden do Bytomia: kto, kiedy i gdzie upłynnił ją z rodzinnych zbiorów. Adresatka — hrabina Franciszka Bylandt-Rheidt — córka założyciela uzdrowiska Jaworza — Maurycego hr. Saint-Genois d'Anneaucourt — zmarła w 1929 r.

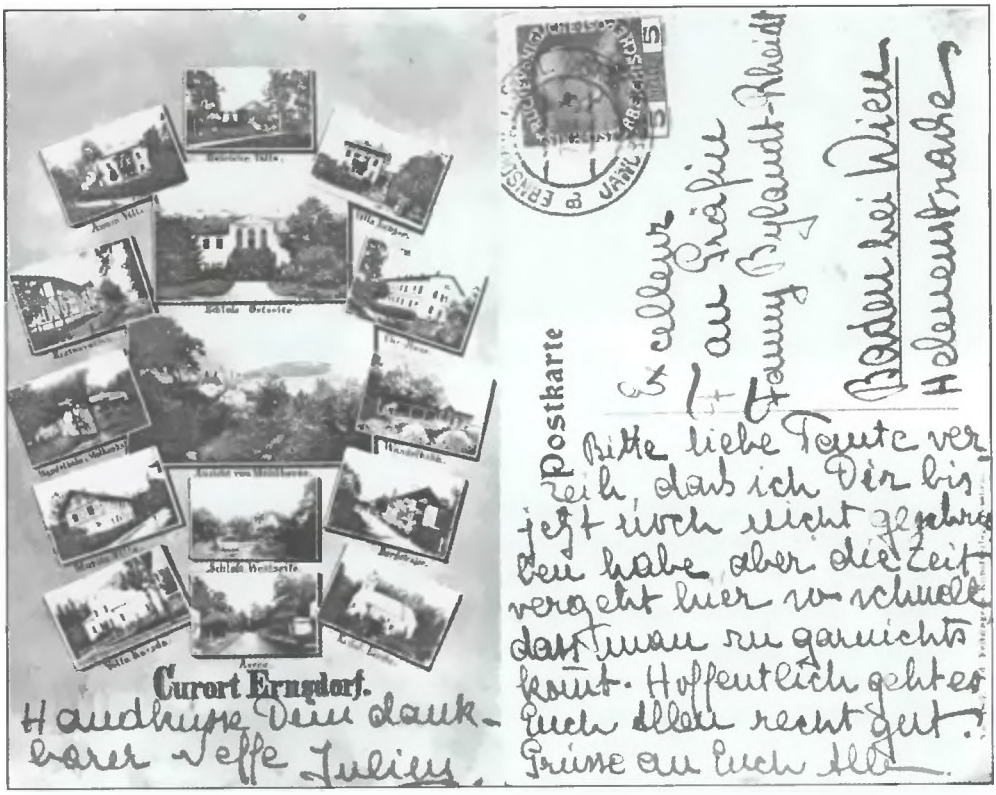

Widokówka z roku 1908, która dała asumpt do napisania niniejszego artykułu.

Ostatni z czterech kolejnych właścicieli Jaworza z rodu hrabiów Saint-Genois — hrabia Filip Ernst (syn Maurycego) — stracił Jaworze na licytacji w 1906 r. Na podstawie umowy zawartej z nowym właścicielem, najbogatszym wówczas magnatem na Śląsku Cieszyńskim, Henrykiem hrabią Larisch-Mönnichem, rodzina przebywała jeszcze w jaworzańskim zamku około dwóch lat — prawdopodobnie w celu uporządkowania różnych spraw.

Widokówkę wysłał z Jaworza syn Filipa Ernsta (najstarszy z pięciorga jego dzieci) — Julius. Adresowana była do cioci — przyrodniej siostry ojca — hrabiny Franciszki Bylandt-Rheidt. Treść zapisu na widokówce w przetłumaczeniu na język polski brzmi:

Ekscelencja Pani Hrabina Fanny Bylandt-Rheidt, Baden koło Wiednia ul. Helenenstrasse — Proszę, kochana Ciociu, wybacz, że do chwili obecnej jeszcze nie napisałem, ale czas leci tu tak szybko, że do niczego nie mogę dojść. Mam nadzieję, że wszystkim Wam wiedzie się całkiem dobrze. Pozdrowienia dla Was wszystkich. Na tytułowej stronie dopisek: *Ucałowania rąk. Twój wdzięczny bratanek Julius.*

Z treści można domniemywać, że Julius był obarczony porządkowaniem spraw związanych z utratą majątku i miał prawdopodobnie ze strony

Julius z najmłodszą siostrą. Jej prawnuczki odwiedziły Jaworze w roku 2005 r.

hrabiny pomoc finansową. Jego dziadek — założyciel uzdrowiska Jaworze, Maurycy — zapisał przed śmiercią majątek w Baden tejże córce, która była damą dworu, później żoną namiestnika Dolnej Austrii Artura, damą Krzyża Gwiaździstego, oraz damą Orderu Elżbiety I Klasy. Jej córka — również Franciszka (nazywana tak jak jej matka „Fanny") — wyszła za mąż w 1910 r., za arystokratę polskiego Romana Nałęcz-Małachowskiego. Do dnia 2 kwietnia 2006 nie były znane dalsze losy tejże córki, co było by bardzo ciekawe. Wiedzieliśmy z posiadanej klepsydry o zgonie hrabiny, że w jej pogrzebie, który odbył się w Baden 9 grudnia 1929 r., uczestniczyła zarówno córka, jak i jej mąż, rycerz Roman Malachowski.

W powiązaniu z powyższym wart przytoczenia jest artykuł pod tytułem *Stare monety* zamieszczony w 1913 r. w gazecie cieszyńskiej „Ślązak" — nr 4, str. 4:

W ostatnim czasie zauważyła policja w Bielsku, że niektóre osoby z okolicy Jaworza zamieniają gdzie mogą stare monety z czasów wojen tureckich. Nareszcie wyszła cała sprawa na jaw. W pewnym budynku w Jaworzu „Georgsvilla" (m. p.: za czasów Saint-Genois „willa Kwisda"), *należącym do hrabiego Larischa-Mönnicha, mieszka praczka Bienek* (czytaj „Binek). *Jej syn Józef, wałęsając się po strychu budynku, znalazł tam pomiędzy rupieciem skrzynię z dokumentami rodziny hr. St. Genois i skórzany woreczek z 800 gramami złotych i srebrnych monet z roku 1635 i 1671. Chłopiec przywłaszczył sobie ten skarb i sprzedawał monety różnym osobom po 2 K za sztukę.*

Wszystkie znalezione monety znajdują się obecnie w urzędzie policyjnym w Bielsku. Hr. St. Genois jun., urzędnik bankowy w Bielsku, zgłosił się na policji i oświadczył, że o znalezionych monetach nie wiedział żaden, atoli pewnym jest, że pochodzą one od jego przodków i są własnością rodziny St. Genois.

Brak imienia hrabiego uniemożliwiał ustalenie, który z potomków tego rodu mieszkał i pracował w owym czasie w bielskim banku. Z zakupionej przez Ryszarda Stanclika widokówki wynikło, że był nim Julius, urodzony

Julius na koniu przed pałacem.

w 1887 r. W jaworzańskiej kościelnej kronice jest on zapisany jako pierwsze dziecko (z pięciorga), z notatką „urzędnik bankowy w Wiedniu". Przy nim jest niewyraźna adnotacja, jakoby padl na froncie, co okazało się nieprawdziwe. Nieczytelny zapis informował jedynie, że jest on na froncie. Wymieniony był chrzczony w Jaworzu w 1888 r. i w jego metryce jest przypisek ówczesnego proboszcza Jana Mrkwy, wpisany na podstawie zawiadomienia wiedeńskiego magistratu z dnia 11.2.1919 r., o jego wystąpieniu z Kościoła katolickiego. Przy okazji przytacza się jako ciekawostkę wszystkie nadane mu przy chrzcie imiona: Julius, Alphons, Eusebius, Moritz, Ludwig, Joseph, Karl, Albert, Cyriacus, Joachim, Franz, Ferdinand, Hermenegildus, Ceferinus, Aetius.

W wydawanych okresowo notatkach heraldycznych jest odnotowane, że tenże Julius był dwukrotnie żonaty. Pierwsze małżeństwo zawarł w Wiedniu w 1920 r. z Matyldą von Hölber. Po rozwodzie ożenił się powtórnie w Leibach (Lubliana) w 1932 r. z wdową Mariką, Gaal de Gyula z hrabiów Desseloffy von Csernek und Tarkö. Z małżeństw tych nie było żadnych potomków. Julius zmarł w majątku swojej siostry Marii del Pilar (całość jest imieniem) w Karyntii w 1961 r. Pochowany został w grobowcu Saint-Genois w Baden pod Wiedniem. Na obelisku widnieje napis, że „zmarł ostatni hrabia Saint-Genois". Z jego zgonem przestał istnieć ród znany od czasu wypraw krzyżowych. Brak męskiego potomka rodu spowodował jego zanik. Pozostający przy życiu potomkowie wywodzą się z linii żeńskiej.

Nie wiadomo, jak długo Julius był w Bielsku. W kronice kościelnej o pogrzebie jego ojca, który został w 1916 roku pochowany na hrabiowskiej części cmentarnej w Jaworzu, nie ma żadnej wzmianki o uczestniczeniu rodziny w pogrzebie. Hrabia Filip Ernst przyjechał na coroczny letni wypoczynek do Jaworza, rozchorował się i zmarł w szpitalu w Bielsku. Przyjęto, że został pochowany wśród swoich (czego chyba bardzo pragnął) przez Henryka hrabiego Larischa, w którego (niegdyś swoim) zamku wynajmował pokój na letni pobyt.

To zdarzenie z widokówką dowodzi, że każdy dodatkowo zdobyty dokument może wnieść coś nowego, lub wpłynąć na zmianę treści zebranych na przestrzeni lat zapisków z przeszłości.

Julius na portrecie Schada

W marcu 2005 r. otrzymano od prawnuczki Filipa Ernsta z Salzburga kilka nowych dokumentów, między którymi znajdowała się m.in. klepsydra o zgonie Filipa Ernsta, wydana przez syna Juliusa, z treści której wynika, że rodzina w pogrzebie uczestniczyła, co nie zostało odnotowane w kronice.

Wiadomo, że w dzisiejszej dobie ciekawych informacji dostarcza także internet. W roku 2005 ukazała się notatka o wystawie ciekawych prac artysty-malarza Christiana Schada (1894—1982), zorganizowanej w 2004 r. z okazji 100-lecia urodzin artysty w nowej placówce artystycznej Neue Galerie poświęconej sztuce austriackiej i niemieckiej. Na wystawie, czynnej przez blisko rok, zgromadzono około stu prac. Jednym z wystawionych obrazów był wysoko oceniony pod kątem sztuki portret hrabiego Saint-Genois w znanym kabarecie Moulin Rouge w Paryżu. Kustoszowi Mariuszowi Makowskiemu udało się ściągnąć z internetu zarówno tekst jak i obraz. Ponieważ brak było imienia, nie było wiadome, którego członka tej rodziny on

Iska z domu Rekowska.

dotyczy. Dopiero po kontakcie z prawnuczkami Filipa Ernsta, będącymi w posiadaniu zdjęć rodzinnych ustalono, że jest to portret najstarszego jego syna Juliusa. W internetowym artykule na ten temat podkreślono, że wystawa może się podobać, gdyż obrazy Schada tchną elegancją i są pełne głębokiego realizmu w szczegółach, a zarazem jakby odrealnione i groteskowe. Domniemywać należy, że życie Juliusa na pewno nie było monotonne, ale pod koniec życia pozostawał w zasadzie na utrzymaniu swojej najmłodszej siostry Marii del Pilar, w której majątku zmarł. Pochowany jest, jak już wyżej wzmiankowano, w grobowcu Saint-Genois na zabytkowym cmentarzu Św. Heleny w Baden pod Wiedniem.

Bliższe kontakty nawiązane z potomkami: Dianą spod Wiednia i Marią del Pilar (imię po babci) z Salzburga, zaowocowały zdobyciem dodatkowych dokumentów dotyczących historii tej rodziny, które — przekazane przez nich w sierpniu 2005 r. w formie archiwum rodzinnego do Muzeum Śląska Cieszyńskiego, materiały te na pewno dostarczą jeszcze wielu ciekawych informacji.

Wracając do wyżej zamieszczonej wzmianki, że do 2 kwietnia 2006 r. nic bliższego nie wiedzieliśmy o dalszych losach wnuczki Maurycego Franciszki Nałęcz-Małachowskiej, los uśmiechnął się do nas. W lipcu 2005 roku nasza dociekliwa grupa w osobach: Mariusza Makowskiego, Ryszarda Stanclika i mnie, wraz z dyrektorem Rollettmuseum w Baden dr. Rudolfem Maurerem, który współpracuje z nami od 2002 roku, szukała śladów rodziny St. Genois na zabytkowym cmentarzu Św. Heleny w Baden. Natrafiono na grobowiec rodziny St. Genois, o którym już wyżej była mowa oraz grobowiec rodziców Franciszki Nałęcz-Małachowskiej, hrabiów Bylandt-Rheydt. Drugi człon nazwiska pojawia się w dokumentach raz w wersji „Rheydt", innym razem „Rheidt". Jakież było nasze zdziwienie, kiedy zobaczyliśmy, że w grobowcu tym pochowany został w 2003 r. Stanisław Arthur von Wantoch-Rekowski, urodzony w 1936 r. w Koszutach (w Poznańskiem). Dzięki pomocy

dr. Maurera otrzymaliśmy adres i nr telefonu Arthura Rekowskiego, rzekomo opiekującego się tym grobem. Przez okres ponad czterech miesięcy telefon był głuchy, wobec czego odważyłam się zwrócić na adres domowy z pismem, popartym paroma dokumentami, o dane dotyczące Maurycego i jego potomków. List wysłałam 22 marca 2006 r. do Wiednia.

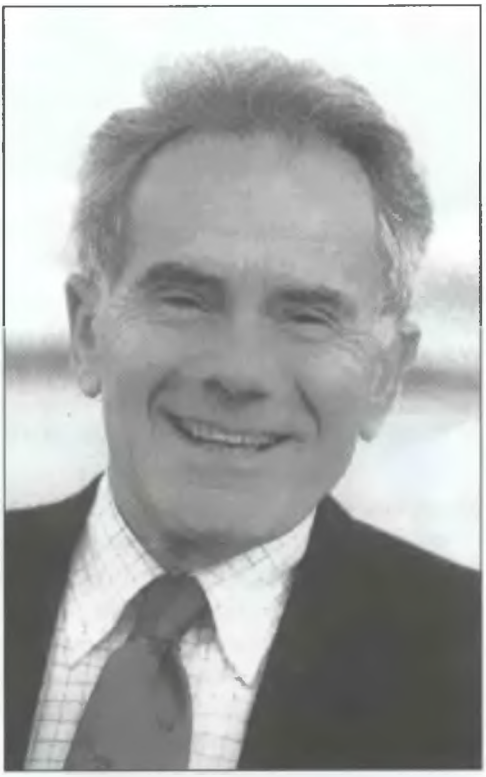

Stanisław Artur Rekowski.

W dniu 2 kwietnia 2006 r. w godzinach wieczornych zadzwonił telefon. Przedstawiła się p. Franciszka z domu Rekowska, siostra — jak się okazało — nieżyjącego już Arthura, którym był de facto ów pochowany w 2003 r. Stanisław Arthur. Telefon był z Ameryki, gdzie pani ta mieszka od 1965 r., a od 1969 r. jest żoną Amerykanina. Nasze dokumenty przesłała jej szwagierka z Austrii natychmiast po ich otrzymaniu z Jaworza. Rozmowa trwała około godziny i zaowocowała przesłaniem nam poszukiwanych od dłuższego czasu wiadomości na temat dalszych losów wnuczki Maurycego. Okazało się bowiem, że wnuczka ta zamieszkiwała wraz z mężem Romanem w Polsce. Jego ojciec był w Polsce międzywojennej prezydentem miasta Lwowa. Tam też w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim została pochowana w 1933 r. wcześnie zmarła żona Romana. Poprzez małżeństwo jedynej córki — Gabrieli — Małachowscy związali się z arystokratyczną rodziną Rekowskich w Koszutach na Ziemi Średzkiej (poznańskie).

Rodzina ta dwa razy traciła swój majątek: w 1941 zabrany przez Niemców, w 1945 r. przejęty na rzecz Skarbu Państwa Polskiego. Zięć Małachowskich — Kazimierz Rekowski (ojciec p. Franciszki mieszkającej w Ameryce), pozbawiony przez Niemców majątku, złamany zastrzeleniem na ulicy jednego z braci i wtrąceniem drugiego do niewoli, sterany ciężką przymusową pracą oraz powojenną sytuacją, zmarł w 1952 r. w wieku 42 lat i jest pochowany w miejscowości Krerowo. Roman Małachowski, który po śmierci żony ożenił się w r. 1937 powtórnie, zmarł w 1958 r. i spoczywa na cmentarzu w Poznaniu.

Jedynym schronieniem dla tej rodziny stali się krewni z Austrii, głównie brat nieżyjącej Franciszki Małachowskiej, dokąd im się z trudem udało

przedostać. Franciszka Rekowska, urodzona w 1938 r., podpisująca się „Iska", poinformowała, że do emerytury pracowała przez 27 lat w banku szwajcarskim, a obecnym jej pragnieniem jest wykorzystanie talentu, jaki odziedziczyła po swoich przodkach — Maurycym i Gabrieli hr. Saint-Genois d'Anneaucourt (rodzicach jej prababci), w którym byli uzdolnionymi malarzami.

Jej dwa lata starszy brat Stanisław Artur Rekowski, zmarły w 2003 r., był wysoko cenioną postacią w Wiedniu. Reprezentował Austrię we współdziałaniu z holenderskim, najważniejszym dla Austrii miastem portowym Rotterdam. W wielu pośmiertnych artykułach przedstawiany jest jako człowiek o ciepłej osobowości, z dużą dozą humoru, zdolny zarówno do działań jak i do poświęceń. Rodzina, poza Austrią, otrzymała kondolencje z Firm z Holandii, Hong-Kongu, Chin, Niemiec, Węgier, Japonii, Czech i USA (Chicago i Houston).

Tak więc, dzięki jednej małej widokówce, zakupionej na aukcji w Bytomiu, która stała się zachętą do pójścia jej śladami, udało nam się poznać niezwykłe losy potomków niegdysiejszych pozytywnych właścicieli dóbr jaworzańskich i wzbogacić nasze zbiory kronikarskie (Zamieszczone zdjęcia pochodzą z internetu i z albumów rodzinnych).

Anegdotycznie

Znanego cieszyńskiego budowniczego, prawdziwego „hetmana oryginałów", wyróżniał swoisty znak rozpoznawczy: rękę miał mocną niczym szczęki imadła.

Nie chcąc zatem doznać zmiażdżenia, wtajemniczeni przy powitaniu podawali mu zwiniętą w kułak dłoń.

Ostrożnie witać należało się także z dyrektorem pewnej fabryki.

Obaj znali się tylko ze słyszenia, i choć miasto nie należy do molochów, nie mieli okazji, by poznać się osobiście.

Chwila taka nadejść musiała. I nadeszła.

Traf chciał, że dyrektorowi towarzyszył znajomy budowniczego, jemu zaś kolega dyrektora. Panowie spotkali się na ulicy Głębokiej, przy ramiarni obrazów (dziś mieści się tam herbaciarnia). Po wzajemnym przedstawieniu, uradowani poznaniem się, podali sobie dłonie tak, jak było to w ich zwyczaju. Budowniczy, który stał tyłem i blisko wystawowego okna, przyjmując powitalny cios, łokciem uderzył w szybę, która z hukiem i brzękiem osypała się na trotuar...

Ubawieni jak nigdy — panowie solidarnie i bez szemrania ponieśli koszt naprawy wystawowej witryny.

DRUCIARZE ZNAD WAGU

KRZYSZTOF IMIELSKI

Drutować, flekować — tym wołaniem oznajmiali swe przybycie. Wędrowni druciarze ze Słowacji za czasów Austro-Węgier niemal wrośli w pejzaż Śląska Cieszyńskiego. Jeszcze dziś możemy czasami spotkać gdzieś na strychach, wśród zapomnianych rupieci, pęknięte misy, dzbany i talerze, oplecione misterną siateczką z drutu — pamiątki po ludziach i czasach, których dawno już nie ma.

Drutować, flekować — usłyszawszy te słowa, moja prababcia zbiegła raźno po schodach. Na skraju Górnego Rynku stał szczupły, ciemnowłosy mężczyzna z drewnianą skrzynką na plecach, z której wystawały zwoje drutu. Towarzyszył mu mały chłopiec, z zainteresowaniem patrzący na czerwony tramwaj, który właśnie nadjeżdżał Wyższą Bramą. Druciarz skinął na chłopca i obaj podeszli do prababci.

— Sprawicie nóm mise? Hej, pani — odpowiedział majster.

Jego mowa zdradzała nietutejszy akcent. Weszli na piętro kamienicy po skrzypiących, drewnianych schodach. Prababcia zdjęła z kredensu rozbitą kamionkową misę na ciasto, która czekała tam na przybycie wędrownego rzemieślnika. Znalazł się i mały, pęknięty talerz. Druciarz, siedząc przy kuchennym stole, wprawnymi ruchami oplatał rozbitą misę siateczką z cienkiego drutu. Chłopiec zrazu podawał mu narzędzia z drewnianej skrzynki, którą majster przyniósł na plecach, potem dostał do roboty ów porcelanowy talerz.

Prababcia *dziwowała się*, jak szybko misterna siateczka pokrywa kamionkową misę. Mały pomocnik już zdrutował talerz. Prababcia zauważyła, jak ukradkiem spogląda na świeżo upieczony kołacz.

— Na, syneczku, szykownie żeś to zrobił, dóm ci cosi na lepsze — podała mu kawał ciasta.

— Florko nie jest mój — odezwał się milczący dotąd druciarz — jego ojciec szedł do Ameryki, robi tam w wielkiej fabryce. Hej, wielu druciarzy, takich jak ja, poszło do świata...

— A skąd jesteście? — spytała prababcia.

— Z Kysuc, tam hnet za Jabłonkowem.

* * *

Czy taka właśnie jest historia drutowanych naczyń, które były w kuchni babci i prababci? Szczegóły tych zdarzeń, drutowaną misę, prababcię, babcię, druciarza i jego domniemanego małego pomocnika — już dawno zabrała rzeka czasu. Ostał się tylko pęknięty talerz, opleciony drutem przez jakby lekko niewprawną rękę.

Druciarstwo (słow. *drotárstvo*) narodziło się właściwie z nędzy. Mieszkańcy podgórskich okolic Żyliny i Czadcy, nie mogąc się używić z uprawy roli, opanowali sztukę oplatania drutem przedmiotów z ceramiki. Początko-

Naczynia drutowane, w środku dzban flekowany. Własność: Považské múzeum, Żylina 1999.

wo naprawiano w ten sposób rozbite już naczynia, później zaczęto oplatać też naczynia nowe, by uchronić je przed rozbiciem. Koszt takiego drutowania musiał być — mówiąc dzisiejszym językiem — konkurencyjny w stosunku do cen samych naczyń. Z czasem druciarze zaczęli nie tylko naprawiać, ale i wytwarzać różne przedmioty gospodarstwa domowego. Prócz drutu, stosowali później też blachę — do łatania garnków, ale i w swych rękodzielniczych wyrobach.

Druciarstwo wywodzi się z doliny Wagu (słow. *Považie*, nazwa analogiczna do Powiśla), ściślej: z jej odcinka w pobliżu Żyliny — i z Kisuc (*Kysuce*), sąsiedniego rejonu, położonego tuż za granicą ówczesnych Węgier. Teren ten leży w trójkącie, wyznaczonym przez miasta: Żylina, Bytcza

i Czadca. Spośród wielu wędrownych rzemiosł, uprawianych w tej części Europy, druciarstwo jako jedyne było właściwe tylko Słowakom. Swoją rolę odegrała tu bliskość Śląska, gdzie wytwarzano materiały potrzebne druciarzom. Później powstał kolejny ośrodek — na północnym Spiszu.

Druciarstwo narodziło się prawdopodobnie na początku XVIII stulecia. Jego rozkwit przypada na koniec wieku XIX. Druciarze mieli swoje organizacje cechowe, dbające tak o jakość rzemiosła, jak i losy *towaryszy*. Było to rzemiosło na swój sposób elitarne — druciarze wytworzyli nawet swój własny język, *argot*, niezrozumiały dla niewtajemniczonych. W szczytowym okresie w okolicach Żyliny rejestrowano 10 tysięcy (!) druciarzy. Nic więc dziwnego, że

Skrzynia wędrownego druciarza — po słowacku zwana „krosną", mieszcząca narzędzia i materiał. Na pierwszym planie pułapki na myszy — typowe wyroby druciarzy. Własność: Považské múzeum, Żylina.

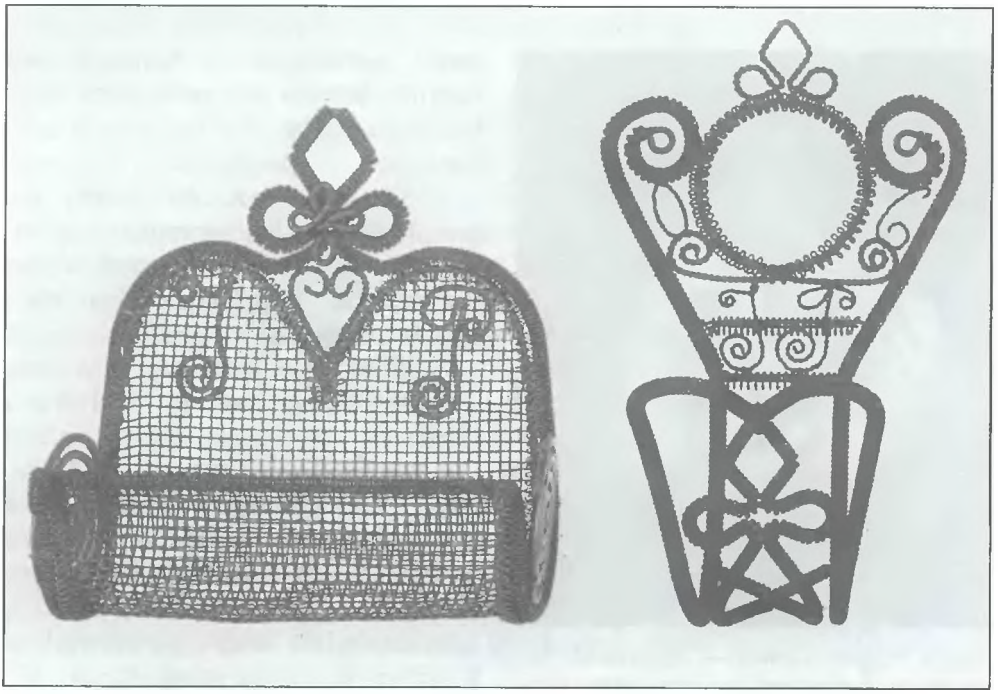

Przedmioty użytkowe z drutu. Własność: Považské múzeum, Żylina 1999.

pracy i zbytu na swe wyroby szukali poza rodzinnymi stronami. Wędrowali po okolicach bliższych (jak Śląsk Cieszyński) i dalszych — niemal po całej Europie. Od połowy wieku XIX nierzadko emigrowali, zakładając na obczyźnie warsztaty, z czasem przekształcane w manufaktury, czy nawet fabryki. Jedna z takich manufaktur działała w Warszawie, prowadził ją Jozef Holánik-Bakel' (1863—1924), pochodzący z „druciarskiej wsi" Dlhé Pole. Odnosił on również sukcesy jako twórca prac artystycznych — naturalnie wykonywanych z drutu. Druciarze znad Wagu docierali jednak o wiele dalej: do Egiptu, obu Ameryk, na Syberię, a nawet do Australii. Nie zawsze pracowali na swoim — nieraz podejmowali pracę jako robotnicy w przemyśle metalowym. Często wyjeżdżali za ocean

Drotár s džarkom — naturalnej wielkości postać druciarza i jego pomocnika, dzieło mistrza druciarskiego Jozefa Keraka (1942). Własność: Považské múzeum, Żylina.

Eugene Andrew Cernan — amerykański kosmonauta z druciarskim rodowodem (foto: NASA, zdjęcie z r. 1971).

sami, zostawiając na Słowacji swe rodziny, którym posyłali ciężko zarobione pieniądze. Nie wszystkim było dane do nich powrócić.

Słowaccy druciarze, którzy zapuścili korzenie za oceanem, zachowywali zwykle w sercu miłość do starego kraju. Możemy spotkać ufundowane przez nich kapliczki, a nawet pomnik, upamiętniający wędrownych druciarzy. Spośród wielu kisuckich druciarzy, którzy przed I wojną światową wyjechali do Ameryki, na szczególną wzmiankę zasługuje Štefan Čerňan — a to za sprawą swojego wnuka, Eugena Andrewa Cernana, który w roku 1972, jako astronauta NASA, wylądował na Księżycu w trakcie misji Apollo 17. Kosmonauta ze wzruszeniem odwie-

dził przed kilku laty rodzinne strony swego dziadka (wieś Vysoká nad Kysucou). Na tym nie koniec jego słowiańskiego rodowodu: wędrówka śladami przodków zaprowadziła go również do południowych Czech. Mimo niemłodego już wieku gotów jest, jak mówi, w każdej chwili polecieć na Marsa.

Po I wojnie światowej druciarstwo zaczęło szybko zanikać. W latach 40., jeszcze wśród wojennej zawieruchy, zaczęła się krystalizować idea udokumentowania dziejów tego rzemiosła. W roku 1940, we wspomnianej już „druciarskiej wsi" Dlhé Pole, zorganizowano pierwszą wystawę o tej tematyce. Muzeum Miejskie w Żylinie, od swego początku orientujące się na druciarstwo, powstało w roku 1942 w żylińskim ratuszu. Do jego zbiorów włączono owoce tych właśnie wystaw. Są wśród nich prace artystyczne, wykonane przez doświadczonych rzemieślników, którzy wcześniej wytwarzali przedmioty użytkowe, choć też nie pozbawione piękna. Szczególną uwagę zwraca naturalnej wielkości postać druciarza i jego małego ucznia.

Współczesne wyroby artystyczne druciarzy słowackich. Źródło: www.drotarstvo.sk.

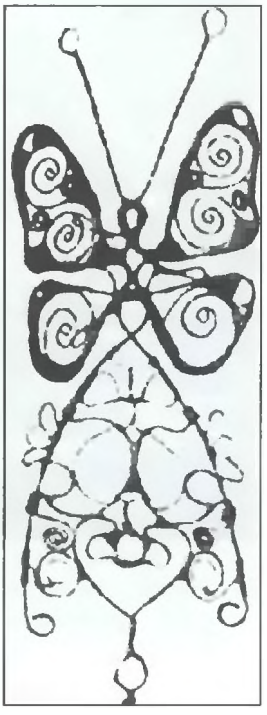

Považské múzeum mieści się obecnie w zamku, który widzimy po prawej stronie, wjeżdżając do Żyliny od strony Cieszyna (dzielnica *Budatín* przed mostem na Wagu). Zamek, otaczający go angielski park i sama ekspozycja — przechodzą właśnie gruntowną odnowę. Oprócz stałych wystaw, z których jedna jest oczywiście poświęcona druciarstwu, do końca roku 2006 można zobaczyć czasową wystawę z okazji 600-lecia innej „druciarskiej wsi" — Vel'ké Rovné, do której kompletowano eksponaty przez ponad 10 lat. Patronat nad nią objął sam prezydent Słowacji. Zobaczymy na niej przedmioty, które nieraz widzieliśmy na Śląsku Cieszyńskim, ale dotąd nie przypuszczaliśmy, że wyszły spod ręki druciarzy, przybyłych znad nie tak dalekiego przecież Wagu.

Bronisław Kohut — *Góralka z dzichtą,* linoryt.

KARWINA — KRAJ LAT DZIECINNYCH

EMILIA GIBIEC

Niebo lazurowe, lekki wietrzyk, rześcy i radośni uczestnicy. Grupują się oni w wyznaczonym miejscu, na placu Juliusza Słowackiego, w pobliżu Liceum im. Adama Osuchowskiego w Cieszynie, czyli po prawej stronie Olzy. To dobra zapowiedź wycieczki do „kraju lat dziecinnych". Miejscem docelowym, do którego zaplanowano dotrzeć, jest górnicza Karwina. Kalendarz wskazuje 20 maja 2006 roku.

Uczestnikami wycieczki są harcerze, którzy wywodzą się z koła o nazwie „Korzenie" oraz jego sympatycy. Skład przedstawia się następująco: Władysława Sikorowa, hm Elżbieta Kasperlik, Eugenia Panak, Anastazja Żur, Małgorzata Buława — harcmistrzynie oraz hm ppłk Wilhelm Poluk, phm Stanisław Broda, Barbara Kusy, Eugeniusz Kusy, Mieczysław Kurz, pwd Agnieszka Jureczek, Genowefa Cięgiel; wielu było także harcerzy (seniorów) z Zaolzia. Wśród sympatyków znaleźli się: Otylia Gajger — solczanka, inż. Antoni Juroszek, Jan i Emilia Gibcowie. Autokar ruszył „wypełniony po brzegi".

Organizatorem wycieczki był „karwiński synek" — Władek Kristen, wypełniający zakon słów Gustawa Morcinka: *Człowiek winien spłacić dług ziemi, na której się urodził.* Spotkanie ludzi mieszkających dziś po obu stronach Olzy było wyjątkowe. Ich losy potoczyły się różnymi drogami. Młodość już odeszła, a z nią wielu bliskich, znajomych. Chociaż łza się w oku kręciła pod wpływem przywoływanych wspomnień, widoczne było, że ludzie ci nie ulegają przeciwnościom losu, wykonują biblijny nakaz, „nieoglądania się wstecz". Każdy z nas ma chwile, kiedy staje się filozofem i odkrywa ze zdziwieniem, że kolejny, nowy dzień, jest zawsze pierwszym z reszty naszego życia. Ta świadomość, i możliwość otrzymywania codziennie tej niespodzianki, daje siłę do dalszego pielgrzymowania. *Duch w nas młody i zdrowy,*

W karwińskim lesie. Chwila zadumy przed pomnikiem upamiętniającym ofiary hitlerowskiego terroru.

powiadali niektórzy z wycieczkowiczów, a to, że *nogi twarde i nie chcóm sie łogibać*, to normalne, trzeba się nauczyć z tym żyć.

Jak już wspomniano, miastem, do którego w ten majowy dzień postanowili powrócić „synowie i córki" ziemi zaolziańskiej, była górnicza Karwina. Nazwa tej wyjątkowej miejscowości pochodzi z języka starosłowiańskiego, w którym słowo „karwia" znaczy „krowa". Karwina, była więc, dawno, dawno, temu... wioską rolniczą, jak wiele innych koło Cieszyna. Ludzie trudnili się hodowlą bydła, prowadzili małe gospodarstwa, a krowy były żywicielkami rodzin. Krótko mówiąc, żyli oni w zgodzie z przyrodą. Tu należałoby sięgnąć do opracowań historycznych, mówiących o pradziejach tej miejscowości. Cel naszego wywodu jest jednak nieco inny. Opisując wędrówkę, postanowiliśmy poruszać się w przestrzeni czasowej znanej wielu uczestnikom wycieczki z autopsji, a więc — wyruszyć w głąb minionych czterdziestu lat. Jaka była Karwina w tamtym okresie, a jaka jest dziś? Kilkakrotnie padały w czasie wycieczki zdania, że Karwiny, tej sprzed 40., a nawet 25. lat, już nie ma. „Zapadła się pod ziemię"! Patrząc na mapę Karwiny z 1938 roku, z łatwością możemy naliczyć siedem kopalń. Nazwy ich były różne i nosiły znamiona czasów, w których były nadawane.

Co pozostało dziś z tamtego dorobku? Kierowca autokaru wybiera wyznaczone przez przewodnika miejsca postoju, które dla przeciętnego wycieczkowicza wyglądają niezbyt interesująco. Jest dużo zieleni, przyroda gospodaruje sama, w niektórych miejscach wysypiska gruzu, jakby broniące wjazdu w miejsca, które potrzebują jeszcze ciszy, aby odpocząć po walce z żywiołami! Przemieszczamy się dalej,

Uczestników wycieczki „w przeszłość" powitał ks. Ernest Dostal.

z okien autokaru nadal nie widać „nic ciekawego". Interesujące natomiast są reakcje uczestników wycieczki, tych, którzy pamiętają zwiedzane okolice sprzed kilkunastu lat. Ludzie ci nie potrafią opanować smutku, zdziwienia, rozgoryczenia. Gdzie to wszystko się podziało? Tu były dwie szkoły, biała i czerwona, tu stał Dom Robotniczy „Praca", tam była czytelnia, w niej odgrywane były przedstawienia przez aktorów-amatorów, itd. Wciąż słychać zapytania o miejsca dokładnego posadowienia nieistniejących już budynków. W czasie tej podróży towarzyszy nam często cisza. Jest ona wyjątkowa. Surowa. Staraliśmy się ją uszanować. Miejsc, w których dziś rządzi, pozostało kilka. Są to miejsca szczególne. Trwają jako niemi świadkowie tamtych lat.

Pierwszym z tych miejsc jest kościółek, a w nim Barbara, nie czekająca już na górników, wiedząca, że wielu z nich odpoczywa na po-

Modlitwa za tych, którzy nie wrócili z szychty.

Jak każe tradycja, gdy spotykają się ludzie spod znaku lilijki, rozpalić trzeba ognisko.

bliskim cmentarzu, pokonanych przez żywioły. Kościółek pw. św. Piotra z Alkantary, który osunął się ponad 30 metrów w głąb ziemi, razem z przylegającym do niego terenem i odchylił się od pionu w widoczny sposób, trwa nadal. Jak dom zbudowany na skale. Pamięta świetność tej ziemi, jej radości i smutki. W kościółku tym wita nas ks. Ernest Dostal. Jego zasługi dotyczące starań o zachowanie świątyni trudno byłoby opisać w tej krótkiej relacji. W tym dniu odprawił on nabożeństwo w intencji górników: tych, którzy odeszli i tych, którzy pozostali w rozproszeniu, wiernych synów tej ziemi. Modliliśmy się wspólnie, o to, co przed nami. W murach świątyni zabrzmiała pieśń *Gaude Mater Polonia*, w wykonaniu chóru „Hasło" (szkoda tylko, że odtworzona z taśmy magnetofonowej). Utwór ten brzmiał już w tym miejscu na żywo kilka lat wcześniej. Wzruszenia nie dało się ukryć. W skrytości serc rodziły się pytania. Jaki los spotkał ludzi, którzy tu mieszkali? Szczególnie tych prostych, którzy wykonywali ciężką pracę? Jako swoista metafora tego losu jawił się widok pięknych ongiś drzew z parku założonego przez Laryszów. Gdy zobaczyliśmy butwiejące szczątki ogromnych pni, ogarnęła nas nostalgia za tym, co bezpowrotnie musiało zginąć. „Starych drzew się nie przesadza", mówi przysłowie ludowe. Trudno dziś, po latach, kiedy ślady zakryła przyroda, odnajdywać winnych tamtych zdarzeń. Odpowiedzi na wiele pytań, dotyczących tamtych lat, już nie znajdziemy...

W dalszej kolejności odwiedzamy dom umundurowanych górników kopalni „Gabriela". Gospodarzom zrobiliśmy niespodziankę, odwiedzając ich bez zapowiedzi. Zastaliśmy ich przy pracach porządkowych. Mieliśmy okazję, aby obejrzeć sztandary, szarfy górnicze, które uświetniały różne uroczy-

stości. Oj gdyby to one potrafiły mówić?! Robimy kilka pamiątkowych zdjęć. Krzepimy się napojami i udajemy w dalszą drogę. Dalszym celem naszej wędrówki jest spotkanie w polskiej Szkole Podstawowej w Stonawie-Hołkowicach. Wita nas dh Stefania Piszczek, harcerka z wieloletnim stażem. Potrafi pięknie gawędzić przy ognisku. To ona, razem ze swoją córką, zadbały o nasze żołądki. Supergrochówka, kiełbaska polska — prosto z ogniska.

Ognisko to było szczególne: do jego rozpalenia poproszone zostały same znamienitości z grona harcerzy, m.in. hm Władysława Sikorowa, była więźniarka obozu w Ravensbrück. Kiedy płonęło ognisko, a dzień chylił się ku zachodowi, serca nasze same garnęły się do śpiewania. Towarzyszył nam akordeonista, sam mistrz prowadzący kapelę „Dziołchy i syncy z kolonije". Wygrywał on harcerskie i górnicze melodie. W tej miłej i gorącej atmosferze zbliżał się czas zakończenia wycieczki. Ustawiliśmy się wokół ogniska, chwyciliśmy za ręce, puściliśmy „iskierkę" w krąg. Potem już były tylko pożegnania, podziękowania dla organizatorów i nadzieja na kolejne spotkanie. W czasie wyprawy towarzyszyła nam TV ze Stonawy oraz kamerzysta Eugeniusz Dubiel.

Żywi świadkowie minionych czasów, mocno związanych z zaolziańską ziemią, odchodzą. Jawi się pilna potrzeba na spojrzenie wydarzeniom, które miały miejsce na tej ziemi, prosto w oczy, zmierzenia się z nimi, chwycenia przysłowiowego „byka za rogi". Wsłuchania się w głos ludzi, którzy jeszcze chcą i potrafią zdać sprawę z tamtego trudnego okresu podziału. To na pewno nie będzie łatwe zadanie, ale jest jedyną możliwą drogą do oczyszczenia ran — drogą wydobycia uwierających i wciąż powracających wspomnień — i doprowadzenia do ich zabliźnienia. Brakuje nam rozmów, publikacji dotyczących podziału, które ukazałyby prawdziwe oblicze historyczne ziemi po obu stronach Olzy.

Wielu młodych ludzi ma prawo nie znać prawdziwej historii tej ziemi, za mało jest publikacji napisanych w sposób prosty i wyczerpujący, na podstawie faktów, które drzemią w książnicach, bibliotekach, archiwach i czekają na prawdziwych synów tej ziemi, którzy bez oglądania się na uprzedzenia i emocje, wyprowadzą z nich prawdę, po to, aby przyszłe pokolenia nie musiały spekulować niczego na temat historii tej ziemi. Pięknej i wyjątkowej ziemi. Gorąco wierzymy, że tak się stanie w niedalekiej przyszłości.

Rozmowy na trudne tematy, dotyczące historii obu krajów nad Olzą, są potrzebne i to w obecności gospodarzy z obu jej stron. Dobra wola, dojrzałość społeczna, polityczna, kulturowa i umiłowanie tej ziemi, są potrzebne do dialogu. Ostatnio sporo pisze się na temat rodu Habsburgów. Jest to ważny wątek historyczny, ale nie mniej ważny jest też ten, który dotyczy Piastów, Piastówien, historii dotyczącej podziału Zaolzia, jego życia tuż po podziale i aż do dnia dzisiejszego. Oczyszczenie — *katharsis* — jest potrzebne obu społeczeństwom. Ze względu na ich przyszłość.

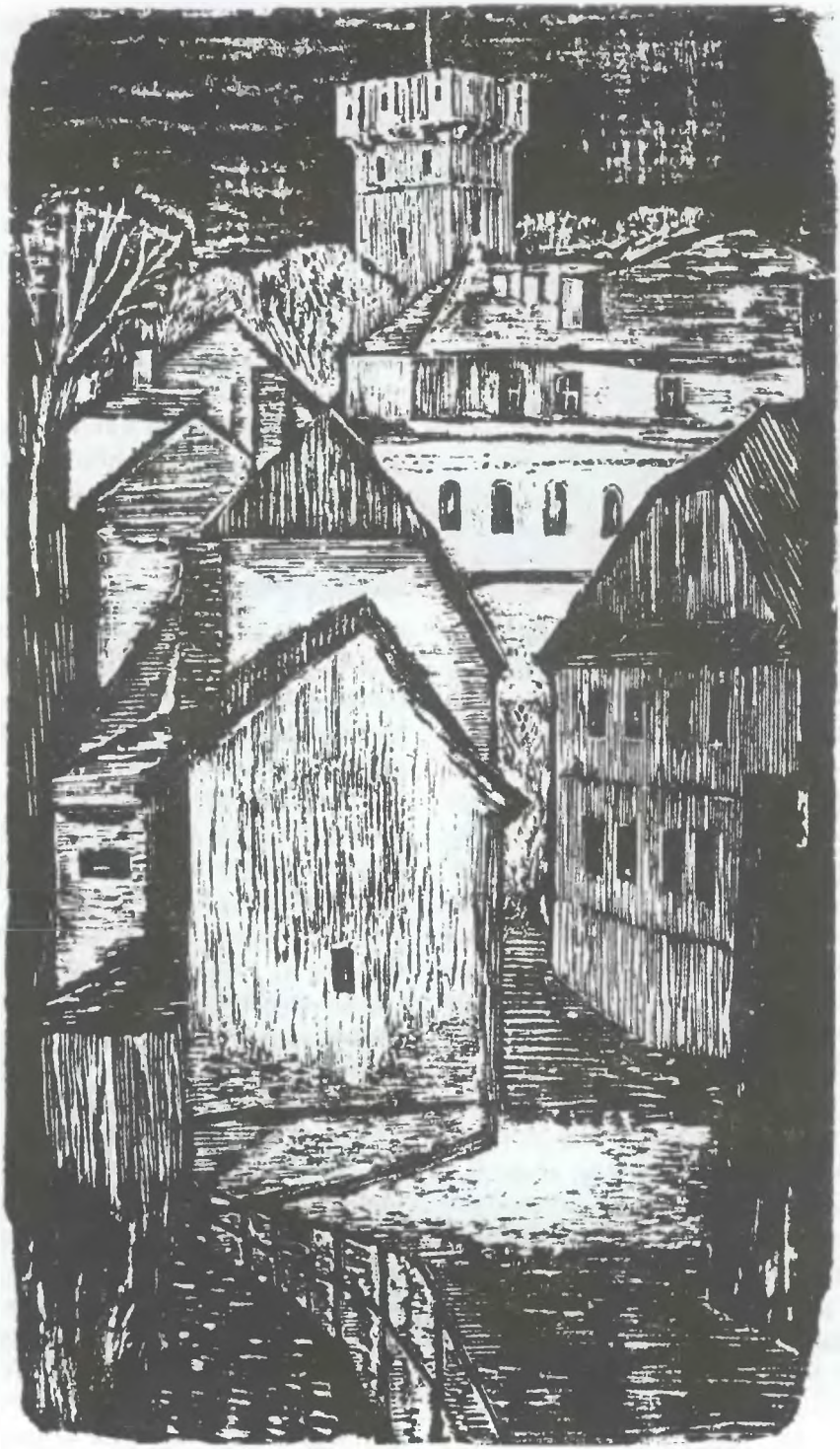

Edward Biszorski — *Cieszyńska Przykopa*, 1950, drzeworyt.

TĘSKNOTA I ŻAL JANA KUBISZA

JÓZEF URBAŃCZYK

Jan Kubisz żył w latach 1848—1929 na ziemi cieszyńskiej, gdzie ludność tamtejsza przez jakiś czas ulegała wpływom niemieckim i czeskim. Według słów Pawła Hulki-Laskowskiego, *Pamiętnik starego nauczyciela* jest żywą kroniką życia śląskiego na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Widzimy tu, jak ten lud wiary [...] ulega wprawdzie przez jakiś czas potężnym wpływom niemieckim i czeskim, ale ostatecznie sam budzi się do samodzielnego życia narodowego i wiernie stoi przy Polsce [...][1].

Pastor Karol Kubisz tak wspomina ojca: *Wzbudzał zawsze szacunek połączony z lękiem. Był patriarchą w rodzinie. Surowy, ale sprawiedliwy, był człowiekiem bardzo wymagającym, nie znoszącym nieposłuszeństwa*[2].

Przytoczę kilka zdań z *Pamiętnika starego nauczyciela*, które charakteryzują postać Jana Kubisza:

Mnie już tam iść nie wolno, odkąd brat sprzedał ojcowiznę (ojcowizna autora przeszła w posiadanie innych ludzi). Ziemię dziadów obcy orze, w domu ojcowskim obcy mieszka. Cóżeś to zrobił, mój bracie! W chorobie twojej napadł cię sąsiad Kasperlik i umęczonego niemocą otumanił słodkimi słowy, niby pająk zdradliwą siecią omotał, żeś uczynił to, do czegoś nie miał wyłącznego prawa. O, i ten co wydarł i ten co sprzedał jednakowo są przed Panem. Ale są jeszcze bracia dalsi co są gotowi tak samo postąpić. Oni chcą ziemię ojczystą za słodkość potrawy, za srebrników dźwięk ponętny oddać bez żalu, bo go już dawno z chciwego wypchnęli serca.

---

[1] mgr Aleksandra Błahut-Kowalczyk: *Wspomnienia o Janie Kubiszu.*

[2] Tamże.

A ja się ich pytam: Chcecie oddać ziemię? Gdzie mieszkać będziecie? Chcecie oddać szkoły? Gdzie się dzieci wasze uczyć będą? Chcecie oddać groby? Gdzie złożycie wasze kości? Chcecie oddać mowę ojczystą? Jakim językiem będziecie się modlić w skonu godzinie? Odpowiedzcie proszę!
A wy zamiast odpowiedzi schylacie karki wasze, aby na nich stanęła stopa waszego gnębiciela. Wyciągnijcie ręce, aby wam nałożono kajdany niewoli. I ten, co podbija i ten, co bezwstydnie w niewolę idzie — winni są przed Panem.

W zdaniu: *W ojcowskim domu obcy mieszka — mnie już tam iść nie wolno* Jan Kubisz wyraził tęsknotę i żal za ojcowskim domem. Bo kto sprzedaje ojcowiznę — pozbawia siebie i wszystkich swych krewnych części tradycji, części świetności, którą jej swą pracą nadały poprzednie pokolenia. Żal i tęsknota za ojcowskim domem skłoniły Kubisza do napisania pieśni *Ojcowski dom to istny raj.*

Wypowiedzi prawnuczki Jana Kubisza, mgr teologii Aleksandry Błahut-Kowalczyk, autorki pracy magisterskiej poświęconej pradziadkowi Janowi Kubiszowi (zapisane w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej" nr 13 z dnia 26.03.2004 r. przez prof. Leona Miekinę, w artykule pt. *Czy Kubisz popełnił plagiat*) — są w pełni uzasadnione. Prawnuczka poety napisała: *Wyrosłam w tradycji i przekonaniu, że Jan Kubisz jest autorem „Ojcowskiego domu".* A także: *Nie dopuszczam myśli, że mój dziadek popełnił plagiat.*

Nic dodać, nic ująć...

A TO CIEKAWE...

Jednym z pierwszych gatunków ryb hodowanych przez człowieka jest karp. Wzmianki o jego hodowli w 550 roku przed n.e. znajdujemy już w dziełach Arystotelesa. Jest to ryba bardzo wytrzymała, nie wymaga zbyt wyrafinowanej diety, łatwo hodowana w stawach, a przede wszystkim bardzo smaczna. Ceniona jest w Europie i cieszy się dużą popularnością wśród hodowców, zwłaszcza w centralnej części kontynentu, pozbawionego dostępu do mórz. Karp jest także najbardziej popularnym gatunkiem ryby w Chinach.

Osobliwości zamieszczone w rubryczkach „A to ciekawe...", do druku podał Karol Kajzer.

DĘBOWIEC STAWIA NA SOLANKI

AGNIESZKA BARZYCKA

Jak przyciągnąć turystów do małej miejscowości? Postawić na budowę parku, w którym znajdą się niecodzienne rośliny i ścieżki spacerowe, a potem zapewnić turystom miejsce, w którym będą mogli powdychać zbawienny dla zdrowia i dobrej kondycji jod. Najpierw fontanny lub kaskady z solankami, potem być może tężnie, a w przyszłości sanatorium. Takie plany mają włodarze Dębowca i właściciele tamtejszej warzelni.

Solanka zabłocka z Dębowca ma rewelacyjny skład chemiczny i pod tym względem jest prawdziwym ewenementem na skalę światową — zachwala Kazimierz Leszczyna, prezes Kopalni i Warzelni Solanek w Dębowcu. — *Pod względem zawartości jodu nie ma sobie równych. W litrze ma go ponad 100 miligramów. Takiej ilości nie ma żadne z odkrytych do tej pory źródeł. Nawet sól z Morza Martwego zawiera mniej jodu i bromu.*

Do słuszności swoich planów przekonuje Adam Brudny, wójt Dębowca. — *Może ktoś mi zarzuci, że to co mówię to utopia, ale szczerze wierzę, że Dębowiec będzie żył z turystyki. Mamy do tego warunki, piękne tereny zielone, złoża solankowe. To prawdziwa perła* — dodaje.

Włodarze Dębowca już zdecydowali o stworzeniu miejsca wypoczynkowego. Mieszkańcy wioski będą mogli spacerować alejkami, wzdłuż różanych krzewów. Na obszarze około pięciu hektarów architekt zaprojektował sposób zagospodarowania już istniejącej zieleni i terenu, na którym znajduje się ośrodek zdrowia, przedszkole i dwie szkoły. Cały projekt liczy 60 stron, znajdują się w nim nawet propozycje dotyczące ustawienia ławek i koszy na śmieci... W przyszłości wśród zieleni może znajdzie się także miejsce na kaskady z solankami.

Urokliwe okolice Dębowca bez wątpienia sprzyjają planom włodarzy gminy.

HISTORIA SIĘGA 1912 ROKU

W roku 2004, po wielu latach posuchy w tym interesie, warzelnia w Dębowcu zaczęła przynosić zyski. Złoża solanek leczniczych w Dębowcu występują na głębokości 300—500 m, w złożach piaskowca okresu mioceńskiego. Początki eksploatacji sięgają roku 1912, kiedy podczas wierceń prowadzonych przez Ostrowsko-Karwińskie Gwarectwo na terenie Kończyc Wielkich natrafiono na źródła solanek. Ich próbki przesłano wówczas do laboratorium w Wiedniu, które określiło przesłany produkt jako *solankę miernie słoną o bardzo wysokiej zawartości jodu i bromu.* Później owe wyniki zostały potwierdzone przez profesora Akademii Górniczo Hutniczej w Krakowie, dr. Walerego Goetla, który określił solankę jako *bardzo szlachetną wodę mineralną dla leczeń polegających na specyficznym działaniu jodu na ustrój ludzki z zastosowaniem do kąpieli leczniczych.* Historia produkcji na większą skalę tego leczniczego specyfiku sięga lat 50. ubiegłego wieku. Przemysłową eksploatację złoża rozpoczęło wówczas uzdrowisko w Jastrzębiu Zdroju, które wprowadziło zabłocką sól jodowo-bromową do lecznictwa uzdrowiskowego i do sprzedaży w aptekach. Sól ta posiadała wybitne właściwości lecznicze i charakteryzowała się najwyższą w tym asortymencie

Od lewej Kazimierz Krzyżak, kierownik Ruchu Zakładu Górniczego w Dębowcu oraz Kazimierz Leszczyna, prezes Kopalni i Warzelni Solanek w Dębowcu. Fot. Agnieszka Barzycka.

zawartością jodu, bromu, krzemu i selenu. Zalecano ją do stosowania m.in. przy nieżytach dróg oddechowych, chorobach wieku dziecięcego, chorobach gośćcowych stawów i mięśni, w chorobach ginekologicznych, w niedoczynności tarczycy czy w chorobie Buergera.

W latach 80 ub. wieku obiekty Kopalni i Warzelni Solanek w Dębowcu przejęło Uzdrowisko Ustroń, które do końca lat 90. prowadziło produkcję soli leczniczej.

KOPALNIA W RĘKACH PRYWATNYCH

Przemiany gospodarcze przyniosły za sobą kolejne wydarzenia. Warzelnia trafiła w ręce prywatne. — *Reaktywując produkcję soli ze złoża solanki leczniczej w Dębowcu, szczególną troską objęliśmy proces produkcji, aby utrzymać najwyższe standardy jakościowe warzonej soli* — zachwala Kazimierz Leszczyna, dzisiejszy właściciel dębowieckiej kopalni. — *Chcieliśmy także, aby mieszkańcy i przyjeżdżający do tej gminy turyści mogli z tego dobra korzystać.*

— *Razem w właścicielami warzelni chcemy uruchomić miejsce w mającym powstać parku jubileuszowym, w którym solanka byłaby udo-*

ZBAWIENNE WŁAŚCIWOŚCI SOLI

Do zbawiennych właściwości leczniczych zabłockiej soli termalnej przekonali się już nasi dziadowie. Kąpiel z dodatkiem soli przynosiła niejednemu ciału ulgę. Wiadomo, że oczyszcza z toksyn i produktów przemiany materii. Po takiej kąpieli odciążeniu ulega praca wątroby i nerek, pięknieje skóra. Proces starzenia znacznie się opóźnia, a już garść soli wsypana do wanny zmiękcza wodę i zapewnia jej odpowiednie Ph. Od lat sól termalna stosowana jest przy bólach reumatycznych i reumatologicznych, zwyrodnieniach stawów i kręgosłupa.

stępniona — mówi wójt Dębowca. — *Chcemy połączyć siły. Właściciele zaoferowali za symboliczną kwotę korzystanie z tej solanki, a my udostępniamy miejsce. Może na początku zaczniemy od fontanny?* — zastanawia się wójt.

Sposób rozpylania solanki jeszcze nie jest taki oczywisty, jedno jest za to pewne, miejscem uzdrawiającego relaksu będzie park niedaleko Urzędu Gminy. — *Będą ławeczki i piękna roślinność* — zachwala wójt. — *Mam nadzieję, że to miejsce będzie odbierane przez turystów jako lokalna atrakcja.*

Wójt szczerze wierzy, że nastanie kiedyś taki czas, gdy ludzie zamiast pojechać nad morze, przyjadą wdychać jod do Dębowca. — *Może dzięki temu rozkręci się w naszej gminie agroturystyka?* — zastanawia się.

— *Udostępnienie solanek dla ludzi to świetny pomysł, jednak gmina, chcąc się otworzyć na turystów, musi zacząć myśleć o rozwoju infrastruktury drogowej, rozwinięciu bazy gastronomicznej czy noclegowej* — mówi Kazimierz Leszczyna. — *Dzisiejszy przybysz jest niezwykle wymagający. Przyjeżdżając do Dębowca chciałby na miejscu coś zjeść, ewentualnie znaleźć dobre miejsce do spania, dogodne miejsce na zostawienie samochodu i na spacer. Jeśli te wszystkie warunki będą spełnione, można się będzie pokusić o postawienie w gminie tężni, a z czasem być może Dębowiec stanie się uzdrowiskiem, bo tutejsze zasoby solankowe są prawdziwym ewenementem na skalę światową.*

MŁODZI WOLONTARIUSZE ZDOBYWAJĄ GOETEBORG

LUDWIK ROSNER

Wakacje w mieście? Kojarzy się to z nudą i skrajną koniecznością, zwłaszcza gdy brak finansów na wyjazd nad morze lub nad jeziora. A jednak dla grupy uczniów z LO im. Antoniego Osuchowskiego i kilku innych szkół dwutygodniowa wycieczka do Goeteborga była spełnieniem marzeń i pięknym podsumowaniem roku współpracy ze Stowarzyszeniem na Rzecz Integracji „Działajmy Razem".

A wszystko zaczęło się jesienią 2005 roku, gdy Ewa Gagat, prezes Stowarzyszenia „Działajmy Razem", wraz ze Starostwem Powiatowym w Cieszynie zaprosiła „Osucha" do organizacji Dnia Polsko-Szwedzkiego, który odbył się 8 grudnia tegoż roku. W szkole uczniowie spotkali się z goszczącymi w Cieszynie członkami polonijnego zespołu „Kwiaty Polskie" z Malmoe. Na szkolnych korytarzach można było obejrzeć ciekawą wystawę Ambasady Królestwa Szwecji, pt. „Szwecja — wielki kraj sąsiedzki". Wieczorem młodzież uczestniczyła w koncercie inaugurującym Dzień Polsko-Szwedzki, który odbył się w teatrze cieszyńskim.

Ta udana impreza spowodowała, że dyrekcja LO im. A. Osuchowskiego, w porozumieniu z samorządem szkolnym, postanowiła podjąć głębszą współpracę ze Stowarzyszeniem na Rzecz Integracji „Działajmy Razem". W marcu 2006 roku zorganizowano koncert charytatywny „4 Pory Wiosny", który przygotowała i wyreżyserowała polonistka Agata Ogórek. W pracy charytatywnej nieodzowni są wolontariusze, którzy bezinteresownie poświęcają swój czas innym. Dla chętnych do takiej pracy Stowarzyszenie zorganizowało kilkudniowy kurs, który przeprowadziła Monika Czyżykiewicz. Dokończenie kursu miało odbyć się w Szwecji, w Goeteborgu. Pierwszy sprawdzian przeszli wolontariusze już w czerwcu, gdy pomagali w organizacji „Festiwalu Integracyjnego", który od paru lat

W naszej kwaterze w gościnnym Goeteborgu.

pod auspicjami Stowarzyszenia „Działajmy Razem" odbywa się w Wiśle. Drugi sprawdzian mieli przejść w czasie obozu w Szwecji, gdyż uczestnikami wyprawy były również osoby z pewnymi dysfunkcjami.

I tak minął rok szkolny, a wakacje 2006 zaczęły się dla obozowiczów pakowaniem plecaków. Trzeba było zmieścić nie tylko ubrania i kosmetyki, ale także śpiwory i dmuchane materace, bo przez dwa tygodnie naszym domem miał się okazać budynek będący własnością Związku Katolików Polskich w Goeteborgu, gdzie do dyspozycji przekazano nam... podłogę w kilku salach. Dom na co dzień przeznaczony do spotkań, jako przedszkole oraz sobotnia szkoła, ma dobre zaplecze kuchenne, z czego szczególnie cieszyła się Maria Kołodziej, która szykowała dla uczestników wyprawy wyśmienite posiłki. Była to kuchnia w pełni polska, gdyż dzięki licznym sponsorom, którym w tym miejscu serdecznie dziękujemy, do bagażnika autobusu wiozącego nas na miejsce zmieściło się tyle produktów spożywczych, ile potrzebowaliśmy na cały nasz pobyt.

Załadowany po brzegi autobus firmy DAS II, z Rafałem Górniakiem za kółkiem, ruszył w drogę w niedzielę 2 lipca. Do Goeteborga dotarliśmy po południu następnego dnia. Kolejne dni mijały w zawrotnym tempie. Zgodnie z założeniami, jednym z głównych celów wyprawy było dokończenie szkolenia wolontariuszy oraz zapoznanie się ze sławnym szwedzkim modelem opieki społecznej. Kulminacyjnym punktem było spotkanie z przedstawicielami polskiego Konsulatu Generalnego z Malmoe. W sobotę 8 lipca od rana szykowaliśmy się do przyjazdu pani konsul Moniki Kwiecień-Miland, której towarzyszyła przedstawicielka polskiego MSZ. Wśród gości była Julitta Zelle z Lund, przedstawicielka jednej z polonijnych organizacji oraz

W ogrodzie botanicznym w Goeteborgu.

dwaj radni miasta Geoteborg. Po pysznym obiedzie i rozmowach z młodzieżą, pani konsul wręczyła wszystkim 31 wolontariuszom podpisane przez siebie certyfikaty potwierdzające udział w szkoleniu. Jednym z gości przyjęcia był Piotr Kiszkiel, przedstawiciel Polonii i jednocześnie polityk szwedzki, radny Goeteborga.

W następną sobotę wraz ze swoim szwedzkim kolegą wygłosił pogadankę na temat plusów i minusów opieki społecznej w Szwecji oraz kierunków jej rozwoju w ostatnich latach.

W trakcie obozu mieliśmy okazję wielokrotnie spacerować po Goeteborgu. To XVII-wieczne miasto nie poraża ilością zabytków, jednak już mały spacer po centrum w okolicy placu Adolfa Gustawa nad kanałem zachęca do lepszego i pełniejszego poznania jego historii i dzisiejszych walorów. Wędrówki takimi ulicami, jak Oestra Hamngatan, Kungsgatan, Kyrkogatan w okolicy katedry, Korsgatan, a zwłaszcza Avenyn, dostarczały niezapomnianych wrażeń. Ta ostatnia aleja, zapełniająca się wieczorami spacerującym i odpoczywającym w licznych knajpkach tłumem, zwieńczona jest największym w Goeteborgu placem — Goetaplatsen. Pośrodku stoi znany turystom, ale brzydki pomnik Posejdona, otoczony budynkami Muzeum Sztuk Pięknych, filharmonii, teatru miejskiego i miejskiej biblioteki. Odwiedziliśmy także starą dzielnicę robotniczą, Hagę, która dziś, po odrestaurowaniu, jest jednym z bardziej malowniczych rejonów Goeteborga, z małymi sklepikami i uroczymi kafejkami. Duże wrażenie zrobił na nas założony w 1923 roku, pięk-

Na tarasie widokowym, z którego podziwiać można panoramę Goeteborga. Zdjęcia Aneta Rosner.

nie usytuowany ogród botaniczny i olbrzymi park Slottsskogsparken, ze zwierzyńcem, którego największą atrakcją były łosie. Zwiedziliśmy też muzeum Maritima, które reklamowane jest jako największe w świecie muzeum statków; można w nim oglądać m.in. wnętrza olbrzymiego niszczyciela i malutkiej łodzi podwodnej.

Goeteborg to także miasto przemysłowe, ze znanymi na świecie zakładami Volvo. Miłośników motoryzacji na pewno zadowolił spacer po muzeum samochodów, z dziesiątkami egzemplarzy zarówno tych najstarszych, jak i prototypów najnowszych modeli. Ponieważ najczęściej postój naszego neoplanu był przy nabrzeżu, pod nowoczesnym budynkiem opery, stała się ona dla nas symbolem tego miasta. Stoi tam również ciekawy biurowiec, którego bryła i kolorystyka przypomina prom. Innym z symboli goeteborskiej współczesności może być sławny stadion Ullevi, na którym w sierpniu 2006 odbyły się Mistrzostwa Europy w lekkoatletyce i gdzie koncertował m.in. zespół The Rolling Stones.

Nie mogło zabraknąć w trakcie naszej wycieczki również wypoczynku i rozrywki. Na pierwszy plan wysuwa się pobyt w parku rozrywki Liseberg, gdzie przez pół dnia szaleliśmy na górskich kolejkach, z największym drewnianym Balderem, które części z nas śniły się jeszcze przez kilka dni. Dla wytchnienia można było z wieży widokowej podziwiać panoramę Goeteborga, z rzucającym się w oczy największym hotelem Skandynawii, który w postaci dwóch budynków rozłożył się u stóp Lisebergu. Poznaliśmy także wybrzeże w okolicach miasta i wysepki, skaliste plaże i zimną wodę Morza Północnego (czy raczej cieśniny Kattegat), która pomagała schłodzić ciało w trakcie upałów nie omijających tego roku Szwecji. A gdy komuś przyszła ochota na zakupy pamiątek, nieodzowny był pobyt w Nordstan, uważanym za naj-

większe centrum handlowe Skandynawii. Natomiast oryginalne polskie kiełbaski można było nabyć w jednej z Saluhallen przy Kungstorget.

Jakby tego było mało, odbyliśmy jeszcze dwie jednodniowe wycieczki do stolic sąsiednich państw — Oslo i Kopenhagi. Oslo we wtorek, 11 lipca, przywitało nas niestety deszczem. Nie pomogła nawet wizyta w Ambasadzie Rzeczpospolitej Polskiej, gdzie dzięki zaproszeniu Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego RP w Królestwie Norwegii i Republice Islandii, Ryszarda M. Czarnego, mogliśmy przyjrzeć się pracy polskiej placówki poza granicami kraju. Mimo złej pogody, po przyjęciu w ambasadzie zwiedziliśmy miasto. Przede wszystkim park Vigelanda, sławnego norweskiego rzeźbiarza, przyjaciela Muncha i Przybyszewskiego. To dzieło życia tego artysty, składające się z niezliczonej liczby rzeźb przedstawiających życie człowieka od narodzin po śmierć. Dzięki naszej nieocenionej przewodniczce, pani Marii, zobaczyliśmy także sławną skocznię narciarską Holmenkollen, pałac królewski, główny deptak Karl Johan gate, twierdzę Akershus nad Oslofiordem. Dopiero na koniec dnia zaświeciło słońce, co umożliwiło nam zrobienie bajecznych zdjęć fiordu.

Do Kopenhagi wybraliśmy się w czwartek, 13 lipca. Po dotarciu do Helsingborga przeprawiliśmy się do Danii promem. Tu, w Helsingor, zwiedziliśmy zamek Hamleta (Kronborg), po czym piękną drogą wzdłuż wybrzeża dotarliśmy do Kopenhagi. Ta ponad 600-tysięczna stolica Danii tętniła intensywnym życiem, mimo piekącego upału. Główny deptak, Stroget, był tak zapełniony przelewającym się tłumem, że cudem udało się go nam przejść w zwartej grupie za oprowadzającą nas po mieście Julittą Zelle.

Uroczy okazał się kanał i ulica Ny Havn, swoim klimatem przypominająca epokę „prawdziwych" marynarzy. Odpoczęliśmy przy nabrzeżu, gdzie podziwialiśmy nowoczesną operę, a także pobliski pałac królewski i kościół Frederiks Kirke, wzorowany na Bazylice św. Piotra w Rzymie. Droga powrotna do Szwecji to niezapomniany przejazd mostem nad cieśniną Sund, otwartym 1 lipca 2000 roku. Most kończy się już w Szwecji, w Malmoe, które zapamiętamy z Krętej Wieży (Turning Torso) oraz przesympatycznego starego rynku.

W trakcie obozu w Goeteborgu zostały zrealizowane szczytne cele związane z wolontariatem. Wyjazd umożliwił także poznanie kraju, który nieczęsto jest celem wypraw młodzieży i dorosłych w letnią kanikułę. Realizacja przedsięwzięcia nie byłaby możliwa bez licznych sponsorów oraz grupy zapaleńców, a przede wszystkim Ewy Gagat, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Integracji „Działajmy Razem" i jej pomocnika Wojciecha Krzyżaka oraz opiekunów dbających o dobrą organizację czasu — nauczycieli LO im. A. Osuchowskiego Ludwika Rosnera i Anny Brody oraz praktykantek Anety Rosner i Magdaleny Dziędziel. Nie można pominąć niezwykle zaangażowanej Polonii szwedzkiej a szczególne podziękowania należą się Marianowi

Hołdyńskiemu, który czuwał nad całością i ostatecznie zaprzyjaźnił się serdecznie z obozowiczami. Będzie co wspominać przez cały rok szkolny. A co potem? Czy uda się znów za rok odwiedzić znajome kąty przy Seveansg 4 w Goeteborgu? Bardzo byśmy chcieli.

autentyczne

Graniczna Olza przedzieliła gospodarstwa rolne, skutkiem czego część gruntów znalazła się „za miedzą". Płody rolne, na podstawie specjalnych zezwoleń, przewożono przez graniczne punkty kontrolne. Największy zawsze był w Cieszynie.

Któregoś dnia zatrudniony na czeskiej budowie chłopo-robotnik, na granicznym przejściu pojawił się z pękatym workiem przewieszonym przez ramę roweru.

— Co wieziecie?

— Piasek.

— Piasek?! Na co?

— Buduję dom...

Nazajutrz ta sama scena.

— Co wieziecie?

— Piasek.

Tym razem celnicy zajrzeli do worka, ktoś nawet wsadził rękę do piachu. Rzeczywiście piasek...

I tak dzień po dniu, tyle że celnicy stawali się coraz bardziej podejrzliwi. Zaopatrzyli się nawet w stalowe szpikulce, którymi przekłuwali zawartość przewożonych worków. Po jakimś czasie dysponowali już sitem i murarskim kajfasem, by przesiewać podejrzany piasek. W końcu dyskretnie pobrali próbkę piasku i wysłali do analizy.

Ale nic! Najbardziej prawdziwy piach... Doszło już nawet do tego, że kiedy do granicy zbliżał się codzienny bez mała „przewoźnik", celnicy stawali się bardzo nerwowi.

Dom w końcu został wybudowany (sprawę dokładnie zbadano), ustał zatem przewóz piasku. „Wozipiach" nadal codziennie przekraczał granicę. Do pracy i do domu. Pewnego dnia naczelnik celnego urzędu poprosił do siebie sprawcę przemytniczej zagadki. Poczęstował go herbatą i papierosem.

— Jesteśmy przekonani, że pan nas wykołował, jednak nie potrafimy rozwikłać zagadki. Niech pan powie, co pan szmuglował. Daję uroczyste słowo honoru, że sprawę puścimy w niepamięć, ale chcemy wiedzieć...

— Słowo honoru, powiada pan?

Naczelnik grzmotnął się pięścią w pierś, aż zadudniło:

— Słowo honoru!!!

Po dłuższym namyśle padła odpowiedź:

— Słowu honoru trzeba wierzyć, zatem niech będzie: rowery...

Z ONDRASZKIEM NA KOLE

WADYSŁAW SOSNA

6 listopada 2006 r. minęło (już!) czterdzieści lat od momentu, gdy w skromnej stacji turystycznej PTTK „U Jonka" na ustrońskiej Jelenicy zawiązał się Turystyczny Klub Kolarski PTTK, któremu kilka tygodni później przydano imię „Ondraszek". Był to wówczas drugi klub turystyki kwalifikowanej w cieszyńskim Oddziale PTTK „Beskid Śląski", dziesiąty klub kolarski w województwie katowickim, a bodaj jedyny w kraju, działający w terenie podgórskim.

Obydwa kluby — żeglarski „Sternik" i rowerowy „Ondraszek" — w 1966 r. otworzyły nową kartę w dziejach turystyki na ziemi cieszyńskiej. Zarówno uwarunkowania historyczne, jak i konfiguracja terenu, zwłaszcza bliskość Beskidu Śląskiego, zadecydowały o tym, że w naszym regionie w pierwszej kolejności rozwinęła się turystyka związana z górami, piesza latem, a niedługo później narciarska zimą, i te dały asumpt do powstania niemieckiego „Beskidenvereinu" w 1893, we Frydku i Polskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid Śląski", w Cieszynie, w 1910 r.

Nie oznacza to jednak, że kolarstwo turystyczne na ziemi cieszyńskiej nie ma starszych korzeni. Prof. dr med. Kornel Michejda w swoim *Pamiętniku chirurga* wspomina o wycieczkach rowerowych organizowanych przez prof. Franciszka Popiołka, który z niewielką grupką młodzieży gimnazjum polskiego objeżdżał okolice Cieszyna, przy okazji prowadząc swoiste lekcje historii regionalnej. Wspaniała to karta i świadectwo połączenia krajoznawstwa z turystyką! Do zaliczenia wszystkich dostępnych wówczas dróg na rowerze przyznał się także inny nauczyciel — Andrzej Podżorski z Wisły. Jedną z jego eskapad była wyprawa do Krakowa. Trasa prowadziła „galicyjskim gościńcem"; za napój służyła woda źródlana lub studzienna wieziona w bańce, za camping — kopka siana w polu. Powstałe w 1908 r. Robotnicze Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe „Siła" w swoim statucie wśród wielu celów wymieniło również organizowanie dla robotników tanich wycieczek na kole. Z osobistych wspomnień działacza „Siły" — Józefa Pilcha z Gojów wiadomo, że takie

wycieczki istotnie były organizowane, a wiele z nich prowadziło także do Krakowa.

Warto na ten ostatni szczegół zwrócić uwagę. Przed 1918, a raczej przed 1914 r. wycieczki do Krakowa miały swoją wymowę i spełniały określony cel wychowawczy. Tego rodzaju wycieczki bynajmniej nie spotykały się z entuzjazmem ówczesnej podejrzliwej i czujnej administracji terenowej czy fabrycznej. Nauczyciela szkoły ludowej w Ustroniu — Jerzy Michejda, który zorganizował wycieczkę młodzieży do Krakowa, spotkały niewybredne napaści, posądzenie o deprawowanie polityką niewinnej młodzieży i żądanie pozbawienia praw nauczania!

Niestety, nie mamy dokładniejszych informacji o tych pierwocinach turystyki kolarskiej na ziemi cieszyńskiej. Nikt ich prawdopodobnie nie notował w diariuszu; dowiadujemy się o nich tylko z luźnych wspomnień. Być może nieprzejrzane szpalty prasy lokalnej tu i ówdzie kryją o nich wzmianki choćby takie, jak na łamach „Miesięcznika pedagogicznego". Możemy wszakże powiedzieć, że wszystkie one miały miejsce po 1900 r., inicjowane przez nauczycieli miały wyraźny cel poznawczy, organizowane przez działaczy „Siły" Tadeusza Regera także cel wychowawczy, by przekonać zwłaszcza młodych robotników, że można i należy inaczej zagospodarować niewielkie skrawki wolnego czasu, niekoniecznie przy kuflu piwa i flaszce przydziałowej „rosolki".

Po zakończeniu I wojny światowej rower w dalszym ciągu, a może w jeszcze większym stopniu, był podstawowym środkiem transportu, umożliwiającym dojazd do zakładu pracy, huty czy kopalni. O popularności roweru świadczyły między innymi wcale niemałe wiaty na rowery, stawiane przy każdym większym zakładzie pracy. Ilu z tych setek korzystających z rowerów miało jeszcze ochotę w wolnym od pracy czasie dosiadać dwóch kółek, by wziąć udział w jakimkolwiek wyjeździe, trudno ocenić. Na przykładzie mojego ojca mogę powiedzieć, że oprócz tych organizowanych przez „Siłę", takie wyjazdy się odbywały. Wyjazdy „w zielone" miały charakter przeważnie rodzinny; jechało się do jednej czy drugiej ciotki, to na jakąś imprezę. Osobiście pamiętam wyjazd na Chełm, na jakieś pokazy szybowcowe. Oczywiście uczestniczyłem w nich jako pasażer, wieziony przez ojca na wyścielanym bagażniku.

Ocalałe z pogromu po II wojnie światowej rowery wciąż służyły wielu robotnikom jako środek transportu do pracy, zwłaszcza że przez pierwsze powojenne miesiące nie kursowały pociągi, a wszystkie mosty były zniszczone. Dopiero na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych wychowankowie prof. Stanisława Pohla w „Handlówce" (Szczepan Męcnarowski, Zbigniew Kunz i Alojzy Szupina) dosiedli rowerów, wykorzystując je turystycznie. Ta trójka także była założycielami Sekcji Turystyki Kolarskiej przy Oddziale PTTK „Beskid Śląski" w Cieszynie. Ale rok 1952 r. był także czasem dojrzewania idei zakładania kół PTTK przy zakładach pracy i w szkołach, i tam także z czasem powstawały mniej lub bardziej aktywne Sekcje Turystyki Kolarskiej.

Biwak „Ondraszków" na Mazurach. Rok 1964.

Powstawanie sekcji w kołach pociągnęło za sobą powołanie w 1955 r. Oddziałowej Komisji Turystyki Kolarskiej, na czele której stanął Adam Kantor. Dosyć żywa początkowa działalność komisji rychło jednak uległa zahamowaniu; spora część kolarzy przesiadła się na motocykle, które wówczas pojawiły się na rynku i stały się bardzo popularne, bądź „wyrosła" z roweru, a nowego zastępu amatorów kolarstwa nagle zabrakło. Jedynie sekcje w kołach, zwłaszcza szkolnych, organizowały różne wycieczki, które wszakże w większości miały charakter raczej okazjonalny, od przypadku do przypadku. Do osiągnięć OKTKol. niewątpliwie należało zameldowanie się cieszyńskich kolarzy na Ogólnopolskich Rajdach Kolarskich m.in. w Warszawie (1955), Tleniu (1956), Rebizantach (1957), Zakopanem (1959), bodaj jeszcze w Drawsku (1961) i w Lesku (1963). Praktycznie jednak, OKTKol. stopniowo przestawała być bezpośrednim organizatorem wycieczek kolarskich, a jedynie ściągała dane z sekcji w kołach, też zresztą coraz skromniejsze. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych działalność kolarska w Oddziale prawie że zamarła.

W 1963 r. na przewodniczącego Oddziałowej Komisji Turystyki Kolarskiej powołano Władysława Sosnę. Już wcześniej w swoim celmowskim kole zakładowym PTTK dał się poznać jako współorganizator Okręgowych Zlotów Turystycznych Metalowców z udziałem kolarzy, miał już na koncie kilkunastodniowy obóz kolarski przez Śląsk z Cieszyna do Żagania i na powrót, i dziesiątki innych wy-

Grupa założycielska Turystycznego Klubu Kolarskiego PTTK „Ondraszek". Rok 1966.

cieczek. Dodatkowe zajęcia w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym, gdzie wiele serca w popularyzację turystyki wśród młodzieży wkładał opiekun Szkolnego Koła PTTK Gustaw Kaleta, zaowocował tym, że przez szereg lat „kadrę" turystów kolarzy zasilały niewielkie grupy uczniów z tej właśnie szkoły. W sukurs doszła małżonka, Emilia Sosna, która niewielką SKTKol. założyła w swoim zakładowym Kole PTTK przy ówczesnym „Rogorapidzie"; rychło też ujawniła się bardzo aktywna grupa kolarzy w Kole PTTK przy Cieszyńskiej Fabryce Narzędzi. Niezależnie od sekcji, OKTKol. starała się realizować własne wycieczki, przede wszystkim udziały w różnych rajdach organizowanych przez okoliczne OKTKol., zwłaszcza w Pszczynie. W latach 1964—1980, co roku, cieszyńscy kolarze brali udział w kolejnych Centralnych Zlotach Turystów Kolarzy PTTK. Z pełnym sprzętem biwakowym kolarze pokonywali po kilkaset kilometrów, zaliczając przygotowane wcześniej marszruty z ambitnym programem krajoznawczym, niejako „po drodze" stawiali się na mecie Zlotu, na trasach od Wolina po Gołdap i od Świeradowa Zdroju po Ustrzyki Górne. A jeździliśmy wówczas na „zwykłych" rowerach, później wyposażonych w piasty trójbiegowe, młodsi przeważnie na rowerach półsportowych z niedomagającymi przerzutkami, taszcząc ze sobą przyciężkawe namioty, początkowo bez tropików, ciężkie materace do nadmuchiwania, mało wydajne kuchenki spirytusowe, zastąpione potem palnikami na benzynę, wreszcie butle na gaz. Każdy obóz był wielką szkołą zaradności, wytrwałości, charakterów, ale także wielką lekcją historii w terenie.

Osiągnięcia te zwróciły uwagę przewodniczącego Okręgowej Komisji Turystyki Kolarskiej PTTK w Katowicach Ryszarda Mielnika, który zachęcał cieszyński aktyw do założenia klubu kolarskiego. Znając miejscowe realia, Władysław Sosna nie palił się do takiej innowacji, stawiał bardziej na dobrą Oddziałową Komisję, niż kiepski klub, który będąc wyłącznie na garnuszku Oddziału, nie mógł zapewnić swoim członkom takich przywilejów, jakie miały sekcje, zwłaszcza w kołach zakładowych. Po rozważeniu wszystkich argumentów postanowiono jednak klub powołać, wszakże pod tym warunkiem, że będzie pełnił także obowiązki Oddziałowej Komisji, a SKTKol. w kołach nie będą rozwiązane. I tak się stało. Jak już wspomniano wyżej, pod koniec 1966 r. powstał Turystyczny Klub Kolarski. Ale już następny rok bardzo poważnie zachwiał równowagą klubu. Wielu młodych kolegów otrzymało powołania do służby wojskowej, co gorzej, prawie wszyscy kolarze z Koła Zakładowego przy CFN „okopali się" we własnej sekcji i prowadzili działalność na własny rachunek. Sekcje w pozostałych kołach, choć formalnie nie zostały rozwiązane, istniały tylko nominalnie, przypisując sobie osiągnięcia klubu. Odtąd główny trzon członków klubu wywodził się prawie wyłącznie spośród uczniów TME. Miało to ten skutek, że „kadra" klubu była bardzo płynna, ograniczona przeważnie do lat szkolnych, a cała robota organizacyjna spoczywała na barkach „starych wielbłądów". Mimo starań, napływu chętnych „z miasta" nie było. I choć klubowi znane były co niektóre osoby uprawiające turystykę rowerową, ich stosunek do klubu pozostawał słodką tajemnicą. Dopiero w 1971 r. trafił do klubu Andrzej Słota, który w ciągu następnych lat wykazał się trwałym przywiązaniem i wydatnym zaangażowaniem w pracy klubowej.

Klub tymczasem z uporem Syzyfa co roku przystępował do realizacji swoich planów, z powodzeniem organizował wspomniane wyżej wakacyjne obozy kolarskie, wycieczki po ścieżkach regionu, uczestniczył w rajdach. Z czasem do swojej działalności włączył imprezy o charakterze prawie rodzinnym, z których na trwałe do kalendarza weszło coroczne smażenie jajecznicy; zgłaszały się także Ondraszki na tradycyjnym „pieczeniu barana", organizowanym przez Koło Miejskie w Skoczowie. Pod względem umocowania „Ondraszka" w terenie, miało to pełne usprawiedliwienie, choć poniekąd wzbudzało zdziwienie, że kolarze zaczęli (!!!) chodzić po górach; ale właśnie wędrówki po górach były doskonałym uzupełnieniem naszych wycieczek rowerowych. Do tradycji weszły zwłaszcza jesienne wyprawy na wschód słońca na Babią Górę. Ze strony władz nadrzędnych PTTK „Ondraszka" spotkało wyjątkowe uhonorowanie — powierzenie mu zorganizowania IX Ogólnopolskiego Zlotu Przodowników Turystyki Kolarskiej na ziemi cieszyńskiej w 1969 r. Ta prestiżowa impreza przyniosła klubowi wysoką oceną wśród elity kolarstwa turystycznego w Polsce.

Nadszedł rok 1975. Klub „Ondraszek" okazał się jedyną taką jednostką w nowo utworzonym województwie bielskim i jego też obciążono obowiązkiem założenia Wojewódzkiej Komisji Turystyki Kolarskiej PTTK. Tymczasem małopolskie oddziały PTTK, łącznie z Bielskiem-Białą, były kolarską białą plamą. Jak się okazało, niektóre silne koła zakładowe (a raczej zakłady lub związki zawodowe) fundowały adeptom kolarstwa rowery i organizowały doraźnie różne imprezy, które z turystyką sensu stricto niewiele miały wspólnego. Jeśli gdzieś w terenie był jakiś kolarz indywidualista, był w szerszym kręgu PTTK-owców przeważnie nieznany. W tych warunkach wyszukiwanie miłośników turystyki kolarskiej było porównywalne z poszukiwaniem sprawiedliwego wśród grzeszników. Zderzenie się „Ondraszka" z zupełnie nową „jakością turystyki" i wprzęgnięcie do pracy w wojewódzkich strukturach PTTK najbardziej ofiarnej trójki cieszyńskich działaczy musiało się odbić na pracy klubowej, tym bardziej, że zarówno sytuacja rodzinna, jak i zawodowa dwójki z nich wymusiła poważne ograniczenia. To spowodowało, że pod koniec 1979 r., po ćwierćwiekowym „urzędowaniu" w OKTKol. i 13-letnim w „Ondraszku", Władysław Sosna złożył pałeczkę przewodniczącego, przekazując ją w ręce Andrzeja Słoty. Z naciskiem trzeba jednak podkreślić, że mimo wszystko „Ondraszek" miał utrwaloną już pozycję, przez lata wypracowaną, a odchodzący przewodniczący nie pozostawił klubu na lodzie, w każdym razie w sytuacji daleko różnej od tej, od której zaczynał. Toteż z niejaką kroplą goryczy odebrał po latach późniejszy komentarz, że nowa ekipa nadała nowe tchnienie kulejącemu „Ondraszkowi", zapominając o warunkach i czasach, w jakich wypadło mu działać.

Andrzej Słota i towarzyszący mu Zbigniew Pawlik niewątpliwie należą do ludzi obdarzonych wielką pasją i zamiłowaniem do turystyki. Nowy przewodniczący miał również to szczęście, że wówczas do klubu przyznało się kilku amatorów, którzy służbę wojskową mieli już za sobą i w miarę ustabilizowaną sytuację zawodową czy rodzinną. Przez wiele długich lat taka sytuacja była daremnie oczekiwana. Nie obyło się bez koligacji rodzinnych i stopniowego wciągania nowego kręgu znajomych. Także sytuacja ogólnokrajowa stopniowo ulegała totalnej zmianie, otwierając możliwości, które w warunkach „głębokiego PRL-u" pozostawały poza zasięgiem szeregowych działaczy PTTK. Ale trzeba tu także dodać, że klub pod przewodnictwem Andrzeja Słoty umiał te nadarzające się sytuacje wykorzystać. Bez inwencji i podejmowanych coraz to nowych inicjatyw, „Ondraszek" mógł pozostać kopciuszkiem do likwidacji, jak wiele innych jednostek PTTK-owskich. W byłym województwie bielskim klub utrzymał palmę pierwszeństwa, przez pewien czas przewodził po kolejnej reformie administracyjnej kraju utworzonemu Ośrodkowi Turystyki Kolarskiej. W różnym okresie, obok inicjatyw o charakterze integracyjnym, podejmował organizowanie różnorodnych

W roku 1991 „Ondraszek" był gospodarzem 48. Centralnego Zlotu Turystów Kolarzy PTTK w Wiśle Jonidle.

imprez, takich jak: rajdy rodzinne, rajdy na orientację — które przerodziły się w triatlony kolarskie, różne imprezy dla dzieci i młodzieży, a także dla indywidualistów (Rajd Indywidualny). Wszakże największym sukcesem klubu i uznaniem dla jego umiejętności było powierzenie mu zorganizowania imprez ogólnokrajowych, a nawet międzynarodowych. Należą do nich Ogólnopolskie Zloty Przodowników Turystyki Kolarskiej „Oświęcim—Szczyrk" (1990) i „Ziemia Cieszyńska" (2006), a także Międzynarodowy Zlot Turystów Kolarzy pod auspicjami AIT — PTTK — „Wisła 1991", który w miasteczku zlotowym na Jonidle skupił ponad 800 turystów — kolarzy z Polski i z zagranicy. Obok innych „drobnych" wypadów odnotować należy prawie co roku organizowane wyjazdy, najpierw do krajów tzw. demokracji ludowej, z Krymem włącznie, a później eskapady po krajach zachodnich. Tu jednak trzeba dodać, że wiele z nich nie miałoby takiego wymiaru, gdyby Andrzej Słota nie postawił do dyspozycji klubowiczów swoich środków transportu, co praktycznie rozwiązało wszystkie problemy dotyczące przewożenia samych uczestników, rowerów, namiotów itp. do daleko położonej bazy wypadowej.

W latach sześćdziesiątych wielu starszych kolarzy z niedowierzaniem słuchało od co niektórych szczęśliwców, którym udało się wyjrzeć za żelazną kurtynę, że w sklepach na zachodzie Europy istnieją specjalistyczne sklepy, w których na

miejscu montowane są rowery z części, jakich sobie klient zażyczy i że ceny takich pojazdów osiągają wartość... samochodu! Potem doszły wieści o różnych typach rowerów „terenowych" i tzw. „góralach", wyposażonych w przerzutki z kilkudziesięcioma (!) przełożeniami. Wielu z nas jeździło na „zwykłych" rowerach z tzw. „torpedem", nierzadko jeszcze przedwojennych, albo po wojnie nabytych za talony (!), potem produkowanych w pobliskich Czechowicach albo importowanych z Ukrainy, kilku przez wiele lat eksploatowało „składaki" na małych kołach; młodsi przeważnie jeździli na rowerach półsportowych z wąskimi oponami, tylko niektórym udało się zdobyć lżejsze sportowe rowery z Czechosłowacji. Oczywiście z obserwacji sklepów i tzw. ulicy od kilku lat wiadomo, że owe „cudeńka", o których starsze pokolenie turystów kolarzy ledwo słyszało, dziś nie są czymś wyjątkowym. Wystarczy spojrzeć na współczesne zdjęcia z imprez „Ondraszka", które uświadamiają, jak bardzo zmienił się sprzęt, ale także ubiór, wyposażenie. Najprawdopodobniej pojawienie się w tej zgoła „kosmicznej" kawalkadzie kogoś w zwykłych portkach ze spinanymi nogawkami i na rowerze sprzed półwiecza, wywołałoby jeśli nie zdziwienie, to uśmiech politowania, że na czymś takim można w ogóle jeździć. Podobnie, jeszcze kilkadziesiąt lat temu frajdą było jechać na ogół dobrym poboczem drogi, a bardziej wtajemniczeni w lokalnych eskapadach wybierali sobie znane polne dróżki lub chodniki; dziś nawet w naszym regionie jest wiele ścieżek rowerowych, chociaż kilka z nich przypomina terenowy tor przeszkód, a wszystkim daleko do zachodnich standardów. Dużo też można mówić o kulturze jazdy, nie wspominając już o bezpieczeństwie pieszego choćby na miejskich chodnikach, a nawet schodach lub o wątpliwych popisach cyklistów na utrwalonych ruinach na Górze Zamkowej w Cieszynie.

40 lat istnienia Klubu „Ondraszek", 54 lata od momentu powstania pierwszej Sekcji Turystyki Kolarskiej PTTK, około stu lat od czasu, gdy pierwsi rowerzyści przemierzali gościńce ziemi cieszyńskiej, to kolejne kroki w historii turystyki kolarskiej w naszym regionie. Klub „Ondraszek" jest zwieńczeniem tej cząstki dziejów. Przez lata zdołał skupić w swoich szeregach zastęp ofiarnych działaczy, którzy nie tylko sami z zapałem jeżdżą na rowerze, ale każdego roku oferują różnorodne imprezy, zachęcające do uprawiania kolarstwa jako zdrowej formy wypoczynku, relaksu, poznawania. Zawody, jazdy na orientację, popisy zręcznościowe, maratony, udziały w rajdach krajowych i zagranicznych, obozach kolarskich i tych „zwykłych" przejażdżkach własnymi ścieżkami, to ważne fragmenty działalności klubowej. Ale najważniejsze w tym, aby nie zapomnieli o podstawowym celu uprawiania turystyki, o którym pamiętali pionierzy turystyki na Śląsku Cieszyńskim — o krajoznawstwie.

BIEGIEM PRZEZ HISTORIĘ

JAK W CIESZYNIE W PIŁKĘ GRANO

ŁUKASZ BIELSKI

Przygoda cieszyniaków z piłką nożną łączy się z powstaniem Towarzystwa Sportowego Piast. Jesienią 1909 roku Jan Adamczyk (pierwszy prezes TS Piast), Karol Śliwka, Józef Franek, Rudolf Legin, ks. Józef Londzin, Tadeusz Reger, Jan Górniok i Jerzy Kantor założyli towarzystwo sportowe, które od początku było klubem piłkarskim.

Towarzystwo posiadało stadion w parku im. Adama Sikory (obecnie Czeski Cieszyn), gdzie znajdowały się boiska do gier i zabaw, pawilon restauracyjny oraz inne ważne elementy infrastruktury sportowej. Drużyna piłkarska Piasta rozgrywała początkowo tylko spotkania towarzyskie, a do największych sukcesów w początkowym okresie działalności zespołu trzeba zaliczyć zwycięstwo odniesione w spotkaniu z Katbolisher Habsburg w 1911 roku. Do najlepszych graczy Piasta tamtego okresu należeli: Branny, Caputa, Dyla, Franek, Kantor, Kożusznik, Śliwka, Wałach, Zoń, Zientek i Adamik.

Gdy wybuchła I wojna światowa, TS Piast zawiesił swoją działalność. Po podziale administracyjnym Śląska Cieszyńskiego, dokonanym w lipcu 1920 roku, piłkarze cieszyńscy zostali bez boiska, klubu i całego zaplecza. Ten stan nie mógł trwać długo, zważywszy na fakt, iż polska ludność nadolziańskiego grodu domagała się własnego klubu sportowego. Siłą woli i zaangażowania mieszkańców klub reaktywowano w czerwcu 1922 roku, a już rok później po polskiej stronie Olzy powstało, zbudowane społecznie przez mieszkańców Cieszyna, boisko nad Bobrówką koło Elektrowni. Dzięki powstaniu boiska zwiększyło się natężenie rozgrywania spotkań piłkarskich, które nadal miały towarzyski charakter, ale cieszyły się ogromnym zainteresowaniem publiczności. Na cieszyńskie boisko zajeżdżały zespoły ze Słowa-

Pierwsza drużyna cieszyńskiego „Piasta", ok. roku 1921. Ze zbiorów Tadeusza Kopoczka.

cji, Czech, a także drużyny polskiej ekstraklasy, które powracały z meczów rozgrywanych z drużynami czeskimi.

Można powiedzieć, że w latach 30. piłkarze Piasta rozpoczęli grę na poważnie, ponieważ właśnie wtedy przystąpili do rozgrywek mistrzowskich w okręgu obejmującym powiaty Cieszyn, Bielsko i Żywiec. W roku 1928 Piast zdobył mistrzostwo klasy B i awansował do klasy A. Był to jeden z pierwszych, nazwijmy to poważniejszych, sukcesów piłkarskiej sekcji Piasta, w której składzie grali m.in.: Biernat, Blem, Bohonos, Galeja, bracia Greniowie, Gwóźdź, Hanik, Juzof, Klimonda, Kupczok, Nowak, Michalik, Ojczyszek, Peter, Pierniczek, Sajdak, Socholik, Starzyk, Studensky i Zientek.

Wybuch II wojny światowej spowodował całkowite zawieszenie działalności Piasta, choć nie oznaczało to wcale, że nie grano w piłkę nożną w tym okresie. Grano, ale jak twierdzi doskonały hokeista Zygmunt Nowotarski, robiono to w konspiracji.

Po zakończeniu działań wojennych nie trzeba było długo czekać na reaktywację klubu. Już 20 maja 1945 roku w Domu Narodowym spotkali się przedwojenni działacze sportowi i powzięli decyzję o wznowieniu działalności TS Piast Cieszyn.

Wraz z reaktywacją towarzystwa powstała sekcja piłkarska, w której występowali: Niedoba, Zubek, Buchta, Janiszewski, Zientek, Sitko, Brenner, Jureczek, Szwarc, Słaboszewski, Gaiger, Kubaczka, Głąbik, Stoły, Łabędź, Jursza, Kohut, Kupczok, Sztoler, Karaś, Burliga, Haratyk, Połednik, Szkwara,

Lanc, Wojnar, Bylica, Huczała, Grendziak i Zaręba. Początkowo piłkarze grali tylko mecze towarzyskie (zwycięstwo w pierwszym powojennym spotkaniu międzypaństwowym z Sleską Ostrawą 3:1), jednak już w połowie 1946 roku zespół trenowany przez Alojzego Sitkę rozpoczął zmagania mistrzowskie w klasie B, by po roku, pozostawiając w pokonanym polu drużyny ze Skoczowa, Ustronia, Czechowic i Bielska, wywalczyć awans do klasy A.

Trzy lata później, w roku 1949, doszło do zmiany nazwy klubu, co było związane z reorganizacją sportu związkowego w Polsce. Przyjęto nazwę Terenowe Koło Sportowe Ogniwo. W tymże roku jedenastka Ogniwa (Piasta) grała już w lidze śląskiej, a w roku 1950 miała nawet szansę promocji do II ligi, jednak ostatecznie o jeden punkt lepsza okazała się Concordia Knurów. Podstawowy skład Ogniwa tworzyli: Chmiel, Podkanowicz, Wiśniewski, Sztoler, Moskorz, Studencki, Szyja, Słaboszewski, Kupczok, Huczała i Glembik.

W 1953 roku w śląskiej klasie A grały już dwa zespoły z Cieszyna: Ogniwo (Piast) i Stal. W obu klubach pełno było zawodników o ustalonej renomie (Słaboszewski, Baron, Bystrzycki, Moskorz, Studencki, Śliż, bracia Krupowie). Ogniwo zajęło wówczas ósme, a Stal dziesiąte miejsce. Rok później to Stal sklasyfikowano na ósmej pozycji, z kolei Ogniwo zajmując jedenastą lokatę opuściło szeregi klasy A.

19 grudnia 1954 roku nastąpiła kolejna zmiana nazwy klubu, na Zrzeszenie Sportowe Sparta. Klub do historycznej nazwy Piast powrócił dwa lata później. Rok 1956 to także zwycięstwo zespołu w rozgrywkach klasy B i awans szczebel wyżej. Rok później była kolejna promocja i w latach 1958—1959/60 (w międzyczasie nastąpiła reorganizacja rozgrywek z systemu wiosna—jesień na system jesień—wiosna) Piast występował na szczeblu III ligi. W tym samym okresie Stal cały czas grała w klasie A, by dopiero w roku 1961 wygrać rywalizację i awansować do III ligi. Przygoda zespołu na tym szczeblu trwała zaledwie rok, więc już w sezonie 1962/63 kibice z Cieszyna ponownie mogli pasjonować się derbami miasta. Do roku 1969 Stal cały czas grała w klasie A, natomiast Piast w latach 1965—1969 występował w klasie B. Jedynym godnym uwagi sukcesem tamtych lat było zdobycie przez trampkarzy Piasta tytułu wicemistrza Śląska. W finałowej grze nasza drużyna nie sprostała trampkarzom słynnego Górnika Zabrze, ulegając po emocjonującym meczu 1:2.

14 sierpnia 1969 roku nastąpiło przełomowe wydarzenie w historii obu cieszyńskich klubów. Doszło do fuzji Piasta i Stali, w wyniku której powstał Klub Sportowy Cieszyn. W sezonie 1969/70 zespół rozpoczął zmagania w klasie A, gdzie wraz z Kuźnią Ustroń zajął pierwszą lokatę. W barażach cieszyniacy okazali się jednak lepsi od zespołu spod Czantorii i awansowali do ligi okręgowej. W tamtym czasie w zespole grali m.in.: Zysek, Dziadurski, Tatuś, Podgórski, Krupa, Pisarek, Sikora, Krogulewski, Mięciel, Stuchlik, Pilarczyk, Jursza.

Przez kilka lat KS Cieszyn lawirował między „okręgówką" i klasą A, by w roku 1975 grać w lidze międzywojewódzkiej (IV liga), a w roku 1976 w lidze wojewódzkiej (klasa okręgowa). Rok później drużyna znów spadła do klasy A, by po rocznej banicji w sezonie 1977/78 z powrotem zameldować się na szczeblu ligi wojewódzkiej.

Jak się później okazało, KS Cieszyn na 10 lat zadomowił się w klasie okręgowej. W międzyczasie, tj. 17 grudnia 1979 roku, powrócono do historycznej nazwy Piast. W drużynie znad Olzy występowali wtedy: Banot, Sufa, Jakubiec, Kaleta, Sitek, Matysiak, Stalmach, Janiszewski, Iwanicki, Kędziora, Mikler, Naharnowicz, Wyszyński, Jeleń, Murek, Kalinowski, Wawrzacz, Zamojski, Żelawski, Urbański, Wojaczek, Klimas, Marczyński, Podgórski i Woś.

W sezonie 1986/87 Cieszyn spadł do klasy A. Dodatkowo rozwiązano zespół rezerw, który jednak zdecydowano się reaktywować po dwóch latach. W 1990 roku drużyna pod wodzą Bogusława Sztolera wywalczyła mistrzostwo klasy A i awansowała do „okręgówki". Zespół, który rok później zaliczył kolejną promocję, tym razem do ligi międzywojewódzkiej (IV liga), tworzyli: Bajger, Bulowski (bramkarze), Wrzeszcz, Kamiński, Dziadek, Wałach, Jaworski, Lizak, Podgórski, M. Kurzeja, Tolarz, Korzec, Kubaszczyk, Macura, J. Kurzeja, Szurman, Peter i Jeżak.

W następnych latach przez drużynę z alei Łyska przewinęło się wielu obiecujących i utalentowanych piłkarzy. Niektórzy z nich, jak na przykład obecny zawodnik Wisły Płock i reprezentacji Polski Ireneusz Jeleń, zrobili całkiem niezłe kariery.

Oto ekipa, która w sezonie 2005/06 przyczyniła się do wywalczenia mistrzostwa w klasie B: bramkarze: Michał Botorek, Michał Grygierek, Dariusz Naharnowicz; obrońcy: Janusz Bubula (kapitan zespołu), Damian Cichosz, Wiesław Kluz (grał tylko jesienią), Łukasz Kozieł, Sebastian Sączek i Grzegorz Wiekiera; pomocnicy: Szymon Bolek, Krzysztof Byrski, Jerzy Chitryniewicz, Paweł Cholewa jr., Patryk Fatalski, Adam Granda, Tomasz Kołder (grał tylko jesienią), Michał Kurzeja, Błażej Pniok, Jacek Sujka, Rafał Szarka (grał tylko jesienią), Mriusz Szczupak i Grzegorz Wisełka; napastnicy: Jakub Klocek, Marcin Piecha, Piotr Piechowiak i Robert Szeląg. Grającymi trenerami byli Grzegorz Wisełka i Michał Kurzeja. Kierownik drużyny: Paweł Cholewa. Prezes: Piotr Janasik.

Drużyna z Cieszyna występowała nieprzerwanie w IV lidze aż do sezonu 1998/99, kiedy to zajęła ostatnie miejsce i spadła do okręgówki. Zaledwie po rocznej przerwie nastąpił powrót w szeregi czwartoligowców. Później dla zespołu piłkarskiego nastąpiły trudne czasy. Zadłużenie klubu i brak płynności finansowej zmusiły ówczesnych działaczy do radykalnych posunięć. W sierpniu 2000 roku powołano do życia Towarzystwo Sportowe Mieszko-Piast Cieszyn. W sezonie 2000/01 TS Mieszko-Piast spadł z IV ligi i drużynę rozwiązano, wycofując ją również z rozgrywek „okręgówki". Dopiero w sezonie 2002/03 zgłoszono drużynę seniorów do rozgrywek B-klasy. W premierowym sezonie, jako beniaminek, zespół z Cieszyna uplasował się na ósmej pozycji. W rozgrywkach 2003/04 drużyna Piasta zajęła dziewiątą lokatę, by rok później zakończyć sezon na dobrym czwartym miejscu.

Miejmy nadzieję, że młodzi piłkarze w niedalekiej przyszłości dopiszą piękne rozdziały do długiej i bogatej karty historii cieszyńskiej piłki kopanej.

Drużyna Mieszko-Piast Cieszyn w seszonie 2005/2006 wywalczyła mistrzostwo klasy B i awansowała szczebel wyżej. Zespół w sezonie odniósł 25 zwycięstw, 5 razy zremisował i nie poniósł żadnej porażki! Piłkarze z al. Łyska zdobyli 80 punktów, strzelając przeciwnikowi 113 goli, tracąc 20. Najwyższe zwycięstwo w sezonie to 12:0 z outsiderem, Iskrą Iskrzyczyn. Najwięcej bramek zdobył Piotr Piechowiak — 25, a na listę strzelców w ciągu całych rozgrywek wpisało się aż 17 zawodników.

Autentyczne

Mało kto pamięta, że poza Warszawą, Cieszyn był pierwszym miastem w Polsce, w którym można było odbierać program telewizyjny. Oczywiście z Ostrawy, jako że nasi sąsiedzi zawsze we wszystkim nas wyprzedzali (co zresztą dzieje się po dziś). W tym czasie wzdłuż granicy na obszarze miasta, na wysokich (trzy i pół metra) betonowych słupach, rozpięta była metalowa siatka, zwieńczona kolczastym drutem.

Ubolewał wtedy „Głos Ziemi Cieszyńskiej" (nr 9/16), że to żadna przyjemność oglądać ostrawski program, skoro na ekranie telewizora pojawia się siatka, a na jej tle tam i z powrotem biega alzacki owczarek...

Oficerowie WOP niezwłocznie zaczęli poszukiwać tych wybrańców losu, których stać było na posiadanie drogiego luksusu. Kiedy przekonali się, że był to zamierzony bluff, zażądali zamieszczenia w „Głosie" sprostowania. A to — hi, hi! — było niemożliwe. Cenzura, zgodnie z tzw. „zapisem", ingerowała we wszystko, co miało związek z granicą, a już z WOP-em w szczególności.

Paweł Steller — *Kobieta z chrustem*, 1933, drzeworyt.

CZŁOWIEK NIE STELA

KAZIMIERZ RASZKA

Janusz Orzepowski z Drogomyśla aż jedenaście razy wywalczył szarfy mistrza i wicemistrza Polski w motocrossie. Jeżdżąc w stajni „Junaka" zdobył tytuł drużynowego mistrza świata w rajdach enduro.

Zainteresowanie Orzepowskiego sportami motorowymi to jakby rodzinna tradycja. Wpierw na jednośladowych maszynach ruszyli na trasy jego starsi bracia. Wszystko działo się w Szczecinie. Pod koniec lat 50. ub. wieku zapisał się do sekcji motorowej ówczesnej Ligi Przyjaciół Żołnierza (obecny LOK). Otrzymał do „ujeżdżania" poradziecki motocykl „IŻ". Niebawem trafił do wydziału konstrukcyjnego, konkretnie na oddział prób w fabryce produkującej popularne „Junaki" oraz został zawodnikiem Fabrycznego Klubu Motorowego „Junak" w Szczecinie.

Orzepowski długo, ciekawie i barwnie opowiada o przeróbce seryjnego „Junaka" na motocykl crossowy. Po raz pierwszy na mistrzostwach Polski w motocrossie wystartował w 1959 r., oczywiście na „Junaku", który był prawdziwym rękodziełem. Zajął czwarte miejsce (klasa 350 ccm). Było wówczas wiadomo, iż na torze pojawił się wielki talent, który, jak się okazało, zapisał się złotymi zgłoskami w polskim sporcie motocrossowym. Orzepowski „rządził" na torach

przez całą dekadę

od 1960 do 1970. Ile zdobył tytułów najlepszego w kraju? W jego domu, w Drogomyślu, doliczyłem się 11 szarf indywidualnego mistrza

Janusz Orzepowski.

Crossowe zawody motocyklowe i samochodowe na torze w Cieszynie Boguszowicach przyciągały żądnych emocji, licznych widzów. Lipiec, rok 1976. Zdjęcia Tadeusz Kopoczek.

i wicemistrza Polski w motocrossie oraz w rajdach enduro. Otrzymane w różnych kolorach medale należy już liczyć w kilogramach. Przez cały ten okres wchodził w skład kadry narodowej, ma na koncie tytuły drużynowego mistrza kraju w crossie. Te ostatnie zdobywał z Edwardem Kurowskim, Zenonem Wiatrem, Markiem Umińskim, Ignacym Przybylskim oraz Janem Miranowskim i Lechem Figurskim. Orzepowski święcił sukcesy także na trasach w Anglii, Niemczech, Grecji, Włoszech, Austrii, Hiszpanii, Belgii, Czechosłowacji oraz b. Związku Radzieckiego. Jadąc w zespole fabrycznym „Junaka" sięgnął z kolegami po tytuł mistrza świata FIM w rajdach enduro.

W 1971 r. zakończył karierę zawodniczą. Skończył zaocznie AWF we Wrocławiu, uzyskując tytuł trenera sportów motorowych. W latach 1971—1975 był trenerem kadry narodowej w motocrossie. Na tym stanowisku także notował sukcesy. Jednak w połowie lat 70. znalazł się w wspomnianym Drogomyślu, gdyż jego żona Urszula zmuszona była objąć ojcowiznę. Pan Janusz postanowił spopularyzować sport crossowy w Cieszynie. Dlaczego w mieście nad Olzą? Otóż tutaj, w dzielnicy Boguszowice, znalazł doskonały teren

do uprawiania tego sportu. W lipcu 1975 r. można było na nim startować, a warto jeszcze dodać, że tor ten należał do najtrudniejszych w kraju, i co ważne, był przejezdny bez względu na warunki atmosferyczne.

W 1976 r. Orzepowski rozpoczął pracę szkoleniową z pierwszą grupą, w skład której wchodzili m.in. Antoni Adamczyk, Tadeusz Chraścina, Staninisław Brzezina, Grzegorz Lejko oraz Herbert Gajer. Później doszli inni, Marian Waligóra i Gerard Gorgosz, którzy sięgali po tytuły mistrza i wicemistrza Polski oraz gromadzili tytuły w strefowych mistrzostwach Polski południowej i południowo-zachodniej. Zasługą Orzepowskiego było również spopularyzowanie sportu kartingowego oraz zawodów autocrossowych. Przykładowo w lipcu 1976 r. zawody samochodów buggy na torze w Boguszowicach oglądało

blisko 25 tysięcy widzów!

Spryt organizacyjny oraz sukcesy szkoleniowe Orzepowskiego nie wszystkim były na rękę.

Po sukcesie organizacyjnym i sportowym w prestiżowych eliminacjach do mistrzostw krajów demokracji ludowej w klasie 250 ccm o „Puchar Przyjaźni i Pokoju" miernoty rządzące cieszyńskim sportem coraz bardziej nieprzychylnym okiem patrzyły na poczynania szkoleniowca. Ostatecznie grupa sportowych nieudaczników doprowadziła do tego, że Orzepowski w połowie 1979 r. odszedł z Cieszyńskiego Klubu Motorowego. Po czasie okazało się, że jednym z głównych powodów jego odejścia ze stanowiska szkoleniowca i zarazem wiceprezesa klubu było to, że był człowiekiem nie stela. Był to na ówczesne czasy ogromny błąd. Ludzie, którzy go zastąpili, okazali się później grabarzami cieszyńskiego motocrossu.

W 1997 r., pomimo wyrządzonych mu krzywd w Cieszynie, ponownie zdecydował się wrócić do sportu crossowego. Pomógł działaczom Sekcji Motorowej Wiraż w Ogrodzonej. Ściągnął utytułowanego Mariusza Zubka. Jednak zrezygnował po paru miesiącach, gdyż jego wizja rozwoju tego sportu była inna, niż działaczy z Ogrodzonej.

Z pewnością Janusz Orzepowski nie ma łatwego charakteru. Ale pewne jest też, że był doskonałym crossowcem, drzemią w nim nieprzeciętne zdolności organizacyjne i jest prawdziwym fachowcem w sportach motorowych. Póki co, nie wszystkim się to podoba.

— *Na torze crossowym osiągnąłem wiele. Szkoda tylko, że moje szkoleniowe osiągnięcia na ziemi cieszyńskiej przeszły bez echa* — mówi z goryczą J. Orzepowski.

„Psotników ci u nas dostatek" — mógłby się pochwalić każdy prawie dyrektor dawnej cieszyńskiej fabryki.

Załoga jednej z nich w karnawale spotykała się na dorocznym balu, zawsze starannie przygotowanym. Urządzanym „Pod Jeleniem", a jakże!

Pewien fabryczny mistrz, przez swą magnifikę trzymany „na krótkiej smyczy", po usilnych namowach kolegów uznał w końcu za stosowne „wystąpić" na balu w nowym garniturze. Przymiarka odbyła się w biurowym zaciszu, natomiast pokaz zakończył się tym, czym musiał. „Nawilżaniem" szwów. A ponieważ ubranie miało ich dość sporo, zabieg przeniesiony został do „międzyzakładowej świetlicy", którą to funkcję spełniała... knajpa „Pokrzep się" przy ulicy Bobreckiej.

Sfatygowany „przymiarkami" tudzież obrzędowymi zabiegami mistrz, do domu wrócił — delikatnie mówiąc — ze znacznym spóźnieniem.

— Llleży jak uuulał! — przywitał od drzwi bojowo nastrojoną połowicę...

Sztorm z tajfunem, podprawione elementami bitwy spod Grunwaldu, rozszalały na dobre, gdy się okazało, że pękata paczka zawierała... jutowe worki.

Bal „Pod Jeleniem", z przyczyn obiektywnych, odbył się pod nieobecność zahukanego mistrza...

* * *

Wszystko może się zdarzyć, natomiast nie wszystko można przewidzieć.

Wracałem do redakcji z jakiegoś fotograficznego „polowania". W aparacie zostały dwie wolne klatki, przeto rozglądałem się za jakimś dodatkowym tematem. Na rynku mignął mi kolega, prowadzący ożywioną rozmowę z nieznaną mi panią. Założyłem teleobiektyw i pstryknąłem.

Wywołane zdjęcie wrzuciłem do szuflady i... zapomniałem o — błahym przecież — zdarzeniu.

Pewnego dnia dokuczała nam klasycznie „gastronomiczna" pogoda, a już blisko końca pracy naszło nas przemożne pragnienie. Wtedy przypomniałem sobie o schowanej w szufladzie fotografii:

— Aleksandrze, jak myślisz, co powie twoja żona kiedy zobaczy takie zdjęcie?...

Zaskoczony kolega w lot pojął, o co chodzi, toteż niebawem siedzieliśmy nie tylko przy kawie.

Minął jakiś czas. Żona Olka, o której plotkowano, że związała się z innym mężczyzną, stanowczo dążyła do rozwodu. Ale rozpad dotychczasowego związku, za wszelką cenę usiłowała przypisać Bogu ducha winnemu redakcyjnemu koledze. Zaś asem atutowym jej pozwu było... moje przypadkowe zdjęcie.

Stawałem na rozprawie jako świadek. Podziwiałem Wysoki Sąd za to, że z trudem powstrzymywał się od wybuchu śmiechu, kiedy w szczegółach opowiadałem dawne, skądinąd zabawne przecież zdarzenie...

KŁOPOTY Z DEMOKRACJĄ W OCHABACH

KAROL KAJZER

Sposób wybierania posłów do Sejmu, jak również radnych do organów władzy terenowej wszystkich szczebli w okresie Polski Ludowej był prawie identyczny i w zasadzie prosty. Listy wyborcze zawierały maksymalną ilość kandydatów, proporcjonalnie do liczby mieszkańców danego okręgu wyborczego lub obwodu głosowania, z podziałem na miejsca mandatowe w pierwszej kolejności i dalsze niemandatowe. Gdy chodziło o kandydatów umieszczonych na miejscach mandatowych, obowiązywał tak zwany „klucz" partyjny, określający procentowy udział osób z poszczególnych partii politycznych oraz osób bezpartyjnych w ogólnej liczbie mandatów. Przewaga należała zwykle do członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, bowiem w układzie politycznym upartyjnionej części elektoratu PZPR miała zdecydowaną większość liczbową. Dwie pozostałe opcje polityczne — Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne — zrzeszały o wiele mniej członków. Stronnictwom tym przysługiwało też w sumie mniej mandatów na listach wyborczych, niż członkom partii. Ten polityczny układ nazywano systemem trójstronnym, z kierowniczą rolą PZPR, co oznaczało, że pozostałe dwa stronnictwa musiały siłą rzeczy zadowolić się podrzędniejszą rolą partii satelickich.

Poza kandydatami bloku trójpartyjnego, zgodnie z „kluczem" umieszczano na listach określony procent osób bezpartyjnych, przy czym reprezentacja bezpartyjnych kandydatów nie była w żadnym wypadku proporcjonalna do ilości bezpartyjnych mieszkańców okręgu lub obwodu, którzy stanowili zawsze bezwzględną większość. Klucz partyjny, obowiązujący przy układzie miejsc mandatowych na listach, nie był już tak przestrzegany przy układzie kandydatów na miejscach niemandatowych. Wiadomo było bowiem, że osoby na tych miejscach nie miały praktycznej

szansy na wybór (chociaż o dziwo — zdarzały się rzadkie wyjątki). Tego rodzaju sposób tworzenia list wyborczych był wspólny przy wyborach zarówno na posłów do Sejmu, jak też na radnych do organów władzy terenowej. Jedynie samo zgłaszanie, a raczej typowanie kandydatów na posłów odbywało się na odpowiednio wyższym szczeblu, poprzez powiatowe i wojewódzkie konferencje partyjne i instancje stronnictw politycznych oraz komitety porozumiewawcze Frontu Jedności Narodu. Natomiast zgłaszania kandydatów na radnych do terenowych ogniw władzy dokonywano na zebraniach partyjnych i stronnictw w gromadzie, na konferencjach miejskich, powiatowych i zebraniach szczebla gromadzkiego z kolei wojewódzkiego. System list określających miejsca mandatowe i niemanadatowe zapewniał z góry taki skład osobowy przyszłych wybrańców, jaki zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami politycznych gremiów należało wybrać.

Nie miejsce tu na szczegółowe omawianie systemu wyborczego. Przypomnienie jednak w ogólnym zarysie podstawowych jego mechanizmów funkcjonujących w owych czasach jest konieczne dla uzmysłowienia wagi wydarzenia, jakie miało miejsce w 1965 r. w wyborach Gromadzkiej Rady Narodowej w Ochabach. Wydarzenie to naruszyło częściowo ustalony porządek polityczny i wykazało siłę rzeczywistej, choć ograniczonej demokracji, jaka była deklarowana w dokumentach konstytucyjnych państwa ludowego.

Najniższą jednostką podziału terytorialnego w strukturze administracyjnej PRL w latach 1954—1972 była gromada, a organem władzy Gromadzka Rada Narodowa, w miastach Miejska Rada Narodowa, jako samorząd terytorialny. Na szczeblu powiatu funkcjonowała Powiatowa Rada Narodowa. Podobnie w województwie. Organami wykonawczymi rad, a jednocześnie reprezentantami władzy państwowej były prezydia rad narodowych — gromadzkich, powiatowych, wojewódzkich — z ich przewodniczącymi. Władza państwowa i samorządowa skupiona była zatem w rękach jednej osoby: przewodniczącego prezydium, który był jednocześnie przewodniczącym rady narodowej. Prezydium oraz jej przewodniczącego wybierała rada spośród swoich członków.

Powiat cieszyński obejmował 21 gromad, jednostkowych lub złożonych z kilku sołectw (np. Dębowiec z Simoradzem, Iskrzyczynem i Kostkowicami) i zbiorowych, z siedzibami w Skoczowie i Strumieniu oraz 5 miast — Cieszyn, Skoczów, Strumień Ustroń, Wisła.

W 1965 r. skończyła się kolejna, 4-letnia kadencja rad narodowych, a także Sejmu. Nowe wybory do Sejmu PRL i rad narodowych zarządzono na 30 maja. Przygotowując się do kampanii wyborczej, środki przekazu stopniowo coraz więcej uwagi poświęcały działalności rad terenowych, ukazywały dorobek poszczególnych miejscowości w minionej kadencji (pomijam tu kampanię do Sejmu). Tygodnik „Głos Ziemi Cieszyńskiej" w cyklu *Jak realizujemy postulaty wyborcze*, publikował co tydzień krótkie wywiady z przewodniczącymi prezydiów rad narodowych, co dawało im niejako rekomendację do ponownego kandydowania w wyborach.

Z wywiadu z przewodniczącym Prezydium GRN w Ochabach, Karolem Obracajem, z dnia 14 lutego 1965, dowiadujemy się, że prawie wszystkie zadania z listy zostały wykonane. Wybudowano remizę strażacką, wiatę przystankową PKS, wyremontowano sporo dróg wiejskich, przebudowano mostki z drewnianych na betonowe, zakupiono 4 zestawy ciągników dla kółka rolniczego oraz samochód bojowy dla OSP, rozpoczęto przygotowanie do budowy nowej szkoły. Wiele prac wykonali mieszkańcy w czynach społecznych. A zatem niemało, jak na średnią jednostkę gromadzką.

W kwietniu odbywały się wiejskie przedwyborcze zebrania organizacji partyjnej, ZSL i Frontu Jedności Narodu, na których wyłoniono kandydatów na radnych. W powiecie zbierała się komisja porozumiewawcza PZPR i stronnictw politycznych, w celu ustalenia liczby mandatów, partyjnego klucza osobowego list wyborczych i zatwierdzenia kandydatur do rad zgłoszonych przez wiejskie zebrania.

Dla gromadzkiej rady w Ochabach, według kryteriów ordynacji wyborczej, ustalono 16 mandatów, z czego 7 mandatów przypadło dla PZPR, 5 dla ZSL i 4 dla kandydatów bezpartyjnych.

Wybory 30 maja odbyły się, jak zwykle wówczas, przy wysokiej frekwencji i miały w naszym powiecie spokojny przebieg. Zgodnie z wcześniejszym apelem FJN zdecydowana większość wyborców głosowała bez skreśleń, co zapewniło zwycięstwo kandydatom z miejsc mandatowych, czyli „właściwym". Zdarzył się jednak wyjątek. W Pruchnej część głosujących nie odpowiedziała na apel FJN i zdecydowała się na wybór demokratyczny, korzystając z umieszczonych w lokalu kabin i możliwości skreśleń. W rezultacie jeden z kandydatów do gromadzkiej rady, umieszczony w miejscu mandatowym, nie uzyskał wymaganej większości głosów. Na jego miejsce został wybrany kandydat z miejsca niemandatowego.

Na pierwszych sesjach nowo wybrane rady wybierały ze swojego składu przewodniczącego oraz członków prezydium. Pierwsza sesja GRN w Ochabach odbyła się 12 czerwca 1965 r. Przed rozpoczęciem sesji zebrały się oddzielnie kluby radnych PZPR oraz ZSL i grupa radnych bezpartyjnych, w celu uzgodnienia kandydatur. Przedstawiciele Komitetu Powiatowego PZPR, Stanisław Duda i Leszek Bacia, przedstawili na klubach uzgodnioną przez Powiatową Komisję Porozumiewawczą kandydaturę na przewodniczącego prezydium — ponownie Karola Obracaja, członka PZPR. Klub partyjny zobligowany był dyscypliną partyjną do jednogłośnego przyjęcia propozycji w drodze głosowania. Zaskoczeniem jednak było, kiedy jeden z radnych, w dodatku II sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, Józef Hołyst, zgłosił sprzeciw wobec kandydatury. Posiedzenie klubu trwało ponad godzinę i radni nie osiągnęli jednomyślności co do wspomnianej kandydatury.

Obracaja nie poparli również radni z ZSL, którzy radzili przez dwie godziny. W pierwszej wersji zgodzili się nawet lojalnie poprzeć innego kandydata z PZPR, jeśli taki zostanie zgłoszony. Nie była to więc dezaprobata dla

kandydata partyjnego jako takiego i przejaw rywalizacji międzypartyjnej, lecz opozycja wobec konkretnej osoby, niezależnie od opcji politycznej. Ponieważ jednak innego kandydata nie było, ludowcy zgłosili swoją kandydaturę na przewodniczącego, w osobie Franciszka Szczygła, co oczywiście nie było do zaakceptowania przez czynniki partyjne. Bezpartyjna grupa radnych w zasadzie zgodziła się na Obracaja, pozostawiając jednak radnym wolny wybór. Opozycja stała się faktem. Aby zapewnić zwycięstwo Obracajowi, potrzebne były co najmniej trzy głosy, i to radnych bezpartyjnych. Sytuacja stawała się zatem napięta.

W takiej atmosferze rozpoczęła się sesja. Po złożeniu ślubowania przez radnych przystąpiono do wyboru przewodniczącego prezydium. Jako pierwszą zgłoszono kandydaturę Karola Obracaja z klubu radnych PZPR. Ludowcy od razu zgłosili Franciszka Szczygła. W jawnym głosowaniu radni zadecydowali o umieszczeniu obydwu kandydatów na liście. W głosowaniu tajnym Karol Obracaj i Franciszek Szczygieł otrzymali remisową ilość po 8 głosów. Wtedy Karol Obracaj skłonny był wycofać swoją kandydaturę, na co nie mogli wyrazić zgody przedstawiciele powiatu, ponieważ był desygnowany przez komisję porozumiewawczą. Próbowano więc skłonić do ustępstw kandydata ZSL, na co ludowcy, łącznie z kandydatem, nie wyrazili zgody.

W drugim głosowaniu sytuacja jednak się zmieniła. Franciszek Szczygieł uzyskał 9 głosów, Karol Obracaj 7. Przewodniczącym został wybrany Franciszek Szczygieł.

Z wyborem pozostałych 3 członków prezydium nie było kłopotów. W skład tego gremium weszli: Oton Michalik (PZPR), Tomasz Hanus (ZSL) i Józef Jędrysik (bezpartyjny).

Wynik wyborów przewodniczącego prezydium i sytuacja w Ochabach były dużym zaskoczeniem, zwłaszcza dla władz powiatowych w Cieszynie, które nie spodziewały się takiego obrotu sprawy. Komisja porozumiewawcza nie zaakceptowała takiego wyboru. Komitety powiatowe PZPR i ZSL zleciły zwołać zebrania organizacji partyjnej i koła ZSL w Ochabach, w celu ponownego rozpatrzenia sytuacji i spowodowania unieważnienia wyboru.

Zebranie POP w Ochabach, na które przybył sekretarz KP PZPR Piotr Lipa, było niezwykle burzliwe. Główny „sprawca" wydarzenia i partyjny przywódca opozycji Józef Hołyst przypuścił frontalny atak na Obracaja, stawiając mu szereg zarzutów dotyczących spraw gospodarczych, relacji między Urzędem Gromadzkim a obywatelem, a także natury etycznej. Poparło go również kilku innych uczestników. Do części zarzutów Obracaj się przyznał, inne wyjaśnił, złożył samokrytykę według wymogu partyjnego i formalnie zrezygnował na piśmie z pretendowania na funkcję przewodniczącego. Zebranie partyjne uchwaliło jednak wniosek o anulowanie wyboru i powołanie trzeciej osoby na komisarycznego przewodniczącego prezydium. Zastrzeżenia były bowiem również do Szczygła, głównie z uwagi na brak kwalifikacji i przygotowania do spełnienia wymogów związanych z tą funkcją.

Równocześnie z zebraniem partyjnym, w szkole obradowali członkowie koła ZSL, z udziałem prezesa PK ZSL w Cieszynie, Władysława Fielka. Prezes próbował nakłonić Franciszka Szczygła do rezygnacji z powierzonego mu już stanowiska. Oczywiście bezskutecznie. Ludowcy również wysuwali zarzuty pod adresem Obracaja, a zarazem podkreślali że Szczygieł został wybrany demokratycznie w głosowaniu tajnym, co było zgodne z ustawą o radach i nie powinno się tego kwestionować.

Sprawa wróciła ponownie na posiedzenie Powiatowej Komisji Porozumiewawczej w Cieszynie, która musiała podjąć ostateczną decyzję. Pełnomocnicy biorący udział w zebraniach POP i koła ZSL przedstawili szczegółowo sytuację oraz argumenty i wnioski uczestników zebrań. W rezultacie komisja odrzuciła wniosek członków partii w sprawie powołania komisarycznego przewodniczącego jako nieuzasadniony. Komisja uznała zaistniałe realia jako zgodne z prawem i zatwierdziła wybór Franciszka Szczygła na przewodniczącego Prezydium GRN w Ochabach.

29 czerwca odbyła się sesja GRN w Ochabach, na której Leszek Bacia, reprezentujący komitet powiatowy partii, poinformował oficjalnie o decyzji komisji porozumiewawczej co do zatwierdzenia Franciszka Szczygła na przewodniczącego prezydium. Na tejże sesji, pod przewodnictwem Franciszka Szczygła, radni uchwalili dodatkowe kredyty z nadwyżki budżetowej z 1964 r.

W lutym 1966 r. na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym POP Józef Hołyst wybrany został I sekretarzem organizacji partyjnej w Ochabach.

Franciszek Szczygieł pełnił swoją funkcję przez 3 lata, a zatem nie dokończył pełnej kadencji. Na przewodniczącego Prezydium GRN w Ochabach wrócił Karol Obracaj i stanowisko to pełnił do 1972 r., do czasu nowej reformy administracji.

Autentyczne

Kiedyś wsiąść do autobusu PKS, było nie lada sztuką. Ludzie szturmowali przednie i tylne drzwi. Znany istebniański dowcipniś, Michał Legierski „Bulka" wsiadał przednim wejściem, przez co naraził się na upomnienie ze strony konduktora:

— Tyłem się wsiada!

„Bulka" natychmiast się odwrócił i... rakiem wszedł do pojazdu.

Anegdoty zamieszczone w rubrykach „Autentyczne", pochodzą ze zbiorku „Humoreski znad Olzy, czyli to się musi w głowie zmieścić, autorstawa Tadeusza Kopoczka.

Bronisław Kohut — *Gajdosz z Istebnej — Jan Kawulok*, linoryt.

SPIS TREŚCI

Na cieszyńską nutę — *Żaneta Kubaszewska* 3
Kalendarium oraz przepisy kulinarne 4
Kalendarz skrócony na rok 2008 16
Kalendarium rocznic na 2007 r. 17

HISTORIA

Topografia cesarsko-królewskiej części Śląska. (VI) O księstwie bielskim (1802 rok) — *Reginald Kneifel* 35
Kolejowa tradycja Zebrzydowic — *Helena i Ludwik Bartoszkowie* . 47
Współcześni o hrabinie Gabrieli von Thun — *Mariusz Makowski* . 53
Kronika Gródku — *Stanisław Zahradnik* 61
Zachować w pamięci — *Jadwiga Roik* 67
Ostatni lot bohaterów przestworzy — *Grzegorz Kasztura* 75

KULTURA, ZABYTKI

Zamek w Grodźcu Śląskim — *Mariusz Makowski* 83
O niektórych cieszyńskich śladach w literaturze i filmie — *Krzysztof Winicjusz Jezierski* 87
Modlitwa rozśpiewanych serc — *Beata Sabath* 91
Zespół muzyczno-wokalny „Aryon" (Arion) — *Janusz Guziur* . . 97
Ze znakomitego rodu — *Joanna Jurgała-Jureczka* 105
Portrety i obrazy Iwony Konarzewskiej — *Michał Kawulok* . . . 113
Kino osobne (*z Franciszkiem Dzidą Rozmawia Edyta Zachurzok*). . 117
Nauczyciele w polskim życiu teatralnym — *Bolesław Orszulik* . . 125
Zabytki Ustronia — *Lidia Szkaradnik* 129

WSPOMNIENIA

Pięć dni wolności — *Stefan Żebrok* 137
Pomóżcie nam zachować pamięć — *Jan Rusz* 147

SYLWETKI

Wędrowiec z kresów — *Maria Kocych-Imielska* 159
Mazurska przyjaciółka Cieszyniaków — *Janusz Guziur*. 165
Inspektor Karol Buzek — *Władysław Sosna* 171
Legenda z góry Chełm — *Grzegorz Kasztura* 175
Ciocia Zuzka z Wilczego — *Teresa Waszut*. 179
Tytan spod znaku PCK — *Tadeusz Kopoczek* 185
Ustroński pasjonat filatelistyki — *Lidia Szkaradnik* 189
Wiktor Buczek, nauczyciel i naczelnik Wisły — *Michał Kawulok* . 193
Złoty dyrektor z brackiego — *Paweł Czupryna* 197

KULTURA LUDOWA, FOLKLOR

Jak potok płynie czas — *Lidia Szkaradnik* 201
Z ludowych opowieści — *Karol Kajzer* 205
Hohenegger — *Władysław Kristen* 207
Drzewiej na Warmii i Mazurach — *Janusz Guziur* 209

POEZJA, PROZA

Poezja podziemna na Śląsku 1939—1945 — *Michał Heller* . . . 213
Z okazji 500 koncertu Estrady Ludowej „Czantoria" —
Lidia Szkaradnik 217
Cieszyn w oczach gimnazjalistów 219
Nosił wilk razy kilka — *Erwin Dembiniok* 223

RÓŻNOŚCI

Historia pewnej widokówki — *Jadwiga Roik* 229
Druciarze znad Wagu — *Krzysztof Imielski* 237
Karwina — kraj lat dziecinnych — *Emilia Gibiec* 243
Tęsknota i żal Jana Kubisza — *Józef Urbańczyk*. 249
Dębowiec stawia na solanki — *Agnieszka Barzycka* 251
Młodzi wolontariusze zdobywają Goeteborg — *Ludwik Rosner* . . 255
Z Ondraszkiem na kole — *Władysław Sosna* 261
Jak w Cieszynie w piłkę grano — *Łukasz Bielski* 269
Człowiek nie stela — *Kazimierz Raszka* 275
Kłopoty z demokracją w Ochabach — *Karol Kajzer* 279

BIURO ZARZĄDU GŁÓWNEGO MACIERZY ZIEMI CIESZYŃSKIEJ

ul. P. Stalmacha 14
43-400 Cieszyn
tel. (033) 852 16 59

Oferuje wydawnictwa Macierzy
po cenach hurtowych
z dostawą do zamawiającego

Biuro jest czynne:

w poniedziałki, wtorki, środy i piątki — od 9.00 do 13.00

w czwartki od 15.00 do 19.00

Kostiumeria
Macierzy Ziemi Cieszyńskiej

ul. P. Stalmacha 14, 43-400 Cieszyn
tel. (033) 852 16 59

o f e r u j e

wypożyczanie ponad 4000 kompletnych strojów

- ***historycznych***
- ***współczesnych***
- ***ludowych***

zarówno dla dzieci i dorosłych

Kostiumeria jest czynna:

poniedziałki	od 9.00 do 13.00
wtorki	od 9.00 do 12.00
środy	od 10.00 do 15.30
czwartki	od 9.00 do 15.30

ZAPRASZAMY!

Założona w roku 1978 firma rodzinna Teresy i Jerzego Wałgów

NAPRAWIA

- rowery, sprzęt narciarski i tenisowy

KONSERWUJE

- zabytkowe przedmioty oraz dzieła rzemiosła artystycznego

WYKONUJE

- kopie starych pistoletów oraz strzelb myśliwskich, w tym sławnych „cieszynek"

OFERUJE

- wykonane na szydełku koronkarskie ozdoby i pamiątki cieszyńskie

NASZ ADRES: Stary Targ 2, 43-400 Cieszyn
tel. kom. 0 603 217 533, 0 600 292 171, tel. domowy: (033) 852 15 02,
e-mail: walga@neostrada.pl

KWIACIARNIA

Mariusz

Mariusz Rainda

43-400 Cieszyn, ul. Kochanowskiego 2
tel./fax: (033) 852 57 43, kom. 0 601 949 118
Godziny otwarcia: pn-pt 8^{00}-18^{00}, sobota 8^{00}-14^{00}

D.T. "KAUFLAND" - 43-400 Cieszyn, ul. Liburnia 28
telefon/fax: (033) 858 23 75,
Godziny otwarcia: pn-so 9^{00}-21^{00}, niedziela 9^{00}-20^{00}

Kwiaty cięte i doniczkowe

Kompozycje z suszu

Aranżacje kwiatowe wnętrz

Wiązanki okolicznościowe

Dostawa kwiatów pod wskazany adres

POWSZECHNA SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW
„KONSUM ROBOTNICZY”

ul. Rynek 17, 43-400 Cieszyn, tel. 033 852 19 81-84, fax 033 852 19 88
www.spolem-cieszyn.com.pl, e-mail: psscieszyn@spolem-cieszyn.com.pl

PIEKARNIA
ul. Morcinka
tel. 033 479-70-50

CIASTKARNIA
ul. 3 Maja
tel. 033 852-01-11

GARMAŻERNIA
ul. Srebrna
tel. 033 852-08-48

HURTOWNIE:

spożywcza
ul. Stawowa
tel. 033 852-08-63

nabiałowa
ul. Stawowa
tel. 033 851-41-51

ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW
W NASZYCH SKLEPACH!

Książnica Cieszyńska

CZ II 81 / 2007

ISSN 1232-2725